

LUDMIŁA ULICKA

Medea i jej dzieci

Rozdział pierwszy

Medea Mendez, z domu Sinopli, była ostatnią, nie licząc jej mieszkającej w Moskwie od lat dwudziestych młodszej siostry Aleksandry, rodowitą Greczynką w rodzinie, która od niepamiętnych czasów zamieszkiwała taurydzkie wybrzeże przypominające Helladę.

Tauryda * starożytna nazwa Krymu (przyp. tłum.)

Była też ostatnią w rodzinie, znającą jeszcze nieźle język grecki, jego średniowieczną pontyjską odmianę, zachowaną jako narzecze w koloniach taurydzkich, który tak jednak różnił się od nowogreckiego, z powodu dzielących ich tysiąca lat, jak starożytna greka od tego właśnie pontyjskiego dialektu.

Od dawna nie miała z kim porozmawiać w tym zamierzchłym, dźwięcznym języku, który był źródłem wielu filozoficznych i religijnych terminów i zachował cudowną dosłowność i pierwotny sens słów: do dziś pralnia nazywana jest w nim katarizma, przewóz * metaforysis, a stół * trapeza.

Grecy z Taurydy, rówieśnicy Medei, albo już poumierali, albo zostali wysiedleni. Ona przeżyła, jak sama uważała, wyłącznie dzięki Bożej opatrności, no może jeszcze dzięki hiszpańskiemu nazwisku po zmarłym mężu, żydowskim dentyście o wesołym usposobieniu, z małymi, ale widocznymi wadami, i dużymi, lecz głęboko ukrytymi, zaletami.

Wcześniej owdowiała i nigdy nie wyszła ponownie za mąż, pozostając wierna dobrze znanemu obrazowi wdowy w czarnym ubraniu, w którym było jej zresztą do twarzy.

W ciągu pierwszych dziesięciu lat nosiła się wyłącznie na czarno, później zdecydowała się na delikatny biały wzór albo drobny groszek, wyłącznie jednak na czarnym tle. Czarny szal owijał jej głowę zupełnie inaczej niż u Rosjanek czy wieśniaczek. Kończył się dwoma długimi węzłami, z których jeden opierał się na prawej skroni, a dłuższy koniec szala opadał swobodnie na ramię drobnymi antycznymi fałdami i przykrywał jej pomarszczoną szyję. Oczy miała jasnobrązowe i suche, a smągła twarz była pokryta drobnymi zmarszczkami.

Kiedy siedziała w okienku rejestracji niewielkiego miejscowego szpitala ubrana w biały, zapinany z tyłu, chirurgiczny kitel, wyglądała zupełnie jak z obrazu Goi.

Kartę chorobową wypełniała zawsze zamasyście, dużymi literami, tak samo zamasyście, wielkimi krokami, przemierzała okolicę, potrafiła bez trudu wstać w niedzielę o świcie, przemaszerować ponad dwadzieścia kilometrów do Teodozji, odstać tam mszę poranną i wrócić wieczorem do domu.

Medea Mendez była dla okolicznych mieszkańców nierozzerwalną częścią tutejszego pejzażu. Kiedy nie siedziała na taborecie w okienku rejestracji, można ją było spotkać na którymś ze wschodnich wzgórz albo na kamiennych zboczach na zachód od Osady.

Nie spacerowała bez celu, zbierała szalwię, cząber, górską miętę, berberys, grzyby, dziką różę,

nigdy nie przegapiła również krwawnika, kryształu górskiego albo starych zaśnieżonych monet, których pełno było na tym niedużym skrawku prastarej ziemi, będącej sceną historii świata.

Znała tę okolicę jak wnętrze własnego kredensu. Nie tylko pamiętała, gdzie i kiedy można znaleźć potrzebne zioła, ale również obserwowała, jak z biegiem lat zmienia się zielona szata wzgórz: zarośla górskiej mięty na wschodnim zboczu Kijan*Góry schodzą coraz bardziej w dół wzdłuż wyżłobień po wiosennych roztopach, berberys wysycha pod wpływem jakiejś złośliwej choroby niszczącej dolne gałązki, a cykoria rozrasta się jak szalona, dusząc korzeniami delikatne wiosenne kwiaty.

Krymska ziemia była zawsze życzliwa Medei i niczego przed nią nie ukrywała. Ona z kolei z wdzięcznością przechowywała w pamięci wszystkie znalezione tu rzeczy,

dokładnie pamiętając kiedy i gdzie je znalazła i co wtedy czuła, zaczynając od pierwszego lipca tysiąc dziewięćset szóstego roku, kiedy jako mała dziewczynka, natknęła się na starej drodze do Ak*Meczet na „kółko wiedźmy” z dwunastoma niedużymi, jednakowej wielkości grzybami z bladezielonymi kapeluszami, miejscowej odmiany borowika. Ale największą jej zdobyczą był płaski złoty pierścionek z mętnym niebieskim berylem, wyrzucony w czasie sztormu na małą plażę koło Koktebelu dwudziestego sierpnia tysiąc dziewięćset szesnastego roku, w dniu jej szesnastych urodzin. Miała go do dziś, nie zdejmowany od prawie trzydziestu lat wpił jej się głęboko w palec.

Podeszwami stóp czuła przychylność tego miejsca. Za nic w świecie nie zamieniłaby tej niszczejacej ziemi na żadną inną i przez całe życie opuściła Krym zaledwie dwa razy, w sumie na jakieś sześć tygodni.

Urodziła się w Teodozji, w ogromnym, niegdyś pięknym domu w kolonii greckiej na przedmieściach miasta. Dom utracił już wówczas swój początkowy klasyczny kształt i był oblepiony niezliczonymi przybudówkami, tarasami i balkonami, które się mnożyły wraz z gwałtownie powiększającą się rodziną. Był początek tak dobrze zapowiadającego się wieku.

W czasie, kiedy się powiększała rodzina, dziadek, Charłamij Sinopli, bogaty kupiec, właściciel czterech statków handlowych cumujących w nowo wybudowanym teodozyjskim porcie, stopniowo bankrutował. Pod koniec życia utracił całą swą nienasyconą chciwość i nie mógł się nadziwić losowi, który postanowił, nie wiadomo czemu, ukarać go wieloletnim czekaniem na potomka, sześciokrotnym urodzeniem martwych niemowląt i niezliczonymi poronieniami obydwóch żon, szczerze nagradzając jednak potomstwem jego jedyne go syna, Gieorgija, którego wyblagał sobie po trzydziestoletnich modlitwach. Może była w tym zasługa jego drugiej żony Antonidy, która wybrała się z pielgrzymką do Kijowa, a urodziwszy i wykarmiwszy syna, pościła w podziękowaniu do końca życia. A może zawdzięczał to chudej rudej synowej Matyldzie, którą syn przywiózł z Batuma * co za hańba!

* już w ciąży i która z kosmicznie zagadkową dokładnością co drugi rok pod koniec lata wydawała na świat kolejne okrągłogłowe niemowlę.

Batum * dawna nazwa miasta Batumi (przyp. tłum.)

Z urodzeniem każdego kolejnego wnuka stary Charlamij stawał się coraz słabszy i coraz czulszy, aż w końcu całkowicie utracił, wraz z majątkiem, opinię despotycznego, twardego i sprytnego kupca. Ale jego krew, jak się okazało, nie dała się tak łatwo rozcieńczyć w obcych strumieniach i ci z jego potomków, których nie zmeły młyny krwiożerczych czasów, odziedziczyli po nim twardy charakter i talent, a jego znana wszystkim żądza posiadania przejawiała się w przypadku mężczyzn w wielkiej namiętności do budowania, a u kobiet * w oszczędności, dbałości o rzeczy i sprytnej praktyczności. Taka właśnie była Medea.

Rodzina była tak wielka, dzięki Bożej szczodrobliwości, że mogłaby zostać świetnym obiektem badań dla genetyka obserwującego podział dziedziczonych cech. Taki genetyk jednak się nie znalazł, ale Medea, która lubiła, żeby wszystko było uporządkowane i poukładane, od filiżanek na stole do obłoków na niebie, zabawiała się nieraz ustawianiem braci i siostr według intensywności rudego koloru ich włosów * oczywiście tylko w wyobraźni, bo nie pamiętała, żeby rodzina kiedykolwiek zebrała się w komplecie. Zawsze któregoś ze starszych braci brakowało... Wszystkie dzieci w większym lub mniejszym stopniu odziedziczyły po matce miedziany odcień włosów, ale tylko Medea i młodszy z braci, Dimitrij, byli zdecydowanie rudzi. Aleksandra, którą nazywano w domu Sandroczką, miała włosy w kolorze czerwonego drzewa o złożonym płomiennym odcieniu.

Zdarzał się czasami, nie wiadomo czemu tylko u chłopców, zbyt krótki mały palec albo przyrośnięty płatek ucha po dziadku, a po babci wyjątkowa zdolność widzenia w nocy, którą miała też Medea. Te i kilka innych mniej wyraźnych cech wyróżniały potomków Charlamija.

Nawet rodzinna płodność podzieliła się na dwie linie: jedni, jak Charlamij, latami nie mogli się doczekać chociażby jednego dziecka, drudzy przeciwnie mieli wysyp rudowłosego drobiazgu, ani trochę o to się nie troszcząc. Sam Charlamij od tysiąc dziewięćset dziesiątego roku spoczywał na greckim cmentarzu w Teodozji, w jej najwyższym punkcie z widokiem na zatokę, gdzie aż do drugiej wojny światowej kołysały się należące niegdyś do niego dwa statki zacumowane, jak dawniej, w

teodozyjskim porcie.

Wiele lat później do domu bezdzietnej Medei na Krymie zaczęło ściągać liczne grono potomków jej rodzeństwa z gromadką własnych dzieci, a ona ukradkiem ich obserwowała. Krewni byli święcie przekonani, że ciotka kocha wszystkich. Trudno powiedzieć, jaka bywa miłość bezdzietnej kobiety do nie swoich dzieci, ale z upływem lat Medea rzeczywiście interesowała się nimi coraz żywiej.

Równie dobrze znosiła wakacyjny napływ krewnych, jak i swoją jesienno*zimową samotność. Letni sezon rozpoczynał się zwykle pod koniec kwietnia, kiedy po lutowych deszczach i marcowych wiatrach zaczynały kwitnąć liliowe glicynie, różowe tamaryszki i żółty chiński janowiec.

Pierwszy turnus nie trwał długo, zaledwie kilka majowych dni, niektórzy zostawali do dziewiątego.* Dziewiąty maja * Dzień Zwycięstwa, wolny od pracy (przyp. tłum.)

Później była krótka przerwa do dwudziestego

maja, po której zjeżdżały się dziewczyny * młode matki z dziećmi w wieku przedszkolnym.

Ponieważ krewnych było chyba ze trzydziestu, plan ich przyjazdów układano już w zimie * czteropokojowy dom mieścił nie więcej niż dwadzieścia osób.

Teodozyjscy i symferopolscy kierowcy, dorabiający dowożeniem letników, dobrze znali Medeę i obniżali czasami cenę dla jej krewniaków, uprzedzając jednak, że w okresie deszczów na pewno nie zgodzą się jechać na górę, ale wysadzą gości w Dolnej Osadzie.

Medea nie wierzyła w przypadek, chociaż miała w życiu dużo znaczących spotkań, dziwnych zbiegów okoliczności i idealnie dopasowanych do siebie niespodzianek.

Raz spotkany człowiek wracał po wielu latach, żeby zmienić jej los, nici ciągnęły się, łączyły, zakręcały się w pętle i tworzyły wzór, który z latami stawał się coraz bardziej wyraźny.

W połowie kwietnia, kiedy już się zdawało, że koniec z wahaniami pogody, nagle znów się zachmurzyło, ochłodziło, zrobiło się ciemno, zaczął padać deszcz, który w każdej chwili mógł zamienić się w śnieg.

Medea zasłoniła okna, wcześniej zapaliła światło i podrzuciwszy trochę chrustu i dwa

polana do swego sprytnego pieca, który potrzebował niewiele opału, a dawał dużo ciepła, rozłożyła na stole dziurawe prześcieradło i zaczęła się zastanawiać, czy pociąć je na kuchenne ściereczki, czy może lepiej wyciąć przedziurawiony środek i uszyć z reszty pościel dla dzieci.

I wtedy ktoś głośno zapukał do jej drzwi. Otworzyła. Za drzwiami stał chłopak w mokrym płaszczu i futrzanej czapce.

Pomyślała, że to któryś z dawno niewidzianych krewnych, i wpuściła go do środka.

* Pani jest Medeą Gieorgijewną Sinopli? * zapytał chłopak i Medea zrozumiała, że nie należy do rodziny.

* Tak, to ja, chociaż od ponad czterdziestu lat noszę inne nazwisko * uśmiechnęła się Medea.

Chłopak wyglądał sympatycznie, miał jasne oczy i rzadkie, czarne, zwisające w dół wąsiki.

* Proszę się rozgościć...

* Przepraszam, że tak bez uprzedzenia... * Strzepnął śnieg z mokrej czapki. * Jestem Rawil Jusupow, z Karagandy...

To co się zdarzyło tamtego wieczora i tamtej nocy opisała w liście, prawdopodobnie następnego dnia, którego nigdy nie wysłała.

Wiele lat później list ten trafił do rąk jej bratanka Gieorgija. Wtedy wyjaśniła się wreszcie tajemnica testamentu z jedenastego kwietnia tysiąc dziewięćset siedemdziesiątego szóstego roku, który wszystkich zaskoczył. Znajdował się on w tej samej paczce papierów. List był następującej treści:

Droga Lenoczko!

Chociaż wysłałam ci list zaledwie tydzień temu, zdarzyło się coś wyjątkowego, o czym muszę ci opowiedzieć. Jest to dawna historia. Pamiętasz oczywiście woźnicę Jusima, który przywiózł cię razem z Armik Tigranową do Teodozji w grudniu tysiąc dziewięćset osiemnastego roku? Nie uwierzysz, ale odnalazł mnie przez teodozyjskich znajomych jego wnuk Rawil. Dziwne w tym wszystkim jest to, że nawet dziś jeszcze można znaleźć w wielkim mieście człowieka bez żadnego biura informacji. To dość typowa w naszych stronach historia: wysiedlono ich z Ałusztzy po

wojnie, kiedy Jusim już nie żył. Matkę Rawila zesłano do Karagandy, nie patrząc na to, że ojciec jej dzieci zginął na wojnie. Chłopak dobrze zna historię waszej ewakuacji * ja też mam ją ciągle w pamięci * wie nawet o pierścieniu z szafirem, który dałaś wtedy Jusimowi w podziękowaniu za pomoc... Matka Rawila nosiła go przez wiele lat, ale kiedy głodowali, wymieniła na pud mąki. Był to jednak dopiero wstęp do rozmowy, który, przyznam ci się szczerze, bardzo mnie poruszył. Przypomniało mi się to, o czym wolimy nie wspominać: o tułaczce tamtych lat. Później Rawil wyznał, że walczy o powrót Tatarów na Krym, że oni od dawna podejmują różne oficjalne i nieoficjalne kroki w tym kierunku.

Chwytał każde moje słowo o starym tatarskim Krymie, nawet notował i nagrywał na magnetofon, żeby przekazać Tatarom mieszkającym w Uzbekistanie i Kazachstanie. Opowiedziałam mu, co pamiętałam o swych byłych sąsiadach z Osady, o Galii, Mustafie, dziadku Achmecie, który od świtu do zmierzchu czyścił tutejsze strumyki, wyciągał z nich każdy pyłek jak z oka, o tym, jak wysiedlali okolicznych Tatarów, dając im dwie godziny na spakowanie się i jak Szura Gorodowikowa, kierowniczka partyjna, osobiście ich wysiedlała, pomagała układać rzeczy, becząc przy tym jak bóbr, a następnego dnia dostała udaru, przestała być kierowniczką i jeszcze przez dziesięć lat kuśtykała po swym podwórku z wykrzywioną twarzą, bełkocząc coś pod nosem. W naszych stronach nawet w czasie okupacji niemieckiej nic podobnego się nie zdarzyło, wprawdzie stacjonowali u nas nie Niemcy, tylko Rumuni z armii niemieckiej. Zabierano ponoć Żydów, ale nie u nas.

Opowiadałam mu też, jak w czterdziestym siódmym, w połowie sierpnia, kazano wyrąbać wszystkie tutejsze gaje orzechowe, które posadzili Tatarzy. Mimo naszych błagań, przyszli durnie, którzy wyrąbali piękne drzewa, nie zaczekawszy nawet, aż dojrzeją orzechy. Wzdłuż całej drogi leżały te nieszczęsne drzewa z zielonymi orzechami. A później kazano je spalić. Akurat odwiedziła mnie wtedy Tasza Ławinska z Kerczu, siedziałyśmy więc z nią i płakałyśmy, patrząc na to barbarzyńskie ognisko.

Pamięć, dzięki Bogu, mam jeszcze całkiem dobrą, wszystko pamiętam, rozmawialiśmy więc do północy, nawet trochę wypiliśmy. Starzy Tatarzy, jak pamiętasz, nie pili wina. Umówiliśmy się, że oprowadzę go jutro po okolicy i wszystko pokażę. Miał do mnie prośbę, którą chciał utrzymać w sekrecie, prosił, żebym kupiła mu dom na Krymie, ale na siebie, bo, jak się okazuje, nie wolno Tatarom sprzedawać domów, jest na to jakieś specjalne rozporządzenie jeszcze z czasów Stalina.

Pamiętasz, Lenoczko, jak wyglądał Wschodni Krym za Tatarów? A Środkowy? Jakie ogrody były w Bachczysaraju! A teraz nawet drzewka tam nie znajdziesz: wszystko wyrabali, wszystko zniszczyli... Ledwie zdążyłam przygotować Rawilowi pokój Samoni, a tu słyszę * podjeżdża samochód. Za chwilę * pukanie. Popatrzył na mnie smutno: „To po mnie, Medeo Georgijewno”.

Twarz mu zszarzała i wtedy zobaczyłam, że wcale nie jest taki młody, chyba już po trzydziestce. Wyciągnął z magnetofonu taśmę i wrzucił do pieca:

„Będzie pani miała nieprzyjemności przeze mnie, proszę mi wybaczyć. Powiem, że szukałem noclegu...” Taśma z moim długim opowiadaniem w mig się zajęła ogniem. Otwieram * stoi dwóch takich. Jeden * to Piętka Szewczuk, syn tutejszego rybaka Iwana Gawriłowicza. Bezcelny mówi do mnie: „Sprawdzamy, czy lokatorów nie trzymacie.”

Jak na niego nie naskoczę: jak śmiesz włamywać się do mnie w nocy? Nie, nie trzymam lokatorów, ale mam akurat gościa i radzę ci natychmiast się stąd wynosić i nie przeszkadzać mi do rana. Co za bezczelność, ośmiela się mnie po nocach nachodzić! Pamiętasz chyba, że prowadziłam w czasach wojny mały szpital, nikogo tu z medyków nie było prócz mnie. Ile ropni temu gnojnikowi otworzyłam, jednego miał w uchu. Ledwo nie umarłam ze strachu: sprawa wyglądała na poważną, pięcioletnie dziecko ze wszystkimi objawami porażenia mózgowego, a ja przecież byłam zwykłym felczerem! Jaka odpowiedzialność... Poszli więc sobie, ale samochód został koło domu z wyłączonym silnikiem.

A mój tatarski gość, Rawil, tylko się uśmiecha: „Dziękuję pani, Medeo Georgijewno, jest pani odważnym człowiekiem, rzadko takich można spotkać. Szkoda, że nie

obejrzymy jutro ani doliny, ani wschodnich wzgórz. Ale ja tu jeszcze kiedyś wrócę, czasy się zmieniają, jestem tego pewny".

Wyciągnęłam kolejną butelkę wina i gadaliśmy z nim do rana. Później wypiliśmy kawę, a kiedy zrobiło się jasno, on się umył, a ja upiekłam placki, wyciągnęłam konserwy moskiewskie, które jeszcze z lata mi zostały, ale nie wziął: „i tak zabiorą” * powiedział. Odprowadziłam go do furtki, aż na górę.

Deszcz przestał padać, pięknie dookoła. Piętka i jego towarzysze stali obok samochodu. Pożegnaliśmy się z Rawilem, a oni już otwierają drzwi w samochodzie. Aha, czapkę swoją u mnie zostawił. Myślę, to dobry znak. Może wszystko się jeszcze zmieni, Tatarzy wrócą, wtedy może oddam mu tę czapkę? Sprawiedliwości stałoby się zadość. Ale to jak Bóg będzie chciał. Piszę zaś do ciebie w takim pośpiechu, bo chcę, żebyś wiedziała, gdzie mnie szukać, jakby coś. Nigdy w życiu do żadnej polityki się nie mieszałam, to Samonia był w tym dobry, ale nigdy nic nie wiadomo, a nuż na starość, w czasach odwilży, przyczepią się do staruchy? Aha, zapomniałam cię poprzednio zapytać, czy pasuje ci aparat słuchowy. Chociaż i tak większość z tego, co dookoła się mówi, nie zasługuje na słuchanie, niewiele więc tracisz. Całuję cię.

Medea

Był koniec kwietnia. Winnica Medei była już wysprzątana, ogród znów pełen grządek, w lodówce od dwóch dni czekała pokrojona na kawałki gigantyczna flądra od miejscowych rybaków.

Pierwszym był bratanek Gięorgij z trzynastoletnim synem Artiorem. Zrzucił na ziemię plecak i stanął pośrodku podwórka, mrużąc oczy od ostrego słońca i wdychając słodkie, gęste powietrze.

* Tylko kroić i jeść * powiedział do syna, ale ten nie zrozumiał, o co mu chodzi.

* Patrz, Medea wieszka bieliznę * pokazał ojcu ręką.

Dom Medei stał w najwyższym punkcie Osady, ale działka była położona na zboczu i studnia znajdowała się na samym dole. Między drzewem orzechowym i starym ajlantem zawieszony był sznur, na którym Medea wieszała mocno farbkowaną bieliznę, wykorzystując przerwę obiadową na robienie porządków.

Ajlant (bożodrzew) * rozłożyste drzewo wysokości 30 m, rośnie głównie w krajach

śródziemnomorskich (przyp. tłum.)

Ciemnogrnatowe chmury płynęły po niebieskim płótnie połatanych prześcieradeł, które napinały się powoli, jak żagle, grożąc zmianą kierunku i odpłynięciem w błękitne niebo.

„Rzucić wszystko w cholerę i kupić tu dom * pomyślał Gieorgij, schodząc w dół do ciotki, która ich jeszcze nie zauważyła. * A Zojka niech sobie robi, co chce.

Zabrałbym Tiomkę, Saszkę...”

Przez ostatnie dziesięć lat ta myśl zawsze przychodziła mu do głowy w ciągu pierwszych minut po przyjeździe do krymskiego domu Medei... Ciotka dostrzegła wreszcie Gieorgija z synem, rzuciła do pustej miski ostatnie wykręcone prześcieradło i wyprostowała się:

* Jesteście... Drugi dzień czekam... Już, Gieorgiu, idę.

Tylko ona tak go nazywała, po grecku. Pocałował starą, a ona przesunęła dłoń po kochanych, kruczoczarnych włosach, pogłaskała po głowie wnuka:

* Ależ urósł!

* Mogę na drzwiach sprawdzić? * zapytał chłopiec.

Futryna po bokach była cała w nacięciach * dzieci mierzyły tu wzrost.

Medea powiesiła ostatnie prześcieradło, a ono pofrunęło, zasłaniając połowę małego obłoczka, który przypadkowo przypałał się na czystym niebie.

Gieorgij chwycił puste miednice i razem wrócili na górę: ubrana na czarno Medea, Gieorgij w białej koszuli i Artiom w czerwonym podkoszulku.

A z sąsiedniej działki przyglądali im się przez marną sowchozową winorośl Ada Krawczuk, jej mąż Michaił i ich lokatorka z Leningradu, szara myszka Nora.

* Tu się zbiera gości bez liku! Cała rodzina Mendezowej. Gieorgij już jest, on zawsze pierwszy przyjeżdża * wyjaśniła Ada lokatorce ni to z pochwałą, ni to z rozdrażnieniem.

Gieorgij był zaledwie o kilka lat młodszy od Ady, w dzieciństwie razem się bawili i teraz Ada miała mu za złe, że sama zdążyła się zestarzeć, przytyć, a on wciąż jest młody i dopiero zaczyna siwieć.

Nora nie mogła oderwać oczu od miejsca, gdzie spotykał się parów ze wzniesieniem i

ziemia zawijała się w długą fałdę, gdzie stał dom kryty czerwoną dachówką i błyszczał czystymi oknami, witając trzy smukłe postacie * czarną, białą i czerwoną... Była zachwycona doskonałością tego pejzażu i myślała z żalem: „Chciałabym to namalować... Nie, nie dam rady...”

Była malarką, skończyła szkołę plastyczną bez większych sukcesów, ale czasami i jej się coś udawało: akwarelowe delikatne kwiaty, floksy, bez, lekkie bukiety z kwiatów polnych. Również teraz, dopiero co przyjechała na wypoczynek, a już przyglądała się glicyniom i marzyła o tym, jak postawi na różowym obrusie słoik z samymi kwiatami, bez liści, i gdy córka będzie w dzień spała, ona usiądzie na tyłach podwórka, żeby trochę pomalować... Ten łuk w krajobrazie, jego ukryty zakręt wciąż nie dawał jej spokoju, chciała go namalować, ale bała się, że sobie nie poradzi. Trzy postacie tymczasem zbliżyły się do domu i znikły z oczu...

Gieorgij rozpakowywał na małym placyku między gankiem a letnią kuchnią dwie przywiezione przez siebie paczki, a Medea mówiła, co gdzie położyć. Odbywał się coroczny rytuał. Wszyscy przywozili prezenty, a Medea przyjmowała je jakby nie w swoim imieniu, a w imieniu domu.

Cztery poszewki, dwa zagraniczne pojemniki z płynem do mycia naczyń, szare mydło, którego w zeszłym roku nie można było dostać, a w tym się pojawiło, konserwy, kawa * przyjmowała to wszystko z zadowoleniem. Poukładała prezenty w szafkach i kredensie, poprosiła, żeby nie otwierał bez niej drugiej paczki i pobiegła do pracy. Przerwa obiadowa właśnie się kończyła, a ona nie lubiła się spóźniać.

Gieorgij wszedł na samą górę ciotczyńnych włości, gdzie wznosiła się, niczym wieża strażnicza, zbudowana przez nieboszczyka Mendeza drewniana buda wychodka i usiadł bez żadnej potrzeby na wyszorowanej desce. Rozejrzał się. Stało tu wiaderko z popiołem i uszkodzonym czerpakiem, na ścianie wisiała wypłowiała instrukcja na kartonie dotycząca korzystania z toalety, napisana jeszcze przez Mendeza z typową dla niego dobroduszną żartobliwością. Kończyła się słowami: „Wychodząc sprawdź, czy masz czyste sumienie...”

Gieorgij patrzył w zamyśleniu ponad drzwiami zbyt krótkimi i zasłaniającymi tylko dolną część toalety * i widział podwójny łańcuch gór, gwałtownie schodzący w dół w

kierunku ciągnącego się na horyzoncie pasa morza i ruin starej twierdzy, które mógł dostrzec tylko dzięki dobremu wzrokowi i przy dobrej pogodzie. Rozkoszował się widokiem tej ziemi, jej zwietrzalymi szczytami i wygładzonymi pagórkami, ziemi scytyjskiej, greckiej, tatarskiej, i chociaż należała teraz do sowchozu i wysychała bez miłości, umierając powolną śmiercią z winy nieudolnych właścicieli, historia była tu wciąż obecna, wyczuwalna w wypełnionym błogim spokojem powietrzu i każdy kamień czy drzewo przypominał o zamierzchłych czasach... Krewni od dawna zgodnie twierdzili, że najlepszy widok na świecie rozpościera się z wychodka Medei.

Czekający pod drzwiami Artiom przestępował z nogi na nogę, żeby zadać jedyne pytanie, którego dziś nie należało raczej zadawać, ale zobaczywszy wychodzącego ojca, zapytał:

* Tato, a kiedy pójdziemy nad morze?

Do morza było stąd dość daleko, dlatego zwykli letnicy nie zatrzymywali się ani w Dolnej, ani tym bardziej w Górnej Osadzie. Do miejskiej plaży w Sudaku można było dojechać autobusem albo pójść pieszo do oddalonej o dwanaście kilometrów zatoki, wtedy była to wyprawa czasami na kilka dni, połączona ze spaniem w namiocie.

Sudak * miasto założone przez Greków w III w; w IX*XI w. port odgrywający ważną rolę w handlu między Bizancjum i krajami śródziemnomorskimi.

* Ty jak małe dziecko! * rozzłościł się Georgij. * Jakie morze? Zbieraj się, dziś idziemy na cmentarz...

Artiomowi nie chciało się iść na cmentarz, ale nie miał wyboru, więc nadąsany poszedł zakładać

tenisówki. Georgij włożył do płóciennej torby niemiecką saperkę i zastanawiał się, czy nie wziąć też puszki z farbą*srebrzanką, ale postanowił odłożyć czasochłonne malowanie do następnego razu. Zdjął z wieszaka w szopie wypłowiały kapelusz z azjatyckiego kompletu żołnierskiego, który sam kiedyś tu przywiózł, uderzył kapeluszem o kolano, wzbijając kłęby kurzu, i zamknąwszy drzwi, schował klucz pod kamieniem w kształcie trójkąta z jednym rozdwojonym kątem, który pamiętał jeszcze z dzieciństwa i wciąż podziwiał.

Gieorgij, były geolog, poruszał się lekkim i dużym krokiem zawodowca, Artiom ledwo za nim nadążał. Nie oglądając się, Gieorgij słyszał, jak syn zaczął biec, żeby nie zostać w tyle.

„W ogóle nie rośnie, w Zojkę się wdał” * zmartwił się nie po raz pierwszy.

Wolał młodszego, trzyletniego czupurnego Saszę, z jego odwagą i niesamowitym uporem, które zapowiadały, że wyrośnie na prawdziwego mężczyznę, nie to co ten niepewny siebie i gadatliwy jak dziewczynka starszy syn. Artiom ze swojej strony uwielbiał ojca, był dumny z jego męskości i już się domyślał, że nigdy nie będzie tak silny, spokojny i pewny siebie jak on, i jego miłość do ojca miała gorzko*słodki posmak.

Humor mu się poprawił i czuł się teraz tak, jakby udało mu się namówić ojca do pójścia nad morze. Nie w pełni uświadomił sobie, że nie liczyło się wcale morze, a wspólny * dokądkolwiek, niechby nawet na cmentarz * spacer z ojcem po niezakurzonej jeszcze o tej porze roku, gładkiej drodze.

Cmentarz wspinał się wraz z drogą coraz wyżej. Na samej górze znajdowała się zniszczona tatarska część z resztkami meczetu * na wschodnim zboczu chrześcijańska, ale po wysiedleniu Tatarów chrześcijańskie groby zaczęły przechodzić na tatarską stronę, jakby martwi kontynuowali ich niesprawiedliwe wypędzenie.

Tak w ogóle wszyscy przodkowie Sinopli spoczywali na starym teodozyjskim cmentarzu, który był jednak od dawna zamknięty i częściowo zlikwidowany, Medea nie miała więc wyrzutów sumienia, że pochowała męża tu, z dala od swej matki. Ruda Matylda, ze wszech miar dobra chrześcijanka, prawdziwa prawosławna, nie przepadała za muzułmanami, bała się Żydów i uciekała przed katolikami. Nie wiadomo, co myślała o buddystach i taoistach, jeśli kiedykolwiek o nich w ogóle słyszała.

Na grobie męża Medei stał obelisk z gwiazdą na górze i rzucającym się w oczy napisem u podstawy: „Samuel Mendez, żołnierz CZON, członek partii komunistycznej od 1914 roku. 1890*1952”.

CZON * Oddziały specjalnego przeznaczenia, zajmowały się fizycznym

likwidowaniem „wrogów rewolucji”, w tym kułaków na wsi (przyp. tłum.)
Napis był zgodny z życzeniem zmarłego, wyrażonym na długo przed śmiercią, wkrótce po wojnie. Gwiazdę Medea trochę przerobiła, pomalowała srebrzanką również ostrze, na którym była zamocowana, przez co pojawił się szósty, obrocony promień i gwiazda zaczęła przypominać tę bożonarodzeniową ze starych pocztówek, kojarząc się jednocześnie z czymś więcej.

Na lewo od obelisku stała mała stela z owalnym zdjęciem uśmiechniętego Pawlika
Kima

z okrągłą twarzą i mądrymi skośnymi oczami, bratanka Georgija, który utonął w pięćdziesiątym roku na miejskiej plaży w Sudaku na oczach rodziców i dziadka * starszego brata Medei, Fiodora.

Georgij nie miał do czego się przyczepić * Medea okazała się jak zawsze szybsza: ogrodzenie odmalowane, na świeżo skopanej rabatce posadzone dzikie krokusy ze wschodnich wzgórz.

Georgij wzmocnił na wszelki wypadek brzeg rabatki z kwiatami, wytarł saperkę, złożył i wrzucił do torby. Posiedzieli chwilę w milczeniu na niskiej ławeczce, Georgij wypalił papierosa. Artiom nie przerywał milczenia ojca, a ten z wdzięcznością położył mu rękę na ramieniu.

Słońce chyliło się ku zachodniemu grzbietowi gór, celując w mały parów między dwiema zaokrąglonymi górkami Bliźniętami, jak kula do luzy. W kwietniu zachodziło między Bliźniętami, we wrześniu chowało się za horyzont, rozpruwając brzuch czepkiem Kijan*Góry.

Z roku na rok wysychały źródła, niszczały winnice, umierała wyjałowiona ziemia, którą zmierzył wzdłuż i wszerz, będąc jeszcze chłopcem, i wydawało się, że cały krajobraz trzyma się wyłącznie na górach, które Georgij kochał tak, jak można kochać twarz matki albo ciało żony znajome do najdrobniejszych szczegółów.

* Idziemy * rzucił do syna i na skróty zaczął schodzić do drogi, nie patrząc na szczątki kamiennych płyt z arabskimi napisami.

Artiomowi się wydawało, że szara droga na dole rusza się jak ruchome schody w metrze, nawet się zatrzymał ze zdumienia:

* Tato! * Ale za chwilę się roześmiał: stado owiec wylewało się burą masą na całą szerokość drogi i jej pobocza. * Myślałem, że droga się rusza.

Gieorgij uśmiechnął się ze zrozumieniem...

Nie byli, jak się okazało, sami: jakieś pięćdziesiąt metrów dalej siedziały na pagórku dwie dziewczyny, nastolatka i całkiem mała dziewczynka, i również się przyglądały tej powolnej rzece owiec.

* Może obejdziemy stado * zaproponował Artiom.

Gieorgij kiwnął głową. Mijając dziewczyny zobaczyli, że te wcale nie patrzą na owce, tylko przyglądają się czemuś na ziemi. Artiom wyciągnął głowę: między dwiema wyschniętymi gałęziami krzaka kaparu sterczała skóra węża; była w kolorze starczego paznokcia, półprzeźroczysta, miejscami poskręcana, gdzieniegdzie pęknięta. Mniejsza z dziewczynek, bojąc się dotknąć ręką, ostrożnie szturchała ją palczką. Druga zaś, jak się okazało, wcale nie była dziewczyną, tylko Nora, letniczką Krawczuków. Obie miały jasne włosy, lekkie chustki na głowie, długie kwieciste spódnice i jednakowe bluzki z kieszeniami.

Artiom kucnął obok:

* Tato, jadowita?

* Wąż * przyjrzał się Gieorgij. * Dużo ich tu jest.

* Po raz pierwszy coś takiego widzimy * uśmiechnęła się Nora, poznając widzianego wcześniej gościa Medei w białej koszuli.

* Znalazłem tu kiedyś w dzieciństwie jamę węża. * Gieorgij podniósł szeleszczącą skórę i rozprostował ją. * Jeszcze świeża.

* Ależ paskudztwo * wzdrygnęła się Nora.

* Ja się boję * wyszeptała dziewczynka i Gieorgij zwrócił uwagę, że matka i córka są w zabawny sposób podobne, mają jednakowe okrągłe oczy i zaostrome jak u kociaków podbródki.

„Sympatyczne małe” * pomyślał i odłożył straszną skórę na ziemię.

* Gdzie się zatrzymałyście?

* U pani Ady * odpowiedziała kobieta, nie odrywając oczu od skóry węża.

* No to jeszcze się zobaczymy * kiwnął głową. * Zapraszamy do nas... * Machnął

ręką w stronę domu Medei i zbiegł w dół, nie oglądając się za siebie.

Artiom w podskokach mknął za nim.

Stado już przeszło i między licznymi bobkami owczych odchodów biegł teraz truchtem samotny owczarek pasterski, nie zwracając żadnej uwagi na przechodniów.

* Nogi jak u słonia * powiedziała z przytykiem dziewczynka.

* Ależ skąd, ani trochę nie jest podobny do słonia * zaprzeczyła Nora.

* Mówię, że nogi * nie ustępowała dziewczynka.

* Jest podobny raczej do rzymskiego legionisty. Nora odważnie nadepnęła na skórę węża.

* Do kogo?

Nora się roześmiała, pomyślawszy, że ma głupie przyzwyczajenie rozmawiać z pięcioletnią córką jak z dorosłą, i uściśliła:

* Nie, nie do rzymskiego legionisty, przecież oni się golili, a on ma brodę!

* A nogi i tak ma jak u słonia...

Późnym wieczorem tego samego dnia, kiedy Nora z Tanią już spały w wynajętym malutkim domku, a Artiom zwinął się jak kotek w pokoju Mendeza, Medea z Gieorgijem siedzieli w letniej kuchni. Przenosiła się tu zwykle na początku maja, ale tamtego roku wiosna była wczesna, pod koniec kwietnia zrobiło się całkiem ciepło, otworzyła więc i wysprzątała kuchnię jeszcze przed przyjazdem pierwszych gości. Wieczorem jednak zrobiło się chłodnawo i Medea założyła starą futrzaną kamizelkę z aksamitnym wierzchem, a Gieorgij narzucił na siebie tatarski chałat, który od wielu lat służył wszystkim krewnym.

Kuchnia była zbudowana z nieociosanego kamienia, na wzór sakli, opierała się jedną ścianą

o wgłębienie zbocza i miała po bokach niskie, krzywe okienka. Sakla * dom z kamieni, gliny lub drewna w górskich rejonach Kaukazu (przyp. tłum.)

Wisząca lampa naftowa rzuciła słabe światło na stojącą na stole butelkę wina domowej roboty, trzymaną na taką okazję, oraz napoczętą butelkę wódki z jabłek, którą lubiła Medea.

W domu panował dziwny zwyczaj: kolację jedli zwykle między siódmą a ósmą,

razem z dziećmi, które wcześniej kładli spać, a późnym wieczorem znów się zbierali przy stole, co może i nie służyło trawieniu, ale przyjemności owszem. Oto i teraz, skończywszy z domową krzątaniną, siedzieli wreszcie razem w świetle lampy naftowej i cieszyli się ze swego towarzystwa. Mieli dużo wspólnego: oboje energiczni, szybcy, cenili małe przyjemności i nie znosili wtrącania się w ich sprawy. Medea postawiła na stole talerz z kawałkami smażonej flądry. Szczodra natura zabawnie sąsiadowała u niej ze skąpstwem: jej porcje były zawsze odrobinę mniejsze, niż by się chciało, potrafiła spokojnie odmówić dziecku dokładki, mówiąc: „Wystarczy. Jak się nie najadłeś, weź kawałek chleba”.

Dzieci szybko przystosowały się do srogiego porządku przy biesiadnym stole, a ci z krewnych, którym się to nie podobało, po prostu tu nie przyjeżdżali.

Podparłszy ręką głowę, patrzyła jak Gieorgij dokłada do prymitywnego kominka niewielkie polano.

Na górnej drodze rozległ się szum podjeżdżającego samochodu, który zatrzymał się i zatrafił dwa razy. Poczta nocna. Przyszedł telegram. Gieorgij poszedł odebrać.

Listonoszka była znajoma, kierowca jakiś nowy. Przywitali się.

* Widzę, że zjeżdżają się wasi? * podała mu telegram.

* Już pora. Jak się Kostia miewa?

* A co mu się może stać. Albo pije, albo ma kaca. Życie nie umierać.

Przeczytał w świetle samochodowych świateł: „Przyjeżdżamy trzydziestego Nika Masza dzieci”.

Położył telegram przed Medeą. Przeczytała i skinęła głową.

* No co, cioteczko, napijemy się? * Otworzył napoczętą butelkę i nalał wódki do kieliszków.

„Szkoda, że już przyjeżdżają * pomyślał. * Dobrze by było pomieszkać tu razem z Medeą”.

* Jutro z rana przewód pociągnę * powiedział.

* Co takiego? * nie zrozumiała Medea.

* Prąd do kuchni doprowadzę * wyjaśnił.

* A tak, dawno miałeś to zrobić * przypomniała sobie.

* Matka prosiła, żebym porozmawiał z tobą * zaczął Gieorgij, ale Medea zmieniła od dawna znany jej temat:

* Za spotkanie, Gieorgiu * podniosła kieliszek.

* Tylko tutaj czuję się jak u siebie w domu * jakby się skarżył.

* I dlatego co roku zamęczasz mnie tą głupią gadką * mruknęła Medea.

* Matka prosiła...

* Dostałam list. Nic ważnego. Zima już się skończyła, lato przed nami. Taszkent mi nie pasuje ani zimą, ani latem. I Jeleny do siebie też nie zapraszam. W naszym wieku miejsc się nie zmienia.

* Byłem tam w lutym. Matka bardzo się zestarzała. Przez telefon w ogóle już nie da się z nią rozmawiać. Nic nie słyszy. Dużo czyta. Gazety również. Ogląda telewizję. Twój pradziadek też dużo gazet czytał. Ale wtedy nie było ich aż tak dużo.

Długo milczeli.

Gieorgij dorzucił do ognia trochę chrustu, rozległ się trzask, w kuchni zrobiło się jaśniej.

Dobrze byłoby zamieszkać na Krymie, jakby potrafił machnąć ręką na dziesięć straconych lat, niedokonane odkrycie, nieskończony doktorat, który wciągał go jak bagno, jak tylko do niego się zbliżał. Wystarczyło jednak wyjechać z miasteczka akademickiego, by przestawał go zajmować i zamieniał się w kupę nic niewartego papieru... Wybudowałby tu sobie dom... Zna wszystkich teodozyjskich urzędników, dzieci przyjaciół Medei...

Można w Atuzach albo w kierunku do Nowego Świata, stoi tam jakaś opuszczona dacza * trzeba zapytać, do kogo należy...

Medea myślała o tym samym. Chciała, żeby właśnie Gieorgij tu wrócił, żeby Sinopli znów zamieszkali w tej okolicy...

Popijali niespiesznie wódkę, Medea zapadała od czasu do czasu w lekką drzemkę, a Gieorgij się zastanawiał, jakby tu wykopać studnię artezyjską, dobrze by było wykombinować jakieś urządzenie wiertnicze...

Rozdział drugi

Jelena Stiepanian, matka Gieorgija, pochodziła z wykształconej ormiańskiej rodziny i nawet nie przyszłoby jej do głowy, że zostanie w przyszłości żoną prostego Greka z teodozyjskiego przedmieścia, starszego brata jej najlepszej przyjaciółki z gimnazjum. Medea Sinopli była prawdziwą gwiazdą żeńskiego gimnazjum; jej zeszyty były pokazywane za wzór następnym pokoleniom gimnazjalistek. Dziewczynki zaprzyjaźniły się mimo ukrywanej i namiętnej rywalizacji. Tamtego roku * był rok tysiąc dziewięćset dwunasty * rodzina Stiepanianów nie wróciła jak zwykle na zimę do Petersburga przez chore płuca młodszej siostry Jeleny, Anait. Została na dacy w Sudaku, a Jelena z boną mieszkała przez cały rok w Teodozji, w hotelu, chodziła do żeńskiego gimnazjum i konkurowała z Medeą, najlepszą uczennicą w klasie.

Wyglądało jednak na to, że grubiućkiej, dobrodusznej Lenoczce wcale nie zależało na współzawodnictwie. Musiała być albo anielsko wielkoduszna, albo diabelsko dumna. Nie musiała martwić się o wyniki: siostry Stiepanian otrzymywały dobre wykształcenie w domu, francuskiego i niemieckiego uczyła je guwernantka, wczesne dzieciństwo spędziły w Szwajcarii, gdzie ich ojciec był na służbie dyplomatycznej. Obie dziewczynki * Medea i Jelena * skończyły trzecią klasę na same piątki, ale piątki te miały różną wartość * były łatwe u Heleny i zdobyte ciężką, mozolną pracą u Medei. Mimo to dziewczynki otrzymały na zakończenie roku jednakowe nagrody, tomiki Niekrasowa w ciemnozielonej okładce ze złotym tłoczeniem z kaligraficzną dedykacją na stronie tytułowej.

Następnego dnia po zakończeniu roku szkolnego, gdzieś koło piątej, w domu Sinopli niespodziewanie stawiała się cała rodzina Stiepanianów. Wszystkie kobiety pod kierunkiem Matyldy, w białej chustce na wyblakłych włosach, wałkowały na wielkim stole w cieniu starych drzew morwowych ciasto na pachławę.

Pachława * warstwowe ciasto przekładane orzechami włoskimi z miodem (przyp. tłum.)

Skończyły już najłatwiejszą część pracy i rozciągały teraz brzegi ciasta. Medea brała w tym udział na równi z innymi siostrami.

Pani Stiepanian zamachała rękami * w czasach jej dzieciństwa w Tyflisie pachławę

robiono w ten sam sposób.

Tyflis * dawna nazwa miasta Tbilisi (przyp. tłum.)

* Moja babcia była w tym najlepsza! * zawołała i poprosiła o fartuch dla siebie.

Pan Stiepanian gładził ręką posiwiące wąsy i z życzliwym uśmiechem obserwował radosną pracę kobiet, podziwiając szybkie ruchy posmarowanych masłem kobiecych rąk, które w pstrokatym cieniu lekko i delikatnie dotykały płata ciasta.

Matylda zaprosiła później wszystkich na taras na kawę z owocami w cukrze i Armik Tigranowna znów się wzruszyła, wspominając o kandyzowanych owocach, jakie jadła w dzieciństwie. Wspólne zamiłowanie do kuchni tureckiej nastawiały damę z towarzystwa coraz bardziej przychylnie do pracowitej, kochającej się rodziny, i pomysł zaproszenia na lato nieznajomej dziewczynki z rodziny portowego mechanika, który na początku wydawał się jej niezbyt dobry, uznała teraz za wyjątkowo udany.

Matylda była zaskoczona propozycją, ale obiecała jeszcze tego samego dnia porozmawiać o tym z mężem, co świadczyło o wzajemnym szanowaniu się w tak prostej przecież rodzinie, czym jeszcze bardziej zjednała sobie Armik Tigranownę. Cztery dni później Medea wyjechała razem z Jeleną na piękną daczę nad brzegiem morza w Sudaku, która stoi zresztą do dziś przerobiona na sanatorium, niedaleko Górnej Osady, do której wiele lat później będą przyjeżdżać wspólni potomkowie Armik Tigranowny i rudej Matyldy, tak sprytnie wałkującej kiedyś ciasto na pachławę...

Dziewczynki były zachwycone: Medea doceniała szlachetną prostotę i szczerą dobroć Jeleny, a Jelena podziwiała odwagę, samodzielność i kobiecą zręczność Medei, częściowo odziedziczoną, a częściowo podpatrzoną u matki.

Leżąc nocą na niemieckich higienicznie twardych składanych łóżkach, prowadziły długie szczere rozmowy, które bardzo je do siebie zbliżyły, chociaż nie mogły sobie później przypomnieć, o czym tak właściwie rozmawiały do samego świtu.

Medea dobrze pamiętała opowiadanie Jeleny o tym, jak pewnej nocy, kiedy była chora, zobaczyła w pokoju anioła na tle ściany, która nagle zrobiła się przezroczystą i widać było młody, bardzo jasny las. Jelena z kolei zachowała w pamięci opowiadania

Medei o licznych przedmiotach, które ta ciągle znajdowała. Zademonstrowała zresztą owego lata tę swą niezwykłą zdolność, zebrawszy całą kolekcję krymskich półszlachetnych kamieni.

Obie zapamiętały również epizod, kiedy pokładały się pewnej nocy ze śmiechu, wyobraziwszy sobie, jak nauczyciel śpiewu, kulawy manieryczny młodzieniec żeni się z dyrektorką gimnazjum, wielką srogą damą, na widok której drżały nawet kwiaty na parapetach.

Jesienią rodzice zabrali Jelenę do Petersburga i od tej pory przyjaciółki pisały do siebie z przerwami od ponad sześćdziesięciu lat. Na początku wyłącznie w języku francuskim, którym Jelena władała w piśmie lepiej od rosyjskiego. Medea musiała bardzo się postarać, żeby osiągnąć taką samą swobodę w posługiwaniu się językiem, który jej koleżanka opanowała śpiewająco, spacerując wokół jeziora Genewskiego. Dziewczyny, podążając za modą tamtych czasów, zwierzały się sobie ze złych myśli i zamiarów

(„...miałam straszną chęć przyłożyć jej po głowie!... znałam tę historię z kałamarzem, ale nic nie powiedziałam, i myślę, że bardzo źle postąpiłam... bo mama do tej pory jest przekonana, że pieniądze wziął Fiodor, a mnie tak się chciało powiedzieć, że to sprawka Gali...”)* I wszystko to wyłącznie po francusku!

Owe wzruszające wynurzenia przerwał raz na zawsze list od Medei z dziesiątego października tysiąc dziewięćset szesnastego roku. List był napisany po rosyjsku, krótko i oschle. Medea zawiadomiła, że siódmego października tysiąc dziewięćset szesnastego roku w pobliżu zalewu sewastopolskiego eksplodował statek „Cesarzowa Maria”, a wśród ofiar znajdował się pokładowy mechanik Gieorgij Sinopli.

Zakładano, iż była to dywersja. Ponieważ toczyła się wojna, która stopniowo przekształciła się w rewolucję i chaotyczną wojnę na Krymie, statek został wyciągnięty dopiero trzy lata później, już w czasach radzieckich. Ekspertyza ustaliła, że wybuch rzeczywiście był spowodowany bombą umieszczoną w silniku statku. Jednym z nurków, pracujących przy wydobywaniu z wody statku, był syn Gieorgija, Nikołaj.

Tamtego października Matylda była w ostatnim miesiącu ciąży z czternastym

dzieckiem, które miało się urodzić nie w sierpniu, jak cała reszta, ale w połowie października. Dziewięć dni po śmierci Gieorgija obie * Matylda i różowogłowa dziewczynka * podążyły w ślad za nim.

Medea pierwsza dowiedziała się o śmierci matki. Przyszła rano do szpitala, kiedy zatrzymała ją na schodach sanitariuszka Fatima, mówiąc po krymsko*tatarsku, który znała wtedy większość mieszkańców Krymu:

* Nie chodź tam teraz, dziecko, idź do doktora, czeka na ciebie...

Wyszedł do niej doktor Leśniczewski, miał mokrą twarz. Był malutkim grubym staruszką i Medea przewyższała go o głowę.

* Skarbie ty mój! * powiedział i wyciągnął do niej rękę, żeby pogłaskać ją po głowie...

Zaczynali z Matyldą w tym samym roku, ona * rodzić, on * kierować oddziałem położniczym, był przy wszystkich jej porodach.

Zostało ich trzynaścioro. Trzynaścioro dzieci, które straciły właśnie ojca i nie mogli w to uwierzyć. Symboliczny pogrzeb marynarzy, z salwami i orkiestrą, wydawał się młodszym jakąś wojskową zabawą, defiladą. W roku tysiąc dziewięćset szesnastym śmierć nie była jeszcze na porządku dziennym jak dwa lata później, kiedy zmarłych wrzucano do dołów bez ubrania i trumien. Chociaż wojna trwała już dość długo, była zbyt daleko i tu, na Krymie, śmierć wydawała się jeszcze czymś wyjątkowym.

Matyldę ubrano, przykryto włosy czarną koronką, a obok niej położono nieochrzczonej dziewczynkę... Starsi synowie zanieśli trumnę najpierw do greckiej cerkwi, a stamtąd na stary cmentarz obok Charłamija.

Pogrzeb matki zapamiętał nawet najmłodszy, dwuletni Dimitrij. Cztery lata później opowiedział Medei o dwóch dziwnych wydarzeniach tamtego dnia. Pogrzeb wypadł w niedzielę, przed nim miał odbyć się w cerkwi ślub. Na wąskiej drodze do cerkwi spotkały się dwie procesje * pogrzebowa i weselna. Powstało chwilowe zamieszanie, trzeba było zejść z trumną na pobocze, żeby przepuścić samochód, w którym na tylnym siedzeniu siedziała, jak mucha w śmietanie, ciemnowłosa wystraszona narzeczona w ślubnej bieli obok łysego narzeczonego. Był to chyba pierwszy samochód w mieście, należał do bogatego Muruziego i był zielonego koloru. O tym

właśnie samochodzie opowiedział Medei Dimitrij. „Rzeczywiście był zielony...” * przypomniała sobie Medea. Drugi epizod był dziwny. Chłopiec zapytał jej, co to za ptaki siedziały obok głowy mamy.

* Mewy? * zdziwiła się Medea.

* Nie, jeden większy, drugi mniejszy. Dzioby miały inne, nie jak mewy * wyjaśnił Dimitrij.

Nic więcej nie pamiętał. Medea miała wtedy szesnaście lat. Pięcioro z rodzeństwa było starszych od niej, siedmioro * młodszych. Tego dnia brakowało dwóch, Filipa i Nikifora, obaj byli na wojnie. Obaj później zginęli, jeden z rąk czerwonych, drugi * białych, i przez całe życie w dzień zaduszny Medea modliła się o spokój ich duszy, zawsze wymieniając ich imiona razem...

Młodsza siostra Matyldy, wdowa Zofia, która przyjechała z Batuma na pogrzeb, postanowiła wziąć do siebie dwóch starszych chłopców. Miała po mężu duże gospodarstwo i razem z trzema córkami nie mogła z nim sobie poradzić.

Czternastoletni Afanasij i dwunastoletni Platon zapowiadali się na krzepkich mężczyzn, których tak brakowało w jej domu.

Nie było im jednak pisane prowadzenie gospodarstwa ciotki. Dwa lata później przezorna Zofia sprzedała resztki majątku i zabrała wszystkie dzieci najpierw do Bułgarii, a stamtąd do Jugosławii. W Jugosławii całkiem młodziutki jeszcze Afanasij został mnichem w prawosławnym monasterze, skąd przeniósł się do Grecji, gdzie ślad po nim zaginął. Ostatnia wiadomość o nim pochodziła z monasteru położonego na szczycie niedostępnej Meteory. Zofia z córkami i Platonem osiedliła się wreszcie w Marsylii i uwieńczeniem jej życia stała się grecka restauracyjka, powstała w miejsce sklepiku ze wschodnimi słodyczami, gdzie przeważała pachława, do której ciasto tak zrecznie rozciągały jej szybkie do pracy brzydkie córki. Cały dom znajdował oparcie w Platonie, jedynym mężczyźnie. To on wydał siostry za mąż, pochował przed drugą wojną światową ciotkę, a po wojnie, będąc już niemłodym człowiekiem, ożenił się z Francuzką i spłodził dwóch Francuzów o wesołym nazwisku Sinopli.

Dziesięcioletniego Mirona wziął do siebie krewny ze strony Sinopli, sympatyczny

Aleksander Grigorjewicz, właściciel kawiarni „Bębny” w Koktebelu. Przyjechał na pogrzeb Matyldy, nie mając zamiaru brać żadnego z dzieci do siebie.

Ale złamał się * wziął. Kilka lat później chłopiec nagle zmarł na jakąś dziwną chorobę.

Miesiąc później Aniela, starsza siostra Medei, której, jak wszyscy uważali, najbardziej się w życiu poszczęściło, zabrała sześćioletnią Nastię do Tbilisi, gdzie mieszkała z mężem, znanym wówczas muzykiem. Chciała wziąć również młodszych chłopców, ale ci podnieśli taki wrzask, że postanowiono zostawić ich na razie z Medeą. Została z nią również ośmioletnia Aleksandra, która była do niej bardzo przywiązana, a ostatnio nie odstępowała jej ani na krok.

Aniela nie wiedziała, co robić: jak zostawić trójkę małych dzieci pod opieką szesnastoletniej dziewczyny? Ale głos zabrała daleka krewna Charłamija, stara Pelagia, jednooka niańka, która całe życie spędziła w ich domu:

* Póki żyję, niech młodsze zostaną w domu.

I na tym stanęło.

Za jakiś czas Medea otrzymała aż trzy listy z Petersburga * od Jeleny, Armik Tigranowny i Aleksandra Abramowicza. Jego list był najkrótszy: „Cała nasza rodzina głęboko wam współczuje

i prosi o przyjęcie niewielkiej zapomogi w tej ciężkiej dla was chwili”.

„Niewielka” zapomoga okazała się dość znaczną, jak na te czasy, sumą pieniężną, połowę Medea wydała na krzyż z czarnego marmuru z wykutymi na nim nazwiskami matki i ojca, którego ciało pochłonęły czyste wody Pontus Euxinus i w których spoczywał niejeden żeglarz Sinopli...

Pontus Euxinus * starożytna grecka nazwa Morza Czarnego (przyp. tłum.)

W październiku dwudziestego szóstego roku, drzemiąca na ławce w cieniu dzikiego drzewa oliwkowego na grobie Charłamija, Medea ujrzała wszystkich troje swoich bliskich: Matyldę w aureoli rudych włosów, nie zebranych z tyłu jak za życia, lecz odświętnie stojących dęba, z golutką różowogłową dziewczynką na rękach, nie niemowlakiem, tylko nie wiadomo czemu trzyletnią, i ojca, siwowłosego, z całkiem białą brodą, wyglądającego o wiele starzej, niż go pamiętała, nie mówiąc już o tym,

że nigdy w życiu nie nosił brody.

Czuła ich życzliwość, chociaż nic jej nie powiedzieli, a kiedy znikli, zrozumiała, że to nie był wcale sen. W każdym razie nie poczuła, kiedy się zamienił w jawę, a w powietrzu unosił się, jakby dolatując z czasów biblijnych, cudowny, intensywny zapach żywicy. Wdychając go zrozumiała, że ten rozplywający się w powietrzu niecodzienny obraz miał wyrażać wdzięczność za wychowanie młodszych i uwolnienie jej od obowiązków, które dobrowolnie na siebie wzięła.

Musiała upłynąć trochę czasu, zanim opisała to niezwykle zdarzenie w liście do Jeleny.

Minęło już kilka tygodni, Lenoczko, a ja wciąż nie mogę zabrać się za list, żeby opowiedzieć ci o pewnym niezwykle mistycznym zdarzeniu...

Musiała przejść na język francuski: żadne rosyjskie słowa nie wydawały jej się odpowiednie, ani „zjawia”, ani „cud”, ani „przywidzenie”, i łatwiej było posłużyć się obcym językiem, w którym nie było takiego dużego wyboru odcieni znaczeniowych. Gdy pisała ten list, cały czas czuła ten żywiczny zapach z cementarza.

Qu'en penses*tu? * skończyła swym kaligraficznym charakterem pisma, który w wariacie francuskim wyglądał bardziej zdecydowanie i ostro.

Listy długo trzęsły się w brezentowych workach w wagonach pocztowych, korespondencja nie nadążała za życiem o jakieś dwa*trzy miesiące. Odpowiedź nadeszła więc po trzech miesiącach. Był to jeden z najdłuższych listów napisanych przez Jelenę takim samym gimnazjalnym charakterem pisma, jaki miała Medea. Dziękowała za list i pisała, jak dużo łez przelała, wspominając ten koszmarne okres, kiedy zdawało jej się, że wszystko jest już stracone. Przyznawała się dalej, że i ona doświadczyła podobnego mistycznego przeżycia w przeddzień pośpiesznej ewakuacji rodziny w nocy na siedemnastego listopada osiemnastego roku.

Trzy dni przed tym mama dostała udaru. Wyglądała okropnie, o wiele gorzej, niż wtedy, jak ją zobaczyłaś trzy tygodnie później, kiedy dotarliśmy do Teodozji. Twarz miała granatową, jedno oko uciekło jej w głąb, obawialiśmy się, że w każdej chwili może umrzeć. Miasto było ostrzeliwane, w porcie oficerowie ze sztabu i cywile w szaleńczym pośpiechu wsiadali na statki. Tatuś, jak wiesz, był członkiem krymskiego

rzędu, więc absolutnie nie mógł tu zostać. Arsik jak zawsze miał anginę, a Anait, zwykle taka żywa, nie przestawała płakać. Ojciec większość czasu spędzał w mieście, do domu wpadał tylko na chioilę, kładł rękę na głowę mamy i znów odjeżdżał. Opowiadałam ci już o tym wszystkim, ale nie wiesz najważniejszego. Położyłam tamtego wieczoru Arsika i Anait spać i zdrzemnęłam się obok mamy. Wszystkie pokoje były przejściowe, w amfiladzie, mówię o tym, bo to jest ważne. Nagle słyszę przez sen, że ktoś wchodzi. „Ojciec” * pomyślałam, ale nie od razu się zorientowałam, że ten ktoś wchodzi przez drzwi z prawej strony, natomiast wejściowe były z lewej. Chciałam wstać, żeby zrobić ojcu herbaty, ale nie mogłam nawet ręką ruszyć. Ojciec, jak pamiętasz, był niedużego wzrostu, natomiast stojący w drzwiach * wielki i, jak mi się zdawało, w chałacie. Widać było niewyraźnie: starzec miał białą twarz, która jakby się świeciła. Bałam się, ale jednocześnie nie mogłam oderwać od niego oczu. Zrozumiałam, że to jakiś bliski krewny i usłyszałam obok siebie: Szinararian. Mama opowiadała mi o pewnej niezwykłej linii w jej rodzinie, których przodkowie budowali ormiańskie sobory. Jakby podpłynął do mnie i powiedział wyraźnie i śpiewnie: „Niech wszyscy jada, ale ty, dziecko, zostań. Pojedziesz do Teodozji. Niczego się nie bój”.

I dopiero wtedy zobaczyłam, że ma tylko górną część ciała, a na dole mgła, jakby nie zdążył do końca się ukształtować.

I tak się stało. Rozstaliśmy się nad ranem, oblewając się łzami. Ojciec z rodzeństwem odpłynął

ostatnim statkiem, a ja zostałam z mamą. Następnego dnia do miasta weszli czerwoni. W tym potwornym okresie, kiedy w całym mieście rozstrzeliwano i wieszano, nikt nas nie ruszył. Jusim, woźnica zmarłej księżnej, w której domu przez cały ten czas mieszkaliśmy, wywiózł nas z mamą najpierw na przedmieścia, do swej rodziny, a po tygodniu wsadził do faetonu i zawiózł do Teodozji. Dotarcie tam zajęło nam dwa tygodnie, już ci zresztą o tym opowiadałam. Jechaliśmy do ciebie jak do własnego domu i serce mi zamarło, kiedy zobaczyliśmy, że brama jest zabita deskami. Nie od razu się domyśliłam, że korzystacie z tylnego wejścia.

Nigdy, nawet we śnie, nie widziałam rodziców, może dlatego, że śpię zbyt mocno.

Miałaś, Medeo, szczęście, że dane ci było zobaczyć swoich. Nie zamartwiaj się pytaniami, po co i dlaczego... Nigdy się tego nie dowiemy. Pamiętasz, jak czytałaś mi swój ulubiony fragment z Apostoła, o mętnym szkłe. Wszystko z czasem się wyjaśni, kiedy znajdziemy się poza czasem. W dzieciństwie, w Tbilisi, Pan mieszkał razem z nami w jednym domu, przechadzali się aniołowie po pokojach, a tu, w Azji, wszystko jest inaczej. Wydaje się, że On jest gdzieś bardzo daleko, w każdym razie, w tutejszej cerkwi Go nie ma... Ale grzech narzekać, u nas wszystko w porządku. Natasza chorowała, ale już wyzdrowiała, tylko pokasłuje trochę. Fiodor wyjechał na tydzień w teren. Mam dla ciebie nowinę: będę miała kolejne dziecko. Już wkrótce. O niczym tak nie marzę, jak o twoim przyjeździe. Może wybierzesz się do nas z chłopcami na wiosnę?...

Rozdział trzeci

Medea wstawiała przeważnie bardzo wcześnie, ale tego dnia pierwszy zerwał się z łóżka Artiom. Słońce chowało się jeszcze za poranną połyskującą mgiełką, ranek był blady i chłodny. Chwilę później pojawił się Gieorgij obudzony pobrzękiwaniem. Medea była tym razem ostatnia.

Nie należała do zbyt rozmownych, zwłaszcza rankiem. Wszyscy o tym dobrze wiedzieli i jeśli chcieli się czegoś od niej dowiedzieć, pytali zwykle wieczorem. Skinąwszy tylko głową na powitanie, skierowała się w stronę wychodka, a stamtąd do kuchni * zapalić piecyk naftowy. Wiadro na wodę było puste, wyniosła je na zewnątrz i postawiła u stóp Gieorgija. Nie chodziło się tu do studni po zachodzie słońca * taki był zwyczaj. Przestrzegano go z szacunku dla Medei, jak również wiele innych dziwnych zwyczajów tego domu. Najbardziej zresztą przekonuje to, czego nie potrafimy pojąć.

Gieorgij zszedł do studni. Był to głęboki, wyłożony kamieniami dół, zbudowany przez Tatarów pod koniec XIX wieku * przechowywano w nim przywożoną tu w beczkach cenną wodę. Była teraz na samym dnie i Gieorgij po wyciągnięciu wiadra długo jej się przyglądał. Była mętna i wyglądała na twardą. Urodził się w Azji

Środkowej, więc brak wody na Krymie wcale go nie dziwił.

„Trzeba będzie wykopać tu studnię artezyjską” * pomyślał już po raz drugi od swego przyjazdu, wchodząc na górę po niewygodnych stopniach w ziemi dopasowanych widocznie do kroku kobiety niosącej dzban na głowie.

Medea nastawiła czajnik i zamiatając brzegiem wypłowiałej czarnej spódnicy glinianą podłogę w kuchni, wyszła. Gieorgij usiadł na ławce, patrząc na równe rzędy ziół, zwisających pękami z sufitowej belki. Na wysokich półkach stały tatarskie naczynia z miedzi, w kątach piętrzyły się ogromne kotły. Na samej górze tej piramidy dumnie prezentował się kungan.

Kungan (albo kumgan) * metalowy azjatycki dzbanek z rączką i dzióbkiem do mycia rąk (przyp. tłum.)

Tutejsze naczynia nie były wykonane tak kunsztownie jak uzbeckie, sprzedawane na bazarze w Taszkencie, które znał z dzieciństwa, ale ceniąc prostotę i ascetyzm, wolał te skromne od tamtych starannie wykończonych, z typowo azjatyckimi, krzykliwymi zdobieniami.

* Tato, a morze? * zajrzał do kuchni Artiom.

* Wątpię * rzucił ze skrywanym rozdrażnieniem do syna, który świetnie się orientował w intonacjach ojca.

Zrozumiał więc, że nad morze dziś nie pójdą.

Mógł zgodnie ze swoją naturą trochę pomarudzić, pokapryścić, ale ponieważ był dzieckiem wrażliwym i nie chciał burzyć spokoju porannej ciszy, nic nie powiedział. Póki grzała się woda, Medea sprzątnęła pościel, chowając poduszki i kołdry do kufra przy wezglowiu łóżka i mamrocząc krótką poranną modlitwę, składającą się z doszczętnie wytartych słów, które mimo to pomagały jej przyjmować każdy nowy dzień z całym jego trudem, zmartwieniami, cudzym pustym gadaniem i wieczornym zmęczeniem, przeżyć go pogodnie, bez rozdrażnienia i urazy. Od dzieciństwa wiedziała, że jest obraźliwa, i walcząc z tym przez całe życie, nie zauważyła, że dawno już na nikogo się nie obrażała. Nie potrafiła zapomnieć tylko o jednej urazie, która głęboko tkwiła w jej sercu od wielu lat... „Czyżbym miała zabrać ją ze sobą do grobu?” * pomyślała przelotnie.

Dokończywszy modlitwę, starannie, wypracowanym w ciągu wielu lat ruchem, uplotła warkocz, zwinęła go w kok, owinęła głowę czarnym jedwabnym szalem, wyciągnęła dłuższy koniec spod koka na szyję i ujrzała w owalnym lustrze w ramie z muszelek swoją twarz. Każdego ranka zawiązywała szal przed lustrem, ale widziała zwykle fałdę materiału, policzek, kołnierzyk sukienki. Natomiast dziś * wiązało się to w jakiś sposób z przyjazdem Georgija * zobaczyła nagle swoją twarz i zdziwiła się na jej widok. Z upływem lat robiła się coraz dłuższa * chyba przez opadające, z dwiema głębokimi bruzdami, policzki. Nos miała jak wszyscy w rodzinie i niezmiennie taki sam: dosyć długi, prosty, z obcięcią końcówką i okrągłymi nozdrzami.

Jej twarz przypominała piękny pysk konia, zwłaszcza w tym okresie, kiedy wkrótce po wyjściu za mąż nagle obcięła sobie grzywkę i przez jakiś czas robiła fryzurę zamiast ciągłego ciężkiego koka, od którego bolała ją szyja.

Oglądała ją teraz z lekkim zdumieniem * nie przelotnie, lecz uważnie i krytycznie * i doszła niespodziewanie do wniosku, że podoba się sobie. Będąc nastolatką, okropnie martwiła się swą powierzchownością: była zbyt wysoka, miała rude włosy i za duże usta, wstydziła się swych wielkich dłoni i wielkich jak u mężczyzny stóp...

„Piękna ze mnie wyszła staruszka” * uśmiechnęła się do siebie i pokiwała z aprobatą głową. Z lewej strony lustra, wśród mnóstwa zdjęć, patrzyła na nią z czarnej ramki młoda para * kobieta z długą grzywką i mężczyzna o szlachetnie*lewantyńskim wyglądzie z puszystymi włosami i przesadnie wielkimi jak na tak szczupłą twarz wąsami.

Medea znów pokiwała głową: i po co było tak się zamartwiać w młodości z tego powodu? Otrzymała porządną twarz, tak samo jak wzrost, siłę i piękne ciało * Samuel, jej kochany mąż Samuel, ją o tym przekonał... Popatrzyła na jego duży portret z żalobną wstążką, powiększenie z jego ostatniego zdjęcia. Miał na nim jeszcze puszyste włosy, ale dwa duże zakola nad skrońmi powiększyły jego niewysokie czoło, wąsy były już skromniejsze i jakby zwędłe, oczy spoglądały łagodnie i cała twarz miała wyraz równie łagodny.

„Wszystko dobrze. Wszystko minęło” * odpędziła Medea cień starego bólu i wyszła z

pokoju, zamykając za sobą drzwi. Jej pokój był dla gości świętym i bez specjalnego zaproszenia nikt do niego nigdy nie wchodził...

Gieorgij tymczasem zaparzył kawę. Robił to tak samo jak Medea i jego matka Jelena * po turecku. Malutki miedziany czajniczek stał pośrodku stołu na spatynowanej tacy. Medea, mimo że była gospodynią dobrą aż do przesady, nie lubiła czyścić miedzi. Może dlatego, że bardziej jej się podobała pokryta patyną. Nalała sobie kawy do głębokiej ceramicznej filiżanki, z której korzystała od piętnastu lat. Filiżanka była ciężka i gruba. Dostała ją od swojej siostrzenicy Niki, była to jedna z jej pierwszych prac, owoc krótkiej fascynacji garncarstwem. W kolorach intensywnego granatu i czerwieni, w zaciekach glazury, chropowata i zbyt ozdobna, żeby używać na co dzień, przypadła jednak ciotce do gustu i Nika za każdym razem odczuwała dumę z tego powodu.

Łyknąwszy kawy, Medea pomyślała o Nice i o tym, że będzie tu dziś z dziećmi i Maszą. Masza była wczesną wnuczką, a Nika * późną córką siostry Aleksandry, więc różnica wieku była między nimi niewielka.

* Chyba przylecą porannym samolotem, będą tu na obiad * powiedziała Medea jakby do siebie.

Gieorgij nie odpowiedział, zastanawiając się, czy nie wybrać się na bazar po wino i jakąś wiosenną zieleninę albo nieszpułkę.

„Nie, za wcześnie na nieszpułkę” * doszedł do wniosku i spytał ciotkę, czy przyjdzie na obiad.

Kiwnęła, popijając w milczeniu kawę.

Po jej wyjściu Artiom próbował powrócić do kwestii morza, ale ojciec kazał mu się zbierać na bazar.

* No tak, najpierw na cmentarz, teraz na bazar * zaczął marudzić Artiom.

* Nie chcesz, to zostań * powiedział ojciec, ale Artiom doszedł już do wniosku, że bazar też może być w ostateczności.

Pół godziny później stali z plecakami na drodze. Artiom miał na głowie płócienny kapelusz, Gieorgij * żołnierską czapkę, w której był podobny

do szukającego przygód wojownika. Prawie w tym samym miejscu co wczoraj znów

natknęli się na matkę z córką, które były ubrane jak zawsze jednakowo, ale tym razem siedząca na małym składanym taboreciku kobieta malowała coś na płótnie, ustawionym na malutkich, jak dla dzieci, sztalugach.

Georgij się zatrzymał i krzyknął, czy nie potrzebują czegoś z bazaru, ale kobieta nie dosłyszała, bo lekki wiaterek uniósł jego słowa, i pokazała mu ręką, że nie słyszy.

* Biegnij i zapytaj, czy czegoś nie potrzebują * poprosił syna i ten pobiegł w górę zbocza, z którego posypały się drobne kamyczki.

Georgij uniósł głowę i z przyjemnością patrzył na wzgórze. Trawa była całkiem młoda, świeża, na wierzchołku łagodnego pagórka unosiła się mgiełka różowoliliowego tamaryszku, na którym prawie nie było liści.

Kobieta zaczęła coś tłumaczyć Artiomowi, ale machnęła w końcu ręką i zbiegła w dół.

* Może pan kupić dla nas dwa kilo ziemniaków? Nie mam z kim zostawić córki, a ona tam nie dojdzie. I pęczek koperku. Z tym, że nie mam przy sobie pieniędzy. * Mówiła szybko, trochę sepleniąc i coraz bardziej się czerwieniąc.

Wracała na górę do córki, która stała obok sztalug, a jej serce tak łomotało, że czuła jego bicie w gardle: „Co się stało? Co mi jest? Nic się nie stało. Dwa kilo ziemniaków i pęczek koperku...”

Weszła na wzgórze i zobaczyła, że w ciągu kilku minut jej nieobecności wszystko się zmieniło: słońce przebiło się wreszcie przez błyszczącą mgiełkę i zarośla tamaryszku, które próbowała namalować, nie unosiły się już różowym obłokiem, lecz szczelnie przylegały do grzbietu wzgórza, jak mus żurawinowy. Pejzaż nie był już łagodnie niewyraźny, a miejsce, w którym stała, wydało się nagle tym jedynym nieruchomym punktem, wokół którego poruszają się światy, gwiazdy, obłoki i stada owiec.

Uczucie to nie uspokoiło jednak galopu jej serca, które dalej mknęło jak szalone nie wiadomo dokąd, w tym czasie kiedy wzrok wciąż pochłaniał, niezależnie od niej, krajobraz, nie chcąc niczego pominąć, czegokolwiek przeoczyć. Chciałaby teraz, jak to robiła z wypatrzonym kwiatkiem w dzieciństwie, kiedy fascynowała się botaniką, zerwać i zasuszyć tę ulotną chwilę ze wszystkimi jej szczegółami: córką obok sztalug, ustawionych krzywo w samym centrum wszechświata, kwitnący tamaryszek,

drogę, po której zdecydowanie kroczyło do przodu dwóch wędrowców, pasek morza gdzieś daleko, pofałdowaną dolinę z bruzdą po dawno wyschniętej rzece. I to, co miała za plecami, i to, czego nie mogła ogarnąć wzrokiem * za garbatymi, omszałymi ze starości wzgórzami unosiły się góry stołowe, schludne, z odciętymi wierzchołkami, które ciągnęły się jedna po drugiej jak posłuszne zwierzęta...

Od Symferopola do domu Medei było pięć godzin jazdy autobusem, który poza sezonem jeździł raz dziennie, i mimo drożyzny * za dwie godziny jazdy samochodem trzeba było zapłacić chyba więcej niż za przelot z Moskwy do Symferopola * Nika i Masza przyjeżdżały zwykle taksówką.

Artiom po powrocie z bazaru wlaźł ze starą lornetką na dach i nie odrywał oczu od drogi między wzgórzami, gdzie widać było każdy jadący w stronę Osady samochód. Georgij wykładał w kuchni zakupy. Nie był to chyba najlepszy dzień na bazar, sprzedawców było mało, wyboru prawie żadnego. Kupił wysuszony kawałek pianki ze śliwek domowej roboty, przyrządzonej na gorącym arkuszu blachy * ulubiony w dzieciństwie smakołyk * zieleninę i duże opakowanie czebureków.

Czeburek * duże pierożki z cienkiego ciasta nadziewane mięsem mielonym z cebulą i smażone w głębokim oleju (przyp. tłum.)

Najbardziej cieszył się ze sklepu gospodarstwa domowego, który zawsze zadziwiał letników dużym wyborem. Udało mu się nabyć nowinkę * czajnik z gwizdkiem, dwa tuziny szklanek i pół kilo gwoździ do podkuwania koni, o których marzył jego nowy syberyjski przyjaciel Tarasów, dyrektor kołchozu. Kupił też czeski klej * rzecz jak na tamte czasy rzadką, i dosyć brzydką ceratę. Wyłożył wszystkie zakupy na stół, ciesząc się, że jest tego tak dużo. Lubił kupować, uwielbiał całą tę zabawę w wybieranie, targowanie się, zdobywanie. Jego żona Zojka złościła się, kiedy przywoził z każdej wyprawy kupę niepotrzebnych rzeczy, zagracających dom i daczę. Była z zawodu ekonomistką, pracowała w gortorgu i uważała, że kupować trzeba z głową.

Gortorg * miejscowy oddział handlu (przyp. tłum.)

Odkorkował butelkę taurydzkiego czerwonego wina i od razu pożałował, że wziął za mało. Ale

z tym nie było tu żadnego problemu, więc można w każdej chwili dokupić, nawet w sklepiku na miejscu.

Zrobiwszy porządek z zakupami usiadł ze szklanką wina i czeburekiem w ręku na ganku i wtedy zobaczył schodzącą ze wzgórza malarkę z córką.

„Do licha, zapomniałem o ziemniakach * przypomniał sobie. * Chyba nie było. Jakbym zobaczył, przypomniałbym sobie”.

Ale koperku kupił dużo, a ponieważ był człowiekiem uczynnym, zawołał Artioma siedzącego na dachu i kazał zanieść pęczek wczasowiczce. * siebie goście Medei do wczasowiczów nie zaliczali i miejscowi traktowali ich jak swoich.

Artiom kategorycznie odmówił. Nie mógł przegapić przyjazdu samochodu * moment był zbyt ważny. I rzeczywiście, nie zdążyli skończyć spierania się o ten nieszczęsny koperek, gdy na drodze między wzgórzami mignęła żółta „wołga”.

* Jada! * wrzasnął uradowany Artiom, zleciał z dachu i pomknął do furtki.

Za chwilę samochód był już koło domu, otworzyły się wszystkie drzwiczki naraz i na zewnątrz wyskoczyło jednocześnie sześć osób, w tym dwie całkiem małe. W czasie gdy taksówkarz wyjmował walizki i pudła, powstało straszne zamieszanie z całusami i objęciami. Samochód jeszcze nie zdążył odjechać, kiedy pojawiła się Medea z wielką torbą, uśmiechając się z zamkniętymi ustami i mrużąc oczy.

* Ciociu! Kochana moja! Ależ się stęskniłam! Pięknie wyglądasz! I pachniesz szałwią! * całowała ją wysoka ruda Nika, a Medea trochę się broniła i zrzędziła:

* Bzdury wygadujesz! To farba, w szpitalu od trzech miesięcy remont, nie mogą skończyć.

Trzynastoletnia Katia, starsza córka Niki, stała obok Medei i czekała na swoją kolej, żeby się przywitać. Nika zawsze i wszędzie musiała być pierwsza i nikt nie śmiał temu się sprzeciwić. Czekala na swoją kolej również Masza, ostrzyżona jak chłopiec, wyglądała jak jakiś wąty nastolatek z nóżkami*patyczkami, a nie kobieta. Twarz miała ciekawą * piękną, ale nie rzucającą się w oczy, jak obrazek pod kalką. Georgij chwycił ją i pocałował w czubek głowy.

* Zostaw mnie, nie chcę z tobą rozmawiać, byłeś w Moskwie, nawet nie zadzwoniłeś

* broniła się Masza.

Syn Maszy, pięcioletni Alik, rzucił się w objęcia młodszej córki Niki, udając burzliwe powitanie, chociaż byli razem od wczorajszego wieczoru, bo nocowali u Niki na Zubowskiej. Byli prawie rówieśnikami, lubili się, można powiedzieć, od urodzenia i bawiąc wszystkich, ciągle małpowali zachowania dorosłych: kobiecą zalotność, zazdrość, kogucie zuchwalstwo.

* Cousinage dangereux voisinage * powtórzyła po raz kolejny Medea, patrząc na kuzynów.

* Zaraz cię pocałuję, jakbyśmy dopiero co przyjechali * Alik ciągnął do siebie Lizoczkę, a ta się opierała i nie mogła wymyślić, na jaki by tu przystać warunek, więc odciągała sprawę:

* Nie, najpierw... najpierw... pokaż mi pieska! Artiom i Katia sucho skinęli do siebie głowami.

Kiedyś lubili się tak samo, jak Lizoczka z Alikiem, ale kilka lat temu wszystko się popsuło. Katia wyglądała już prawie jak nastolatka, rosły jej w różnych miejscach włosy, które od razu zaczęła golić, pojawiły się również małe, ale całkiem prawdziwie piersi, i między kuzynami rozwarła się przepaść płciowego dojrzwania. Artiom głęboko urażony zesłorocznym chłodnym traktowaniem, na które nie zasłużył, odwrócił się teraz w obawie przed ponownym odtrąceniem i w zamyśleniu dłużył czubkiem buta bladobrazową ziemię, chociaż jeszcze chwilę temu nie mógł się Katii doczekać.

Katia została usunięta w zeszłym roku ze szkoły baletowej Teatru Bolszoi za brak postępów, ale zachowała wszystkie nawyki zawodowej baletnicy, z czego Nika ciągle się wyśmiewała, chociaż w głębi duszy była dumna z jej pięknej postawy:

„Podbródek do góry, ramiona w dół, pierś do przodu, brzuch wciągnięty, stopy rozwarte”.

Właśnie w takiej pozycji znieruchomiała Katia, dając wszystkim chętnym możliwość obcowania z baletem, który wciąż reprezentowała.

* Medeo, popatrz tylko na młodych! * Masza trąciła Medeę w ramię.

Alik wyciągnął z budy suczki Niukty, długiej i krótkonogiej, takiego samego szczeniaka. Liza trzymała go na rękach i Alik, odsuwając szczeniaka, próbował ją

pocałować w policzek.

Dorośli roześmiali się. Gieorgij chwycił dwie walizki, Artiom, odwracając się od Katii, wziął pudełko z jedzeniem, a Katia zbiegła w podskokach w dół, jak primabalerina na bis, i stanęła w oświetlonym miejscu między domem i kuchnią, piękna i nieosiągalna jak księżniczka. Artiom strasznie przeżywał, że go nie zauważa. Ta wczesna wiosna zraniła go pierwszego.

A Norze znów wypadła rola podglądaczki. Tanieczka po obiedzie spała. Ten przystojny mężczyzna, podobny * teraz już wiedziała * nie do rzymskiego legionisty, tylko do Odysusza, nie przyniósł jej ani ziemniaków, ani koperku. Myjąc naczynia na podwórku pani Ady, zauważyła, jak podjechała taksówka i wysoka ruda kobieta w ciemnomalinowej sukience rzuciła się w objęcia staruszki, a gromadka dzieci skakała z nadmiaru radości, i aż dech jej zapało od nagłej zazdrości, że ktoś może tak się cieszyć ze spotkania.

Dwie godziny później znów podjechał samochód, zatrzymując się tym razem koło domu Krawczuków. Nora odchyliła brzeg haftowanej zasłony i zobaczyła, jak na pytanie o gospodarzy, wybiegła z letniej kuchni Ada, a za nią mąż, wycierający wybrudzoną szoferską ręką błyszczące usta.

W otwartej na oścież furtce stał wysoki mężczyzna z długimi włosami ściągniętymi z tyłu gumką w kucyk, w białych obcisłych dżinsach i różowym podkoszulku. Adzie aż szczęka opadła na widok takiej bezczelności. Przyjezdny uśmiechnął się, pomachał białą kopertą i zapytał, stojąc w furtce:

* Krawczukowie? Macie tu list i pozdrowienia od syna. Wczoraj go widziałem.

Ada chwyciła kopertę i Krawczukowie bez słowa zniknęli w kuchni, żeby przeczytać list od swego jedyne go syna Witki, który po skończeniu szkoły wojskowej od trzech lat mieszkał pod Moskwą i robił, według mieszkańców Osady, wielką karierę w stolicy. Przyjezdny, ani trochę się nie martwiąc taksówkarzem, który wciąż czekał, spokojnie usiadł sobie na ławeczce. Krawczukowie zdążyli już przeczytać, że syn wysłał do nich bardzo ważną osobę, żeby w żadnym wypadku nie brali od niego pieniędzy, we wszystkim mu dogadzali i że do niego, tego Walerija Butonowa, sam naczelnik okręgu musi stać w kolejce na masaż...

Nie doczytawszy listu Krawczukowie rzucili się do przyjezdnego:

* Zapraszamy, gdzie pan ma swoje rzeczy?

Przyjezdny wniósł walizkę * skórzaną, z grubą popsutą rączką, całą w zagranicznych nalepkach. Nora zmęczyła się trzymaniem w powietrzu żeliwnego żelazka, którym prasowała spódnice Tani, więc odstawiła je na podstawkę.

Gospodarze skakali wokół przyjezdnego * walizka zrobiła na nich duże wrażenie.

„Chyba jakiś artysta. Albo muzyk, albo coś w tym rodzaju” * pomyślała Nora.

Żelazko wystygło, ale nie chciała teraz wychodzić z domku, żeby je nagrzać w kuchni. Odłożyła niewyprasowaną spódnice.

Rozdział czwarty

Medea wychowała się w domu, gdzie obiady gotowano w kotłach, bakłażany marynowano w beczkach, a na dachu suszyły się pudy owoców i słony wiaterek od strony morza roznosił po okolicy ich słodki zapach. Na świat przychodzili kolejni bracia i kolejne siostry i dom był pełen dzieci.

W środku letniego sezonu dom Medei, taki pusty i cichy zimą, wypełniał się dorosłymi i dziećmi i przypominał jej własne dzieciństwo. W ogromnych naczyniach, ustawionych na żelaznym trójnogu, ciągle gotowała się bielizna, w kuchni zawsze ktoś pił kawę albo wino, przyjeżdżali goście z Koktebela albo Sudaku. Czasami wyzwolona młodzież * zarośnięci studenci i rozczochrane dziewczyny stawiali w pobliżu namiot, słuchali nowoczesnej muzyki i zadziwiali ją nowymi piosenkami. Zamknięta w sobie i bezdziejna Medea, przyzwyczajona do tego letniskowego rozgardiaszu, nie mogła się nadziwić, dlaczego jej spalony słońcem i przewiany morskim wiatrem dom przyciąga tak wielu różnych ludzi * z Litwy, Gruzji, Syberii i Azji Środkowej.

Rozpoczął się kolejny sezon. Wczoraj jadła kolację we dwójkę z Georgijem, dziś przy stole siedziało już osiem osób.

Zmęczone drogą młodsze dzieci wysłano do łóżek wcześniej niż zwykle. Artiom też się położył,

żeby uniknąć poniżającego rozkazu: „Do łóżka!” To, że poszedł spać sam, zrównało go w jakiś sposób z Katią, której od dawna już nikt nie gonił do spania.

Pierwsza kolacja niezauważalnie przeszła w drugą. Pili wino kupione przez Georgija. Georgij studiował w Moskwie przez pięć lat geografii, stolicy nie polubił, ale zawsze go interesowało, co się tam dzieje i teraz próbował dowiedzieć się czegoś od krewniaczek. Ale Nika w kółko mówiła albo o sobie, albo plotkowała o rodzinie, Masza rozprawiała o polityce. Takie były wtedy czasy: nie ważne od czego rozmowa się zaczynała * i tak zawsze kończyła się ściszeniem głosu i wzrostem temperatury politycznych dyskusji.

Rozmawiano o Gwidasiu * Wielkoludzie, bratanku Medei z Wilna, synu nieżyjącego brata Dimitrija. Wybudował, z wielkim rozmachem, dom.

* A co na to władza? * ożywił się Georgij, którego kwestia budowy domu interesowała jak najbardziej.

* Po pierwsze, mają tam jednak więcej swobody. Poza tym Gwidas jest architektem. I nie zapominaj, że jego teść to jakaś duża partyjna szacha.

* I Gwidas bierze w tym wszystkim udział? * zdziwił się Georgij.

* Jakby ci powiedzieć. Władza radziecka jest tam raczej powierzchowna, taka maskarada, no wiesz. Dla Litwinów na pewno ważniejsze od zebrania partyjnego są kiełbaska, węgorz i piwko. Władza tam za bardzo nie szaleje * wyjaśniła Nika.

* Głupoty, Nika, opowiadasz * zerwała się Masza. * Po wojnie pół Litwy zamknęli w więzieniach,

prawie pół miliona młodych chłopów. Nawet w czasie wojny mniej ich zginęło. A ty mówisz „powierzchowna”!

Medea się podniosła. Od dawna chciało jej się spać. Wiedziała, że przegapiła swoją godzinę, kiedy zasypia łatwo i niezauważalnie, a teraz do rana będzie się wiercić na swym materacu wypchanym morską trawą, kamką.

* Dobranoc * rzuciła na pożegnanie.

* No proszę * zmartwiła się Masza * nawet nasza Medea, taka odważna kobieta, no po prostu głaz, i też zastraszona. Słowa nie powiedziała, wychodząc.

* Ależ głupia jesteś, Maszo! * wybuchnął Georgij. * U was wszystkiemu jest zawsze

winna władza radziecka. Jednego jej brata zabili czerwoni, drugiego * biali, a w czasie wojny * jednego faszysty, drugiego * komuniści. Dla niej żadna władza nie jest dobra. Mój dziadek Stiepanian, szlachcic i monarchista, wysłał osieroconej dziewczynie wszystkie pieniądze, jakie miał w domu. A ojciec, zapalony rewolucjonista, ożenił się z matką * wystarczyło, że Medea powiedziała * trzeba Lenoczkę ratować... Co dla niej znaczy władza? Jest wierząca, inną władzę ma nad sobą. I nigdy nie mów, że ona czegoś się boi...

* Jezu Chryste! * wykrzyknęła Masza. * Nie to miałam na myśli! Chciałam tylko powiedzieć, że poszła, jak tylko zaczęliśmy mówić o polityce.

* Nie ma co z taką głupią rozmawiać! * rzucił Gieorgij.

* Przestańcie * przerwała im leniwie Nika. * Masz jeszcze coś do picia?

* Oczywiście! * ucieszył się Gieorgij, pomacał za swymi plecami i wyciągnął butelkę, którą otworzył rano.

Maszy aż wargi drżały, tak się rwała do boju, ale Nika, która nie znosiła kłótni, podsunęła jej szklanekę i zaczęła śpiewać:

* „Płynie rzeczka po piaseczku, brzeżek myje, młody chłopiec, dziarski żulman naczelnika błaga...”

żulman * zbój w żargonie więziennym (przyp. tłum.)

Na początku śpiewała głosem cichym i głębokim. Gieorgij i Masza rozchmurzyli się, przytulili po przyjacielsku do siebie, zapominając o kłótni. Głos, jak światło, sączył się na zewnątrz przez uchylone drzwi i małe krzywe okienka i lekka piosenka w żargonie złodziejskim rozlewała się powoli po całej zagrodzie Medei.

Walerij Butonow, który wyszedł w środku nocy do wychodka, ale nie dobiegł do drewnianej budy i oblał zaskoczoną pomidorową rozsądę niespodziewanym ciepłym deszczem, zapatrzył się w usypane wielkimi gwiazdami południowe niebo, całe w błędzących promieniach reflektorów, przeszukujących przybrzeżny pas z nadzieją złapania filmowych szpiegów w czarnych kostiumach nurków. Ale o tej porze roku nie było tu nawet sezonowych kochanków z błyskającymi w świetle księżyca gołymi pośladkami.

Wokół rozciągały się egipskie ciemności, migało tylko żółte światełko w okienku między dwoma wzgórzami i dobiegał stamtąd jakby śpiew kobiet. Walerij zaczął nasłuchiwać. Od czasu do czasu czekały psy.

Medea miała przed sobą bezsenną noc. Zawsze spała krótko i jedna bezsenna noc nie miała dla niej większego znaczenia. Leżała w swym wąskim panieńskim łóżku w nocnej koszuli z wyblakłym haftem z przodu, z luźno zaplecionym warkoczem, który stawał się z czasem coraz cieńszy, ale wciąż sięgał uda.

Dom powoli wypełnił się znajomymi dźwiękami: przeczłapała bosymi stopami Nika, Masza brzęknęła przykrywką od nocnika i wyszeptła do śpiącego dziecka: „siusiu”, głośno i dźwięcznie polał się dziecięcy strumień. Pstryknął wyłącznik, rozległ się przytłumiony śmiech.

Medea wciąż miała dobry słuch i wzrok. Dzięki wrodzonemu darowi obserwacji dostrzegała wiele rzeczy w życiu swych młodych krewnych, czego ci nawet się nie domyślali.

Młode kobiety z małymi dziećmi przyjeżdżały zwykle na początku sezonu, ich pracujący mężowie wpadali na krótko, na jakieś dwa tygodnie, rzadziej na miesiąc. Pojawiali się jacyś przyjaciele, którzy zatrzymywali się w Dolnej Osadzie i przychodzili potajemnie w nocy, stękali i wydawali okrzyki za ścianą obok. Kobiety rozwodziły się później z jednymi, wychodziły za mąż za drugich. Nowi mężowie wychowywali dzieci z poprzedniego małżeństwa, rodziły się nowe, przyrodni bracia i siostry przyjaźnili się, byli mężowie przyjeżdżali tu z nowymi żonami i dziećmi, żeby spędzić wakacje ze starszymi z poprzedniego małżeństwa.

Nika, po wyjściu za mąż za ojca Katii, młodego obiecującego reżysera, który nie stworzył jednak

nic wartego jego reputacji, przez lata przywoziła gburowatego i niezgrabnego chłopca Misze, syna reżysera z pierwszego małżeństwa. Katia dokuczała mu jak mogła, a Nika skakała wokół niego i kiedy zamieniła reżysera na fizyka, długo nie mogła się z tym dzieckiem rozstać. Medea była również świadkiem wymiany między dwiema parami, namiętnego romansu między szwagrem i szwagierką z różnicą wieku trzydziestu lat i kilku młodzieńczych związków.

Życie powojennego pokolenia, zwłaszcza tych, co mieli teraz po dwadzieścia lat, wydawało się jej zabawą. Ani w małżeństwach, ani w macierzyństwie nie znajdowała u nich tej odpowiedzialności, którą sama się kierowała przez całe życie. Nigdy nikogo nie osądzała, ale bardzo ceniła kobiety takie jak jej matka, babka, przyjaciółka Jelena, które * i na co dzień, i w sprawach poważnych * niezmiennie postępowały w jedyny możliwy dla Medeji sposób * rozważnie i stanowczo.

Medea przez całe życie miała jednego męża, a po jego śmierci pozostawała wdową po nim. Jej wdowieństwo było piękne i nie gorsze od małżeństwa. Z perspektywy tak długiego czasu * ponad dwudziestu lat * który minął od śmierci jej męża, przeszłość wyglądała zupełnie inaczej i jedyny żal, jaki do niego miała już po jego śmierci, gdzieś się rozplątał, a on sam stawał się dla niej postacią prawie pomnikową, bez skazy, chociaż póki żył, nigdy go tak nie traktowała.

Wdowieństwo trwało już dłużej niż samo małżeństwo, a jej stosunek do męża nadal był dobry, a nawet coraz lepszy.

Zapadała od czasu do czasu w lekką drzemkę, która nie przeszkadzała jej rozmyślaniami, przeplatany modlitwami, rozmowami i wspomnieniami, wybiegającymi chwilami poza granice tego, co sama знаła i widziała.

Bardzo dobrze pamiętała wszystko, co opowiadał jej mąż o swym dzieciństwie, wspominała go więc teraz jako chłopca, chociaż poznali się, kiedy miał już prawie czterdzieści lat.

Samuel był synem wdowy, bardziej skupionej na swych żalach i nieszczęściach niż na pilnowaniu majątku. Z niezrozumianą dumą pokazywała swym siostrom mizernego syna:

* Patrzcie, jaki chudy, jak kurczak, na całej ulicy nie znajdziecie chudsze! A jakie krosty! Cały w skrofulach! Jakie spierzchnięte ręce!

Samuel tymczasem rósł sobie i rósł z tymi swoimi krostami, pryszczami i ropniami, był rzeczywiście chudy i blady, ale tak naprawdę niczym specjalnie się nie wyróżniał od reszty rówieśników. Mając niespełna trzynaście lat, zaczął odczuwać pewien niepokój spowodowany tym, że zaczęły mu się marszczyć spodnie, podnoszone do

góry jakimś szybko rosnącym pędem, co sprawiało mu wyraźną niewygodę. Tłumaczył sobie swój nowy stan jakąś kolejną chorobą, o których z taką dumą rozpowiadała jego matka, i przywiązywał nieposłuszny organ sznurkiem od jej spódnicy, żeby nie przeszkadzał. Tymczasem kolejne dwie części jego ciała * uszy i nos * zaczęły powiększać się w równie błyskawicznym tempie. Ze słodkiego dziecka wykształcił się jakiś kanciasty stwór z gęstymi, krzaczastymi brwiami i długim ruchliwym nosem. Był tak chudy, że na czymkolwiek usiadł, wydawało mu się, że siedzi na

dwóch ostrych kamieniach. Szare pasiaste spodnie po zmarłym ojcu wisiały na nim jak na strachu na wróble, wtedy właśnie zaczęto go przezywać „Samonia * puste gacie”.

W wieku czternastu lat, wkrótce po święcie Bar Micwy, o którym pamiętał tylko tyle, że czytając swój fragment tekstu, zrobił pięć razy więcej błędów niż pozostałych pięciu chłopców z biednych rodzin, za naukę których płaciła gmina żydowska, po męcząco długiej korespondencji matki ze starszym bratem zmarłego męża, został wysłany do Odessy. Pracował w biurze jako chłopiec na posyłki z obszernym i nieokreślonym zakresem obowiązków.

Mimo braku wolnego czasu zdążył zaczerpnąć trochę wiedzy z przestarzałej żydowskiej edukacji dzięki starszemu bratu ojca, Efraimowi. Był on żydowskim inteligentem*samoukiem, który żywił wbrew wszystkiemu nadzieję, że dobrze zorganizowane kształcenie rozwiąże wszystkie bolączki tego świata, z antysemityzmem włącznie.

Samonia nie pozostawał długo pod wpływem szlachetnych, ale mocno już wypłowiałych idei żydowskiej edukacji i ku wielkiej rozpaczycy stryja przeszedł do sąsiedniego obozu syjonizmu, który nie stawiał na Żyda mającego dorównać wykształceniem cywilizowanym narodom, a na Żyda naturalnego, podejmującego prostą i palącą decyzję powrotu do uprawiania roli w Kanaanie.

Kuzyn Samoni zdążył już wyjechać do Palestyny, zamieszkał w nikomu nieznanym Ejn*Gedi, został rolnikiem i kusił go teraz rzadkimi, pełnymi zachwyty, listami.

Mimo niezadowolenia stryja Samonia zapisał się na żydowskie kursy rolnicze dla

osadników. Zajęcia

zajmowały dużo czasu, niezadowolony stryj zmniejszył bratankowi o połowę nigdy niewypłacaną pensję, ale jego żona Gienieczka była prawdziwą żydowską kobietą, postanowiła więc ożenić go ze swoją niemłodą już siostrzenicą z niewielkim wrodzonym zwichnięciem stawu biodrowego.

Przez dwa miesiące Samonia pilnie uczęszczał na kursy, poznawał tajniki szczepów i oczkowania, ale jego zmienna natura nie chciała czekać, kiedy z długo wysiadywanych jaj zamierzeń wyklują się wreszcie wspaniałe czyny, i w czasie gdy inni słuchacze powoli wciągali się do świata ogrodnictwa i uprawy winorośli, przesiadł się do innej ławki * tajnego koła marksistowskiego, organizowanego dla robotników warsztatów remontowych i obsługi portu.

Porywające idee miejscowego żydowskiego socjalizmu w prowincjonalnej Palestynie były mało konkurencyjne w porównaniu z ideą łączenia się światowego proletariatu.

Interesujący się wyłącznie cenami pszenicy stryj dość chłodno reagował na wszystkie poprzednie pasje Samoni, ale przeciw marksizmowi się zbuntował i kazał bratankowi poszukać sobie miejsca do spania gdzie indziej. Trzeba przyznać, że niby zrozumiał z tłumaczeń Samoni, co to jest wartość dodatkowa, ale w stosunku do geniusza ekonomicznego zareagował niespodziewanie agresywnie i podniósł straszny wrzask:

* Myślisz, że on lepiej ode mnie wie, co trzeba robić z wartością dodatkową? Niech ją najpierw wypracuje!

Samonia podejrzewał, że stryj myli wartość dodatkową z czystym zyskiem, ale nie zdążył mu tego wytłumaczyć. Stryj straszyl go, że szybko wyląduje ze swymi poglądami w więzieniu. Jego słowa okazały się prorocze, chociaż trzeba było na to czekać aż dwa lata. Samonia tymczasem zdążył wyuczyć się na ślusarza, nabył dużo wiedzy z różnych książek i sam już prowadził kółko uświadamiające dla ciemnej części społeczeństwa.

Pod koniec tysiąc dziewięćset dwunastego roku zesłano go do guberni wołogodzkiej, gdzie spędził dwa lata, później rozpowszechniał w terenie nielegalną literaturę, którą wozil w torbie lekarskiej, spotykał się w konspiracyjnych mieszkaniach z nieznanymi wówczas, ale ważnymi osobami i agitował, agitował, agitował... Przez całe życie

uważał się za zawodowego rewolucjonistę i w czasie rewolucji znalazł się w Moskwie w charakterze naczelnika średniego szczebla, który sprawdził się w pracy z robotnikami. Później kazano mu włożyć skórzane ubranie członka CZON*u i oddelegowano do guberni tambowskiej. W tym miejscu jego sławna biografia w tajemniczy sposób się urywa i pojawia się w niej luka, po której jest już zwykłym obywatelem, pozbawionym jakichkolwiek wyższych celów, technikiem dentystycznym, ożywiającym się wyłącznie na widok puszystych pań.

Medea poznała wesołego dentystę, wiecznie szczerzącego krótkie zęby i odsłaniającego różowy pasek dziąseł nad nimi, w sanatorium. Była wtedy usychającą starą panną, której młodość niepostrzeżenie minęła w codziennej trosce o młodszych braci, Konstantina i Dimitrija, oraz młodszą siostrę Aleksandrę, którą wysłała właśnie z jej pierworodnym Siergiejem do męża do Moskwy. Uważano, że krymska borowina ma leczniczy wpływ w przypadku bezpłodności i pielęgniarka Medea Gieorgijewna pomagała w jej stosowaniu, okładając błotem bezpłodne części ciała kobiet.

Na początku w sanatorium nie było dentysty, ale ordynator interweniował w tej sprawie w Narkomzdrawie i dentysta się pojawił, wprowadzając do tego cichego dotąd i trochę tajemniczego miejsca niezwykle zamieszanie.

Narkomzdraw * Narodowy Komitet Zdrowia (przyp, tłum.)

Hałasował, żartował, wymachiwał niklowanymi narzędziami, zalecał się do wszystkich bez wyjątku pacjentek, proponował dodatkowe usługi z zakresu płodzenia dzieci, a Medea Gieorgijewna, jako jedna z najlepszych pielęgniarek w sanatorium, przydzielona mu w charakterze pomocnicy uczestniczyła w tych jego dentystycznych występach. Mieszała szpatułką na szkle środek do plombowania zębów, podawała mu narzędzia i po cichu się dziwiła bezczelności dentysty, a jeszcze bardziej * niepojętej rozwiązłości większości cierpiących na bezpłodność kobiet, które umawiały się z nim, nie wstając z fotela dentystycznego.

Przyglądała się temu szczupłemu Żydowi w starej granatowej koszuli i workowatych spodniach, mocno ściągniętych w cienkiej talii kaukaskim rzemykiem, z coraz

większą ciekawością. Lepiej wyglądał w białym kitlu.

„Było nie było lekarz * tłumaczyła Medea jego duże powodzenie u kobiet. * No i ma poczucie humoru”.

W czasie gdy Medea wypełniała kartę, zanim jeszcze kolejna pacjentka ufnie otworzyła usta,

dentysta błyskawicznie dokonywał życzliwego i profesjonalnie* męskiego przeglądu od czubka głowy do stóp. Nic nie mogło umknąć uwadze znawcy i jego pierwszy komplement, jak zauważyła Medea, zawsze dotyczył wyłącznie górnej części ciała * włosów, koloru twarzy, oczu. Dopiero w przypadku pozytywnej reakcji * tu był bardzo delikatny * elokwentny dentysta podejmował próbę uwodzenia.

Medea ukradkiem obserwowała doktora i dziwiła się, widząc, jak ten się ożywia na widok każdej wchodzącej kobiety i jak wyraźnie się nudzi, zostając sam, czyli w towarzystwie oschłej pielęgniarki. Zbadał ją krytycznym wzrokiem już pierwszego dnia * pochwalił piękne miedziane włosy, ale nie widząc zachęty z jej strony, nie wracał więcej do jej zalet.

Z czasem odkryła ze zdziwieniem, że ma bystry wzrok i błyskawicznie potrafi dostrzec najmniejsze zalety kobiecej powierzchowności, ciesząc się z ich znalezienia tym bardziej, im mniej są widoczne.

Pewnej grubasce z wyraźną nadwagą, kiedy ta próbowała wcisnąć się do fotela dentystycznego, powiedział:

* W Stambule byłaby pani najpiękniejszą z kobiet!

Napęczniała grubaska zaczerwieniła się, jej oczy wypełniły się łzami i pisnęła obrażona:

* Co pan chce przez to powiedzieć?

* Ach, mój Boże! * zaniepokoił się Samuel. * Same dobre rzeczy, oczywiście. Każdy by chciał, żeby tego dobrego było jak najwięcej.

Medea nawet miała wrażenie, że pod koniec dnia dentysta był zmęczony nie tyle samą pracą, ile niezwykłym wysiłkiem, jakiego wymagało od niego mówienie każdej kobiecie czegoś przyjemnego o jej nieraz dość wątpliwych zaletach.

W stosunku do rzadkich przedstawicieli płci męskiej, którzy przypadkowo do niego trafiali (w sanatorium leczono głównie bezpłodność, ale znajdował się tu również niewielki oddział ortopedyczny), był spięty, a nawet nieśmiały.

Medea uśmiechnęła się na myśl, że wesoły dentysta po prostu boi się mężczyzn.

Dopiero później się przekonała, jak trafne było to jej przelotne odkrycie.

Zbliżała się do trzydziestki. Dimitrij chciał zdawać do szkoły wojskowej w

Taganrogu. Konstantin skończył siedemnaście lat i wybierał się na geologię.

Siostra Aniela, która zabrała do Tbilisi młodszą Anastazję, od dawna zapraszała

Medeę do siebie. Upatrzyła wśród krewnych męża pewnego niestarego jeszcze sympatycznego wdowca i zastanawiała się, jakby ich teraz ze sobą poznać. Medea,

nic o tych planach nie wiedząc, również miała zamiar odwiedzić siostry, ale nie wiosną, tylko jesienią, po zrobieniu przetworów na zimę. I gdyby Anieli się udało,

być może na Krymie nie byłoby teraz tego jedyne greckiego domu, a następne pokolenia Sinopli należałyby już wyłącznie do lądowych, mieszkających w Taszkencie, Tbilisi czy Wilnie. Ale wszystko potoczyło się inaczej.

W połowie marca tysiąc dziewięćset dwudziestego dziewiątego roku wszystkich pracowników sanatorium zwołano pilnie na zebranie. Wszystkich co do jednego, włącznie z opóźnionym w rozwoju, wiecznie uśmiechającym się Raisem, co mogło oznaczać, że sprawa jest wagi państwowej.

Ogromny Wiazow, przewodniczący miejskiego komitetu partyjnego, szalał przy biurku przykrytym błyszczącą czerwoną materią. Po przeczytaniu uchwały o powszechnej kolektywizacji zaczął roztaczać przed zebranymi wizję pięknej przyszłości w kołchozach. Kobiety w większości kolektyw sanatorium słuchał życzliwie. Były to głównie mieszkanki przedmieścia, mające pół domku, kilka arów ogrodu, kilka drzew, z pięć kur i pracę w jakimś urzędzie. Nie przywykły do pyskowania. Ordynator Firkowicz, miejscowy Karaim z inteligentnej rodziny, który dużo w życiu przeszedł * w tysiąc dziewięćset osiemnastym roku został powołany do Armii Czerwonej, pracował w szpitalach wojskowych, ale do partii nie wstąpił * wolał siedzieć cicho i nie wychylać się.

* Czy ktoś chce coś powiedzieć? * zapytał Wiazow, na co od razu poderwał się

żwawy Filozow, sekretarz komórki partyjnej.

Samuel Jakowlewicz siedział w ostatnim rzędzie i cały czas się wiercił, a nawet podskakiwał na krześle i z niepokojem rozglądał się dookoła. Medea siedziała obok i obserwowała jego niezwykle zachowanie. Zauważywszy jej spojrzenie, chwycił ją za rękę i wyszeptał do ucha:

* Muszę wystąpić... muszę koniecznie wystąpić...

* Czemu pan się tak denerwuje, Samuele Jakowlewiczu? Jak pan chce, to niech pan wystąpi. * Ostrożnie wyciągnęła rękę z jego chwytnych palców.

* Jestem członkiem partii od tysiąc dziewięćset dwunastego roku... Mam obowiązek...

Był nienaturalnie blady, wręcz szary ze strachu.

Nowa lekarka o niemieckim nazwisku, kędzierzawa kobieta z płaskim lokiem z lewej strony przedziałka, długo mówiła o kolektywizacji, wtrącając za każdym razem: „Z punktu widzenia bieżącej chwili...”

Dentysta wreszcie się uspokoił, ale nie puścił ręki Medei. Przesiedział w ten sposób do końca, krzywiąc się i ruszając ustami. Zebranie już się skończyło, wszyscy zaczęli się rozchodzić, a on wciąż trzymał ją za rękę.

* Okropny dzień, proszę mi uwierzyć, okropny. Niech pani mnie nie zostawia samego * poprosił, a oczy miał jasnobrażowe, błagające, jak u kobiety.

* Dobrze * zgodziła się niespodziewanie łatwo. Wyszli razem przez pomalowaną na biało bramę sanatorium, minęli dworzec autobusowy i skręcili w cichą ulicę, na której mieszkali pracownicy kolei, odkąd podprowadzono do miasta kolej.

Samuel Jakowlewicz wynajmował pokój z oddzielnym wejściem i małym ogródkiem, w którym rosły dwie stare winorośle i stał stół, taki chropowaty i omszały, jakby wyrósł tu razem z drzewami. Pędy wina zdążyły już opleść naciągnięty nad stołem drut. Malutkie podwórko było wciśnięte między rzadki płot a glinianą ścianę sąsiedniego domu.

Siedząca przy stole Medea obserwowała, jak Samuel Jakowlewicz krząta się w przedpokoju wokół kuchenki naftowej, wyciąga schowany za górną belką kozi ser w grubej ściereczce, wlewa do patelni olej i chociaż robi przy tym dużo zamieszania,

wychodzi mu to szybko i sprawnie. Zerknęła na zegarek * bracia dziś nie wrócą, obaj są w Koktebelu, w ośrodku szybowcowym, przenocują prawdopodobnie u jej starej przyjaciółki, właścicielki znanej w tamtej okolicy daczy.

„Nie muszę się śpieszyć * pomyślała ze zdziwieniem Medea. * Jestem w gościach”.

Samuel Jakowlewicz gadał jak najęty i zachowywał się tak pewnie i swobodnie, jakby to nie on czepiał się przed chwilą ręki Medei.

„Jaki to dziwny i zmienny człowiek” * pomyślała Medea i zaproponowała mu pomoc.

Odmówił radząc, żeby odpoczęła i podziwiała niebo przez drobne listki winorośli.

* Przyznam się pani, Medeo Georgijewno, że dużo zdążyłem w życiu zrobić, nawet skończyłem kursy rolnicze dla żydowskich osadników. Patrzę teraz na winorośl * wskazał teatralnym gestem na dwa pokręcone krzaki * i dochodzę do wniosku, że to piękna praca. O wiele lepsza niż grzebać się w zębach? Co pani na to?

Potem przyniósł kolację, jedli pachnące naftą smażone ziemniaki i kozi ser, a ona cały czas chciała wstać i odejść, ale sama nie wie, czemu tego nie zrobiła.

Później odprowadził ją przez całe miasto, opowiadał o sobie, o swych dużych i drobnych niepowodzeniach, pechu i porażkach. Lecz wcale się nie skarżył, tylko pokpiwał z siebie i się dziwił... Uprzejmie się pożegnał, zostawiając ją w głębokim zamyśleniu: co on ma w sobie takiego wzruszającego? Wygląda na to, że nie traktował siebie zbyt poważnie...

Następnego ranka spotkali się jak zwykle w gabinecie stomatologicznym. Dentysta zmienił się nie do poznania: prawie się nie odzywał, pacjentki traktował z dystansem i przestał żartować. Przed

przerwą obiadową Medea miała wrażenie, że chce jej coś powiedzieć. I miała rację, po wyjściu ostatniej pacjentki położył swoje masywne kanapki obok cienkich placków Medei, przekładanych wiosenną zieleniną, pokiwał głową, mlasnął i zapytał: * Co pani na to, Medeo Georgijewno, jakbym zaprosił panią do restauracji Kaukaz? Uśmiechnęła się: lubił zapraszać tam wybrane pacjentki. Rozśmieszyła ją poza tym forma: „Co pani na to...”

* Zastanowiłabym się * odpowiedziała oschle.

* A co się tu długo zastanawiać? * zaczął się gorączkować. * Kończymy pracę i idziemy...

Zrozumiała, że bardzo chce ją zabrać do tego całego Kaukazu.

* I tak muszę najpierw wpaść do domu, żeby się przebrać * próbowała się wykręcić.

* Co za bzdury! Myśli pani, że tam same damy w sobolach? * nie poddawał się dentysta.

Miała wtedy na sobie szarą sukienkę serżową z okrągłym białym kołnierzykiem i z narękawkami jak u pokojówki czy pensjonarki, jedną z setki chyba sukienek o identycznym kroju, jakie nosiła przez całe życie od czasu, kiedy chodziła do gimnazjum, i mogła je uszyć z zamkniętymi oczami... Jedną z tych, jakie nosiła do dziś, będąc wdową...

Wieczór w restauracji Kaukaz był udany. Samuel Jakowlewicz trochę się popisywał. Znał kelnera, co mu pochlebiało. Zgięty w pasie kelner podnosił w uśmiechu cienkie wąsiki i rzucał na stół przekąski na przezroczystych talerzykach nieskrępowanym, ale wytrenowanym ruchem. W pluszowo*palмовym otoczeniu restauracji Medea Georgijewna wyglądała bardziej pociągająco niż wczoraj, kiedy siedziała w ogródku, demonstrując na tle pobielanej ściany swój starogrecki profil.

Odlamawszy kawałek lawasza moczyła go w czahobili i jadła tak ostrożnie, że nie było śladu żadnej pomarańczowej obwódki wokół ust.

Lawasz * cienkie placki pieczone w otwartym glinianym piecu, podobne do tortilli lub pity (przyp. tłum.)

Czahobili * gruzińskie danie z mięsa i warzyw, duszone w winie (przyp. tłum.)

Widząc jak je, nieskrępowanie, z roztargniono*życziwym wyrazem twarzy i prawie nie patrząc na talerz, pomyślał, że ma nienaganne maniery i że jego nikt nie uczył, jak trzeba zachowywać się przy stole. Odechciało mu się na chwilę jeść. Czahobili wydał mu się kwaśny.

Odsunął metalową sosjerkę razem z talerzem. Dolał sobie do kieliszka ciężkiej, mrocznej chwanczary z okrągłej karafki, łyknął, odstawił kieliszek i powiedział

zdecydowanym tonem:

* Proszę jeść, Medeo Georgijewno, i nie zwracać uwagi na to, co powiem.

Chwanczara * czerwone wino gruzińskie (przyp. tłum.)

Popatrzyła na niego wyczekująco. W zakątku, gdzie siedzieli, było przytulnie i panował półmrok.

* Muszę pani wyjaśnić moje wczorajsze zachowanie. Mam na myśli zebranie. Proszę pamiętać, że jestem zawodowym rewolucjonistą, słyszała o mnie cała Odessa, trzy razy byłem zesłany za poglądy polityczne. Organizowałem ucieczkę z więzienia takiego człowieka, że po prostu nie wypada nawet głośno wymieniać jego nazwiska. Nie jestem tchórzem, proszę mi wierzyć.

Był zdenerwowany, przysunął do siebie talerz z czahobili, nabił na widelec duży kawałek mięsa i mlaskając jak smakosz wargami, zaczął żuć. Chyba wrócił mu apetyt.

* Wie pani, u mnie to na tle ne... nerwowym. * Mam trzydzieści dziewięć lat, nie jestem już młody. Ale stary też nie. Nie utrzymuję kontaktów z krewnymi. Można powiedzieć, że jestem sam jak palec * zażartował.

Schylił głowę, część gęstych, zaczesanych do tyłu włosów spadła mu na czoło.

Włosy miał piękne. „Zaraz poprosi o rękę” * domyśliła się Medea.

* Nigdy nie byłem żonaty. I mówiąc szczerze nie miałem zamiaru się żenić. Miałem jednak wczoraj niewielki atak, kiedy siedzieliśmy na zebraniu. Otóż dzięki pani obecności szybko minął, i to bez śladu. Później przyszła pani do mnie, siedzieliśmy razem, ale nic do pani nie czułem...

* „Ależ on jest głupi, po prostu śmiać się chce”

* uśmiechnęła się Medea.

* Chodzi o to, że nie jest pani w moim guście...

* zaczął wyjaśniać dentysta.

Taka szczerłość wydała się przesadną nawet jej, pozbawionej wszelkiej zalotności. Po tych słowach już nic nie rozumiała * czego on od niej chce? I tu dentysta zmienił nagle tok myśli:

* Lubię kobiety nieduże, przy kości, na takich, wie pani, solidnych nóżkach, w

rosyjskim stylu. Proszę nie sądzić, że jestem taki prymitywny. Wiem, że jest pani w pewnym sensie królową. Ale ja nigdy za takimi się nie oglądałem. Pracunki, robotnice, proszę mi wybaczyć, sanitariuszki...

„Jaki on jest zabawny... a w domu czeka stos niewyprasowanej bielizny...”

Samuel Jakowlewicz wbił na widelec ostatni kawałek mięsa, pośpiesznie go przeżuł, połknął i Medea zobaczyła, że bardzo się denerwuje.

* Kiedy wzięła mnie pani za rękę, Medeo Gieorgijewno..., nie, przepraszam, to ja wzięłem panią za rękę, poczułem, że przy pani się nie boję. Przez cały czas nic do pani nie czułem oprócz tego, że przy pani niczego się nie boję. Odprowadziłem panią, położyłem się do łóżka i od razu zrozumiałem, że powinienem się z panią ożenić.

Medei to absolutnie nie poruszyło. Miała swoje dwadzieścia dziewięć staropanieńskich lat, od dawna z pogardą odrzucała różnego rodzaju rzadkie męskie propozycje.

* Przyśniła mi się matka! * zawołał patetycznie. * Jaki ona miała paskudny charakter * ale nie w tym rzecz. Nigdy mi się nie śniła. A tu nagle się przyśniła, podeszła bardzo blisko, nawet poczułem zapach jej włosów, siwych starych włosów, i mówi do mnie srogo: „Tak, Samoniu, tak”. I to wszystko. Sam muszę się domyśleć, co to miało znaczyć.

Medea siedziała wyprostowana, zawsze była bardzo wyprostowana. Kołnierzyk z lewej strony miała trochę zagięty, ale nie zauważyła tego. Myślała o tym, jakby to delikatnie, żeby nie obrazić, odmówić temu dziwakowi. Ale on chyba w ogóle nie brał tego pod uwagę.

* Muszę pani, Medeo Gieorgijewno, jeszcze o czymś opowiedzieć jako przyszły mąż. Chodzi o to, że jestem zarejestrowany w klinice psychiatrycznej. Jestem oczywiście całkiem zdrowy. To stara historia, ale muszę ją pani opowiedzieć... W roku tysiąc dziewięćset dwudziestym zostałem oddelegowany do oddziału CZON i pojechałem konfiskować zboże. Sprawa była wagi państwowej, zawsze to rozumiałem. Zboże oczywiście szybko znaleźli we wsi Wasiłiszczewo w tambowskiej guberni. Jestem pewny, że wszyscy chłopci chowali,

ale znaleźliśmy w dwóch gospodarstwach, chyba nie najbogatszych. Mieliśmy rozkaz rozstrzeliwać złapanych na miejscu, żeby innych postraszyć. Czerwonoarmiści wzięli trzech chłopów i prowadzą ich za wieś. Prowadzą ich, a za nimi biegną ludzie. Było dwóch braci na jednym gospodarstwie i jeszcze jeden stary chłop. Biegną ich baby, dzieci. Sparaliżowana starucha, matka starszego chłopca, też pełźnie. Znalezione u niego cztery pudy zboża, a u braci jeszcze mniej * półtora. Ustawili trzech czerwonoarmistów z bronią. A tu baby z dziećmi taki wrzask podniosły, jakby ktoś w głowę mnie walnął, więc upadłem. Miałem jakby atak epilepsji. Nic oczywiście już nie pamiętałem. Położyli mnie na wóz, prosto na skonfiskowane zboże, i zabrali do miasta. Byłem, jak później mówili, cały czarny i miałem sztywne kończyny, jak drewniane. Trzy miesiące przeleżałem w szpitalu, później wysłano mnie do sanatorium, a potem zebrała się komisja i ustaliła, że jestem zbyt nerwowy. Chcieli mnie wysłać na odcinek partyjno*gospodarczy. Zastanowiłem się i powiedziałem, że chcę zostać dentystą. Wzięli pod uwagę moje słabe zdrowie i zgodzili się. Może pani zauważyła, że jestem dobrym dentystą. I leczyć potrafię, i protezę zrobić. Partyjnych poglądów nie zmieniłem, ale organizm mam na to za słaby. Jak tylko trzeba się wykazać swoją partyjnością, to ja * całym sercem, ale organizm odmawia i wpadam wtedy w taki popłoch, że myślę tylko o tym, żeby nie upaść, żeby nie dostać ataku, gorączki nerwowej... jak wczoraj na zebraniu. Opowiadałem to pani w wielkiej tajemnicy, chociaż jest to zarejestrowane w karcie medycznej. Miałem możliwość oczyszczenia życiorysu. Ale myślę, nie, nie zrobię tego: a nuż znów mnie do działań operacyjnych wezmą? A ja się nie nadaję. Nie mogę i już. Ale innych wad, Medeo Georgijewno, nie mam.

„Jezu, brata Filipa rozstrzelali czerwoni, brata Nikifora powiesili biali, ale obaj przed śmiercią musieli mordować innych. A ten nie potrafił i martwi się, że był na to za słaby...”

Samuel odprowadził ją do domu. Droga była ledwo widoczna pod ich stopami. Ta część przedmieścia była wówczas zupełnie dzika, niezabudowana, zaśmiecona. Do domu Medei trzeba było przejść jakieś cztery kilometry. Samuel, który cały czas gadał jak najęty, nagle w pół drogi zamilkł. Zresztą opowiedział już o sobie

wszystko. W czasie ich małżeństwa tylko dodawał jakieś drobne szczegóły do tego, co opowiedział tamtego wieczoru.

Medea również milczała. Trzymał ją pod rękę chudym i silnym ramieniem, ale miała wrażenie, że to ona go prowadzi.

Kiedy podeszli do starego domu Charłamija, na niebie pokazał się księżyc, drzewa w ogrodzie zasrebrzyły się; brama od dawna już była zabita deskami, mieszkańcy domu korzystali z dwóch furtek z boku i z tyłu. Odkasznął i zapytał rzeczowo:

* No to co, idziemy się rejestrować?

* Nie, nie idziemy * pokręciła Medea przecząco głową. * Muszę się zastanowić.

* A co się tu zastanawiać? * zdziwił się. * Dziś mamy kolektywizację, jutro * jeszcze coś. Życie oczywiście staje się coraz lepsze, ale myślę, że we dwójkę łatwiej nam będzie je znieść. Co pani o tym sądzi?

W domu było cicho. Zdjęła szarą sukienkę, założyła inną, domową i usiadła, aby napisać list do Jeleny. Był to długi i smutny list. Ani słowem nie wspomniała o zabawnym dentyście z jego narzeczeństwem, opowiadała wyłącznie o chłopcach, którzy wyrosli i odchodzą od niej, że jest noc, że jest sama, że młodość przeminęła i czuje się bardzo zmęczona.

Nad ranem zerwał się wiatr i Medeę okropnie rozbolała głowa. Obwiązała ją starą chustą i położyła się do zimnego łóżka. Następnego dnia miała wysoką temperaturę i łamanie w kościach. Choroba, która nazywała się wtedy influenza, była ciężka i długa. Samuel Jakowlewicz czule ją pielęgnował. Pod koniec choroby był w niej zakochany po uszy, a ona czuła się ogromnie i niezasłużenie szczęśliwa: nie pamiętała, żeby kiedykolwiek ktoś przynosił jej do łóżka herbatę, gotował dla niej rosół i poprawiał kołdrę, żeby nie zmarzła. Po chorobie wzięli ślub i ich małżeństwo okazało się szczęśliwym od początku do końca.

Medea wiedziała o jego głównej wadzie: po kilku kieliszkach zaczynał strasznie przechwalać się swą rewolucyjną przeszłością i triumfalnie zerkać na kobiety. Wtedy wstawała od stołu ze słowami: „Samoniu, do domu!” * i on jak pobity pies biegł za nią. Ale taki drobiazg mu wybaczała...

...Za ścianą zapłakało dziecko * Alik albo Lizoczka. Medea nie wiedziała, które z

nich. Wstawał nowy dzień, a ona nie mogła zrozumieć, czy spała tej nocy czy nie. Takie dziwne noce zdarzały jej się ostatnio coraz częściej.

Dziecko * już wiedziała, że to była Lizoczka * żądało, żeby natychmiast iść nad morze.

* Nie rozumiem, po co ten krzyk! * denerwowała się Nika. * Wstawaj, myj się, zjedź śniadanie, a później zdecydujemy, gdzie iść...

Rozdział piąty

Do morza prowadziły dwie drogi. Szosa została wybudowana jeszcze przed wojną. Pięła się w górę, robiąc duży skręt, mijała wąwóz i schodziła gwałtownie w dół trudną do pokonania ścieżką. Główna droga prowadziła do góry i znikła za szlabanem, gdzie żyły swym podziemnym życiem wojskowe obiekty. Od niej odchodziła droga do Teodozji i tu można było złapać okazję.

Druga droga, stara, była o wiele krótsza, ale bardziej stroma i trudna. Drogi spotykały się dwukrotnie: przy wąwozie i na okrągłej polanie między Górną i Dolną Osadą. Otwierał się stąd widok wprost bajeczny. Górka, na której znajdowała się niegdyś tatarska wioska, nie była zbyt wysoka, ale, jakby zgodnie z jakąś chińską łamigłówką, krajobraz w tym miejscu łamał prawa optyki i był bardzo wyraźny, pojemny, utrzymywał się na krawędzi, za którą płaski obraz przechodzi w trójwymiarowy, łącząc w cudowny sposób perspektywę linearną i powietrzną. Płynnym, kolistym ruchem ogarniał wszystko: tarasygórek, niegdyś całe w winnicach, których resztki zachowały się już tylko na wierzchołkach, blade góry stołowe w tle, z niewielkimi porostami, stadami pasących się owiec, a wyżej i dalej * prastary górski masyw z kędzierzawymi lasami u stóp, łysinami dawnych obsunięć i gołymi skałkami o różnych przedziwnych kształtach, z martwymi kamieniami na szczytach. I trudno było powiedzieć, czy to kamienny kozuch gór pływa w niebieskiej filizance morza ciągnącego się po horyzont, czy ogromne koło gór, nie dające się ogarnąć jednym spojrzeniem, przechowuje w środku podłużną kroplę Czarnego Morza.

Medea trafiła tu z Samuelem jesienią trzydziestego pierwszego roku. Usiedli na porośniętej kaparami i szarym piołunem polanie i poczuli, że są w samym centrum Ziemi, że płynny ruch gór, rytmiczne westchnienia morza, przemieszczanie się obłoków * bystrych, półprzezroczystych i ciężkich, powolnych * swobodny, wyraźny przepływ ciepłego powietrza od strony gór, krążący cały czas w kółko * napawa absolutnym spokojem.

* Pępek ziemi * tylko tyle potrafił wycisnąć z siebie zachwycony Samuel.

Ale Medea знаła w tej okolicy kilka takich „pępków”.

Tamtego dnia postanowili tu się osiedlić, zamieniwszy dwa pokoje w domu starego Charłamijsa, zostawione Medei przez nowe władze, na starą tatarską zagrodę na samym skraju Osady, na odludziu...

Z tego miejsca startowały zwykle w stronę morza wszystkie rodzinne ekspedycje, do których często dołączały mieszkające w Osadzie przyjaciółki z dziećmi i miejscowe dzieciaki. Do zatok zbierali się zwykle zawczasu, przygotowując większe zapasy jedzenia i patyki do ustawiania parasoli * krótko mówiąc, zabierano ze sobą cały turystyczny sprzęt.

Na brzegu morza spędzali zwykle dzień, czasami dwa*trzy, w drogę powrotną zbierali się przed

zachodem słońca, żeby przejść, póki jest jasno, po trudnej ścieżce na skalnym gzymsie. Wracali do domu późno, śpiące maluchy trzeba było nieść na barana.

Czasami udawało się złapać koło wawozu okazję, ale zdarzało się to rzadko.

Medea, jak większość miejscowych, rzadko chodziła nad morze. Ale w odróżnieniu od teraźniejszych mieszkańców * powojennych przesiedleńców z Ukrainy, Kaukazu Północnego, a także Syberii, którzy nawet pływać nie umieli, urodziła się nad morzem i znała je jak wieśniak okoliczny las: wszystkie zwyczaje wody, jej zmienność i stałość, kolor zmieniający się w zależności od pory dnia i roku, wszystkie kalendarzowe wiatry i prądy. Na spotkanie z morzem wybierała się zwykle sama, ale Gieorgij namówił ją tym razem, by poszła z nimi.

Były święta, szpital zamknięty, nie miała więc jak się wykręcić. Zawiązała na głowie całkiem wypłowiałą, niegdyś czarną, chustę i przerzuciła przez ramię starą tatarską

torbę, w której miała zapasy jedzenia i strój kąpielowy.

Zamknęli dom. Klucz położyli w dawno ustalonym miejscu * dla niespodziewanych gości. Nora z Tanieczką siedziały już na Pępku, obie ubrane na biało, spod okularów Nory sterczał liść topoli, wąski, malutki, akurat na jej nos. Gieorgij sprawdził ich obuwie.

* Z Bogiem!

Karawana ruszyła. Artiom szedł pierwszy, za nim zadowolony Alik z Lizą, dalej pstrokate stadko dziewczyn i Gieorgij z Medeą na końcu.

Droga w tym miejscu łagodnie pięła się do góry i po pierwszym stromym podejściu prowadziła do Lisiego Kanionu. Płynęła tu kiedyś rzeczka, ale dawno temu wyschła, jak większość tutejszych rzek, nawet nazwy nikt nie pamiętał, i tylko w ciągu kilku dni w roku, w okresie topnienia śniegu, ożywiała się cienkim strumykiem mętnych wód. Szli w półmroku wzdłuż kamiennego dna niewielkiego kanionu. W jego ścianach, na dole glinianych, na górze kamiennych, było mnóstwo lisich nor, jak wykute w ścianie starożytne miasto. Nory były raz puste, raz zasiedlone drobnymi, dość niepokąźnymi liskami*korsakami z ponurymi mordkami i bladym futerkiem. Gieorgij cały czas się przyglądał * nie zdarzyło się jeszcze, żeby przegapił jakąś zwierzynę * miał wzrok jak u myśliwego.

Idąc Lisim Kanionem, znaleźli się koło wodospadu i skręcili na ścieżkę, która przecięła drogę i zaprowadziła ich do wąwozu. Tu, na niewielkiej, porośniętej drobnym jałowcem polance, gdzie kończyła się dłuższa, łatwiejsza część drogi, zrobili odpoczynek przed niebezpiecznym zejściem po ścieżce biegnącej wzdłuż gzymsu przybrzeżnych skał. W tym miejscu, osłoniętym z jednej strony skałami, z drugiej, zboczem dość stromej góry, zawsze unosił się mocny i specyficzny zapach * mieszanki jałowca, wodorostów, morskiej soli i ryb.

Odpoczywali zwykle krótko, żeby się nie rozkleić, a tylko zebrać siły przed ostatnim odcinkiem drogi. Gieorgij, chociaż nie stawiał sobie żadnego wychowawczego celu, co roku dawał dzieciom i całej rodzinie wspaniałe, z niczym nie porównywalne lekcje prostego życia. Od niego dzieci się uczyły, jak poganie, delikatnego i starannego obchodzenia się z wodą, ogniem i drewnem. Artiom, nie najlepszy z jego

uczniów, usiadł nie zdejmując plecaka, a Katia dawała maluchom przygotowaną w domu wodę. Każdemu niedużą szklaneczkę.

Medea siedziała z wyciągniętymi wychudzonymi nogami. Podłubała między korzeniami jałowca i zawołała Nike. Trzymała na dłoni poczerniały pierścionek z niewielkim różowym koralikiem.

* Znalazłaś? * zachwyciła się Nika. Wszyscy wiedzieli o niezwykłym darze Medeji, ale ta pokręciła głową:

* Jakby to powiedzieć?... Znalazłam, ale zgubę. Twoja matka zgubiła go tu kiedyś. Myślała, że morze zabrało. Okazuje się * nie...

Położyła na dłoni Niki skromny pierścionek i pomyślała:

„Czyżby mnie to wciąż obchodziło? Chyba tak...”

* Kiedy? * rzuciła Nika. Domyśliła się, że dotyka zakazanego tematu, dawnej niezgody między siostrami.

* Latem czterdziestego szóstego * rzuciła Medea.

Nika trzymała pierścionek na dłoni, koral wciąż świecił żywym różowym kolorem. Wszyscy zebrali się wokół, patrzyli na dłoń, jakby leżało tam jakieś żywe stworzenie. Geоргij zerknął ponad głowami kobiet:

* Tatarskie. Matka też ma podobny. Katia rzuciła chciwe spojrzenie:

* Mamo, daj przymierzyć.

Masza wyciągała rękę, żeby lepiej się przyjrzeć. Niewielkie cudo, a jednak! Nagle mała Tania zawołała:

* Patrzcie! Patrzcie, kto idzie!

Ze stromego zbocza górki mknął w ich stronę

jakiś człowiek. Pędził z szybkością narciarza, raz przeskakując przed rzadkie krzaki, raz zjeżdżając na prostych nogach razem z kamykami, kucając, skręcając i hamując na jednej czy na drugiej nodze. Twarz była schowana pod daszkiem bejsbolówki, ale Nora od razu poznała po białych džinsach swojego sąsiada.

Geоргij patrzył krytycznie. Chłopak wprawdzie był wysportowany, ale od razu widać, że goguś. Butonow, wyprzedając nieduży potok kamieni, wyleciał na środek polany, podskoczył w miejscu i znieruchomiał jak posąg. Otrzeptał się i powiedział do

Nory:

* Zauważyłem was w Osadzie, kiedy podchodziliście do drogi, no i dogoniłem. Wszyscy, włącznie z Medeą, patrzyli na niego z zainteresowaniem. Był do tego przyzwyczajony. Zdjął czapkę, obtarł twarz dłońmi i otrzepał ręce, jakby była na nich woda.

* Wchodziłeś na Karatasz z lewej strony? * rzeczowo spytał Georgij.

* Gdzie? * nie zrozumiał Butonow.

* Na tę górkę * wskazał Georgij.

* Z lewej * potwierdził Butonow.

Georgij wiedział o tej schowanej ścieżce, ale nie prowadził nią, kiedy był z dziećmi, uważając osypujące się zejście za niebezpieczne.

* Kto to jest? Kto? * Masza nie dawała spokoju Nice.

Nika wzruszyła ramionami:

* Wczasowicz. Mieszka u pani Ady. Przychodził wczoraj z Norą.

* Ach tak, słyszałam, że ktoś przychodził. Kładłam dzieci spać i też zasnęłam.

* I widzisz, jakiego przystojniaka przespałaś. Piękne zwierzę * szepnęła jej na ucho.

* No, starczy, wstajemy, wstajemy! * rozkazał Georgij.

Liza zaczęła marudzić, obejmując nogi matki:

* Mamuś, wież mnie na ręce, jestem zmęczona...

* Idź sama, jesteś dużą dziewczynką * ta odsunęła w zamyśleniu córkę.

* Maszo, ponieś mnie trochę * mała uczepliła się Maszy.

* Kim on jest? * zapytała Masza.

* Sportowiec czy masażysta * mruknęła Nika. * Nie wysilaj się, nie jest w twoim typie. Jakiś frajer. * I zawołała do stojącego niedaleko Butonowa: * I co, Walera, w ostatniej chwili pan się namyślił, postanowił pan nas dogonić?

* Z góry zobaczyłem, że towarzystwo sympatyczne... Myślę, co ja frajer jakiś, sam w całej Osadzie zostanę...

Masza z Niką roześmiały się: czyta w myślach!

* A co, gospodarze też gdzieś poszli? * spytała Nika.

* Od kilku dni piją, mają gości. A ja za tym nie przepadam * niespodziewanie oschle

odpowiedział Butonow, wyczuwając chyba, że kobiety śmieją się z niego.

Georgij zwrócił się do Butonowa:

* Idę pierwszy, a ty na końcu.

Walerij skinął głową. Georgij skoczył w dół na ścieżkę. Butonow przepuścił wszystkich do przodu. Masza z Lizą na plecach szła przed nim. Dogonił ją, dotknął jej przedramienia:

* Poniosę pani córkę.

Masza pokręciła przecząco głową:

* Ona nie zechce. Niech pan weźmie Alikę. Alik się nie zgodził.

Masza pomacała miejsce, gdzie dotknął ją sportowiec, czy jak mu tam... Piekło ją.

Odruchowo dotknęła drugiego przedramienia * nie, piekło tylko w tym miejscu, gdzie dotknął. Zatrzymała się, postawiła Lizę na ziemi i powiedziała do niej cicho:

* Lizuniu, idź sama, niedobrze mi się zrobiło... Liza popatrzyła na nią ze zrozumieniem:

* Wezmę twoją torbę.

* Skarbie ty mój * ucieszyła się Masza, zaskoczona niespodziewaną troską ze strony rozpieszczonej dziewczynki. * Jak się zmęcę, to cię poproszę, dobrze?

Zaczynała się gzymsowa ścieżka. Jakies sto lat temu przechodziła tędy droga, po której tutejsi przemytnicy przeprawiali przez zatoki swoje kosztowne towary, ale wtedy mogła tu przejechać nawet arba.

Arba * wóz do przewozu zboża (przyp. tłum.)

Z czasem ścieżka robiła się coraz węższa. Przemytnicy, którzy niegdyś opiekowali się drogą * ustawiali podpory, wzmacniali skarpy * dawno już poumierali, jeden ze starości, innych zabili, a ich potomkowie albo zostali wysiedleni, albo stali się urzędnikami, najpierw w urzędzie ziemskim, później w radzie rejonowej, czyli przeczucili się na inny rodzaj rozboju. Jedynie Medea pamiętała jeszcze o romantycznej zbójeckiej przeszłości tych okolic, no i może paru starych mieszkańców Krymu, którzy dawno przeprowadzili się w najlepszym wypadku do Krymu Środkowego.

* Za sto lat całkiem się skruszy * zauważył Georgij.

Medea beznamiętnie skinęła głową. Katia i Artiom jakby nie słyszeli tej uwagi * dla starych i małych sto lat * to zbyt duża, choć z różnych przyczyn, perspektywa, żeby mówić o tym poważnie.

Nora, bojąc się patrzeć w przepaść, trzymała Tanieczkę wilgotną od strachu ręką, a ta nie chciała, żeby Gieorgij brał ją na barana. Nora żałowała, że wzięła dziecko na tak niebezpieczną wyprawę. Co za głupota! Ale nie mogła przecież zawrócić teraz sama w pół drogi... Tanieczka, o dziwo, nie marudziła, ale, kierowana jakąś własną fantazją, tylko pytała od czasu do czasu:

* Mamusiu, a zamek będzie?

I nie mogła zrozumieć, że nie będzie. Morze będzie, a zamku * nie będzie.

Ale na ostatnim odcinku gzymsowej ścieżki zamek rzeczywiście się pojawił. Był to wapienny wywietrzały górski masyw ze sterczącymi na różnej wysokości gotyckimi iglicami. Kontynentalny granit odnogi Karadaga, wulkaniczne tufy i trzeciorzędowe warstwy osadowe to, według Gieorgija, absolutnie unikatowe połączenie pokładów geologicznych, jakich nie ma nigdzie indziej. Wielometrowe sopele jakby wyrastały do góry, miejscami pionowo, miejscami, gdzie szalał ciągły wiatr, zgodnie przechylały się w jedną stronę, jak wystawione na powierzchnię macki jakiegoś monstrualnego podziemnego gada.

* Mamusiu, popatrz, przecież jest zamek! * zawołała Tania i wszyscy się roześmiali. To był tak niezwykle widok, że nie dało się tego długo wytrzymać, chciało się od niego jak najszybciej uciec * był zbyt niezmierny.

Medea, za każdym razem kiedy się tu znajdowała, wspominała niezżyjącego malarza Bogajewskiego, którego znała z czasów gimnazjum, jednego z licznych teodozyjskich malarzy, ale najbardziej chyba znanego po Ajwazowskim. Jego dziwne obrazy nawiązywały do tych skalnych tworów, czarno*zielonych przepaści i różowych pęknięć Karadagu. Nie podobały jej się, wydawały się wydumane, zbyt nieprawdopodobne, ale kiedy tu trafiała, przekonywała się, że może i jest to dziwne i nierealne, a jednak istnieje, zmienia kształty. Duże jasne ziarnka piasku spadają w dół i cała plaża, jedyna taka w okolicy, była z nich usypana...

Jakieś trzydzieści metrów dalej ścieżka bojaźliwie odrywała się od skały i dzieliła się

na kilka krętych, zbiegających ku morzu. Tu zdejmowano młodszych z pleców, puszczano ręce starszych i wszyscy schodzili w dół przesmykami, szczelinami, obok nierównych kamiennych brył i dostawali wreszcie swą nagrodę: morze w tym trudno dostępnym miejscu było krystalicznie czyste, niepowtarzalne, odkrywane za każdym razem jakby od nowa.

Zatoczki się łączyły i miały cienkie kamienne przegródki. Wcinały się dość głęboko w brzeg i w morzu sterczało naprzeciwko nich kilka dużych skał. I zatoczki, i morskie kamienie różnie nazywano, ale przez ostatnie dziesięć lat nosiły imię Medei. Na początku nazywali je tak młodzi krewni Medei, później przyłączyli się do nich powojenni przesiedleńcy, a w ślad za nimi wszyscy, którzy jeśli nawet słyszeli coś o Medei, to raczej o tej mitycznej. Zejście do wody było niewygodne, całe w nierównych kamiennych bryłach usypanych dużymi otoczakami. Bryły były porzucane chaotycznie, jakby znajdował się tu kiedyś plac zabaw dla dzieci trolli. Pięknych kamyków * chalcedonów, krwawników, różnokolorowego krymskiego jaspisu * jak w zatoce koktebelkiej, tu nie było. Było za to mnóstwo jasnych, wciętych pośrodku otoczaków, kamyków*ósemek, i zwały morskich śmieci, pozostawionych po sztormach. A na samej krawędzi brzegu, przy wodzie, błyszczał śnieżnobiały piasek.

Wszyscy zeszli do morza, rzucili rzeczy i stanęli w milczeniu. Zapadła, jak zawsze, chwilowa cisza, pełna szacunku w obliczu względnej wieczności, która delikatnie pluskała się u ich stóp.

Katia pierwsza zdjęła trampki i poszła do wody swym zmanierowanym baletowym krokiem. Teraz, kiedy odwróciła się do Artioma tyłem, mógł wreszcie na nią popatrzeć, nie obawiając się jej kpiącego i nieprzyjaznego spojrzenia. Ale nawet jej plecy jakby mówiły, że nikogo nie potrzebuje i nie chce żadnej przyjaźni.

Artiom cierpiał, patrząc na jej sztywne plecy, małą główkę z przylizanym kokiem na czubku jak u Mary Poppins. Stąpając po kamykach, wyginała się na różne strony i stawiała stopy palcami na zewnątrz, a jej mocne łydki, wypukłe po wewnętrznej stronie, trochę drżały przy każdym kolejnym kroku. Szła wzdłuż wody i też cierpiała, odczuwając jednocześnie przyjemność. Wiedziała, że pięknie idzie, ale patrzył na nią

tylko Artiom, ten żółtodziób, wujek Gieorgij zaś, jeśli nawet i patrzył, to z dezaprobatą, a ten nowy sąsiad w ogóle jej nie zauważał... Szła jak w balecie, ale najokropniejsza rzecz już się stała, wyrzucili ją ze szkoły, bo źle skakała. Potrafiła robić obroty, rozciągnąć się też, ale skoczyć porządnie już nie, czyli krok miała lekki, jakby unosiła się w powietrzu, ale polecieć na scenie nie umiała i nauczyciele wiedzieli, że nigdy się tego nie nauczy... Weszła do płytkiej wody, na której powierzchni unosiły się różowe wodorosty, dotknęła je swą baletową stopą i poczuła, że są chłodne, ale przyjemne jak aksamit...

* Bardzo zimna? * zapytała Nika.

* Jedenaście stopni * odpowiedziała poważnie Katia.

* Koszmar! * przeraziła się Nika.

* Przy trzynastu można już pływać * zauważyła Masza i poszła do wody.

Za nią podążyły maluchy, cała trójka. Alik prowadził za rękę Lizę, a drugą próbował przytrzymać Tanie.

* Bawidamek rośnie * mruknęła Nika.

* Nie masz racji! Po prostu jest życzliwy * zaprzeczył Gieorgij.

Nika już chciała coś odpowiedzieć, ale nagle usłyszała głos Medei:

* Podoba mi się to pokolenie dzieci. I tych dwoje, i Rewazik Tomoczki, i Brigita, i Wasieńka.

* Czy dzieci nie są zawsze takie same? * zdziwiła się Nika. * Czy te różnią się czymś od Katii z Artioszą albo od nas, kiedy byliśmy mali?

* Kiedyś pokolenie liczono co trzydzieści lat, teraz, myślę, że zmienia się co dziesięć. Te * Katia, Artiom, bliźniaki Szuszyny i Sofiko * wiedzą czego chcą. Wyrosną na realistów. Ale drobiazg jest bardzo delikatny, kochliwy, u nich wszystko trzyma się na uczuciach, na emocjach...

Medea nie zdążyła skończyć, gdy od strony morza dobiegł rozpaczliwy krzyk Lizoczki:

* Puszczaj, puszczaj jego rękę! Niech go puści! * Liza wyrywała Alika z rąk Tani, a Tania, opuściwszy głowę, dalej ciągnęła go za rękę. Wszyscy się roześmiali.

* Ach, te baby...

Nora pomknęła do Tani, chwyciła ją za rękę i zaczęła coś do niej szeptać... Znała tych ludzi zaledwie od kilku dni, bardzo jej się podobali, pociągali, ale nie mogła ich zrozumieć * obchodzili się z dziećmi inaczej niż ona z córką.

„Zbyt krótko je trzymają” * wydawało jej się rano.

„Na zbyt dużo im pozwalają” * dochodziła do wniosku trochę później.

„Strasznie ich rozpieszczają” * myślała wieczorem.

Zachwycała się nimi, zazdrościła i jednocześnie osądzała, nie domyśliwszy się jeszcze, że po prostu poświęcali swoim dzieciom tylko pewną część swego życia, a nie całe.

* Artiom, nazbieraj drewna * cicho polecił Gieorgij synowi.

Chłopiec zaczerwienił się: ojciec zauważył, jak ten się gapił na Katię. Schylił się, podniósł kawałek deski wyrzuconej na brzeg w czasie sztormu.

* Zbieraj wyżej, tam jest więcej suchego * poradził Gieorgij i Artiom z ulgą pobiegł na górę.

Gieorgij chwycił dwa wiadra na wodę.

* Pójdę z panem * zaproponował Butonow. Gieorgij wolał iść sam do tego starego miejsca,

które pokazała mu kiedyś w dzieciństwie Medea, ale z grzeczności nie odmówił.

Dzień zapowiadał się ciepły, a nawet gorący. W tym tajemnym miejscu * Medea wiedziała o tym od dawna * przyroda żyła jakimś bardziej intensywnym życiem: w zimie było tu chłodniej, latem * bardzo gorąco; wiatry w tym osłoniętym miejscu kręciły się z podwójną siłą, a morze wyrzucało na brzeg niezwykle ryby, jakich nie widziano na wybrzeżu od stu lat, mięczaki i różne żyjątka, zamieszkujące głębiny, i małe morskie rozgwiazdy, o wielkości dziecięcej dłoni.

Medea włożyła strój kąpielowy. Był to krzyk paryskiej mody z dwudziestego czwartego roku, który przywiozła dla niej pewna literacka sława z tamtych lat. Strój, który całkowicie stracił swój pierwotny kolor, miał krótkie rękawki i coś w rodzaju spódniczki, wszystko starannie odnowione przez Nike za pomocą kawałków dzianiny w ciemnognatowym i ciemnoczerwonym kolorze, ale Medea nie wyglądała w tym

śmiesznie. Choć w czasie sierpniowego świętowania jej urodzin i zamknięcia sezonu dziecięcego, które urządzano u niej w domu, było mnóstwo chętnych do założenia tego stroju, na wszystkich, prócz Medei, wyglądał jak kostium klauna.

* Chcesz się kąpać? * zdziwiła się Nika.

* Zobaczymy * padła nieokreślona odpowiedź.

Nora z goryczą pomyślała o swej matce, przedwcześnie postarzałej, ze spuchniętymi białymi nogami o granatowych żyłach, która walczyła ze swoim wiekiem histerycznie i nerwowo, o jej ciągłych płaczliwych żądaniach, stanowczych radach i zaleceniach.

„Jezu, jakie oni mają normalne ludzkie stosunki, nikt niczego od nikogo nie żąda, nawet dzieci” * westchnęła.

A tymczasem szlochająca Liza biegła do matki z żądaniem, żeby Tania natychmiast oddała znaną przez nią rybę, bo to ona ją pierwsza zauważyła, a Tania jej zabrała...

Nika siedziała po turecku. Ani mrugnęła, tylko poszukała ręką po omacku z tyłu i wyciągnęła zza pleców płaski kamień, chwyciła z rozsypanych wokół kamieni malutki czerwony i zaczęła pocierać czerwonym kamieniem o szary.

Nie zaczęła uspokajać Lizy, nie próbowała mieszać się w sprzeczkę, więc Nora, która już chciała prosić córkę, żeby ustąpiła i oddała rybkę, też się wstrzymała i postanowiła się nie wtrącać.

* Zaraz coś takiego namaluję, że w życiu się nie domyślicie, co to jest * rzuciła Nika gdzieś w przestrzeń i Liza, wciąż becząc, popatrzyła z zainteresowaniem w jej stronę. Matka zasłoniła rysunek ręką i dziewczynka podeszła do niej z boku, żeby zobaczyć, ale Nika odwróciła się.

* Mamo, pokaż * poprosiła Liza.

Nora podziwiała talent wychowawczy Niki.

W czasie przyrządzania obiadu zachwyciła się nim po raz kolejny. Nika gotowała zupę z koncentratów w krzywym kociołku nad ogniskiem, wrzucając do niego okruszki i kawałki chleba, pozbierane ze stołu po śniadaniu i zawinięte w płótno, posiekane resztki wczorajszego szczawiu, a nawet listki macierzanki zerwane po dro

dze do zatoki.

Była to szkoła kulinarna Medei, a ściślej mówiąc, Matyldy, biorąca pod uwagę dużą rodzinę i skromne dochody. Medea nigdy niczego nie wyrzucała, nawet z obierek ziemniaków potrafiła zrobić chrupiące ciasteczka z solą i ziołami * świetne, jak twierdził Georgij, do piwa.

Ale Nora nic o tym nie wiedziała. Jadła ze wspólnego kotła zawieszoną, smakowicie pachnącą zupę, trzymając pod drewnianą łyżką kawałek chleba, jak to robiła Medea, z dawno zapomnianym dziecięcym uczuciem głodu i zerkała w bok, gdzie przy osobnym kamiennym stole siedziały maluchy. Była to kolejna rodzinna tradycja * karmić dzieci przy osobnym stole.

* Nora, proszę mi nalać zupy * Georgij podał Norze pustą miskę Medei.

Ta schyliła się zmieszana nad kociołkiem.

* Kubkiem, kubkiem niech pani nabierze, tu nie ma chochli * podpowiadał.

„Pasują do siebie * pomyślała Nika. * Nawet bardzo. Dobrze by było, jakby poromansował tu z nią trochę. Jakiś przybity jest ostatnio”.

Nika jak myśliwy wyczuwała miłosną zdobycz, nawet cudzą. Wybrała już wczoraj na swoją ofiarę Butonowa. Dużego wyboru tu zresztą nie było, a ten był przystojny, dobrze zbudowany i swobodnie się zachowywał. Nie miał wprawdzie wyrazistej osobowości, co Nika bardzo ceniła, i żadnych zapraszających sygnałów, szczerze mówiąc, nie wysyłał.

„Dobrze, zobaczymy” * pomyślała.

Butonow jadł zupę w milczeniu, nie zwracając na nikogo uwagi. Obok niego siedziała Masza, smętna i jakaś przygarbiona. Ręka wciąż piekła, jak po uderzeniu w policzek, chciała przeżyć ten dotyk jeszcze raz. Specjalnie usiadła obok niego i przekazując łyżkę i chleb dotknęła go dwa razy, ale nic nie poczuła, tylko jakby zabolą ją gdzieś w środku. Siedział obok niej, nieruchomy jak buddysta i promieniował niezłomną siłą. Masza nie mogła usiedzieć w miejscu i wreszcie zrozumiała, nienawidząc siebie za to, że wymyśliła całą tę krzątaninę tylko po to, żeby się do niego zbliżyć. Odłożyła łyżkę, wstała i poszła w stronę morza, zrzucając po drodze białą męską koszulę, która chroniła ją przed słońcem. Rzuciła się z

rozpędu do wody i od razu popłynęła, wstrzymując oddech i z całych sił uderzając o wodę nogami i rękami.

„Szaleje dziewczyna” * pomyślała Medea.

Butonow patrzył w jej stronę.

* A woda zimna.

* Katia mówi, że jedenaście stopni, a ona zastępuje nam termometr * obejrzała się do niego Nika.

„Aha, zaczepiasz” * pomyślał Butonow, rzuciwszy na nią chłodne, trzeźwe spojrzenie, i niespiesznie poszedł w stronę morza. Masza już wychodziła z wody, potrząsając głową i ciężko dysząc.

* Jak w przerębli * wystukała zębami.

* Mocne przeżycie * zgodził się Butonow. Masza wyciągnęła się na zimnych kamieniach

i przykryła białą koszulą. Było jej zimno i gorąco jednocześnie.

Butonow usiadł obok Medei:

* A pani, Medeo Gieorgijewno, ponoć przez całą zimę się kąpie?

* Nie, kochany, od dwudziestu lat już tego nie robię.

Zupa została zjedzona i Nika kazała wymyć kociołek.

* Dlaczego to zawsze ja? * naburmuszyła się Katia.

* Dlatego * uśmiechnęła się Nika, i Nora po raz kolejny się nią zachwyciła: żadnych mów, wyjaśnień, argumentów.

Niezadowolona Katia wzięła kociołek i poszła do wody.

* Katiu! Zapomniałaś! * zawołała za nią Nika.

* O czym? * obejrzała się Katia.

* Uśmiechnąć się! * odpowiedziała Nika, robiąc pocieszoną minę.

Katia schyliła się w głębokim teatralnym ukłonie z przyciśniętym do piersi kociołkiem.

* Wspaniale! * pochwaliła Nika.

Jak odważnie potrafi zniekształcać swoją piękną twarz, rozciągać ją palcami i robić miny, demonstrując dzieciom raz małpkę, która dostała środek przeczyszczający, raz

języka, który chce pocałować mamę, ale igły przeszkadzają * i w ogóle się nie boi, że będzie brzydko przy tym wyglądać! Nora dziwiła się i nie mogła tego pojąć.

Medea nie zwracała na to wszystko żadnej uwagi. Odwróciła się plecami do morza i patrzyła, unosząc głowę, na góry, takie bliskie i takie dalekie. W młodości bardziej lubiła morze, a teraz góry wydawały jej się ważniejsze. Myślała również o miłosnej udręce * wzajemnym przyciąganiu, delikatnych ruchach duszy i ciała * która zaczęła powoli ogarniać jej młodych krewnych...

Rozdział szósty

Znaleziony w zatoce pierścionek rzeczywiście należał kiedyś do Aleksandry. Medea zapamiętała lato czterdziestego szóstego roku jako okres największej przyjaźni między siostrami. Spotkały się wtedy po wojnie po raz pierwszy. Medea całą wojnę spędziła na Krymie, w Osadzie; Sandra * w Moskwie, kategorycznie odmawiając ewakuacji do Kujbyszewa, dokąd wysyłano na początku wojny rodziny wojskowych. Wtedy, w roku czterdziestym szóstym, nie czuły już różnicy wieku i Medea przestała wreszcie się zamartwiać młodszą siostrą: co ta jeszcze wymyśli?

Aleksandra była zmęczoną życiem, wojenną wdową z trójką dzieci, która najlepszy swój czas miała już za sobą. I nic nie zapowiadało tego, że znów coś wymyśli...

Zguba pierścionka wcale jej nie zmartwiła. Gubiła rzeczy łatwo i często, do niczego zbytnio się nie przywiązuując, więc rzeczy też się jej nie trzymały. Ale Medea nie mogła przestać myśleć o tym znalezionym po trzydziestu latach pierścionku. Może dlatego, że wiedziała, iż prócz zwykłych związków przyczynowo*skutkowych istnieją również inne, łączące zdarzenia raz w sposób jawny, raz ukryty, a innym znów razem w ogóle niepojęty.

„No dobrze, jeśli muszę się dowiedzieć, to się kiedyś dowiem" * pomyślała z całkowitą ufnością

do tego kogoś, który wszystko wie * i od razu się uspokoiła.

Pierścionków Sandra miała całą kolekcję, już w dzieciństwie lubiła wieszać na sobie różne błyskotki, a jej młodość przypadła na okres, kiedy ta miła kobieca słabość była

okrutnie tępiona przez opinię społeczną.

W latach dwudziestych Medea nie miała czasu na głupoty * była sierotą z wielodzietnej rodziny, całkowicie pochłoniętą troską o młodsze rodzeństwo.

Sandrocza z kolei, z natury lekkomyślna, choć nie głupia, rozdmuchiwała tę swą dającą się wybaczyć wadę jak balon powietrzny i wydawało się, że zaraz odleci na nim nie wiadomo dokąd i po co.

Z czasem ta jej niegroźna wada tak się rozwinęła, że zamachy na jej wolność ze strony różnych misjonarzy z RLKSM, WLKSM i z innych organizacji młodzieżowych kończyły się za każdym razem tak samo: wszyscy byli przekonani, że absolutnie nie będzie z niej wartościowej obywatelki, a jej głęboko zakorzeniona lekkomyślność zwalniała ją od obowiązku uczestniczenia w wielkiej sprawie budowy... ale czego * Sandroczyki to już nic a nic nie obchodziło.

Medea, która jako jedyna w rodzinie skończyła gimnazjum, ale nie otrzymała pełnego wykształcenia w wyniku wojny i rewolucji, marzyła o tym, żeby wykształcić młodsze rodzeństwo. Z Sandrocza jej się jednak nie udało. Siostra uczyła się słabo, chociaż była zdolna. W miejskiej szkole, do której chodziła, pracowali jeszcze starzy nauczyciele z gimnazjum i szkoła nie była zła. Medea przychodziła czasami po siostrę i stary geograf, wielki znawca Krymu, Nikołaj Leopoldowicz Welde, zabierał ją do pokoju nauczycielskiego, okropnie narzekał na dzisiejszych uczniów i z utęsknieniem oddawał się wspomnieniom o czasach, kiedy prowadził panienki w najbardziej dzikie i ukryte zakątki Karadagu. W tych wspólnych wspomnieniach kryła się nadzieja, że wszystko jeszcze jakoś się ułoży, wróci do normalności, czyli do czasów przedwojennych, przedrewolucyjnych.

I chociaż to normalne życie nigdy już nie wróciło, wszystko stopniowo jakoś się ułożyło. Chłopcy wyrosli. Jak wszystkich mężczyzn z rodziny Sinopli ciągnęło ich morze. Łowienie ryb, co było dla innych chłopców tylko zabawą, dla nich było źródłem utrzymania i stary Grisza Porcellini, który pracował w młodości u Charłamijskiego, zabierał ich na nocny połów cefali, a to już była naprawdę poważna sprawa.

W dwudziestym czwartym roku Sandrocza skończyła siedmioletnią szkołę. Medea

zastanawiała się, co zrobić z siostrą dalej, głodu wprawdzie już nie było, ale bezrobocie * ogromne.

Myślała o tym przez dwa dni, nawet we śnie. Trzeciego dnia, idąc do pracy * pracowała wtedy na oddziale położniczym miejskiego szpitala w Teodozji * spotkała Nikołaja Leopoldowicza Welde na porannym spacerze do Kwarantanny.

Kwarantanna * podmiejski rejon Teodozji (przyp. tłum.)

Nie zdążyła mu powiedzieć, co ją trapi, usłyszała, że ma wpaść do niego po pracy, jakby od dawna już wszystko za nią zdecydował.

I rzeczywiście, wszystko już było załatwione. Miał przygotowany list do kierownika Karadagskiej stacji naukowej, swego starego przyjaciela.

* Nie wiem, czy ma w tej chwili wolne miejsca, ale stacja jest teraz w gestii Głównauki, może więc zwiększyli zatrudnienie. Głównauka * Centralny Urząd do spraw Nauki (przyp. tłum.)

Tym bardziej że latem przyjmują przyjeżdżających naukowców i pracy jest więcej. * Podał jej kopertę.

Medea wzięła do ręki szarą kopertę z marnego papieru i od razu poczuła, że wszystko będzie w porządku. Za każdym razem, kiedy sięgała po stare znajomości, zwracała się o pomoc do dawnych znajomych, wszystko dało się załatwić.

Dobrze знаła tę stację i jej obecnego kierownika, a nawet pamiętała jej założyciela, Tierentija Iwanowicza Wiaziemskiego. Przyjeżdżał do Stiepanianów tamtego lata, kiedy gościła u nich na dacz w Sudaku po raz pierwszy, właśnie w sprawie owej stacji * zaniedbany staruszek w burym ze starości surducie, z kobiecym szalikiem zawiązanym jak staromodny krawat, a z nim drugi, Solomon Solomonowicz Krym, człowiek nie mniej interesujący, ale zupełnie innego typu, z okrągłą twarzą, brzuszkiem, szpakowatymi brwiami, mówił po rosyjsku i po francusku z mocnym żydowskim akcentem, był członkiem Dumy Państwowej i miejscową znakomitością. Stiepanian, znany filantrop i mecenas, nie wiadomo z jakich przyczyn, odmówił im wtedy pomocy i opowiadał po kolacji, jakim oryginalnym i niezwykłym człowiekiem jest ten doktor Wiaziemski, fizjolog, zwalczający alkoholizm i głoszący dziwne idee. Przez długi czas nie mógł pożegnać się z najdziwniejszym ze swych pomysłów: otóż

uważał, że zamykając w więzieniu osoby inteligentne, państwo traci znaczną siłę intelektualną, którą można by wykorzystać w interesie tegoż państwa, trzeba tylko stworzyć w więzieniach laboratoria, w których mogliby pracować ku chwale ojczyzny. Tierentij Iwanowicz bardzo przekonująco przedstawił ten pomysł ówczesnemu ministrowi oświaty hrabiemu Delanowinowi. Hrabia uznał go za szaleńczy, a nawet niebezpieczny, ale idea ta z powodzeniem została wykorzystana kilka dziesięcioleci później.

* Cest un grand original * wymamrotała Armik Tigranowna i odesłała dzieci na górę do łóżek.

O zwariowanym pomysle nieszkodliwego szaleńca na szczęście szybko zapomniano. Kilka lat później włożył wszystkie swoje pieniądze w budowę stacji naukowej w swej posiadłości w Karadagu, dostępnej dla każdego poważnego badacza, nawet bez tytułu naukowego i nie będącego w najlepszej formie fizycznej, bo mógł wtedy przy okazji kurować się na miejscu, nie mając do tego środków. Doktor Wiaziemski miał zamiar otworzyć również sanatorium, z którego wszystkie dochody byłyby przeznaczane na prace badawcze...

Następnego dnia Medea pojechała z siostrą na stację. Kierownik szczerze się ucieszył na jej widok. Jego starsza córka, Ksenia Ludzka, uczyła się razem z Medeą w gimnazjum, razem z nią pracowała w szpitalu wojskowym i zmarła w dziewiętnastym roku na tyfus. Stary Ludzki poszedł powiedzieć pracownikowi pilnującemu porządku, a dawniej po prostu dozorca, żeby przygotował dla Sandroczki mały narożny pokój w mieszkalnej części stacji. Wypili herbatę, powspominali wspólnych znajomych, których mieli wielu, i bardzo ciepło się pożegnali.

Trzy dni później Sandroczka zamieszkała na stacji i zaczęła uczyć się prowadzenia praktyk dla studentów, którzy mieli przyjechać tamtego roku z Moskwy, Leningradu, Kazania i Niżniego Nowgorodu.

Jej pierwszy sezon był wesoły i udany. Na początku romansowała z pewnym pracownikiem naukowym z Charkowa, a kiedy wyjechał po zebraniu potrzebnej ilości robaków, pojawił się bardzo sympatyczny geolog, który sporządzał

jednowiorstwową mapę geologiczną Karadagu. Przydzielono mu Sandroczkę do pomocy, ponieważ potrzebował partnera do prac zdjęciowych. Partnerami okazali się cudownymi, oboje wysocy, z rudawymi włosami, brązowymi oczami, otwarci i weseli. Geolog, któremu na imię było Aleksander, co również ich bawiło, stawiał cienki krzyżyk na nowej mapie w miejscach, gdzie można było wygodnie się rozłożyć, i od czerwca do końca października Sandra ciężko harowała dla nauki. Zaczęła od Grzbietu Brzegowego, zaliczając wszystkie jego pięć masywów, od Łobowego do Kok*Kaja. Później pogoda się popsowała, geolog wyjechał, odłożywszy zakończenie prac na przyszły rok.

Zima była nudna. Sandra bardzo się przykładała w bibliotece i w muzeum stacji i, jak się okazało, była bystra i skora do nauki, potrzebną jej do pracy wiedzę zdobywała bez trudu, ale nic ponad to. Pod koniec marca zaczęli się zjeżdżać naukowcy, życie ruszyło do przodu, do tego wszystkiego zaczął znów działać ośrodek szybowcowy, poprzednio porzucony, a na górze Klementjewskiej w spokojnym Koktebelu pojawili się świetnie zbudowani sportowcy i romantyczni wynalazcy. W wyniku tego wszystkiego, kiedy powrócił zeszłoroczny geolog, Sandroczka była już zakochana w lotniku, którego po miesiącu zmienił jego brat bliźniak, tak do niego podobny, że nawet nie zauważyła momentu, kiedy ten drugi zmienił pierwszego.

Medea nie mieszała się do życia osobistego siostry i cieszyła się, że ta jest w dobrym miejscu, gdzie nikt jej nie krzywdzi, a wręcz przeciwnie * rozpieszczą * i martwiła się głównie o młodszych braci. Dimitrij miał zdolności matematyczne, marzył o szkole artyleryjskiej. Medea próbowała delikatnie zniechęcić go do wojskowej kariery, ale on, zrozumiałwszy jej zamiar, zamknął się w sobie, oddalił od niej i dawał na różne sposoby do zrozumienia, że jest drobnomieszczanką i nikomu niepotrzebną zwolenniczką starego reżimu. Konstantin, o dwa lata starszy od brata, do wojska się nie garnał, a dalej pływał z wujkiem Griszą Porcellini na ryby i chyba o niczym innym nie marzył, jak tylko o stawianiu sieci, zgarniakach i innym sprzęcie rybackim. Medea martwiła się lekkim ochłodzeniem stosunków między nią a braćmi, tym bardziej że i Sandrę widywała teraz dość rzadko. Siostra przyjeżdżała do Teodozji

dwa razy w miesiącu, biegała po znajomych i opowiadała o wszystkim przy kolacji dość pobieżnie, głównie o wycieczkach i znaleziskach, nie wdając się w szczegóły swego bogatego życia osobistego. Medea i tak się domyślała, że siostra w pełni korzysta z uciech życia, bawi się na całego i zbiera miodek ze wszystkich kwiatków. Myślała wtedy smutnie, że tylko ona nie ma własnego życia i chyba już nigdy nie będzie miała. Nie cieszyła się zbytnim powodzeniem wśród mężczyzn. Jej twarz jak z ikony, malutka główka, już wtedy obwiązana szalem, płaska, jak na gust teodozyjskich mężczyzn, figura, nie znajdowały adoratorów.

„Widocznie mój narzeczony zginął na wojnie” * doszła do wniosku i pogodziła się z tym. Ale Sandrę trzeba było wydać za mąż jak najszybciej.

Sandra pracowała na stacji trzeci rok, a ściślej mówiąc, trzeci sezon, kiedy jej przyszły mąż zbierał się na moskiewskiej ulicy Polanka w delegację naukową na Karadag.

Aleksiej Kirilowicz Miller pochodził z dość znanej petersburskiej rodziny, mającej niegdyś trochę podejrzaną reputację „postępowej” i stare humanistyczne tradycje. Jego przodek pochodził z Niemców sprowadzonych przez Piotra I do Rosji, obaj dziadkowie, ze strony matki również, byli profesorami. Ojciec był bardzo obiecujący w naukach przyrodniczych, kształcił się w Anglii, ale zginął młodo, przed trzydziestką, w ekspedycji naukowej na Północy. Aleksieja Kirilowicza wychowała bogata ciotka, dama wykształcona, pomagająca mężowi w prowadzeniu wydawnictwa. On sam też studiował w Anglii, ale wrócił do Rosji nie obroniwszy pracy doktorskiej w przeddzień pierwszej wojny światowej. Dzięki nieznaczej wadze wzroku był zwolniony ze służby wojskowej i po obronie doktoratu na Uniwersytecie Moskiewskim został tam na początku w charakterze asystenta, później docenta. Był entomologiem i zajmował się owadami o wysokim poziomie organizacji społecznej. Był tak naprawdę jednym z pierwszych specjalistów w zoosocjologii. Jego ulubionymi obiektami badań były osy i mrówki. Te nieme stworzenia potrafiły odsłonić przed uważnym badaczem tajemnice życia w wielotysięcznych miastach*państwach o skomplikowanej administracyjnej, gospodarczej i wojskowej strukturze.

Wiele lat później, znajdując się w Południowych Niemczech w charakterze deportowanego pracownika naukowego w zamkniętej instytucji badawczej, która wykorzystywała intelektualny potencjał podbitej Europy i była zorganizowana według zasady głoszonej niegdyś przez Tierentija Iwanowicza Wiaziemskiego, napisał nawet niewielką, głęboko pesymistyczną pracę. Próbował wyodrębnić w niej wspólne cechy w zachowaniu jeńców trzymanyh w obozach wojennych, gdzie przemieszkał prawie rok jako tłumacz, zanim trafił do laboratorium, i owadów w koloniach.

Praca ta, zawierająca smutne uzasadnienie rasizmu jako zjawiska biologicznego, została zniszczona na początku czterdziestego piątego roku w czasie bombardowania. Niestety razem z autorem.

Latem dwudziestego piątego roku na Krymie udało mu się po raz pierwszy zaobserwować pełny proces dramatycznego podbicia przez jedną rasę mrówek drugiej, poczynając od pierwszego wtargnięcia najeźdźców, drobniejszych, ale z masywniejszymi szczękami.

Przesiadując godzinami nad mrowiskiem i wpatrując się w złudnie*rozumne życie stworzeń nie potrafiących istnieć samotnie, czuł się prawie

Panem Bogiem. Wiedział, ale nie potrafił wyrazić w języku naukowym, jakim zwykł się posługiwać, że w niewinnej krzątaninie mrówek jest jakaś tajemnica, przeznaczenie i ostrzeżenie.

Był w świetnym nastroju, miał przyływ niesamowitej energii, przeczuwał, że jest bliski odkrycia * i nie chodziło tu wyłącznie o biologię.

Miał koło czterdziestki. Należał do tego rodzaju ludzi, którzy wyglądają solidnie już od urodzenia i z wiekiem się nie zmieniają. Możliwe, że czuł się ostatnio tak dobrze dzięki temu, iż jego własny, niezależny od biegu czasu wiek zaczął odpowiadać wreszcie kalendarzowemu.

Wcześniej wyłysiał, ale zanim włosy zaczęły w naturalny sposób opuszczać jego okrągłą, całą w błyszczących guzach głowę, zaczął ją golić i zapuścił niedużą bródkę i wąsy. Nosił okulary w złotej oprawce i staromodny garnitur z czesuczy, trochę na niego za duży, chociaż zaczął już przedwcześnie tyć. Poruszał się lekko, świetnie

pływał i lubił grać we wszystkie gry związane z piłką, od tenisa po piłkę nożną, chociaż trudno było tego po nim się spodziewać. Widać było angielskie wychowanie. Tamtego lata na stacji w Karadagu królowała siatkówka. Przed zachodem słońca barwna demokratyczna grupa pracowników naukowych, miejscowych i przyjezdnych, wraz ze studentami na praktyce, grała po kąpielni w morzu w siatkówkę. Taktowny i dobrze wychowany Aleksiej Kiryłowicz przyjmował lekką piłkę, precyzyjnie podawał i odbijał najtrudniejsze podania, tocząc się pod piłkę jak morska fala. Sandrocza skakała, szybko ruszała łokciami i długimi goleniami z wysoko umocowanymi do ścięgna mięśniami łydki, gubiła piłkę, wydawała okrzyki i głośno się śmiała, otwierając usta tak szeroko, że widać było różowe gardło.

„Czarująca dziewczyna" * rzucił na nią kontemplacyjne i abstrakcyjne spojrzenie badacza Aleksiej Kiryłowicz. Od dawna był żonaty, jego żona była docentem, hydrobiologiem z dużym dorobkiem. Wiele lat temu zostawiła swego pierwszego męża dla Aleksieja Kiryłowicza, wówczas jeszcze studenta, nie mieli ślubu kościelnego.

Urodzona i wychowana w rodzinie luterańskiej, na początku chciała przejść na prawosławie, żeby ich małżeństwo zostało uznane, ale po rewolucji szybko o tym zapomniała, z czasem ten pomysł zaczął się wydawać nawet śmiesznym: głębokie różnice między kościołami nie miały już w zmienionym świecie żadnego znaczenia. Małżonkowie mieli więc tylko ślub cywilny i żyli w całkowitej zgodzie, wymieniając się przy kolacji zawodowymi wiadomościami i nie myśląc o zdradzie.

Delikatny płomień, który zaczął się tlić w obficie owłosionej piersi Aleksieja Kiryłowicza, może i pozostałby przez niego niezauważony, gdyby Sandrocza również nie zwróciła uwagi na tego zabawnego i staromodnego profesora i nie rozdmuchała tego słabego płomienia.

Dała mu na początku trzy dni, ale nie podszedł do niej, chociaż w czasie gry w siatkówkę ustawiał się zawsze naprzeciwko i piłkę podawał tylko jej. Dała mu więc kolejne dwa dni * spędzali wieczory w dużym towarzystwie, kąpiąc się i grając w siatkówkę, ale wciąż do niej nie podchodził, tylko rzucał w jej stronę szybkie,

bojaźliwe spojrzenia i coraz bardziej ją intrygował. W ciągu dnia w ogóle się nie spotykali, on szedł do swych mrówek, ona * pomagała botanikom sporządzać zielnik.

Życie zastawia jednak na ludzi szlachetnych i porządnych, do jakich z pewnością zaliczał się Aleksiej Kiryłowicz, najprostsze, ale i najpewniejsze pułapki. Już prawie wychodził zwycięsko z nierozpoczętej gry, kiedy nawinął się ów kamyczek.

Właściwie to noga Sandroczki na nim się podwinęła w zapale gry w siatkówkę. Nie mogła na niej stanąć.

Pracownicy naukowci płci męskiej nieśli Sandroczkę na rękach od samego brzegu morza aż do domu. Najpierw dwóch doktorantów na złączonych w kształcie siedzenia rękach, później ichtiolog Botażyński na barkach i jako ostatni * Aleksiej Kiryłowicz. Miał ją już tego samego wieczoru * z jej łokciami, kolanami, zwichniętą kostką i całą resztą.

Dobrze pamiętał, jak zaniósł ją do narożnego pokoju, a później wpadł na daczę Jungego, gdzie wziął z apteczki bandaż, niemiecki, przedrewolucyjny, pewnie jeszcze z zapasów zmarłego Wiaziemskiego, i wrócił do Sandry, żeby zabandażować spuchniętą i zaczerwienioną stopę. Te pół godziny między opatrzeniem i chwilą, kiedy nie zamknąwszy drzwi wdarł się w muskularne łono miłośniczki siatkówki, zupełnie wypadły mu z pamięci.

Sandra zaszła w ciążę chyba już tamtego pierwszego wieczoru i dwa miesiące później Aleksiej Kiryłowicz zostawiał ją po skończeniu delegacji bez wątpienia brzemienną, przekonany, że wkrótce po nią wróci.

Zmiana poprzedniego życia, spowodowana całą tą romantyczną historią, wymagała jednak więcej czasu, niż się spodziewał.

Żona przyjęła wiadomość o powstałych okolicznościach z luterańskim spokojem, a nawet dość chłodno. Jedyne warunki, jakie mu stawiała, okazały się nieoczekiwany i ciężki do spełnienia: prosiła, żeby odszedł z uniwersytetu, gdzie razem pracowali. Do września nic nie mógł zrobić, ponieważ na uczelniach była przerwa wakacyjna. We wrześniu znalazł się wakat na Timiriaziewce. * Timiriaziewka * Akademia Rolnicza im. Iwana Timiriaziewa (przyp. tłum.)

Pojawiły się problemy z mieszkaniem. Żona zostawała w mieszkaniu na Polance. Akademia Timiriaziewska miała mieszkanie służbowe, ale trzeba było czasu na jego załatwienie. A czasu było coraz mniej, chociaż ciąża Sandry była prawie niezauważalna, nie musiała nawet do siódmego miesiąca przerabiać ubrań. Codziennie otrzymywała od Aleksieja Kiryłowicza listy i będąc lekkomyślną zupełnie nie zastanawiała się nad tym, co się z nią stanie, jeśli on zniknie tak samo nagle, jak się pojawił. A może była przekonana, że Medea weźmie na siebie wychowanie i tego dziecka, jak wzięła kiedyś ją i braci.

Na razie siostry o tym nie rozmawiały. Medea zresztą zrobiła przegląd starej bielizny i coś tam odłożyła na pieluchy. Dopiero zobaczywszy w jej rękach staromodny czepek, którego brzeg haftowała, Sandra opowiedziała o Aleksieju Kiryłowiczu, potrząsając włosami i wydzielając literę „b” w słowie „bardzo”.

* Bardzo mi się spodobał... jest bardzo interesującym człowiekiem... ty go bardzo dobrze znasz...

Medea rzeczywiście dobrze go pamiętała z dzieciństwa. Jako student wynajmował u nich pokój jeszcze przed wyjazdem do Anglii * Krym przyciągał wtedy wielu naukowców.

Teraz na jego przyjazd czekały obie siostry Sinopli.

Aleksiej Kiryłowicz w międzyczasie otrzymał mieszkanie * całoroczną daczę obok parku Timiriaziewskiego, koło Sołomiennej Storożki. Dacza była tak zaniedbana, że trzeba było robić szybki remont, do tego wszystkiego musiał przygotować nowy duży kurs z ogólnej entomologii i specjalny o szkodnikach ogrodowych.

Syn Sandry nie wytrzymał do Moskwy i urodził się w obecności cioci Medei w tym samym miejskim szpitalu w Teodozji, gdzie rodziła Matyllda. Doktor Leśniczowski jednak już nie żył.

Dwa tygodnie później w domu Medei bez żadnej zapowiedzi zjawił się Aleksiej Kiryłowicz * wiedział z listów Sandry, że przeprowadziła się przed porodem do siostry. Zobaczył siedzącą przy oknie na krześle wiedeńskim młodą kobietę z krótkimi, ostrzyżonymi w krążek rudawymi włosami, spadającymi na twarz, i niemowlę z okrągłą główką przyklejone do niebieskawo*białej piersi. To była jego

rodzina. Aż dech mu zaparło.

Dwa dni później odjechał ze swoją nową rodziną do Moskwy. Medea nie musiała jechać, ale tak się przywiązała do siostrzeńca, którego nawet ochrzciła, zostając jego matką chrzestną, że wzięła urlop i pojechała razem z nimi, żeby pomóc Sandrze urządzić się na nowym miejscu.

Właśnie wtedy, owego pierwszego miesiąca życia Sierioży, w pełni przeżyła swe niespełnione macierzyństwo.

Zdawało jej się nawet czasami, że jej piersi nabrzmiwiają mlekiem. Wróciła do Teodozji z uczuciem głębokiej wewnętrznej pustki i straty. „Młodość przeminęła” * pomyślała.

Rozdział siódmy

Walerij Butonow urodził się w Rastorgujewie. Mieszkał z matką Walentyną Fiodorowną w niskim prywatnym domu grożącym zawaleniem. Ojca nie pamiętał. Dopóki był mały, sądził, że jego ojciec zginął na froncie. Matka specjalnie się przy tym nie upierała, ale nie chciała burzyć tego mitu. Niedługo była zameżna, jej mąż jeszcze przed wojną najał się do pracy gdzieś na Północy, przysłał stamtąd raz nic nie znaczący list i na zawsze rozplynał się za kołem polarnym.

Całe swe długie dzieciństwo Walera spędził, jak większość jego rówieśników, wisząc na rozpadających się płotach albo wbijając do ubitej podmiejskiej ziemi zdobyczy scyzoryk, z posiadania którego był bardzo dumny. W rzucaniu scyzorykiem nie miał sobie równych. Wszystkie królestwa i miasta zaznaczone na zdeptanym placu za dworcem autobusowym zdobywał tym swoim scyzorykiem łatwo i wesoło, jak Aleksander Macedoński.

Chłopcy z sąsiedztwa, przekonawszy się, że jest najlepszy, przestali z nim się bawić, spędzał więc większość czasu sam na podwórku, rzucając scyzorykiem w bladą plamę po ściętej dolnej gałęzi ogromnej gruszy i cofając się za każdym razem coraz dalej od celu. Świetnie opanował technikę rzutu, doskonale wyćwiczył dłoń i oko, ale prawdziwą przyjemność odczuwał w podniecającej chwili,

kiedy ręka z nożem była całkowicie zgrana z wybranym punktem, co kończyło się mistrzowskim trafieniem do celu.

Czasami brał inny nóż, kuchenny, i wybierał inny cel, a nóż wbijał się z trzaskiem, stęknieniem albo cienkim gwizdem. Stary matczyzny dom, który i tak ledwo się trzymał, był cały w ranach po tych chłopięcych ćwiczeniach. Walerij szybko jednak się znudził i rzucił to zajęcie.

Nowe możliwości pojawiły się po skończeniu szkoły podstawowej, kiedy przeszedł do nowej dziesięcioletniej, w której było dużo dziwacznych rzeczy: sedesy, ceramiczne umywalki, wypchana sowa, tablica z gołym, ze zdjętą skórą, człowiekiem, cudowne szklane naczynka, metalowe przyrządy z lampkami. Ale jego ulubionym miejscem w szkole, które go najbardziej przyciągało, była dobrze wyposażona, jak na tamte czasy, sala sportowa. A ulubionymi przyrządami, poczynając od piątej klasy * drążek, poręcze i skórzany koń.

Zbudowany jak atleta, miał wyjątkowe zdolności fizyczne, spotykane tak samo rzadko, jak muzyczne, literackie czy szachowe. Wtedy jeszcze nie wiedział, że jego talent nie jest tak ceniony jak talenty intelektualne i cieszył się ze swych coraz bardziej widocznych sukcesów.

Nauczycielka wychowania fizycznego wysłała go do sekcji CSK i pod koniec roku brał już udział w pierwszych w swoim życiu zawodach. CSK * Centralny Klub Sportowy (przyp. tłum.)

Trenerzy podziwiali jego wyjątkowy refleks, wrodzoną oszczędność ruchu i skupienie. Bardzo szybko osiągał wyniki, do których inni dochodzili latami.

Nie miał jeszcze dwunastu lat, kiedy dostał się po raz pierwszy na zgrupowanie. Młodych sportowców nie wywieźli tym razem na treningi za miasto, a ulokowali w wojskowym hotelu na placu Komuny w czteroosobowych pokojach z czerwonym dywanem, karafką i telefonem na stoliku z cennego drzewa. Hotel reprezentował przygniatający luksus stalinowskiego wojskowego stylu.

Trwał rok szkolny, chłopcy jechali każdego ranka na zajęcia do szkoły, a po powrocie zjadali obiad w wojskowej stołówce, wydawany na trzydziestorublowe talony.

Kompleks sportowy mieścił się w prawym skrzydle niewysokiego budynku z salą

Krasnozamienną w samym centrum. Właśnie tu przyszłe sławy radzieckiego sportu spędzały najlepsze lata swego dzieciństwa.

Do środka wpuszczano wyłącznie na przepustkę ze zdjęciem, obiady wydawano na talony, dieta była wysokokaloryczna z czekoladą, skondensowanym mlekiem, ciastkami, chłopcy dostawali granatowe wełniane ubrania sportowe z białym paskiem na kołnierzyku. To wszystko, a zwłaszcza ubranie, sprawiało, że Butonow zaczął z szacunkiem traktować własne ciało, dla którego były przeznaczone te nieziemskie bogactwa.

Uczył się słabo, zawsze miał na sumieniu jakąś dwóję, którą ukrywał pod koniec półrocza, bojąc się, że mogą go nie dopuścić do treningu. Ponieważ był chlubą sportową szkoły, nauczyciele, krzywiąc się, stawiali mu jednak naciąganą troję bez zbytniego narzekania.

Koło czternastego roku życia był już z niego świetnie zbudowany chłopak o regularnych rysach twarzy, krótko, po sportowemu, ostrzyżony, zdyscyplinowany i ambitny. Wchodził w skład reprezentacji młodzieżowej, trenował według mistrzowskiego programu i miał zamiar zająć pierwsze miejsce w nadchodzących zawodach krajowych.

Trener Nikołaj Wasiljewicz, doświadczony i sprytny wilk sportowy, wiązał z nim ogromne nadzieje i wróżył mu wielką karierę. Poświęcał wychowankowi dużo czasu i zwracał się do niego po prostu „synku”, co miało dla chłopaka duże znaczenie.

Walera szukał w sobie podobieństwa do swego mistrza, cieszył się, że mają taki sam kolor włosów i podobne szaroniebieskie oczy. Oczy mrużył tak samo jak Nikołaj Wasiljewicz, naśladował jego sprężysty, kołyszący krok, kupił takie same białe chusteczki do nosa.

Nie zdobył jednak pierwszego miejsca w zawodach krajowych, chociaż był bardzo tego pewny. Wystąpił świetnie, był jak mknący nóż i czuł, że trafił do celu. Ale nie wiedział, w odróżnieniu od swego trenera, o pewnych sprawach: skrytych mechanizmach sukcesu, protektorach na wysokich stanowiskach, sędziowskich przekrętach, arogancji i sprzedajności sportu.

Dwie dziesiąte punktu, przez które Butonow został przesunięty na drugie miejsce,

wydały mu się tak okrutnie niesprawiedliwe, że zrzucił z siebie w szatni darmowe sportowe ubranie, włożył na gołe ciało szkolne spodnie i pojechał do Rastorgujewa. Być może Nikołajowi Wasiljewiczowi udałoby się namówić go do powrotu, maskując porażkę nic nie znaczącymi słowami i śliskimi tłumaczeniami opartymi na półprawdzie, ale jeden ze starszych kolegów Butonowa otworzył mu oczy, wytłumaczywszy rzeczywistą przyczynę jego porażki. Był to spisek, w którym brał udział jego trener. Zwycięzcę trenował zięć głowy związku sportowego i z góry było wiadomo, jaką decyzję podejmie kolegium sędziowskie * nie to, żeby ktoś ich przekupił, po prostu nie mieli innego wyjścia.

Teraz i jemu otworzyły się oczy: nieprzypadkowo Nikołaj Wasiljewicz, zawsze nastawiający go na zwycięstwo, rzucił niechcący przed zawodami:

* Dobra, Walera, dla ciebie w twym wieku i drugie miejsce * to nieźle. Nawet bardzo nieźle...

Trener kilka razy przyjeżdżał później do Rastorgujewa. Za pierwszym razem Walerij schował się jak dziecko na strychu. Za drugim * wyszedł, mówił przez zęby, patrzył w bok. Za trzecim Nikołaj Wasiljewicz rozmawiał z Walentyną Fiodorowną, ale ona tylko ręce rozkładała, mamrocząc:

* Ja nic przeciwko temu nie mam, ale Walerka... Jej też podobało się darmowe olimpijskie ubranie i nie uważała drugiego miejsca za złe.

Ale Walera pozostał nieugięty. Nikołaj Wasiljewicz się zamartwiał, że bachor przerzuci się do innego klubu * „Trudowyje rezerwy” albo „Spartak” i cała jego trzyletnia praca pójdzie na marne. Ale tak się nie stało. Nadmiar ukrywanej ambicji, wyhodowanej w cieniu rastorgujewskiej gruszy, pchał go teraz na zupełnie inną drogę, pewniejszą, gdzie nie było miejsca na ponizającą porażkę, z góry uknute oszustwo czy zdradę.

Zaczęły się letnie wakacje, Butonow nie zjawił się na zgrupowaniu, leżał całymi dniami pod gruszą i głowił się nad przyczynami swojej porażki, a po tygodniu go olśniło: nie wolno dopuszczać do sytuacji, kiedy decydują za ciebie inni ludzie lub okoliczności. Jakby leżał pod figowcem, może spłynęłoby na niego bardziej wzniosłe objawienie, ale czego można oczekiwać od zwykłej rosyjskiej gruszy.

Dwa tygodnie później został przyjęty do szkoły cyrkowej.

To dopiero było cudowne życie! Butonow czuł się na zajęciach jak jakiś pięcioletni, zachwycony chłopiec, którego po raz pierwszy przyprowadzili do cyrku. Arena do szkoleń była najprawdziwsza: tak samo pachniało trocinami, zwierzętami, talkiem. W powietrzu latały piłki, kolorowe kręgle i zgrabne dziewczyny. Był to niezwykle, jedyny w swoim rodzaju, świat * Butonow czuł to każdą cząsteczką swego ciała. Nie było tu miejsca na współzawodnictwo. Każdy wart był tyle, na ile pozwalały mu jego umiejętności: akrobata nie mógł pracować w powietrzu źle, bo kosztowałoby go to życie. Żaden telefon nie mógł powstrzymać niedźwiedzia, kiedy stawał dęba i szedł na trenera nie wiadomo z jakimi zamiarami. Żadne pokrewieństwo z kierownictwem, żadne wsparcie z góry nie pomagało w wykonywaniu podwójnych salt.

„Tu nie to, co w sporcie * doszedł do wniosku doświadczony Butonow * sport jest sprzedajny, cyrk * nie”.

Nie potrafił tego sformułować, ale rozumiał, że im lepszy jesteś w swym zawodzie, tym bardziej niezależny w życiu. Gwiazdy cyrku znajdowały się na szczycie Olimpu, swobodnie przekraczały granice krajów, pięknie ubrane, bogate, niezależne.

Chłopak miał trochę racji, chociaż cyrk w zasadzie mało się różnił od innych radzieckich instytucji * magazynu, łaźni czy akademii. Był tu partkom, miestkom, obowiązywało oficjalne podporządkowanie wyższemu szczeblom organizacji partyjnej, a nieoficjalnie * liczył się każdy telefon z mistycznej góry.

E Partkom * komitet partyjny (przyp. tłum.) Miestkom * komitet miejscowy (przyp. tłum.)

Życie w cyrku było napędzane przez zawiść, intrygi i strach, o czym dopiero miał się przekonać. Na razie żył prawie jak w klasztorze, czego nauczył się w sporcie.

Chociaż żadnych formalnych obietnic nie składano, przestrzegano ascetycznego trybu życia, tylko zamiast modlitwy porannej była gimnastyka, a wieczornej * zajęcia, zamiast postu * dieta, a zamiast posłuszeństwa * pełna dyscyplina i podległość wychowawcy. Mistrzowi, jak się tu mówiło. Jeśli chodzi o cnotliwość, która sama w sobie nie miała wartości, życie sportowca było tak przeładowane

fizycznym obciążeniem i podlegało takiemu twardemu reżimowi, że nie zostawało miejsca na swobodne, bez troski i radosne uczucie, jakie doprowadza przedstawicieli płci przeciwnej do łączenia się i osiągnięcia wspólnej przyjemności.

Szkoła cyrkowa do dziś pamięta Butonowa. Chwytał wszystko w lot * akrobata, żonglowanie, ekwilibrystyka, w każdej z tych dziedzin był świetny. W gimnastyce nie miał sobie równych.

Od samego początku namawiano go do występów. Odmawiał, dobrze wiedział, kim chce zostać: akrobatą powietrznym. Pracować w powietrzu... Kolejnym nauczycielem Butonowa, po skompromitowanym Nikołaju Wasiljewiczu, został niemłody cyrkowiec o powierzchowności

rozbójnika, z rodziny cyrkowej niewiadomego pochodzenia, ale z włoskim nazwiskiem Antonio Mucetoni, nazywany po prostu Antonem Iwanowiczem.

Mucetoni urodził się w trzyosobowym furgonie, na wypłowiałej granatowo* czerwonej derze cyrku wędrownego w drodze z Galicji do Odessy, jego rodzicami byli wołyżerka i akrobata. Liczne głębokie bruzdy, którymi przeorana była jego twarz, wyglądały tak samo wymyślnie, jak niezliczone historie, które o sobie opowiadał. Prawda wymieszała się w nich z fantazją tak dawno temu, że sam już nie wiedział, kiedy zmyśla. Widząc niezwykle zdolności nowego ucznia zastanawiał się, czy nie wziąć go po jakimś czasie do zespołu akrobatów powietrznych, w którym latali z trapezu na trapez jego syn, bratanek i dwunastoletnia wnuczka Nina.

Pod koniec drugiego roku Butonow osiągnął znaczące postępy w nauce, umiał coraz więcej i robił się coraz przystojniejszy. Był coraz bardziej podobny do wzorcowego budowniczego komunizmu z głębokim dołkiem na podbródku, znanego wszystkim z czerwono*białych plakatów, malowanych prostymi i zdecydowanymi kreskami, poziomymi i pionowymi. Wyciągnięty po kaczemu koniuszek nosa psuł trochę ogólne wrażenie, ale miał za to szerokie ramiona, rzadki u Słowian wysoki wzrost i nie wiadomo skąd pochodzącą szlachetność rąk... a do tego wszystkiego niezwykłą odporność na zalety płci pięknej.

Dziewczyny z cyrku, jak kiedyś te ze szkoły, chodziły za nim tabunami. W tym zawodzie wszystko było na pokaz, łatwo dostępne * ogolone pachy i pachwinowe

fałdy, muskularne pośladki, małe jędrne piersi... Jego rówieśnicy, młodzi cyrkowcy, chętnie korzystali z owoców seksualnej rewolucji i swobody panującej wśród artystów, która bujnie rozkwitała na tylnych podwórkach socjalizmu, w oazie ulicy Piątej Jamskiego Pola, a on patrzył na dziewczyny z obrzydzeniem i ironią, jakby czekała na niego w domu, leżąc na wygniecionej kanapie sama Brigitte Bardot. Walentyna Fiodorowna nie mogła się synem nacieszyć: nie pił, nie palił, bab nie przyprawdzał, dostawał solidne stypendium i szanował ją. Miała czym się pochwalić sąsiadkom: „Twój Sławka * to łobuz, a ja od swego Walerki złego słowa nigdy nie słyszałam...”

Pod koniec drugiego roku nauki Butonow został praktykantem i dołączył do grona uprzywilejowanych uczniów, których nie dotyczył ogólny rozkład zajęć, pracował teraz w zespole pod kierownictwem mistrza. Anton Iwanowicz wprowadzał go do programu swego syna. Giovanni * Wania, mimo że nie posiadał talentu ojca, był przez niego szkolony. Od dzieciństwa latał pod kopułą cyrku, wykonywał salta, ale jego prawdziwą namiętnością były samochody. Był pierwszym cyrkowcem, który sprowadził sobie zza granicy czerwonego volkswagena, model przestarzały w Niemczech, ale wyprzedzający o jakieś trzy dziesięciolecia powolną krajową produkcję.

Potrafił godzinami leżeć pod samochodem, podłożywszy troskliwie pod swe cenne plecy stary koc, a jego wredna, jędzowata żona Lalka ironizowała:

* Jakbym to ja pod nim tyle leżała, ile on pod tym samochodem, byłby na wagę złota...

Stosunki między młodszym i starszym Mucetonim były skomplikowane. Chociaż syn był już po trzydziestce i Butonow nie uważał go za młodego, dla cyrku zresztą to też już był wiek prawie emerytalny jak na kogoś, pracującego „w powietrzu”, bał się ojca jak mały chłopiec. Przez wiele lat pracowali razem * Anton Iwanowicz pobił wszystkie rekordy długości pracy „w powietrzu”. W młodości to on pierwszy opanował najbardziej niebezpieczne triki, w latach dwudziestych tylko on potrafił wykonać potrójne salto z piruetem, dopiero po ośmiu latach pojawił się inny akrobata NN, który powtórzył ten numer. O swym synu Anton Iwanowicz mówił z głęboko

chowanym rozdrażnieniem:

* Jedyne co Wania potrafi świetnie robić, to spadać...

Była to rzeczywiście bardzo ważna strona tego zawodu: pracowali na samej górze i chociaż mieli podwójne zabezpieczenie * lonże przyłączone do pasów i siatkę * nie dawało to jednak całkowitej gwarancji, że się nie zabiją. Młodszy Mucetoni był mistrzem spadania. Starszy był z natury nowatorem i miał już dosyć bezskutecznego czekania na coś, czego syn po prostu nie potrafił.

Tamtego roku wszyscy przygotowywali się do wielkiego cyrkowego festiwalu w Pradze i Anton Iwanowicz nalegał, żeby syn wznowił numer, po którym stary Mucetoni stał się sławny na cały kraj jeszcze przed wojną.

Giovanni niechętnie, ale uległ w końcu ojcu * stary zmusił go do pracy na pełnych obrotach. Walera, który był na wszystkich próbach, aż drżał z niecierpliwości * tak mu się chciało spróbować

swych sił w tym długim i skomplikowanym locie, ale Anton Iwanowicz nawet słyszeć o tym nie chciał. Trzymał go w parze z bratankiem Anatolem, z którym bardzo dokładnie wykonywali loty synchroniczne, ale tym nikogo nie można było zadziwić, wszyscy akrobaci od tego zaczynali.

Próby trwały przez pół roku, aż wreszcie nadszedł dzień, w którym pojechali do Izmajłowa, gdzie mieściła się główna dyrekcja i gdzie program miała ocenić rada artystyczna. Izmajłowo * rejon w Moskwie (przyp. tłum.)

Decydowała się sprawa wyjazdu do Pragi * pierwszego wyjazdu Butonowa za granicę.

W centrali panowało straszne zamieszanie, zebrały się gwiazdy cyrku i całe kierownictwo. Wszyscy byli zdenerwowani. Zbliżał się czas występu, Anton Iwanowicz wlaź na górę, żeby sprawdzić części do mocowania, które były schowane pod kopułą, i starannie oglądał każdą nakrętkę, każdą śrubę, macał liny. Inspektorem areny był jego dawny rywal Dutow i chociaż mógł w razie niedopatrzenia trafić za kratki, Anton Iwanowicz nie miał do niego zbytniego zaufania.

Wania dostał własną garderobę. Tola z Walerą * mieli wspólną, w trzeciej przebierały się trzy kobiety: dwie młode akrobatki i dwunastoletnia Nina, córka Wani, bez

wątpienia przyszła gwiazda.

Cyrkowcy zakładali właśnie malinowe trykoty ze złotymi gwiazdami, kiedy Walerij usłyszał klótnię na korytarzu: Wania zastawił swoim samochodem jakiś wjazd i furgonetka nie mogła przejechać. Wania coś tłumaczył, czyjś głos żądał. Anatolij podszedł do drzwi, żeby lepiej słyszeć.

* Czego oni chcą? Przecież dobrze postawił... Walerij, który nigdy nie mieszał się do cudzych

spraw, nawet nie wyjrzał na korytarz. Wreszcie się uspokoiło. Za chwilę ktoś zapukał do ich garderoby, w drzwiach stała Nina:

* Walera, Toma cię woła.

Toma, młoda akrobatka, od dawna zalecała się do Butonowa. Pochlebiało mu to, ale jednocześnie drażniło.

* Podoba ci się mój makijaż? * Obróciła swoją twarz jak do słońca, kiedy do niej zajrzał.

Makijaż był zwyczajny, nic nowego: żółtawo* różowy podkład, dwie delikatne malinowe plamy na policzkach i mocno podkreślone granatową kreską, wydłużone w stronę skroni, oczy.

* W porządku, Toma. Model „kobra”...

* Ależ ty jesteś, Walera * zalotnie potrząsnęła usztywnionymi lakierem włosami, jak u mopsa * zawsze coś nieprzyjemnego powiesz...

Walerij odwrócił się i wyszedł na korytarz. Z garderoby Wani wychodził siwy człowiek w kombinezonie i koszuli w kratkę. Walera zwrócił uwagę właśnie na tę koszulę, dlatego przypomniał sobie później o tym spotkaniu na korytarzu. Za dziesięć minut mieli wychodzić na arenę.

Wszystko szło zgodnie z planem, co do sekundy: wyłączone światła, skok, światło, odbijanie, trapez, werbel, cisza, muzyka, wyłączone światła... Partytura była wykuta na pamięć i wszystko chodziło jak w zegarku szwajcarskim.

Giovanni w trakcie wykonywania numeru bardzo uważał, stał rozparty na górze, pod samą kopułą, jak władca, wszystkie światła były nakierowane na niego, podczas gdy w powietrzu latała

młodzież. Pracowali dokładnie, profesjonalnie, ale nic ponad to. Koronny numer, potrójne salto z piruetem, miał wykonywać Giovanni. Nie wszyscy członkowie rady artystycznej widzieli ten numer, był wykonywany bardzo rzadko.

Stary Mucetoni znalazł się na reżyserii, wszystko zaprojektował bardzo efektownie: światło ruchliwe, plastyczne, muzyka w tle, aż nagle * cisza, całe światło na Giovanniego, stojącego pod kopułą, ciemność na arenie, głośna muzyka.

Giovanni cały błyszczał, głowa w złocie, na nogach * nagolenice, obuwie wymyślone specjalnie dla niego przez dobrego projektanta, żeby ukryć krzywe nogi. Cichy werbel. Giovanni unosi złotą głowę * diabeł, prawdziwy diabeł... szybki ruch w stronę pasa * sprawdza haczyk zatraskowy...

Butonow nic nie zauważył, a Antonowi Iwanowiczowi zamarło serce * za długo sprawdza, coś nie w porządku... Ale na razie nadaża, nie spóźnia się. Werbel zamilknął. Raz, dwa, trzy... spóźnia się o ułamek sekundy... trapez leci do tyłu... odbijanie... skok... Giovanni jeszcze leciał i nikt nic nie zauważył, ale Anton Iwanowicz już zrozumiał, że nie zdąży zrobić ostatniego obrotu... na czas!

Tola w porę skierował do niego trapez, ale Wania spóźnił się o jakieś dwadzieścia centymetrów, próbując dosięgnąć go w locie, dogonić * co jest przecież niemożliwe * i wyleciał z wypracowanego schematu, spadając w dół, na sam brzeg siatki, gdzie lądowanie jest najbardziej niebezpieczne, a napięcie największe: może podrzucić i wyrzucić poza siatkę... Tak, spadł na sam brzeg...

Naciągnięta siatka podrzuciła Wanę, ale nie na zewnątrz, tylko do środka. Lądować on jednak potrafił... Fiasko, zupełne fiasko... ale przynajmniej się nie rozbił.

Nie * jednak się rozbił. Opuszczono siatkę. Pierwszy podleciał Anton Iwanowicz, chwycił za haczyk zatrasku * zatrask był słaby. Cicho zaklął. Wania żył, ale był nieprzytomny. Miał poza tym poważne potłuczenia * czaszka, kręgosłup? Położyli go na desce. Po siedmiu minutach przyjechało pogotowie. Rannego zawieźli do najlepszej kliniki, do instytutu Burdenko. Anton Iwanowicz pojechał z synem.

Butonow zobaczył się ze swym mistrzem dopiero po dwóch tygodniach. Wiadomo było, że Wania żyje, ale był sparaliżowany. Lekarze robili co mogli, nie obiecując jednak, że postawią go na nogi.

Anton Iwanowicz tak strasznie schudł, że zrobił się podobny do charta włoskiego. Dręczyło go jedno pytanie: jak to się stało, że Wania zauważył słaby zatrząsk dopiero przed skokiem. Wiedział, że na miejscu syna dałby sobie radę, potrafiłby zapanować nad sytuacją. Miał kiedyś podobny przypadek: zdjął wtedy pas, odpiął się i skoczył... A Wani puściły nerwy, nie potrafił zachować zimnej krwi... Zastanawiało również to, że przed samym występem kazali mu przestawiać samochód, chociaż był zaparkowany prawidłowo, Anton Iwanowicz później to sprawdził * furgonetka mogła przejechać bez problemu...

Kiedy Anton Iwanowicz podzielił się swymi wątpliwościami z Walerą, ten wycisnął z siebie:

* Do Wani nie tylko robotnik techniczny przychodził...

Anton Iwanowicz chwycił go za rękę:

* Mów, co wiesz...

* Kiedy Wania poszedł do samochodu, do jego garderoby wchodził Dutow. Byłem na korytarzu, widziałem, jak wychodził, miał na sobie koszulę w kratkę...

Walerij już wiedział, że Dutow jest inspektorem areny.

* Ależ stary dureń ze mnie * ukrył swą pomarszczoną twarz w dłoniach Anton Iwanowicz. * Tak to wygląda!...

Butonow odwiedził Wanię w szpitalu raz. Ten leżał w gipsie jak w sarkofagu * od podbródka aż po krzyż. Jego włosy całkiem się przerzedziły, na skroniach pojawiły się dwie głębokie łysiny. Witając się, mrugnął do niego tylko okiem. Prawie nie mówił. Walerij, żałując, że przyszedł, posiedział z dziesięć minut na białym taborecie dla gości, próbując coś powiedzieć, ale szybko zrezygnował. Nie wiedział przed tym, że życie człowieka jest takie kruche, i przeraził się.

Była późna deszczowa jesień. Grusza w Rastorgujewie straciła liście, stała czarna, jak po pożarze, i Butonow nie mógł już położyć się pod nią, czekając, jak znów go olśni. Do końca szkoły zostawało pół roku. Praga, z którą Butonow wiązał takie nadzieje, była już dawno nieaktualna. Szkołą też przestał się interesować. Cały czas miał przed sobą zgaszone spojrzenie Wani. Jeszcze niedawno był znanym artystą, wzorcem do naśladowania, niezależnym, bogatym, wyjeżdżającym za granicę, i samochód miał

najlepszy z tych, jakie Butonow kiedykolwiek widział * już nie czerwonego garbusa, tylko nowiutkiego białego fiata. I nagle wszystko się zawaliło. Nie było, jak się okazuje, żadnej niezależności, tylko sama zależność. I nieruchome kalectwo do końca życia...

Ostatniej, zimowej sesji Butonow nie zdawał. W szkole, prócz specjalnych, obowiązywały ogólnokształcące zajęcia, i nie można było otrzymać świadectwa bez zaliczenia tych przedmiotów. Mimo to nigdy już w szkole się nie pojawił. Pół roku przeleżał na kanapie, czekając na wezwanie do wojska. W lutym skończył osiemnaście lat, więc na początku wiosny wzięli go do wojska. Od razu zaproponowali miejsce w CSKA, bo miał pierwszą klasę sportową w gimnastyce, ale ku wielkiemu zaskoczeniu wojenkoma, odmówił. CSKA. * Centralny Sportowy Klub Wojskowy (przyp. tłum.)

Nic go teraz nie obchodziło, ale jedno wiedział na pewno * nie zamierzał wracać do sportu. Został szeregowcem, jak większość...

Ale nie należał do większości: talent pchał go do obrania własnej drogi, no i jak zawsze pomógł przypadek. Butonow strzelał najlepiej ze wszystkich * z broni automatycznej, karabinu, pistoletu, kiedy tylko miał go w ręku. Nawet chłopaki z Syberii, polujący można powiedzieć od pieluch, przegrywali z nim, jeśli chodzi o celność.

Pewnego razu na przeglądzie ćwiczebnym zauważył go pułkownik, wielki miłośnik sportu strzeleckiego. Nie minął rok, jak Butonow trafił do drużyny CSKA, tym razem strzeleckiej. Znow zaczęły się treningi, zgrupowania, klasy sportowe. Służba w wojsku okazała się całkiem przyjemna * zwłaszcza w drugiej połowie.

Wrócił do Rastorgujewa o siedem kilogramów cięższy i o trzy centymetry wyższy, a jego powrót

z wojska odbył się bez żadnych zakłóceń, zgodnie z terminem. Najważniejsze było to, że już wiedział, co ma dalej robić. Szybko i bez problemów zdał eksternistycznie maturę i tego samego lata został przyjęty na Akademię Wychowania Fizycznego. Zaskoczył wszystkich * poszedł na rehabilitację.

Dobrze znana ze szkolnych lat tablica * człowiek ze zdjętą skórą i odsłoniętymi

mięśniami * znalazła się w centrum jego uwagi. Uczył się anatomii, która była zmorą studentów pierwszego roku, z wielkim zaangażowaniem i cierpliwością. Nie miał zbyt dobrej pamięci, treść przeczytanych książek natychmiast wylatywała z jego głowy, ale na tych najnudniejszych dla reszty zajęciach chwycił i zapamiętywał wszystko błyskawicznie.

Miał oprócz wrodzonej fizycznej sprawności inny, wyróżniający go dar * zdolność uczenia się. I zarówno trener Nikołaj Wasiljewicz, który go zdradził, jak i nieszczęsny Mucetoni doceniali jego chęć doskonalenia się, dogłębnego zrozumienia każdego ruchu, wczuwanie się w niego.

Trzeciego i ostatniego swego nauczyciela Butonow spotkał na trzecim roku studiów. Był to drobny, niepokąźny człowiek z ChWK o maskującym nazwisku Iwanow i ciemnej, pokrętej przeszłości. ChWK * Chińsko*Wschodnia Kolej (przyp. tłum.) Urodził się, jak twierdził, w Szanghaju, doskonale znał chiński, długo mieszkał w Indiach, odwiedził Tybet i był w naszym nie całkiem europejskim kraju przedstawicielem Azji. Znał się na wschodnich sztukach walki, które zaczynały być modne i uczył masażu chińskiego.

Pseudo*Iwanow zachwycił się niezwykłym darem Butonowa, który miał w palcach dużo wyczucia i zręczności, od razu chwycił, gdzie nastąpiło przesunięcie dysku, gdzie odłożyły się sole, a gdzie był tylko przykurcz mięśnia, i jego czułe i mądre palce opanowały skomplikowaną akupresurę szybko i łatwo, bez zastanawiania się.

Gdyby Butonow był bardziej wykształcony i potrafił się lepiej wysłowić, mógłby opowiedzieć

o krzepkich plecach, radosnych nogach, mądrych palcach czy o leniwych barkach, niezdolnych do wysiłku udach i sennych rękach * mógł odgadnąć w leżącym na stole do masażu człowieku każdą tajemnicę jego ciała.

Pseudo*Iwanow zaprosił go do swojej prawie pustej kawalerki z tybetańskimi ikonami na ścianach. Wytrawny znawca Wschodu próbował zainteresować zdolnego ucznia szlachetną jogą, mądrą Bhagawadgitą, elegancką chińską ba*goa. Ale sprawy duchowe nie interesowały Butonowa.

* To wszystko jest zbyt abstrakcyjne * mówił

i lekko poruszał mięśniami prawej dłoni, jakby odganiał coś od siebie.

Nauczyciel był rozczarowany. Ale jogę i akupresurę Butonow opanował szybko i bez problemów.

Sam Iwanów był wówczas znany nie tylko jako świetny masażysta, z którego usług korzystały różne znakomitości * mistrz świata w podnoszeniu ciężarów, słynna balerina, skandalizujący pisarz. Brał udział w różnych seminariach organizowanych w domach, elitarnej rozrywce tamtych lat, prowadził zajęcia jogi. Butonow pomagał mu w jego działalności, ale tylko w tej jawnej, bo z donosicielską nie miał nic wspólnego i dopiero po wielu latach się domyślił, czym tak naprawdę zajmował się jego nauczyciel.

Mistrz wziął Butonowa na pomocnika. Wprowadzał swych słuchaczy, miłośników jogi, w stan „mokszy”, a Butonow w tym czasie zwijał się na dywaniku w pozycji lotosu, lwa, węża i innych niehumanicznych konfiguracjach.

Moksza * nirwana (przyp. tłum.)

Jedna z grup zbierała się w wielkim mieszkaniu znanego członka Akademii Nauk, u jego córki. Wszyscy uczestnicy grupy byli jak ulepiani z ciasta i Butonow, który doskonale panował nad ciałem, miał nauczyć ich tego samego. Wszyscy byli naukowcami * fizykami, chemikami i matematykami i Butonow żywił do nich niewytłumaczalne uczucie lekkiej pogardy. Była wśród nich wysoka, tęga dziewczyna Ola, matematyk z grubymi nogami i topornymi rysami twarzy, która w czasie ćwiczeń z delikatnie różowej robiła się niebezpiecznie czerwona.

Pobrali się dwa miesiące później, czym zaskoczyli przyjaciół, którzy krytycznie odnieśli się do tej decyzji. Właścicielka mieszkania, dowiedziawszy się, że chcą się pobrać, rzuciła zdziwiona:

* I co biedna Oleńka będzie teraz robiła z tym pięknym zwierzem!

Ale Oleńka nic specjalnego z nim nie robiła. Była zimna i rozsądna, co być może wiązało się z jej zawodem: zdążyła do tego czasu obronić doktorat z topologii, tajemnej dziedziny matematyki, a precyzyjne procesy myślowe, zachodzące w jej dużej

głowie gęsto porośniętej przetuszczającymi się włosami, były treścią jej życia.

Butonow nie odczuwał zbytniego szacunku do pokręconych haczyków pokrywających, jak ślady ptaków na śniegu, kartki papieru na biurku żony, i tylko pomrukiwał na widok drobnych znaczków i rzadkich notatek w ludzkim języku z lewej strony kartki * „na podstawie wyżej wymienionego następuje..., z definicji wynika...”

Ola była z natury pogodna, trochę apatyczna. Walerij dziwił się, że tak mało się rusza i jest taka leniwa na co dzień * nie chciało jej się robić nawet tych kilku ćwiczeń, które pomagały jej w walce z zaparciami.

Walentyna Fiodorowna nie cierpiała synowej, po pierwsze dlatego, że ta była o cztery lata starsza od Walery, po drugie za bałaganiarstwo. Ale Ola tylko obojętnie się uśmiechała i nawet chyba nie zauważała tej niechęci, co jeszcze bardziej złościło Walentynę Fiodorownę.

Mażeńskie uciechy były bardzo skromne. Butonow, od dzieciństwa czerpiący przyjemność z napinania mięśni, nie wziął pod uwagę tej niewielkiej ich grupy, która odpowiada za osiąganie dobrze znanego typu przyjemności, bo za osiągnięcia w tej dziedzinie nie przyznawali żadnych klas sportowych i nie zapraszali do reprezentacji, a jego młodzieńcza ambicja brała górę nad instynktami.

Była też inna przyczyna jego zadziwiającej powściągliwości w stosunku do kobiet: zakochiwały się w nim od czasu, kiedy po raz pierwszy założono mu spodenki.

Opary ich natrętnej miłości ciągnęły się za nim wszędzie, a kiedy wydorósł, zaczął odbierać to ciągle zainteresowanie jego osobą jako zamach na jego ciało i z desperacją bronił tego swojego największego skarbu, którego wartość rosła dzięki łatwej dostępności pożądających go kobiet.

Jego pierwsze seksualne doświadczenia były nieudane i niewiele znaczące: trzydziestoletnia sąsiadka, kelnerki ze stołówki w CSK, pływaczka ze studiów z jakby splukanymi przez wodę rysami twarzy * i wszystkie napalone, żądne, zainteresowane kontynuacją stosunków...

Dla samego Butonowa te spotkania miały prawie taką samą wartość, co przyjemny sen erotyczny z pomyślnym zakończeniem na granicy snu i jawy, kiedy obraz z bajki

jeszcze całkiem się nie ulotnił od dźwięków spuszczonej wody w ubikacji i zamykanych drzwi.

Miał spokojne i uporządkowane życie. Pobrali się trzy miesiące po obronie pracy doktorskiej Oli, po kolejnych trzech zaszła w ciążę, a trzy miesiące przed trzydziestką urodziła córeczkę.

Gdy ona chodziła w ciąży, urodziła i karmiła swą wielką i mało wydajną piersią zbyt malutką jak na takich dużych rodziców dziewczynkę, Butonow skończył studia i zaprzedał się tenisistom.

Dbał o zdrowie najzdrowszych ludzi w kraju, leczył ich urazy, masował mięśnie. W wolnym czasie robił to samo, ale już prywatnie. Dobrze zarabiał, czuł się niezależny. Pacjentów polecał mu nauczyciel i wszystkie drzwi były przed nim otwarte: od restauracji WTO do kasy biletowej KC. * WTO * Krajowe Stowarzyszenie Pracowników Teatru (przyp. tłum.)

Rok później dzięki tenisowi ziemnemu znalazł się nareszcie za granicą, najpierw w Pradze * tym razem się udało! * później w Londynie. I to był szczyt jego marzeń.

Trzeba przyznać, że zasłużył na to wszystko. Opiekował się wprawdzie tenisistami, balerinkami i artystami, którzy byli w świetnej formie, ale zajmował się również trudnymi przypadkami, rehabilitacją po poważnych urazach. Zaspokoił wreszcie swoją ambicję. Mówiono o nim, że czyni cuda. Mit o jego cudownych rękach rozrastał się, ale wiedząc, że na to trzeba sobie zasłużyć, pracował, jak kiedyś w sporcie, na granicy wytrzymałości, i granica ta cały czas się przesuwała.

Za największe swoje osiągnięcie uważał Wanię, którym się zajmował od czasu, kiedy Iwanów pokazał mu, jak trzeba obchodzić się z chorym kręgosłupem. Butonow kilka razy przywoził do Mucetoniego Iwanowa. Ten przyprowadził pewnego razu wielkiego Chińczyka, który przypalał plecy Wani wonnymi ziołowymi świecami. Ale najbardziej napracował się Butonow * przez sześć lat, dwa razy w tygodniu, odprawiał czary nad nieruchomymi plecami Wani, dzięki czemu ten mógł pewnego dnia wstać i opierając się o chodziki, przejść kilka kroków po mieszkaniu, i powoli, bardzo powoli zaczął dochodzić do siebie.

Anton Iwanowicz, który miał teraz jeszcze bardziej pomarszczoną twarz, gotów był nosić Butonowa na rękach. Wnuczka Nina, zakochana w nim odkąd skończyła dwanaście lat, patrzyła na mężczyznę tylko po to, żeby porównać ich z Butonowem. Wredna Lalka Mucetoni, która od dziesięciu lat rozwodziła się z Wanią, zmieniła się po tamtej

tragedii nie do poznania * była teraz powściągliwa i energiczna. Robiła swetry na zamówienia, utrzymywała rodzinę i na nic się nie skarżyła. Butonow na każde urodziny dostawał od niej kolejne dzieło sztuki z włóczki.

W połowie października Butonow przyjechał do Wani zasepiony, w złym humorze, masował go z półtorej godziny, a skończywszy, zaczął zbierać się do wyjścia, nie czekając na kawę czy herbatę, jak to zwykle było. Lala zatrzymała go, przyniosła herbatę, zaczęła wypytywać.

Butonow poskarżył się, że musi następnego dnia jechać z grupą sportowców w głupią delegację, do nikomu niepotrzebnego Kiszyniowa.

Lalka nagle się ożywiła:

* Jedź, jedź, tam teraz jest cudownie, a żebyś się nie nudził, zawieszysz mojej koleżance prezent.

Poszperała w szafie i wyciągnęła biały sweter z moheru.

* Mieszkają na peryferiach, słyszałeś może o słynnych jeźdźcach Czowdara Sysojewa? Stary brzydki Cygan, a Rożka zajmuje się u niego woltyżerką. * Lala włożyła sweter do torby i napisała adres.

Butonow wziął przesyłkę bez wielkiego entuzjazmu.

...Pierwszego dnia w Kiszyniowie Butonow miał wolne przedpołudnie, przenocował więc w hotelu, a rano poszedł nieznanymi ulicami we wskazanym kierunku na miejski bazar. Miasto wyglądało niepozornie, architektura była nieciekawa, w każdym razie w tej części, którą zobaczył w porannej, szybko topniejącej mgielce. Ale powietrze było cudowne, południowe, pachniało słodkimi, leżącymi na ziemi przejrzałymi owocami. Zapach musiał dolatywać z daleka, bo na ulicach z nowoczesnymi budynkami nie było żadnych drzew. Na prostokątnych trawnikach, ogrodzonych betonowymi płytkami, rosły czerwone i pąsowe astry bez zapachu *

widocznie wszystko poszło w kolor. Było ciepło jak w południowym uzdrowisku.

Walerij zajrzał na bazar. Plac był cały zastawiony wozami i arbami, końmi i wołami, niewysocy chłopci z długimi wąsami i w ciepłych futrzanych czapkach nosili kosze i skrzynie, a baby układały na ławach piramidy z pomidorów, winogron i gruszek.

„Trzeba by coś do domu kupić” * pomyślał przelotnie Walerij i zobaczył przed sobą zgnieciony tył autobusu, którego szukał. Autobus był pusty. Walerij wsiadł, za chwilę wrócił kierowca i bez słowa ruszył.

Droga długo wiła się po przedmieściu, które stawało się coraz ładniejsze, mimo lepierek i malutkich winnic. Autobus często zatrzymywał się na przystankach, na jednym wsiadł tłum dzieciaków jadących do szkoły. Do pętli dojechali dopiero po godzinie. Było to dziwne miejsce: ani miasto, ani wieś.

Walerij nie wiedział jeszcze, że to jest bardzo ważny dla niego dzień, ale zapamiętał każdy szczegół. Po obu stronach drogi stały dwie małe fabryczki i dymiły sobie w twarz wbrew wszystkim prawom fizyki, zgodnie z którymi wiatr powinien unosić siwy dym w jednym kierunku.

Spostrzegawczy Butonow wrzucił ramionami. Wzdłuż drogi ciągnęły się cieplarnie i to również budziło zdziwienie: po cóż tu cieplarnie, kiedy pod koniec października dwadzieścia stopni ciepła i wszystko świetnie dojrzewało na otwartym powietrzu...

Za cieplarniami zaczynały się budynki gospodarcze i stajnie. Właśnie tam udał się Butonow. Zobaczył z daleka, jak otworzyła się brama stajni i z aksamitnej ciemności wyłoniło się wysokie czarne źrebie, które wydało się Butonowowi ogromne jak koń pod Miedzianym Jeźdźcem. Jeździec Miedziany * pomnik Piotra I w Petersburgu (przyp. tłum.)

Ale żadnego Miedzianego Jeźdźca nie było, źrebie prowadził za uzdę mały kędzierzawy chłopak, który z bliska okazał się młodą kobietą w czerwonej koszuli i brudnych białych dzinsach.

Rzucały się w oczy jej kozaki, lekkie, z grubymi czubkami i piętami, w sam raz do jazdy konnej, dopiero później spojrzał na jej twarz i spotkał się z jej spojrzeniem. Miała błyszczące czarne oczy, wyraźnie przedłużone grubą czarną kreską, patrzyła

uważnie i nieprzychylnie. Wszyscy się zatrzymali. Żrebię krótko zarzało, kobieta poklepała je po grzywie oślepiająco białą ręką z krótko obciętych czerwonych paznokciami.

* Do Czowdara? * rzuciła ostro. * Jest tam * pokazała w stronę najbliższej szopy, po czym włożyła nogę w wysoko podciągnięte strzemie i wskoczyła w siodło. Walera poczuł jakiś słodki, niepokojący zapach, nie mający nic wspólnego z perfumami.

* Nie, szukam Rozy. * Już wiedział, że to ona. * Mam przesyłkę od Lali Mucetoni. * Wyjął z torby pakunek i podał jej.

Wzięła, nie schodząc z konia, wrzuciła z całych sił do stajni i nie uśmiechnęła się, a raczej wyszczerzyła błyszczące zęby:

* Gdzie się zatrzymałeś?

* W „Oktyabrskim”.

* No dobrze. Nie mam teraz czasu. * Pomachała na pożegnanie ręką i poganiając konia odjechała galopem.

Patrzył w ślad za nią z rozdrażnieniem, zachwytem i uczuciem, którego nie potrafił zrozumieć. Był to, w każdym razie, ostatni dzień w jego życiu, kiedy kobiety go jeszcze nie interesowały.

Długo leżał wieczorem w łóżku pachnącym proszkiem do prania, wspominał bezczelną Cyganekę, jej pięknego żrebaka i niewielkie żółte koniki rzadkiej rasy, które biegały po wygonie za stajnią, kiedy czekał na autobus.

„Ależ niesympatyczna dziewczucha” * doszedł do wniosku, zapadając w sen pełen koni, zapachu stajni i błogiej rozkoszy leniwego ciepłego dnia, z którego go wyrwało lekkie, na przemian długie i krótkie pukanie do drzwi. Podniósł głowę.

Zapomniał, jak się okazało, zamknąć drzwi, które powoli się otworzyły, i do pokoju weszła kobieta. Walerij przyglądał się jej w milczeniu, pomyślawszy, że to pokojówka.

* Czekales? * powiedziała kobieta zachrypniętym głosem i wtedy ją poznał * amazonka ze stajni.

* Pomyślałam, jeśli zapytasz, kto tam, odejść * powiedziała poważnie i usiadła na łóżku.

Zaczęła zdejmować kozaki, które tak mu się rano spodobały. Nadepnęła na piętę lewego i zrzuciła go, potem ściągnęła rękami prawy i z całych sił rzuciła go w kąt.

* No i co się gapisz?

Stała obok łóżka i wtedy dopiero zobaczył jaka jest mała. Zdażył też pomyśleć, że nie lubi takich małych i agresywnych kobiet.

Ściągnęła z siebie biały sweter, który jej przywiózł, rozpięła guzik na brudnych białych dżinsach i nie zdejmując ich zanurkowała pod kołdrę, objęła go i powiedziała opanowanym i zmęczonym głosem:

* Przez cały dzień mnie paliło, taką miałam na ciebie ochotę...

Butonow wypuścił z ust powietrze i na zawsze zapomniał, jakie kobiety mu się bardziej podobają? *

Kim była naprawdę, dowiedział się dopiero później. Nie była żadną Cyganką, tylko Żydówką z profesorskiej rodziny z Petersburga, zamieszkała z Sysojewem siedem lat temu, jej córkę z pierwszego małżeństwa wychowywali rodzice * uważali, że ona się do tego nie nadaje. Ale najważniejsze i najbardziej zadziwiające odkrycie zrobił następnego ranka, kiedy zrozumiał, że żyjąc na tym świecie prawie dwadzieścia dziewięć lat przegapił najlepsze chwile swego życia, i nie mógł teraz pojąć, jak ta mizerna dziewczyna, taka gorąca na zewnątrz i wewnątrz, zdołała tak nim zawładnąć, że czuł się jak różowa landrynka rozpływająca się w gęstej słodkiej cieczy. Jego ciało topiło się z czułości i rozkoszy i każdy jej dotyk przenikał go na wskroś, do samego serca, a jego całego jakby wywracało na lewą stronę i wciągało do środka jak w wir wodny. Czuł się tak, jakby był przeniecony, i wiedział, że jakby nie zatkała mu swymi małymi paluszkami uszu, jego dusza wyfrunęłaby przez nie precz...

O szóstej rano jej dziwaczny zegarek na ręce cicho zadzwonił. Usiadła na parapecie objawszy jego tułów nogami poniżej pasa. Stał przed nią i patrzył na niewielki pagórek na dole jej brzucha * dowód jego obecność w jej ciele.

* Muszę już iść * powiedziała i pogłaskała pagórek przez cienką skórę brzucha.

* Nie odchodź * poprosił.

* Już mnie nie ma * roześmiała się i wtedy zauważył jej dwa sterczące, jak u wilkołaka, górne kły.

* Nie, nie jestem wilkołakiem * znów się zaśmiała. * Jestem zwyczajną kurwą.

Podobam ci się?

* Bardzo * szczerze się przyznał zaspokojony, a ona zeskoczyła z parapetu.

Szła pod prysznic, a on patrzył na jej trochę krzywe nogi, ale to tylko jeszcze bardziej go podniecało. Wyciągnął z wymiętej pościeli rozerwane złote łańcuszki, które ześlizgnęły się w nocy z jej szyi.

Z łazienki dobiegał szum wody, a on przebierał palcami łańcuszki i patrzył zamyślony w okno. Za oknem był taki sam, jak wczoraj, zamglony poranek, który topił się i iskrzył w świetle wschodzącego słońca.

Wyszła z łazienki cała w kropłach wody. Podał jej łańcuszki. Wzięła je, rozciągnęła na całą długość i położyła na stole:

* Naprawisz, wtedy oddasz. Co my dzisiaj mamy * środę?

Strzepnęła z małych piersi resztki wody, z trudem naciągnęła na szczupłe mokre ciało dzinsy. Duże krople błyszcząły również w jej sprężystych czarnych włosach uczesanych w stylu, który nazwano później „afro” * miała takie od urodzenia.

Pod piersią, z lewej strony brzucha i na prawym przedramieniu widniało kilka niedużych, twardych blizn, takich podniecających po dzisiejszej nocy i bliskich.

Wcale nie wyglądała kobieco. Ale cała reszta poznanych wcześniej kobiet wydawała mu się teraz w porównaniu z nią mdła i odpychająca...

* Wiesz co? Zobaczymy się za tydzień na Poczcie Głównej w Piterze. Między jedenastą i dwunastą...

* A dziś? * zapytał Butonow.

* Nic z tego, Sysojew cię zabije, albo mnie... * Roześmiała się. * Nie wiem dokładnie kogo, ale kogoś na pewno zabije...

Spotkali się w ciągu roku jeszcze ze trzy razy. A później jakby pod ziemię się zapadła. Nie tylko Walerij jej szukał. Ani rodzice, ani Sysojew nie wiedzieli, co się z nią stało...

Od tej pory Butonow kobietom nie odmawiał. Wiedział, że cudów nie ma, ale jeśli trzymać się na krawędzi możliwego, spróbować się skoncentrować, gdzieś na samym

dnie cielesności rozbłyśnie błyskawica i wybuchnie oczekiwane uczucie * nóż, skierowany do celu, zadrży i znieruchomieje w jego środku...

Rozdział ósmy

Z wyprawy wrócili dopiero po dziewiątej, położyli śpiące maluchy do łóżek i usiedli w kuchni napić się herbaty. Mimo zmęczenia nie chcieli się rozchodzić * w powietrzu wisiało jakieś nieokreślone „cdn”. Nawet Nora, matka wyjątkowo odpowiedzialna, zgodziła się położyć córkę u obcych, żeby jeszcze posiedzieć przy stole. Brakowało tylko Maszy. W połowie powrotnej drogi poczuła paskudne swędzenie w żyłach i zrozumiała, że nadchodzi jeden z tych rzadkich i niewytłumaczalnych ataków, jakie czasem miewała. Jej mąż Alik, który był lekarzem i głowił się nad każdą chorobą jak nad rozwiązaniem równania, uważał, że Masza ma jakąś rzadką formę alergii naczyniowej. Pewnego razu choroba zaatakowała ją na wsi, gdzie spędzali sylwestra. Dotknęła wtedy brzegu zimnej umywalki i miała ślad podobny do oparzenia. Po dwóch godzinach dostała gorączki, a wieczorem wysypki...

Teraz zdarzyło się jej coś podobnego, jednak nie stało się to po zetknięciu z bezdusznym przedmiotem, ale po przypadkowym dotknięciu Butonowa. A może po prostu przegrzała się na wiosennym słońcu... Prawe przedramię miała zaczerwienione i trochę spuchnięte.

Po powrocie położyła się od razu do łóżka i przykryła się wszystkimi kołdrami, jakie miała pod ręką.

Dręczona gorączką i pragnieniem zapadała w lekki sen i wydawało jej się, że wstaje i idzie do kuchni, żeby zaczerpnąć wody, która była na samym dnie wiadra, kubek uderza o blachę i ona nie może tej wody nabrać... W jej głowie układały się jakieś niedorzeczne wiersze, w których był brzeg, paliło słońce i panowało uczucie oczekiwania wymieszane z realnym pragnieniem...

Georgij wyszedł na zewnątrz zapalić, usiadł na ławeczce przy domu i patrzył z ciemności w jasny prostokąt otwartych na oścież drzwi, jak z teatralnej sali na scenę.

Światło dwoiło się i chybotąło: żółte od lampy naftowej i ciemnomalinowe od kominka. Spalone na niebezpiecznym wiosennym słońcu twarze wyglądały jak po zrobieniu makijażu. Obok śniadej Medei siedziała blada Nora z wysoko upiętymi włosami i grzywką. Nika kazała jej posmarować kefirem twarz, która teraz błyszczała. Po upięciu włosów widać było, że ma zbyt wysokie i strome czoło, jak u małego dziecka albo niemieckiej średniowiecznej madonny, ale dzięki temu wyglądała bardziej pociągająco.

Gieorgij widział też muskularne plecy Butonowa w różowym podkoszulku i skrzydlaty cień Niki z gitarą kołyszący się na ścianie. Pośrodku stołu stał, jak magiczna kula, samowar, w którym nie gotowała się tym razem woda. Gieorgij podprowadził wprawdzie do kuchni prąd, ale tego dnia nie było go w całej Osadzie. Razem ze światłem wylewała się na zewnątrz melodia. Nika śpiewała mocnym głosem pod akompaniament prostych akordów wybieranych niewprawną ręką. Wtedy wszyscy śpiewali Okudżawę, którego chyba tylko Gieorgij nie lubił. Drażniły go wszystkie te mankiety i aksamitne kamizelki, błękity i złocenia, zapachy mleka i miodu, cały ten romantyczny blichtr, a głównie chyba to, że sam mimowolnie ulegał urokowi tych piosenek, które poruszały go do głębi i zapadały w pamięć.

Przez wiele lat był związany z paleozoologią, najbardziej martwą z nauk, i to w dziwny sposób odbiło się na jego postrzeganiu rzeczywistości: wszystko dookoła było dla niego albo twarde, albo miękkie. Miękkie pieściło uczucia, pachniało, było słodkie albo nieprzyjemne * jednym słowem, wiązało się z odbiorem emocjonalnym. Twarde zaś określało istotę zjawiska, było jego szkieletem.

Wystarczyło, że wziął do rąk połowę muszli mięczaka z jakiegoś zbocza w Ferganie czy z tutejszego Alczaka, od razu wiedział, w jakim z dziesięciu okresów paleogenu żyło to mięsiste, dawno wymarłe stworzenie, jak wyglądał jego mocny mięsień i prymitywne zakończenia nerwowe, stanowiące mało istotną tkankę miękką. Otóż te piosenki były właśnie taką tkanką miękką, w odróżnieniu od, powiedzmy, pieśni Schuberta, w których czuł mocny muzyczny kościec, tym bardziej że i słowa tu nie przeszkadzały, bo nie znał niemieckiego...

Zgasił niedopałek kamykiem, wrócił do kuchni i usiadł w najciemniejszym kącie, skąd mógł spokojnie patrzeć na sympatyczną i senną twarz Nory.

„Dziewczyna z północy, chyba nie bardzo szczęśliwa * myślał * petersburżanka. Jest taki typ anemicznych blondynek z przezroczystymi paluszkami, niebieskimi żyłkami, cienkimi łydkami i nadgarstkami... I sutki pewnie ma blad różowe...” Zalała go nagle fala gorąca.

A ona jakby odgadła jego myśli i zasłoniła twarz delikatnymi dłońmi.

Georgij spędził młodość w geologicznych ekspedycjach z miejscowymi kucharkami, uległymi laborantkami, odważnie wystawiającymi muskularne uda na ukąszenia komarów, koleżankami z pracy.

Dzięki ormiańskiej mieszance uporu i lenistwa oraz wierności rodzinnej mitologii wpojonej przez matkę, na przekór powszechnie przyjętej lekkości obyczajów oraz kpin ze strony przyjaciół nigdy nie zdradził swej grubej Zojki, chociaż za nic w świecie nie mógł sobie przypomnieć, co mu się w niej tak spodobało piętnaście lat temu. Teraz poruszało go jedynie to, w jaki sposób układała bielutkie skarpetki * równiutko, jedną na drugiej...

Znów wyszedł z kuchni, żeby zaczerpnąć świeżego powietrza. Atmosfera panująca w środku drażniła go i podniecała i była tak gorąca, że wydawało się, że zacznie się zaraz gotować.

„Poszedł” * zmartwiła się Nora.

Nika tymczasem była pochłonięta swoim ulubionym zajęciem * wabieniem, delikatnym jak koronki, ledwo zauważalnym, ale wyczuwalnym, jak zapach ciasta unoszący się z nagrzanego piekarnika po całym domu. Było to jej wewnętrzną potrzebą, pokarmem duszy i nie miała chyba w życiu chwili lepszej niż ta, kiedy ściągała na siebie uwagę mężczyzn, zwykle skupionych na własnych, skrzętnie ukrywanych problemach, budziła zainteresowanie swoją osobą, zastawiała przynętę, sidła, przyciągała kolorowymi nićmi bliżej, coraz bliżej. I nie przerywając jeszcze rozmowy w drugim końcu pokoju, ofiara zaczynała nasłuchiwać jej głosu, chwycić intonacje jej zachęcającej życzliwości i czegoś nieokreślonego, zmuszającego samca motyla do pokonania dziesiątek kilometrów, żeby spotkać się z

samiczką. Kończyło się zawsze tym, że wybraniec wbrew własnej woli podązał w stronę, gdzie siedziała, z gitarą lub bez, duża, wesoła ruda Nika o tęsknym spojrzeniu...

I była to chyba najprzyjemniejsza chwila w jej życiu, nie porównywalna z żadnymi innymi, kiedy zwierzyzna zaczyna krążyć po pokoju z pustą szklanką w ręku i malującym się na twarzy zmieszaniem, zbliżając się powoli do źródła swego niepokoju, i Nika rozkoszowała się wtedy nadciągającym zwycięstwem.

Butonow, siedzący nieruchomo na ławce naprzeciwko Niki, był już w jej rękach. Mimo pociągającej powierzchowności należał raczej do łatwej zwierzyzny: rzadko odmawiał kobiecie. Ale ujarzmić się nie dawał, wołał jednorazowe występy od długoterminowych stosunków.

Teraz chciało mu się spać i leniwie się zastanawiał, czy nie zostawić sobie tej rudej na jutro. Ale Nika nie miała zamiaru odkładać na jutro tego, co można zrobić dzisiaj. Szybko się podniosła i odłożyła gitarę na fotel Medeji, która już dawno poszła do siebie.

* A dalej * cisza * uśmiechnęła się do Butonowa zalotnie.

Butonow nie chwycił cytatu. „Jak zwykle w swym żywiole” * pomyślał Gieorgij dobrodusznie o kuzynce.

* Zobaczymy co u dzieci * zwróciła się Nika niby do Nory.

Butonow zrozumiał, że kazano mu zaczekać.

Kobiety weszły do ciemnego domu, zajrzały do dzieci. Wszystko było w porządku: maluchy mocno spały po męczącej wyprawie, tylko Liza jak zawsze co chwilę słodko wzdychała. Mała Tania spała w poprzek szerokiej sofy, Katia wyciągnęła się z brzegu jak trzcinka, nawet we śnie pamiętając o prawidłowej postawie. Pośrodku pokoju stał wielki wspólny nocnik.

* Możesz się tu położyć * Nika pokazała na sofę * albo obok.

Nora położyła się obok córki. Dochodziła czwarta, niedługo zacznie świtać.

Nika wróciła do kuchni i przechodząc obok Butonowa lekko dotknęła jego szyi.

* Spaliłeś się...

* Trochę * odezwał się Butonow, a jej się nagle wydało, że żadnego zwycięstwa nie

było.

* Dobra, idziemy czy nie * rzucił Butonow beznamiętnie, nawet nie patrząc na nią. Było w tym coś, co burzyło ustalone przez nią reguły, ale nie miała teraz zamiaru kokietować ani tracić czasu na stwarzanie potrzebnego nastroju, przytuliła się tylko do jego mocnych pleców obciążniętych różowym trykotem.

Wszystko, co zdarzyło się później na terytorium Ady, nie zasługuje na szczegółowe opisywanie. Oboje uczestnicy zdarzenia zostali, w każdym razie, w pełni zadowoleni. Butonow po wyjściu od Niki wysikał się wreszcie po całym dniu w wychodku z desek na końcu działki i zasnął kamiennym snem.

Nika wróciła do domu, kiedy było już widno, nie była śpiąca, wręcz przeciwnie, czuła niesamowity przypływ energii i jej ciało, jakby w podziękowaniu za dostarczoną przyjemność, gotowe było do codziennej krzątaniny.

Nucąc wczorajszą melodię, starannie pozmywała naczynia i wzięła się za gotowanie płatków owsianych na śniadanie, mieszając w dużym garnku długą łyżką, kiedy do kuchni weszła Medea po filiżankę kawy.

* Bardzo ci wczoraj przeszkadzaliśmy? * pocałowała ciotkę w suchy policzek.

* Nie, dziecko, wszystko w porządku. * Medea dotknęła jej głowy.

Lubiła jej włosy: były takie same sprężyste i trzaskające jak u Samuela.

* Wyglądałaś wczoraj na bardzo zmęczoną * rzuciła Nika.

* Coś dziwnego ostatnio ze mną się dzieje. Cały czas jestem zmęczona. Może to starość? * zwierzyła się Medea.

Nika zmniejszyła ogień w kuchence naftowej.

* Nie masz dość swojego szpitala? Może odejdiesz?

* Nie wiem, nie wiem... Przyzwyczaiałam się całe życie pracować... Chłopska choroba, jak mawiała Armik Tigranowna. * Podniosła się na znak, że rozmowa skończona.

Weszła Masza w kurtce narzuconej na koszulę nocną, miała rozpaloną różową twarz z drobną wysypką.

* Maszka! Co ci jest? * zawołała Nika. Masza łąpczywie napiła się z kubka i powiedziała coś dziwnego:

* A wiadro pełne... Alergia.

* Może czerwonka? * zaniepokoiła się Medea.

* Skąd? Do wieczora przejdzie * uśmiechnęła

się Masza. * Miałam koszmarną noc. Gorączka, dreszcze. Teraz już w porządku.

Miała w kieszeni wymięty kawałek papieru z nocnym wierszem. Wiersz jej się na razie podobał, powtarzała go w kółko w pamięci: „W koszyku dziecko bezimienne

wyrzuciła rzeka i córa faraona w białych szatach już pośpiesza mu z pomocą.

Złapana ryba biła się na piasku, a ja nie pamiętałam nic, nawet imienia, i stałam

wysypując piasek z dłoni i na piekącym słońcu zapadałam w sen, a kiedy się

zbudziłam, nie przestałam czekać. Na co czekałam, tego nie wiem dziś..."

Ale tak naprawdę wszystko już wiedziała. Po wczorajszym niespokojnym dniu i koszmarnej nocy miała już pełną jasność: po prostu się zakochała.

No i czuła słabość, zwykłą słabość po gorączce.

Rozdział dziewiąty

Aleksandra, która szybko się nudziła mężczyznami i zmieniała ich, tak samo jak zawód wyjątkowo często, poznała swego trzeciego męża w Teatrze Małym, gdzie pracowała od połowy lat pięćdziesiątych jako garderobiana u pewnej starej sławnej aktorki, a on, przyzwoicie zarabiający na państwowej posiadzie, dorabiał na boku, odnawiając dla teatralnej elity meble kupione za grosze i mające muzealną wartość.

Zawsze łatwo się zakochiwała, nie uganiała się wprawdzie za bogactwem, ale uwielbiała blichtr. Jej małżeństwo z Aleksiejem Kirilowiczem nie należało do udanych. Były to trzy najnudniejsze lata w jej życiu. Małżeństwo skończyło się awanturą: mąż przyłapał ją pewnego dnia z głuchoniemym palaczem obsługującym timiriaziewskie dacje.

Aleksiej Kirilowicz był tak tym zaskoczony, że wyszedł z domu i nigdy już nie powrócił, zostawiając żonę w objęciach ogromnego Gierasima. Sandrocza przepłakała cały dzień.

Męża zobaczyła później tylko raz, w sądzie, kiedy się rozwodzili. Do tysiąc

dziewięćset czterdziestego pierwszego roku regularnie dostawała od niego pieniądze wysyłane pocztą. Syna Aleksiej Kirilowicz nie chciał nawet widzieć.

Palacz był oczywiście tylko krótkim epizodem w jej życiu. Miała wiele wspaniałych romansów:

z dziarskim lotnikiem*oblatywaczem, znanym Żydem * członkiem Akademii Nauk, dowcipnym i niepoprawnym kobieciarzem, i młodym aktorem, który padł ofiarą przedwczesnej sławy i alkoholu.

Jej drugim mężem był przystojny wojskowy, miłośnik głośnych ukraińskich pieśni, Jewgienij Kitajew. Urodziła mu córkę Lidie, a potem i to małżeństwo się rozpadło.

Nie rozwiedli się, ale żyli osobno i druga córka Wiera, urodzona jeszcze przed wojną, miała innego ojca, człowieka o tak głośnym nazwisku, że Kitajew do końca życia wolał milczeć na temat swego życia rodzinnego. Ostatnia córka Aleksandry, która urodziła się w czterdziestym siódmym, trzy lata po tym, jak Kitajew zginął na wojnie, też otrzymała jego wesołe nazwisko.

Po przekroczeniu pięćdziesiątki, kiedy na ogień jej wyblakłych włosów przestał zlatywać się tłum adoratorów, westchnęła i powiedziała do siebie: „No cóż, dość już...” Rozejrzała się dookoła swym ostrym kobiecym wzrokiem i dostrzegła w pobliżu teatralnego stolarza Iwana Isajewicza Prianiczkowa.

Nie był jeszcze stary, a nawet trochę młodszy od niej, tak koło pięćdziesiątki, niewielkiego wzrostu, ale szeroki w ramionach, włosy miał dłuższe, niż to jest zwykle przyjęte wśród klasy robotniczej, jakby chciał tym podkreślić swoją przynależność do środowiska artystycznego, zawsze starannie wygolony, koszule pod granatowym roboczym fartuchem świeże. Idąc pewnego razu za nim po korytarzu, wyczuła złożony i cierpki zapach, który jej się nawet spodobał * terpentyny, lakieru, kalafonii i czegoś jeszcze.

Miał w sobie dużo godności i nie pasował do miejsca wyznaczonego mu w teatralnej hierarchii,

gdzieś pomiędzy obsługą techniczną a charakterizatorem. Chadzał teatralnymi korytarzami, na pozdrowienia odpowiadał tylko kiwnięciem głowy, i zamykał się w swojej pracowni, jakby był przynajmniej zasłużonym artystą. Pod koniec pewnego

dnia, kiedy robotnicy jeszcze się nie rozeszli, a aktorzy grający w przedstawieniu już się zebrali, Aleksandra Gieorgijewna zapukała do jego pokoju. Przywitali się. Okazało się, że nie wiedział, jak ona się nazywa, chociaż pracowała w teatrze od trzech lat. Opowiedziała mu o serwantce z drzewa orzechowego, którą odziedziczyła po zmarłej teściowej, zerkając jednocześnie na ściany pracowni z symetrycznie porozwieszanymi narzędziami i rzędami półek, na których były ustawione butle z ciemną i rudą ciecżą.

Iwan Isajewicz trzymał zgrubiałą rękę z czarną obwódką wokół paznokci na jasnym blacie rozebranego na części stołu, głąskał grubym palcem zniszczony ozdobny kwiatek i wysłuchawszy opowiadania Aleksandry Gieorgijewny o serwantce, powiedział, nie patrząc jej w oczy:

* Skończę markieterię dla Iwana Iwanowicza, wtedy rzucę okiem...

Tydzień później przyszedł do jej mieszkania w Uspieńskim zaułku, gdzie zajmowała dwa i pół pokoju z córkami Wierą i Niką. Zaproponowana filiżanka rosołu z kawałkiem wczorajszego kulebiaka i kasza gryczana, jakby wprost z ruskiego pieca, zrobiła na Iwanie Isajewiczu duże wrażenie. Mieszkał wprawdzie przyzwoicie i schludnie, ale jednak po kawalersku, bez dobrego domowego jedzenia.

Spodobało mu się również, jak uważnie, w skupieniu Aleksandra Gieorgijewna wyjmowała chleb

z drewnianego pojemnika i rozwijała serwetkę, w którą był zawinięty. Jeszcze większe wrażenie zrobiło na nim jej krótkie spojrzenie rzucone na kredens * wisiała tam ikona Matki Boskiej Korsuńskiej, którą nie od razu zauważył, ponieważ znajdowała się nie w kącie, jak to było przyjęte, a była schowana * i ciche westchnienie „Jezu Chryste”, którego nauczyła się w dzieciństwie od Medei.

Pochodził z rodziny staroobrzędowców, ale wcześniej opuścił dom i wyrzekł się wiary przodków. Odbiwszy się od rodzimego brzegu, do drugiego jednak nie dotarł i całe życie przeżył w niezgodzie ze sobą, raz przerażając się, że zerwał wszelkie stosunki z rodziną, innym znów razem żałując, że nie może dołączyć do tysięcznych tłumów energicznych i rozentuzjasmowanych współobywateli.

Był poruszony tym modlitewnym westchnieniem, ale dopiero wiele lat później, będąc

już jej mężem, zrozumiał, że potrafiła rozwiązać dręczący go przez całe życie problem w bardzo prosty sposób. U niego wiara w Boga oznaczała przestrzeganie praw bożych na każdym kroku, a Sandroczka łączyła wszystko, nie widząc w tym żadnego problemu: stroiła się, malowała usta, bawiła się na całego, a w stosownej chwili wzdychała, modliła się, płakała i szczerze pomagała potrzebującym...

Wartość serwantki jako mebla była prawie żadna: fornirowany orzech, zgubione klucze i zniszczona tarcza zamka. Iwan Isajewicz rozłożył narzędzia i odkręcił przednie skrzydło, Aleksandra Georgijewna tymczasem szybko się zebrała i pobiegła do pracy, stroić swoją zgrzybiałą primadonnę w kupiecką pelerynę z grubego jedwabiu. Stara grała prawie wyłącznie w sztukach Ostrowskiego.

Iwan Isajewicz został w domu z córkami i zaczął niespiesznie przygotowywać się do pracy: wyczyścił powierzchnię, zdjął w jednym miejscu fornirowanie, cały czas nie przestając myśleć jednak o wdowie: porządna z niej kobieta, wszystko posprzątane, dzieci dobrze wychowane, sama, jak widać, wykształcona, tylko czemu pracuje jako garderobiana u tej wrednej staruchy...

Powrotu gospodyni się nie doczekał, coś ją zatrzymało po spektaklu. Stara gwiazda wezwała do siebie po występie głównego reżysera i kazała wymienić jej młodą partnerkę, „która cały czas tylko pyskuje, a nie zna tekstu”.

Zanim emocje opadły, zanim Aleksandrze udało się uspokoić i przebrać starą, było już w pół do pierwszej, do tego wszystkiego musiała iść do domu pieszo, bo aktorka albo zapomniała ją podwieźć do domu zamówioną taksówką, jak to zwykle było, albo nie chciała.

Iwan Isajewicz regularnie odwiedzał serwantkę z drzewa orzechowego, zaglądając zawczasu do repertuaru i wybierając takie dni, kiedy nie grali Ostrowskiego i Aleksandra Georgijewna zostawała w domu. Pierwszego wieczoru siedziała przy stoliku i pisała listy, drugiego * szyła spódnice dla córki, później przebierała kaszę i delikatnie mruzczała jakąś melodię z operetki, od której nie mogła się uwolnić.

Proponowała Iwanowi Isajewiczowi raz herbatę, raz kolację.

„Ten meblarz”, jak go nazywała, coraz bardziej ujmował ją swoją poważną powściągliwością, oszczędnością w słowach i ruchach, i całym swym

zachowaniem, które uważała wprawdzie za trochę sztywne, jak przyznawała się swej najbliższej przyjaciółce Kirze, ale „bardzo męskie”.

W każdym razie, wołała jego niż swego głównego konkurenta, zasłużonego artystę, od niedawna wdowca o donośnym głosie, gadatliwego, zadufanego i obrażającego się jak gimnazjalistka. Zaciągnął ją pewnego razu do swego wielkiego pięknego mieszkania w solidnym domu w stylu stalinowskim obok Mossowietu, a następnego dnia Sandra długo wyśmiewała się z niego, szczegółowo opowiadając Kirze, jak zastawił stół starą zastawą bankietową, ale cały poczęstunek składał się z wyschniętego plasterka sera samotnie leżącego w ogromnym kryształowym naczyniu i równie wyschniętego kawałeczka kielbasy na półmetrowym talerzu na zakąski. Najpierw opowiadał jej dobrze ustawionym głosem, unosząc się pod sam sufit wysokiego na cztery metry pokoju, o swej wielkiej miłości do zmarłej żony, a później zaczął głośno wabić do sypialni, obiecując zademonstrować, na co go stać, a kiedy Aleksandra zaczęła się zbierać do wyjścia, wyjął szkatułkę z kosztownościami żony i oznajmił, nie otwierając, że jego wybranka dostanie całą jej zawartość.

* I co, Sandroczo, wykreśliłaś się, czy weszłaś jednak do sypialni? * wypytywała ją przyjaciółka, która koniecznie musiała wszystko wiedzieć.

* Daj spokój, Kiro * wybuchła śmiechem Aleksandra Georgijewna. * Przecież od razu było widać, że on od dawien*dawna zdejmuje spodnie tylko w ubikacji! Nadąsałam się i mówię do niego: „Ach, jaka szkoda, że nie mogę pójść dziś do pańskiej sypialni, bo mam akurat miesięczkę...”. Aż go zamurowało. Nie, jemu jest potrzebna kucharka, a mnie * mężczyzna. Nie pasujemy do siebie...

Iwan Isajewicz nie śpieszył się z naprawą. On zresztą nigdy z niczym się nie śpieszył. Ale piątego wieczoru jego niespieszna praca dobiegła jednak końca i specjalnie wyszedł trochę wcześniej, żeby ostatnią warstwę szelaku nanieść następnego dnia. Szkoda mu było rozstawać się z tym domem, zerkał więc z nadzieją w stronę ewidentnie zniszczonej toaletki w paskudnym stylu imitującym modern. Podobała mu się Aleksandra Georgijewna i cały jej dom, którego mieszkańców obserwował ukradkiem spod serwantki z drzewa orzechowego: posępną studentkę

Wierę, szeleszczącą papierami jak mysz, intensywnie różową Nike i starszego syna, który prawie codziennie wpadał do matki na herbatkę. Nie widział tu lękliego szacunku do rodziców, który wpajano mu w dzieciństwie, tylko prawdziwe przywiązanie dzieci do matki i ciepłą przyjaźń między nimi. I dziwił się temu, i zachwycał.

Aleksandra Gieorgijewna zgodziła się na odnowienie toaletki i Iwan Isajewicz przychodził teraz dwa razy w tygodniu, kiedy miała wolne. Trochę jej przeszkadzała jego obecność: ani gości zaprosić, ani gdzieś wyjść...

Sytuacja była jasna: stolarz był już jej, ale ona wciąż nie mogła się zdecydować * niby porządny facet, a jednak * ciamajda... Tymczasem przytargał skądś dziecięce łóżeczko w kształcie łódeczki:

* Dla pańskich dzieci robiona, przyda się Nice * i sprezentował.

Aleksandra westchnęła: była zmęczona codzienną samotną szarpaniną. Do tego wszystkiego

szefowa załatwiła jej działkę na osiedlu domków letniskowych należących do Teatru Małego, ale Sandra nie mogła sobie poradzić z budową. Wszystko przemawiało za powolnym Iwanem Isajewiczem, który podświadomie również dążył do zmiany życia z kawalerskiego na rodzinne.

Póki trwało meblowe preludium do ich małżeństwa, coraz bardziej doceniał zalety Aleksandry Gieorgijewny.

„Porządna kobieta, nie jakaś latawica” * myślał, porównując ją z Walentyną, z którą przemieszkał dobrych kilka lat i która zdradziła go w końcu z pierwszym lepszym ziomkiem*kapitanem.

Ale gdzie tam było jego grubo ciosanej Walentynie do Sandroczki.

Zima się kończyła, a razem z nią romans Sandry z ministerialnym urzędnikiem, który znalazł jej kiedyś pracę w Teatrze Małym. Łapówkarz i oszust, potrafił być w stosunku do kobiet szczodry i zawsze jej pomagał. Zaczął jednak romansować z kimś jeszcze, z Aleksandrą widywał się coraz rzadziej, więc źródło z pieniędzmi powoli wysychało.

Pod koniec marca poprosiła Iwana Isajewicza, by pojechał z nią na działkę, gdzie

zaczęła zeszłego lata budowę domu, ale prace utknęły. Od tej pory towarzyszył jej w każdą niedzielę.

Spotykali się na dworcu obok kas po siódmej rano, brał od niej torbę z jedzeniem, wsiadali do pustej kolejki podmiejskiej i dojeżdżali, prawie nie odzywając się do siebie, do swojej stacji, później szli dwa kilometry drogą, wciąż milcząc. Sandra myślała o swoim, nie zwracając większej uwagi na towarzysza, a on cieszył się z jej skupionego milczenia, bo i sam nie był zbyt rozmowny, zresztą i mówić nie było właściwie o czym: teatralne plotki ich nie interesowały, a wspólnego życia jeszcze nie mieli.

Z czasem wspólny temat się pojawił: problemy związane z budową domu. Rady Iwana Isajewicza były rozważne, rzeczowe; robotnicy, którzy się zjawili pod koniec kwietnia, brali go za gospodarza i praca pod jego nadzorem wyglądała już zupełnie inaczej.

Sprawa małżeństwa stała jednak w miejscu. Sandra nie podejmowała bez pomocy Iwana Isajewicza żadnych decyzji i czuła się bezpiecznie w jego obecności. Przez wiele lat sama musiała sobie radzić z utrzymaniem rodziny i była tym już nieco zmęczona, pomoc materialna ze strony mężczyzn, z której korzystała bez większych wyrzutów sumienia, też powoli się kończyła.

Widziała w Iwanie Isajewiczu coraz więcej zalet, ale dobijały ją jego „trza” i „mogiem”. Chociaż sama nie miała dobrego wykształcenia, zaledwie niepełne średnie i kursy dla laborantów, Medea nauczyła ją posługiwać się nienagannym językiem, a po pontyjskich żeglarzach otrzymała chyba kroplę szlachetnej krwi i zaszczytne pokrewieństwo z królowymi, zwróconymi na wszystkich malowidłach z profilu, które przedły włóczkę, tkwały chitony i robiły ser dla swych mężów, królów Itaki i Myken.

Aleksandra miała świadomość, że za długo przypatrują się sobie, ale wciąż wydawało jej się, że jest pod wieloma względami lepsza od niego, że dla niego będzie to wielki zaszczyt, jeśli go wybierze, więc zwlekała i nie dawała po sobie znać, że już wybrała, a Iwan Isajewicz cierpliwie czekał.

Zbliżyło ich do siebie i połączyło dopiero wielkie nieszczęście, które zdarzyło się

tamtego lata...

Żona Siergieja, Tania, była córką generała, chociaż nic z tego nie wynikało * ot taki szczegół w życiorysie. Odziedziczyła po ojcu ambicję, a po matce * piękny nos.

Dostała w posagu starą „pobiedę” i nową kawalerkę w Czeremuszkach dzięki znajomościom ojca. Siergiej, człowiek drażliwy i niezależny, samochodu nie dotykał, nawet nie miał prawa jazdy. Prowadziła Tania.

Ich córka Masza mieszkała tego ostatniego lata przed pójściem do szkoły na daczcy z babcią generałową. Wiera Iwanowna była kobietą kłótniawą, histeryczną, o czym wszyscy dobrze wiedzieli. Wnuczka kłóciła się czasami z babcią i dzwoniła wtedy do rodziców do Moskwy, prosząc, żeby zabrali ją do domu. Tym razem zadzwoniła późnym wieczorem z gabinetu dziadka, nie płakała, ale była bardzo rozżalona:

* Nudzę się, nigdzie mnie nie wypuszcza, koleżanek też nie pozwala zapraszać, mówi, że coś ukradną. A one nic nie ukradną, naprawdę...

Tania dobrze pamiętała czasy, kiedy sama była wychowywana przez matkę, obiecała więc, że za parę dni ją stamtąd zabierze. Psuło to plany rodzinne. Mieli za dwa tygodnie jechać na Krym, termin był dawno ustalony z Medeą i wyjazdu nie dało się już przesunąć.

* Może Sandroczka weźmie Maszkę chociażby na tydzień? * ostrożnie zaproponowała Tania.

Ale Siergiej nie bardzo chciał zabierać córkę od „generałów”, jak nazywał rodziców żony, szkoda mu było matki, która dopiero co się wybudowała, nie mówiąc już o tym, że „generałowie” mieli

ogromną daczę ze służbą, a Sandroczka * dwa pokoje z tarasem.

* Szkoda Maszki * westchnęła Tania i Siergiej ustąpił.

Wzięli w ciągu tygodnia wolne i o świcie wyjechali. Do generalskiej daczcy jednak nie dotarli: pijany kierowca ciężarówki wjechał na przeciwny pas i zderzył się z ich samochodem, oboje zginęli na miejscu.

Pod wieczór tego samego dnia, kiedy Nika, przygotowawszy cały pułk lalek i mus malinowy, była już porządnie zmęczona czekaniem na swoją najlepszą koleżankę kuzynkę, przed bramą zatrzymała się generalska „wołga”, wysiadł z niej niepokaźny

generał i niepewnym krokiem ruszył w stronę domu.

Aleksandra zauważyła go przez przezroczystą zasłonę i wyszła na ganek, miała złe przeczucia * razem z gęstniejącym zmierzchem nadciągało jakieś nieszczęście.

* Jezu, zaczekaj, nie zniosę tego, nie jestem gotowa...

I generał zwolnił krok. Czas też zaczął zwalniać i wreszcie się zatrzymał. Tylko huśtawka z Niką wciąż się bujała w górę i w dół, wolniej, coraz wolniej.

Przed oczami Aleksandry przesuwiał się fragment jej życia, z nią i Sierożą, a nawet z jej pierwszym mężem, Aleksiejem Kiryłowiczem, kiedy mieszkali na stacji w Karadagu. Niemowlę w rękach Medei, ich wspólny wyjazd do Moskwy w drogim starym przedziale, pierwsze kroki syna na daczy w Timiriaziewie... Sieroża * w kurteczce, ostrzyżony na łyso, przed pójściem do szkoły, i mnóstwo innych zatartych w pamięci obrazków przewinęło się przed jej oczami, w czasie gdy generał nieuchronnie się do niej zbliżał...

Dwa dni temu Sieroża wpadł do niej, prosząc, żeby wzięła Maszę na parę dni na daczę do ich wyjazdu na Krym, pamiętała jego przepraszający uśmiech i jak pocałował ją w zebrane w kok włosy:

* Dziękuję, mamusiu, tyle dla nas robisz... A ona tylko machnęła ręką:

* Bzdury, synku, opowiadasz. Żadnej przysługi nie robię, po prostu kochamy Maszkę...

Generał Piotr Stiepanowicz dotarł wreszcie do Aleksandry, zatrzymał się i z trudem wycisnął z siebie drżącym głosem:

* Nasze dzieci... zginęły...

* A Masza? * zdołała zapytać Aleksandra.

* Masza jest na daczy... Jechali... żeby ją zabrać... * wysapał generał.

* Wejdz * rzuciła Aleksandra i on posłusznie wszedł za nią na górę.

Generałowa Wiera Iwanowna była w fatalnym stanie: przez trzy dni krzyczała jak obłąkana zachrypniętym głosem, zasypiając dopiero po zastrzyku, ale biednej Maszy nie spuszczała z oczu. Spuchnięta od łez przyprowadziła ją na pogrzeb, dziewczynka od razu rzuciła się do Aleksandry i przez całą mszę stała przytulona do niej.

Wiera Iwanowna rzucała się półprzytomna na zamkniętej trumnie i w końcu zaczęła

wykrzykiwać urywane słowa z wołogodzkiego lamentu, które wyrwały się z samych głębin jej prostej, zepsutej generalskim życiem, duszy.

Aleksandra stała ze skamieniałą twarzą, trzymając rękę na czarnej główce Maszy, po bokach

stały dwie starsze córki, a Iwan Isajewicz z Niką z tyłu, jakby pilnował całej rodziny. Stypę urządzono w mieszkaniu generała na nabrzeżu Kotielniczeskim. Wszystko, włącznie z zastawą stołową, przywieziono z jakiegoś strzeżonego miejsca dla wysoko postawionych osób. Piotr Stiepanowicz upił się do nieprzytomności. Wiera Iwanowna cały czas żądała obecności Maszy, a dziewczynka nie mogła oderwać się od Aleksandry. Przesiedzieli w ten sposób cały wieczór razem, dwie teściowe połączone wspólną wnuczką.

* Sandrocza, zabierz mnie ze sobą, proszę * szeptała dziewczynka na ucho Aleksandrze, ale ta obiecała generałowi, że nie odbierze im wnuczki, więc pocieszała ją, obiecując zabrać, jak tylko babcia Wiera poczuje się lepiej.

* Nie możemy jej zostawiać samej * przekonywała Maszę, a sama tylko marzyła o tym, żeby zabrać dziewczynkę do siebie na Uspieński.

To wtedy zauważyła na bladej twarzy wnuczki rozsypane rude piegi, rodzinne piegi Sinopli, drobne dowody żywej obecności dawno zmarłej Matyldy.

* Trzeba Maszę stąd zabrać. Mogę pomóc * jak zawsze unikając intymnego „ty” i oficjalnego „pani”, nie nazywając jej ani Aleksandrą Gieorgijewną, ani Sandrocza, wymamrotał Iwan Isajewicz, odprowadzając ją późnym wieczorem po stypie do domu.

* Wiem, że trzeba, tylko jak? * tak samo wymijająco odpowiedziała Sandrocza.

Medea nie przyjechała na pogrzeb chrześniaka: adoptowana córka zmarłej Anieli, Nina, leżała po ciężkiej operacji w szpitalu i Medea wzięła do siebie na lato z Tbilisi jej dwie małe córeczki. Nie miała teraz z kim ich zostawić...

Pod koniec sierpnia Iwan Isajewicz zrobił płot, założył kraty na okna i wstawił skomplikowany zamek do drzwi.

* Porządny włamywacz nie ma co tu szukać, a przed łobuzami ochroni.

Przez cały ten ciężki okres po pogrzebie nie odstąpił Aleksandry na krok * był to

początek ich wspólnego życia.

Ich stosunki jednak zostały na zawsze naznaczone tragicznym wydarzeniem i wyglądało na to, że Aleksandra nie była już w stanie cieszyć się życiem, jak to robiła od wczesnej młodości, nie patrząc na wojnę, pokój czy koniec świata.

Iwan Isajewicz nic o jej przeszłości nie wiedział i nie chciał wiedzieć. Był zupełnie innym człowiekiem niż jego żona i nie było w jego słowniku takich słów, a w pamięci takich snów, jakie miała Aleksandra. Żona była dla niego istotą wyższą, świętą.

Nawet kiedy się domyślił, że ojcem jej młodszej córki Niki nie mógł być pułkownik Kitajew, którego nazwisko nosiła, bo zginął cztery lata przed jej urodzeniem, uwierzyłby raczej w niepokalane poczęcie niż w co innego.

Aleksandra, żeby nie burzyć jego zaufania, musiała wymyślić historyjkę o tym, jak chcieli pobrać się z pewnym lotnikiem*oblatywaczem, a on się rozbił w przeddzień ślubu zostawiwszy ją w ciąży.

Nie była to historia całkiem zmyślona * lotnik rzeczywiście istniał, uchowało się nawet jego zdjęcie z żartobliwą dedykacją, i rzeczywiście miał pecha i rozbił się w czasie ćwiczeń, ale nigdy nie zamierzał się żenić, ojcem Niki nie był i rozbił się dopiero pięć lat po jej urodzeniu, Nika dobrze go pamiętała, bo zawsze przynosił duże pudełka cukierków „Południowy orzech”, które później znikły ze sprzedaży...

Ale Iwan Isajewicz miał już taki stosunek do swej żony, że nawet w tym wątpliwym epizodzie jej życia potrafił dostrzec zaletę * inna by na jej miejscu usunęła ciążę albo zrobiłaby coś równie złego, a Sandrocza dziecko urodziła i wychowała, wszystkiego sobie odmawiając... Był gotów osłodzić jej ciężkie życie na wszystkie możliwe sposoby: kupował w sklepie Jelisiejewskim same dobre rzeczy, przynosił prezenty, czasami nedorzeczne, dawał jej dłużej pospać rano... W intymnych stosunkach doceniał sam fakt ich istnienia i w głębi swej prostej duszy uważał nawet, że jego szlachetnej żonie te wszystkie sprawy łóżkowe tylko dokuczają, i minęło niemało czasu, zanim Sandrocze się udało wykorzystać go do osiągnięcia małych małżeńskich przyjemności. Oddanie Iwana Isajewicza było tak wielkie, że nie mieściło się w przyjętych granicach tego pojęcia. Wszystkie jego myśli i uczucia były skierowane

wyłącznie do niej i Sandroczka, mile zaskoczona takim prezentem pod koniec swej kobiecej kariery, przyjmowała jego miłość ze szczerą wdzięcznością.

Generał Gładyszew wybudował w swym życiu tyle wojskowych i półwojskowych obiektów, tyle orderów miał na swej szerokiej piersi, że prawie już się nie bał władzy. To znaczy nie bał się nie jak filozof czy malarz w jakimś niezdyscyplinowanym burżuazyjnym kraju, gdzie na wszystko się pozwala, a w takim sensie, że udało mu się szczęśliwie

przeżyć Stalina, dogadywał się też z Chruszczowem, którego znał z czasów wojny, i był święcie przekonany, że z każdą władzą znajdzie wspólny język.

Bał się tylko swej małżonki Wiery Iwanowny. Jedynie ona, wierna żona i frontowa przyjaciółka, nie dawała mu spokoju i działała na nerwy. Uważała, że to wyłącznie jej mąż zawdzięcza swą wysoką pozycję w wojsku i dobre stanowisko, i potrafiła skutecznie wyegzekwować wszystko, co jej się z tego tytułu należało. Przy każdej okazji urządzała głośnie awantury. Piotr Stiepanowicz najbardziej obawiał się właśnie tych awantur. Małżonka miała bardzo donośny głos, akustyka w wysokich pokojach była świetna, a izolacja słaba. I kiedy zaczynała krzyczeć, od razu się poddawał:

* Całkiem zwariowałaś, przed sąsiadami wstyd. Po głodnym wołogodzkiem dzieciństwie i biedzie

w młodości Wiera Iwanowna po prostu oszalała na punkcie zagrabionych w powojennych Niemczech dóbr, których wagon przywiózł pod koniec czterdziestego piątego roku Piotr Stiepanowicz, człowiek nie chciwy, ale sprytny. Od tamtej pory Wiera Iwanowna jakby wpadła w amok i nie mogła się zatrzymać, wciąż gromadząc majątek.

Piotr Stiepanowicz, chociaż i nazywał żonę wariatką, wcale jej za taką nie uważał, dlatego kiedy został obudzony pewnej nocy bełkotem żony, stojącej w jaskraworóżowej nocnej koszuli koło wysuniętej szuflady biurka * chyba z Poczdamu * nawet do głowy mu nie przyszło, żeby oddawać ją do szpitala dla obłąkanych.

* Sądzi, że teraz wszystko ode mnie dostanie... a jakże... mała morderczyni... * Wiera

Iwanowna

chowała w ręczniku chiński wachlarz i jakieś flakoniki.

* Co ty tam w środku nocy robisz, matko? * podparł się na łokciu Piotr Stiepanowicz.

* Muszę to schować, Pietia. Ona sądzi, że ujdzie jej to na sucho. * Miała tak rozszerzone źrenice, że wydawało się, iż ma czarne oczy, a nie szare.

Generał tak się wkurzył, że wszystkie jego złe przecucia od razu wyparowały.

Wystrzelił w jej kierunku długą serią wyzwick, zabrał poduszkę i kołdrę i poszedł dosypiać do gabinetu, długie tasiemki wojskowych gaci ciągnęły się za nim po podłodze.

Szaleństwo * wiedzą o tym wszyscy, którzy się z nim zetknęli * jest tym bardziej zaraźliwe, im wrażliwszy jest człowiek znajdujący się obok szaleńca. Generał więc tego po prostu nie zauważał. Motia, daleka krewna Wiery Iwanowny, od młodych lat mieszkająca w ich domu jako pomoc domowa, dostrzegała pewne dziwactwa w zachowaniu swej pani, ale nie przypisywała temu dużego znaczenia. Dwukrotnie w swoim życiu przeżyła rosyjski głód, więc sama była trochę dziwna. Żyła tylko po to, żeby jeść. Nikt w domu nie widział, jak i kiedy to robiła, ale wszyscy wiedzieli, że jada po nocach.

Ucztowała w swym wąskim pokoiku bez okna przeznaczonym na spiżarnię, zamknawszy drzwi na haczyk. Najpierw dojadła zebrane ze stołu resztki, później to co jej się należało, zostawiając na koniec najbardziej łakome kąski, kradzione, wyjmowane potajemnie z kremlowskich zamówień żywnościowych: dokładkę jesiotra, kawałek salami, cukierki, jeśli były na wagę, a nie w pudełkach.

Nikt z domowników, z kotką włącznie, nie miał prawa wstępu do jej pokoju i nawet generał, odporny na mistyczne fanaberie, czuł w tym wszystkim jakąś paskudną tajemnicę. Przechowywała tu woreczki z kaszą, mąkę, konserwy. Dzień przed corocznym wyjazdem do siostry na wieś wymykała się z dwiema torbami na dworzec Jarosławski i oddawała bagaż do przechowania. Całą zebraną żywność wiozła dla siostry, ale zawsze kończyło się tak samo: pierwszego wieczoru stawiała na stole wysmarowaną apetycznym olejem maszynowym puszkę konserwy mięsnej, mając zamiar oddać resztę później, ale jej chora dusza nie dopuszczała do tak desperackiego

czynu i Motia zjadała całe zapasy sama, po nocach, w ciemności i samotności, a siostrze, która obserwowała tę nocną uczkę, leżąc na piecu, było jej bardzo żal, więc wybaczała jej chciwość. Była od Moti starsza, żyła z ogródka, trzymała krowę i jadła mało.

Nic więc dziwnego, że zajęta ciągłym zdobywaniem pożywienia Motia nie zauważyła u swej pani ataków apatii ani nagłego ożywienia, kiedy ta zaczynała miotać się po pokojach jak zwierzę w klatce, a jeśli coś zauważała, to tłumaczyła jak zawsze: „Wierka * to prawdziwy diabeł”. Piotr Stiepanowicz również niczego nie zauważał, przez wiele lat unikał towarzystwa żony, wstawał wcześnie, śniadania w domu nie jadł, sekretarka na jego widok od razu przynosiła mu do gabinetu herbatę. Wracał późno, nieraz po północy, wysiadywał w pracy po szesnaście godzin, a najbardziej lubił wyjazdy z inspekcją do obiektów i często go nie było w Moskwie. Z małżonką z własnej woli nie zamieniał nawet paru słów. Wracał, jadł kolację, chował się pod

jej jedwabnymi puchowymi kołdrami i błyskawicznie zasypiał snem zdrowego człowieka.

Nic dziwnego, że obłąkana Wiera Iwanowna wyżywała się głównie na Maszy. Dziewczynka poszła właśnie do pierwszej klasy. Budziła ją, odprowadzała i zabierała ze szkoły Motia, ale całe popołudnie Masza spędzała z babcią.

Wiera Iwanowna siadała przy stole obiadowym naprzeciwko wnuczki i nie spuszczała z niej oczu. Nie można powiedzieć, że zadreślała ją uwagami. Patrzyła cały czas szarymi nieruchomymi oczami i coś mamrotała. Masza ruszała srebrną łyżką w talerzu i nie mogła donieść zupy do ust. Pod zimnym spojrzeniem Wiery Iwanowny zupa szybko stygła i czatująca Motia zabierała ją nie wiadomo dokąd, a przed dziewczynką pojawiał się duży talerz z drugim daniem, które prawie nietknięte podążało w ślad za zupą. Na deser zjadała kawałek białego chleba z kompotem, co pozostało jej ulubionym daniem przez całe życie, i wtedy babcia mówiła:

* Idziemy.

Posłusznie siadała przy pianinie na trzech grubych tomach jakiejś encyklopedii i kładła palce na klawisze. Od dotyku czarno*białych zębów znenawidzonej

klawiatury przeszywało ją potworne zimno * nigdy tak nie marzyła jak wtedy. Wiera Iwanowna dobrze wiedziała, że dziewczynka nienawidzi tych zajęć. Siadała obok, nie spuszczać z niej oczu i bez przerwy coś mamrotała pod nosem. Łzy stawały w oczach dziewczynki i toczyły się po policzkach, zostawiając chłodne mokre ślady. Po zajęciach muzyki odsyłano ją do narożnego pokoju. Tu na stoliku stało zdjęcie Tani w ramce, a w pudełku leżało dużo innych zdjęć. Masza otwierała zeszyt, wkładała między kartki jedno ze zdjęć matki, najczęściej to, gdzie stała w drzwiach jakiegoś wiejskiego domu, z jednej strony widać było fragment płotu i kwitnący krzak, i uśmiechała się takim szerokim uśmiechem, że ledwo mieścił się na jej wąskiej twarzy... Było to amatorskie zdjęcie zrobione przez Siergieja owego pamiętnego letniego poranka po ich wspólnej nocy, kiedy Tania pierwsza poprosiła go o rękę. Od dawna był w niej zakochany, ale milczał, przeciągał, wahał się, onieśmielony jej ojcem generałem...

Masza kreśliła zawijasy i pałeczki, zatrzymując w zamyśleniu wzrok na zdjęciu. Godzinami przesiadywała nad lekcjami. Na spacer jej nie puszczali * Wiera Iwanowna miała na ten temat swoje zdanie. Czasami Motia zabierała ją ze sobą do sklepu, piekarni czy do szewca. Większość sklepów znajdowała się na parterze ich domu, więc spacer był krótki, czasami dochodziły do Solanki, gdzie stał ulubiony dom Maszy z kariatydami * wielkoludami, jak je nazywała. Lubiła też patrzeć jak rzeka Jauza, cerkiewki i płoty wokół budowy, widziane z okna mieszkania na dwunastym piętrze, robiły się nagle większe, brzydsze, obrastały mnóstwem detali i ciekawych szczegółów.

Najgorsze czekało na nią jednak po tym, jak Motia kładła ją wieczorem spać: nie mogła zasnąć, bez przerwy się wierciła w wielkim łóżku i nasłuchiwała, kiedy skrzypną drzwi i do pokoju wejdzie babcia. Przychodziła zwykle późno, Masza nie wiedziała, która to mogła być godzina, w wiśniowym szlafroku, z włosami zaplecionymi w długi gładki warkocz. Siadała przy łóżku, a Masza zwijała się w kłębek i zamykała oczy. Jeden z takich

listopadowych wieczorów zapamiętała bardzo dobrze dzięki świątecznej iluminacji. Światło padające z okna było w żółtoczerwone paski i Wiera Iwanowna, oświetlona

na czerwono, szeptała przeciągle i wyraźnie:

* Morderczyni, mała morderczyni... Zadzwoiłaś, dlatego pojechali... wszystko przez ciebie... Ale żyj teraz, żyj i ciesz się.

Wiera Iwanowna wychodziła i Masza mogła wreszcie popłakać. Wtulała twarz w poduszkę i zasypiała cała we łzach.

W niedzielę przychodziła kochana Sandroczka, na którą Masza czekała przez cały tydzień. Zabierała dziewczynkę na kilka godzin przed południem. W bramie na dole czekał na nich Iwan Isajewicz, wujek Wania, czasami sam, ale najczęściej z Niką, i wszyscy szli na spacer: do zwierzyńca, planetarium albo kącika Durowa. Kącik Durowa * słynny w czasach radzieckich cyrk ze zwierzętami pod kierownictwem Durowa (przyp. tłum.)

Rozstania zawsze przeżywała mocniej od spotkań i ten krótki spacer przypominał jej za każdym razem, jak szczęśliwi są ludzie żyjący w zaułku Uspieńskim.

Sandra kilka razy brała Maszę do siebie. Rozumiała, że dziewczynka tęskni, ale do głowy by jej nie przyszło, że jest dręczona przez obłąkaną babkę. Masza nic na ten temat nie mówiła, bojąc się, że kiedy kochana Sandroczka i Nika dowiedzą się o jej winie, przestaną do niej przychodzić.

Ten koszmarny sen przyśnił jej się po raz pierwszy późną jesienią. Nic się w nim nie działo. Po prostu otwierały się drzwi do pokoju i coś potwornego miało za chwilę do niej "wejść. Z korytarza wiało

nadciągającym koszmarem, który był coraz bliżej * i dziewczynka z krzykiem się budziła. Kto i po co otwierał drzwi, które we śnie zawsze były trochę przesunięte...

Na jej krzyk zwykle przybiegała Motia. Przykrywała ją, głaskała, żegnała * i dopiero nad ranem Masza zapadała wreszcie w sen.

Nie mogła zasnąć, czekając najpierw na babcię, a po jej wyjściu * na koszmar, który śnił się jej coraz częściej. Rano Motia nie mogła jej dobudzić. Na lekcjach siedziała niewyspana, do domu wracała zmęczona i w takim stanie odrabiała swoją muzyczną powinność, po czym zapadała na krótko w sen, który ratował ją przed wyczerpaniem nerwowym...

Miejsce nad Jauzą, gdzie stał ich dom, od dawna cieszyło się złą sławą. Wyżej była

już tylko Wszawa Górka, a przy samym brzegu gnieździli się kiedyś w małych chałupkach kotlarze i garncarze. Na przeciwległym brzegu ciągnął się bazar Oszustów, a w jego okolicach mieszkali handlarze starzyzną, prostytutki i bezdomni. Ich potomkowie byli lokatorami czynszówek wybudowanych tu na początku wieku. Właśnie ci ludzie, poupychani teraz w ciasnych, rozsypujących się mieszkaniach komunalnych, wytykali palcami ogromny, wyższy od wszystkich tutejszych cerkwi, budynek * architektoniczne brzydactwo z figlarnymi iglicami, arkadami, kolumnami i kondygnacjami o różnej wysokości, twierdząc, że to „złe miejsce...”

Wielu mieszkańców domu umierało przedwcześnie, a ciasne okna i małe balkoniki przyciągały samobójców. Kilka razy do roku nadjeżdżała karetka na sygnale i zabierała ludzkie szczątki litościwie przykryte prześcieradłem. Tak lubiana w Rosji statystyka donosiła, że ilość samobójstw zwiększa się w zimowym bezsłonecznym okresie.

Tamten grudzień był wyjątkowo mroczny, słońce ani razu nie przebiło się przez gęste chmury * najlepszy sezon na ostatni lot.

Gładyszewowie jadalni zwykle obiad w jadalni, a kolację w kuchni. Masza dojadła tamtego wieczoru ziemniaki usmażone przez Motię po wiejsku * pozlepiane w jeden placek * kiedy do kuchni weszła Wiera Iwanowna. Motia oznajmiła jej, że dziś znów ktoś „zleciał” * córka znanego konstruktora samolotów skoczyła z ósmego piętra.

* Pewnie się zakochała * skomentowała Motia całe zdarzenie.

* Rozpieszczają, stąd takie skutki. Trzeba tych dziewczuch lepiej pilnować * ostro rzuciła Wiera Iwanowna.

Nalała sobie szklanek wody i wyszła.

* Co jej się, Motiu, stało? * zapytała Masza, odrywając się od jedzenia.

* Jak to co? Zabiła się. Na dole przecież kamień, nie słoma. Och, grzechy nasze ciężkie... * westchnęła.

Masza odstawiła talerz do zlewozmywaka i poszła do swojego pokoju. Mieszkali na dwunastym piętrze. Balkon w jej pokoju nie było. Przysunęła do okna krzesło i weszła na szeroki parapet. Między jedenastym a dwunastym piętrem wystawało coś na wzór balustrady. Próbowwała otworzyć okno, ale zasuwki były pomalowane farbą

olejną i nie chciały puścić.

Rozebrała się, złożyła na krześle rzeczy. Weszła Motia, życząc jej spokojnej nocy.

Masza uśmiechnęła się, ziewnęła * i natychmiast zasnęła. Po raz

pierwszy odkąd tu zamieszkała, zasnęła lekkim, szczęśliwym snem, po raz pierwszy

nie usłyszała cichych przekleństw, z którymi wchodziła do niej o północy Wiera

Iwanowna i drzwi z koszmarne snu nie otworzyły się tamtej nocy ani razu.

Coś się w niej zmieniło, odkąd dowiedziała się o dziewczynie, która „skoczyła”.

Zobaczyła wreszcie dla siebie wyjście, o którym wcześniej nie wiedziała, i zrobiło jej się od razu lepiej.

Następnego dnia zadzwoniła Sandrocza z pytaniem, czy nie chciałaby pojechać z

Niką na obóz zimowy WTO. Z Niką Masza mogła jechać wszędzie. Nika była jedyną

dziewczynką z jej poprzedniego życia. Wszystkie jej koleżanki z Południowego

Zachodu, gdzie przedtem mieszkała, rozplynęły się bez śladu, jakby znikły razem z jej rodzicami.

Południowy Zachód * wielkie osiedle blokowisk w Moskwie o wysokiej zabudowie (przyp. tłum.)

Kilka dni przed sylwestrem Masza spędziła w podnieconym oczekiwaniu. Motia

spakowała jej rzeczy do walizki, naciągnęła na nią brezentowy pokrowiec i przyszyła

biały kwadrat z nazwiskiem. Kierowca generała przywiózł ze starego mieszkania

narty. Kijków nie znalazł, kupili więc w „Dietskom Mirze” nowe, czerwone i Masza

głaskała je i wachała, pachniały lepiej od jedzenia.

Trzydziestego pierwszego grudnia miała spotkać się na placu Puszkina z Niką, skąd

odjeżdżał autobus. Wydawało jej się, że zobaczy tam również Olę, Nadię i Alonę * dawne koleżanki.

Trzydziestego wieczorem dostała niespodziewanie gorączki * prawie czterdzieści

stopni. Wiera Iwanowna wezwała lekarza i zadzwoniła do Aleksandry Georgijewny,

żeby powiadomić ją o chorobie wnuczki. O wyjeździe nie mogło być mowy. Przez

dwa dni Masza leżała z gorączką, otwierając od czasu do czasu oczy i pytając:

* Która godzina? Nie spóźnimy się?

* Jutro, jutro * uspokajała ją Motia, która czuwała przy jej łóżku.

Czasami, jak przez mgłę, widziała obok łóżka Motię, Sandroczkę, Wierę Iwanownę, a nawet dziadka, Piotra Stiepanowicza.

* Kiedy pojedę na obóz? * zapytała głośno, jak tylko poczuła się lepiej.

* Ależ Maszuniu, ferie już dawno się skończyły, jaki teraz obóz? * odpowiedziała Motia.

Rozpacz była ogromna.

Wieczorem przyjechała Sandroczka i pocieszała ją jak mogła, obiecując, że weźmie ją latem do Zagorianki.

W nocy znów miała ten koszmarny sen. Drzwi na korytarz otworzyły się i coś potwornego zaczęło zbliżać się do jej łóżka. Chciała krzyknąć, ale nie mogła. Poderwała się z łóżka i w jakimś dziwnym stanie między snem a jawą przysunęła krzesło do okna, weszła na nie i z całej siły pociągnęła zasuwę. Wewnętrzna część okna otworzyła się. Zewnętrzna puściła bez trudu i Masza ześlizgnęła się w dół, nie zdążywszy nawet poczuć lodowatego dotknięcia blaszanego parapetu.

Zaczepiła dołem koszuli o jego wystający brzeg, co na chwilę zatrzymało ją, i miękko wylądowała na zaśnieżonej balustradzie jedenastego piętra.

Godzinę później Motia skończyła jeść i wyszła

ze spiżarni. Poczowała okropnie zimno dochodzące od strony pokoju Maszy przez niedomknięte drzwi. Weszła, zobaczyła otwarte na oścież okno i rzuciła się z krzykiem zamykać. Na parapecie leżała niewielka kupka śniegu naniesiona przez wiatr. Dopiero po zamknięciu okna zauważyła, że łóżko Maszy jest puste. Zrobiło jej się słabo. Musiała na chwilę usiąść na podłodze. Zajrzała pod łóżko. Podeszła do okna. Sypał gęsty śnieg. Nic nie było widać, prócz powoli spadających płatków. Naciągnęła walonki, narzuciła chustę, włożyła stare pańskie palto i pobiegła do windy. Zjechała na dół, przemknęła przez wielki holi z czerwonym dywanem, wyskoczyła przez ciężkie wejściowe drzwi na zewnątrz i ominęła róg domu.

Wszędzie leżał nietknięty, puszysty i świątecznie iskrzący się śnieg.

„Może już zaniósł” * pomyślała i zaczęła nogami rozrzucać grubą warstwę śniegu pod oknami ich mieszkania. Dziewczynki nie było. Weszła na górę i obudziła swych państwa.

Maszę zdjęli z balustrady po półtorej godzinie. Była nieprzytomna, ale nie miała żadnych zadrapań. Piotr Stiepanowicz był przy tym, jak owiniętą w koce dziewczynkę zabierało pogotowie. Wrócił do domu. Wiera Iwanowna przesiadła cały ten czas nieruchomo na brzegu łóżka, nie odzywając się ani słowem. Kiedy Maszę zabrano, generał zaprowadził żonę do swego gabinetu, posadził w zimnym skórzanym fotelu i mocno potrząsnął za ramiona:

* Mów!

Wiera Iwanowna niespodziewanie się uśmiechnęła:

* To ona wszystko uknuła... Zabiła moją Tanieczkę...

* Co takiego? * przeraził się Piotr Stiepanowicz, zrozumiawszy wreszcie, że jego żona straciła rozum.

* Mała morderczyni... wszystko uknuła... to ona...

Następna karetka zabrała Wierę Iwanownę. Generał nie czekał do rana * zadzwonił na pogotowie natychmiast. Musiał po raz drugi schodzić tamtej nocy do karetki pogotowia. Wracając windą na górę, przyrzekł sobie, że nie zostanie chwili dłużej pod jednym dachem ze swoją żoną.

Zadzwonił rano do Aleksandry Gieorgijewny, sucho i krótko poinformował ją o zdarzeniu, prosząc, żeby zabrała Maszę ze szpitala do siebie. Następnego dnia wyjechał na inspekcję na Daleki Wschód.

Piotr Stiepanowicz dotrzymał słowa * Wiera Iwanowna spędziła ostatnie osiem lat swego życia w klinice dla osób uprzywilejowanych, z dala od cennych mebli, porcelany i kryształów.

Po tym wszystkim Masza zobaczyła swoją babcię tylko raz, już po jej śmierci. Nie poznała w wysuszonej martwej staruszce z rzadkimi szarymi włosami swojej pięknej babci, która przychodziła do niej po nocach w wiśniowym szlafroku, szepcząc pod nosem przekleństwa...

W tydzień po szczęśliwym zakończeniu tragicznego wypadku niepozorny, prowincjonalnie wyglądający lekarz, Żyd, Feldman, wprowadził Aleksandrę Gieorgijewnę do komórki pod schodami, wypchanej starymi łózkami, tobołami ze zniszczoną pościelą i pudłami, posadził na chwiejnym taborecie, a sam usiadł na

krześle z trzema nogami. Pod rozpiętym kitem miał starą trykotową koszulę i krzywo zawiązany krawat. Nawet łysina wyglądała na zaniedbaną, cała w sterczących krzaczkach i kłaczkach jak wyleniałe futro. Splótł ręce doświadczonego lekarza i powiedział:

* Aleksandra Gieorgijewna, jeśli się nie mylę... Absolutnie nie ma gdzie porozmawiać. Tu nikt nam nie przeszkodzi... Chcę, żeby pani zrozumiała, że psychiczne zdrowie dziecka jest w pani rękach. Dziewczynka przeżyła taki głęboki stres, że trudno przewidzieć, jakie to może mieć skutki w przyszłości. Jestem pewny, że większość moich kolegów będzie nalegała na dalszą hospitalizację i leczenie farmakologiczne. Możliwie, że będzie to konieczne. Nie wiadomo, jak będzie wyglądać sytuacja za jakiś czas. Myślę jednak, że jest szansa na pomyślne zakończenie całej tej historii...

Zmieszał się, czując, że mówi nie to, co trzeba.

* Mam na myśli, że psychika człowieka ma skuteczne mechanizmy obronne i być może, one zadziałają. Na szczęście Masza nie zdaje sobie tak do końca sprawy z tego, co się stało. Idea samobójstwa nie została do końca ukształtowana w jej świadomości. Całe zdarzenie można porównać z... krótko mówiąc, to jakby człowiek, dotknąwszy czegoś gorącego, szybko odsunął rękę. Dużo z Maszą rozmawiałem. Niechętnie się otwiera, ale jak już zaufa, mówi szczerze, i wie pani * przerwał nagle naukowe rozważania * ona jest cudowną dziewczynką, bystrą, rozumną, wartościową... no po prostu cudowne dziecko.

Jego twarz rozjaśniła się i wyglądał teraz nawet

sympatycznie. „Do kogo on jest podobny?...” * pomyślała przelotnie Sandra.

* Jednych cierpienie niszczy, innych hartuje. Masza potrzebuje teraz cieplarnianych warunków. Na pani miejscu nie wysyłałbym jej w tym roku do szkoły, żeby wykluczyć różne przypadkowe wpływy: złego wychowawcę, nieokrzesane dzieci... Lepiej potrzymać ją w domu do przyszłego roku szkolnego. I proszę ją oszczędzać. * Wzdrygnął się. * I żadnych kontaktów z tamtą babcią! Żadnych. Wmówiła jej kompleks winy za śmierć rodziców, a to nawet nie każdy dorosły zniesie. Wszystko może zostać wyparte z jej świadomości. Proszę nie przypominać jej o tym okresie, o

rodzicach. Tu jest mój telefon, proszę dzwonić. * Wyjął kartkę papieru. * O Maszy nie zapomnę, będę ją obserwował...

Aleksandra nie spodziewała się, że tak szybko uda się wszystko załatwić. Rzeczy wnuczki, które generalski kierowca po raz drugi w ciągu tego roku przewiózł do nowego mieszkania, wciąż stały nierozpakowane, ani walizka, ani narty do niczego się nie przydały. Aleksandra pojechała po nie od razu po rozmowie z lekarzem i jeszcze tego samego dnia zabrała Maszę do siebie...

Był środek stycznia, choinka jeszcze stała, stół był rozsunięty jak na święta. Przyszła w odwiedziny starsza córka Aleksandry, ciężarna Lidia. Jedzenie było proste, codzienne: sałatka jarzynowa, kotlet mielony z makaronem i przypalone ciasteczka, które Nika zrobiła w pośpiechu specjalnie na przyjazd Maszy.

Zalecanej przez doktora miłości natomiast było pod dostatkiem: Aleksandra gorąco dziękowała Bogu za to, że wnuczka została cudem uratowana, że siedzi cała i zdrowa obok niej. Żadnego ze swoich własnych dzieci nie kochała w tej chwili tak mocno, jak tę delikatną szarooką dziewczynkę, tak różniącą się od reszty.

Nika ścisnęła ją, obejmowała, bawiła jak tylko mogła. Masza posiedziała trochę przy stole, a później przesiadła się do dziecięcego wiklinowego fotelika, który kilka dni wcześniej przyniósł skądś Iwan Isajewicz, naprawił złamane oparcie i obił siedzenie kawałkiem czerwonego sukna z frędzlami.

Zmęczona ciężarna Lidia wkrótce poszła * mieszkała teraz z mężem w kawalerce Iwana Isajewicza.

Chociaż wszyscy czekali na przyjazd Maszy, nie bardzo w niego wierzyli, dlatego nie zdążyli przygotować dla niej miejsca do spania. Nika poszła spać do matki, ustępując Maszy swoją matą łódeczkę, w której ledwo się już mieściła. Oczy dziewczynki kleiły się, ale kiedy znalazła się wreszcie w łóżku, nie mogła zasnąć. Leżała z otwartymi oczyma i marzyła, jak pojedzie w przyszłym roku z Niką na obóz zimowy. Aleksandra posprzątała po kolacji i usiadła obok dziewczynki.

* Daj rękę * poprosiła ją Masza. Aleksandra wzięła Maszę za rękę i dziewczynka szybko zasnęła. Ale kiedy próbowała ostrożnie zabrać rękę, ta otworzyła oczy:

* Daj rękę...

W ten sposób Aleksandra przesiedziała obok wnuczki do rana. Iwan Isajewicz próbował ją zmienić, ale kręciła tylko przecząco głową i gestem pokazywała mu, żeby kładł się spać. Była to pierwsza z wielu spędzonych w ten sposób nocy. Bez nocnego przewodnika * ręki babci czy Niki * Masza nie mogła zasnąć, a zasnawszy budziła się z krzykiem, i wtedy Sandra albo Nika brały ją do siebie i przytulały. To były jakby dwie różne dziewczynki: Masza dzienna * spokojna, czuła i życzliwa * i Masza nocna * przestraszona i zaszczuta.

Obok jej łóżka postawili łóżko polowe. Zwykle kładła się na nim Nika, lepiej od matki potrafiła strzec kruchego snu Maszy, a obudzona szybko znów zasypiała. Nika w ogóle była lepszą pomocnicą matki niż starsza Wiera, która uwielbiała się uczyć i oprócz zajęć na uczelni zawsze chodziła na jakieś kursy, języka niemieckiego czy mglistej estetyki.

Nika skończyła dwanaście lat, bardzo urosła i opanowała mnóstwo typowo kobiecych umiejętności, a pełno drobnych pryszczków pośrodku jej czoła oznaczało, że zbliża się czas, kiedy owe umiejętności mogą się przydać.

Masza wprowadziła się do mieszkania w zaułku Uspieńskim akurat wtedy, kiedy Nika przestała już interesować się lalkami i żywa Masza od razu zamieniła jej wszystkie Katie i Lale, na których tak długo ćwiczyła swe ukryte macierzyńskie instynkty. Cała gromadka lalek ze stosem sukienek i płaszczy, uszytych kiedyś przez pracowitą Aleksandrę, zostały przekazane kuzynce i Nika poczuła się głową wielkiej rodziny z córką Maszą i gromadką lalek*wnuczek.

Wiele lat później, po urodzeniu Kati, Nika zwierzyła się Aleksandrze, że wykorzystwała chyba cały swój zapas macierzyński, opiekując się kuzynką, ponieważ nigdy nie czuła do własnych dzieci takiej miłości, takiego pełnego oddania, jak wtedy, kiedy w ich domu pojawiła się Masza. Zwłaszcza pierwszego roku, kiedy tak jej współczuła, trzymała po nocach za rękę, zaplatała warkoczyki, a po zajęciach w szkole spacerowała po bulwarze Strastnym. W życiu Maszy Nika grała dużą i trudną do określenia rolę: była ukochaną przyjaciółką, starszą siostrą, we wszystkim

lepszą, ze wszech miar idealną...

Następnego roku, kiedy Masza znów zaczęła chodzić do szkoły, Nika odprowadzała ją na zajęcia, a Iwan Isajewicz zabierał. Po zajęciach albo przyprowadzał ją do domu, albo zabierał do teatru.

Aleksandra, która wkrótce pochowała swą słynną gwiazdę, zwolniła się z teatru.

Kierowała teraz niedużym zakładem krawieckim dla uprzywilejowanych pań.

Załatwiła sobie tę pracę przez stare znajomości.

Krepowe resztki z obszernych rządowych sukienek przydały się na stroje dla lalek, ale Nika i Masza na całe życie znienawidziły róż, błękit, frędzle i plisy. Obie zaczęły wkrótce nosić męskie koszule i dzinsy, jak tylko te ostatnie stały się dostępne.

Mimo tak mało kobiecego, jak na Sandroczkę, stylu, w wieku niepełna szesnastu lat

Nika zaczęła cieszyć się ogromnym powodzeniem wśród kolegów ze szkoły.

Telefony się urywały i Iwan Isajewicz patrzył wyczekująco na Sandroczkę, kiedy ta wreszcie zrobi porządek z tak burzliwym życiem córki.

Wyglądało jednak na to, że Aleksandra cieszyła się z powodzenia córki. Pod koniec dziewiątej klasy Nika wdała się w romans z pewnym młodzieżowym poetą, który stawał się właśnie bardzo modny, i nie skończywszy szkoły, wyjechała z nim do Koktebelu, informując o tym telegraficznie dopiero z Symferopola.

Masza od dwunastego roku życia stała się serdeczną przyjaciółką Niki i z ukrywanym przerażeniem i zachwytem wysłuchiwała jej opowieści. Nika pełnymi garściami korzystała z małych i dużych przyjemności życia, nie przejmując się zbytnio gorzką prawdą czy drobnymi niepowodzeniami. Jak nie przejmowała się rzuconą szkołą.

Sandra, dobrze pamiętając własną młodość, nie marudziła i nie pouczała, uważając, że to nic nie da. Szybko załatwiła córce miejsce w szkole artystycznej, gdzie miała dobre układy z czasów pracy w teatrze. Nika uczyła się trochę rysunku, zdała egzaminy na wymagane czwórki i rozstała się ze szkolnym kieratem z wielką przyjemnością. Rok później była już prawie zameężna.

Ze starzejącymi się rodzicami została tylko Masza, wszystko kręciło się teraz wokół niej. Nocne koszmary minęły, ale po wczesnym kontakcie z ciemną otchłanią

szaleństwa pozostała jej wyjątkowa wrażliwość na mistykę, otaczający ją świat i twórcza wyobraźnia * wszystko co sprzyja rozwojowi natury poetyckiej. Mając czternaście lat, interesowała się Pasternakiem, uwielbiała Achmatową i potajemnie pisała wiersze.

Rozdział dziesiąty

Pod wieczór nad częścią gór nazywaną Zgniłym Kątem zaczęły zbierać się chmury, a w domu zapanowała atmosfera cichego wyczekiwania. Nika czekała na Butonowa.

Uważała, że po tym co zaszło między nimi w nocy, to on powinien zrobić kolejny krok. Nie pamiętała, czy wspomniała mu

o swoim wyjeździe...

Czekała również Masza. Ten stan nie dawał jej spokoju, nie wiedziała, na kogo bardziej czeka * na męża Alikę, który miał wziąć wolne i przyjechać na parę dni, czy na Butonowa... Cały czas miała przed oczami Butonowa * jak zbiega z góry, przeskakuje przez najeżone kolcami krzaki i podskakuje na osypiskach. Może uwolniłaby się od tych natrętnych myśli, gdyby posiedziała z nim wczoraj w kuchni, porozmawiała...

„Niezbyt inteligentny” * próbowała się pocieszyć, wspominając słowa Niki, jakby człowiek nieinteligentny nie mógł być pociągającym i nie można się było w takim zakochać.

Ale najbardziej z nich wszystkich tęskniła i męczyła się Lizoczka. Po dniu drobnych sprzeczek

i nieporozumień z Tanią, obudziła się rano przekonana, że nie może bez niej żyć.

Przez cały dzień marudziła wypatrując jej, a wieczorem urządziła burzliwą scenę ze łzami, nie doczekawszy się koleżanki. Nika nigdy nie zwracała zbyt wiele uwagi na wygórowane wymagania Lizoczki, ale tym razem się uśmiechnęła: dobrze ją rozumiała. „Moja krew * jak czegoś chcę, muszę mieć to natychmiast”.

Matka i córka chciały tego samego * spotkania ze swymi wybrańcami.

* Przestań... Ubieraj się, pójdziemy do twojej Tani * pocieszyła Nika córkę i ta

pobiegła zakładać wyjściową sukienkę.

Wróciła z rozpiętą z tyłu sukienką, obejmując zabawki i pytając, którą z nich dać Tani.

* Jakiej ci nie żal * uśmiechnęła się Nika. „Gorąca krew. Co za cudowne dziecko...”

* myślała Medea, patrząc na zapłakaną wnuczkę.

* Lizo, podejdź no tu do mnie, zapnę ci guziki * zawołała i dziewczynka posłusznie podbiegła do Medei, stając do niej plecami.

Drobne guziki z trudem przechodziły przez jeszcze drobniejsze pętelki. Błade włosy pachniały słodko i znajomo, jak u bardzo małych dzieci.

Jakieś piętnaście minut później obie siedziały już u Nory w jej domku pełnym wiązanek glicynii i tamaryszku. Malutki domek letniskowy był przytulny, starannie pobielony, z dywanikami na glinianej podłodze * jak to w ukraińskich domach.

Liza trzymała przeznaczony na prezent zajaca pod spódnicą i próbowała zwrócić na siebie uwagę Tani, ale ta nie podnosiła wzroku znad talerza z kaszą. Nora jak zawsze trochę narzekała, jakie to one były wczoraj zmęczone, że spaliły się na słońcu, że spacer był za długi... Trochę przynudzała, ale nie za bardzo... Nika siedziała

przy oknie i zerknęła w stronę domu Krawczuków.

* Walerij też przez cały dzień nie wychodził * ogląda telewizję * skinęła Nora głową w stronę domu gospodarzy.

Nika lekko się podniosła i rzuciła stojąc w drzwiach:

* Zajrzę na chwilę do pani Ady...

Telewizor grał na cały regulator. Stół był bogato zastawiony. Michaił, gospodarz, nie lubił małych porcji, a Ada, przy tak małej rodzinie, miała gary jak wiadra. Była kucharką w sanatorium i przyzwyczała się do skali żywienia zbiorowego, z czego cieszyły się dwa prosiaki w przydomowym chlewie.

Siedzący przy stole Walerij i Michaił wyglądali na trochę osowiałych po obfitym posiłku, Ada zeszła właśnie do piwnicy po kompot. Wróciła obejmując dwa trzylitrowe słoje. Ucałowały się z Niką na przywitanie.

* Śliwki * domyśliła się Nika.

* Nikuś, siadaj. Mieszuniu, nalej no czegoś * rozkazała mężowi Ada.

Butonow gapił się w telewizor.

* Chciałam się tylko przywitać. Lizka mnie wyciągnęła do waszych lokatorek * próbowała się wykręcić Nika.

* Nas nie odwiedzasz, a do lokatorek przybiegłaś * skarciła ją Ada.

* Nieprawda, kilka razy zachodziłam, a ty albo w pracy, albo w gościach * tłumaczyła się Nika.

Ada zmarszczyła czoło i potarła nosek, prawie niewidoczny na jej okrągłej twarzy:

* Masz rację, do kumy do Kamionki jeździłam.

Michaił tymczasem nalał kieliszek czaczy. Czacza * gruzińska wódka z winogron (przyp. tłum.)

To, że Michaił wszystko potrafił zrobić, Walerij wiedział od swego sąsiada Witki: pędzić czaczę, wędzić mięso, solić rybę. Gdziekolwiek się znalazł, w Murmańsku, na Kaukazie, w Kazachstanie, najbardziej interesowało go, jak odżywiają się miejscowi, i uczył się od nich gotowania.

* Za spotkanie! * wzniosła Nika toast. * Wasze zdrowie!

Wyciągnęła rękę z kieliszkiem w stronę Butonowa, który oderwał się wreszcie od telewizora. Nie spodobało mu się jej spojrzenie. Sama Nika też nie bardzo mu się dziś podobała: głowę miała ciasno obwiązaną starą zieloną chustą, jej wesołe włosy były schowane, twarz wydawała się zbyt pociągła, a sukienka była cała w jakichś smugach w kolorze jodyny. Do głowy by mu nie przyszło, że założyła swoje ulubione rzeczy, w których pozowała znanemu malarzowi, który kazał jej zawiązać chustę jak najciaśniej i długo, prawie ze łzami w oczach, patrzył, powtarzając co chwilę: „Co za twarz... Jezu, co za twarz... po prostu portret z Al*Fajum...”.

Słynny portret starożytnej Egipcjanki znaleziony w nekropolii Al*Fajum (przyp. tłum.)

Butonow nie miał zielonego pojęcia o żadnym Al*Fajum i był zły, że przyszła, kiedy jej nie zapraszał, a tak w ogóle czego ona od niego chce!

* Witki naszego kolega, znany lekarz * pochwaliła się Ada.

* My się znamy, byliśmy wczoraj z Walerą w zatoce.

* Szybka jesteś jak zawsze * powiedziała Ada

z przekąsem, mając widocznie na myśli coś,
o czym Butonow nie wiedział.

* A jakże! * zuchwale odezwała się Nika. Liza zaczęła marudzić i Nika widząc, że
coś

w tym jej nowym romansie nie gra, znikła w drzwiach, machnąwszy brzegiem
długiej sukienki w kolorze jodyny.

Wieczór spędziły we dwójkę z Maszą * nikt do nich nie wpadł. Zdążyły popalić,
pomilczeć i porozmawiać. Masza wyznała, że się zakochała, czytała wiersze napisane
tej nocy i dwa wcześniejsze

i Nika po raz pierwszy była dość powściągliwa w ocenie twórczości swej bratanicy.

Nie miała w ciągu dnia okazji, żeby się pochwalić swym wczorajszym zwycięstwem,
które dziś nie wyglądało już na tak oczywiste, nie chciała poza tym martwić Maszę
przypadkową rywalizacją. Ale Masza była tak zajęta sobą, że nic nie zauważyła.

* Co mam robić, Nika? Co robić?

Była tak zmartwiona tą niespodziewaną miłością, tak ufnie, jak w dzieciństwie,
spoglądała na Nike, oczekując od niej wsparcia. Ta z kolei, próbując ukryć
wściekłość na Butonowa, który wyraźnie chciał ją za coś ukarać, i na tę głupią geś,
która akurat w nim musiała się zakochać, tylko wzruszyła ramionami i powiedziała:

* Daj mu i koniec.

* Jak to „daj”? * nie zrozumiała Masza. Nika wściekła się jeszcze bardziej:

* „Jak, jak”... Czy ty wczoraj się urodziłaś? Idź z nim do łóżka...

* Tak po prostu? * zdziwiła się Masza.

* A jaki problem * fuknęła Nika. „Co za gąska,

i jeszcze te jej wiersze... Chce się pakować w kłopoty, no to będzie miała...”

* Wiesz co * zdecydowała nagle Masza * pójdę zaraz na pocztę, zadzwonię do Alika.
Może jak przyjedzie * wszystko się jakoś ułoży.

* Akurat, ułoży się... * roześmiała się złośliwie Nika.

* Na razie! * zerwała się Masza z ławki i chwytając kurtkę, pobiegła w stronę drogi.

Ostatni autobus do miasta odchodził o dziesiątej, czyli za pięć minut...

Pierwszą osobą spotkaną na poczcie był Butonow. Stał w budce telefonicznej odwrócony plecami. Słuchawka ginęła w jego dużej dłoni, a numer musiał wykręcać małym palcem. Nie mogąc się dodzwonić odwiesił słuchawkę i wyszedł. Przywitani się. Masza stała na końcu kolejki, miała przed sobą jeszcze dwie osoby. Butonow odszedł na bok, przepuszczając następnego w kolejce, i zerknął na zegarek:

* Od czterdziestu minut zajęty.

Niebieskie pałeczki jarzeniówek rzucały ostre światło, jak w thrillerze w chwilach napięcia, i Masza się przeraziła pomyślawszy, że całe jej dotychczasowe poukładane i spokojne życie może zawalić się teraz z powodu tego wysokiego bohatera filmowego w niebieskiej dzinsowej koszuli. Przysunął się do niej, wciąż narzekając:

* Baby gadają... albo telefon zepsuty... Masza wybrała numer, gorąco pragnąc, by w słuchawce odezwał się głos Alike i wszystko wróciło na swoje miejsce. Ale nikt nie odbierał.

* Też zajęty? * zapytał Butonow.

* Nikogo nie ma * przełknęła ślinę Masza.

* Może pospacerujemy po nabrzeżu, a później jeszcze raz spróbujemy * zaproponował Butonow.

Zauważył nagle, że ma sympatyczną twarz i okrągłe uszy, wzruszająco odstające na krótko ostrzyżonej głowie. Położył jej po przyjacielsku rękę na ramieniu. Sięgała mu do klatki piersiowej, cieniutka, szczupła jak chłopak w swej sztruksowej kurteczce. „Można z nią w cyrku latać” * pomyślał.

* Ponoć jest tu gdzieś na deptaku beczka z jakimś niezwykłym winem...

* Szampanem radzieckim * odezwała się Masza.

Zeszli w dół do nabrzeża i Maszy nagle się wydało, że wszystko dzieje się jak w filmie. Oto mkną z Butonowem przez miasto wolni i pewni siebie. W tle kurort z rzędami wazonów z oleandrami przy wejściach do sanatoriów, sztuczne gipsowe kolumny, połyskujący drobnymi światełkami zielony bukszpan, zaniedbane, zmęczone życiem w pawilonach palmy, gdzieś w głębi kadru pojawia się na chwilę miejscowa pyzata prostytutka Serafima i kilku krzepkich górników z wybałuszonymi oczami, no i gra oczywiście muzyka „O morze w Gagrach”... Próbowwała dostosować

się do jego lekkiego sprężystego kroku, czuła niesamowitą lekkość w całym ciele, jakąś niewytłumaczalną radość, jakby napiła się już tego szampana...

Piwniczka, do której zaprowadził ją Butonow, bardzo jej się spodobała. Szampan był zimny i smaczny. Wciąż czuła się tak, jakby grała w filmie. Widziała siebie siedzącą na okrągłym taborecie, jakby obserwowała sama siebie, stojąc z tyłu z prawej strony, widziała Butonowa, na wpół

zwróconego do niej, a najzabawniejsze było to, że widziała barmankę w złocistej bluzie i ze złotymi zębami, która stała tak naprawdę za jej plecami, i jednocześnie młodych kelnerów, którzy nieśli z dołu jakieś skrzynki. Wszystko zmieściło się w jednym kadrze i wszystko było spłaszczone jak na ekranie w kinie.

Zauważyła też, że trzymając się w głębi ujęcia, wyglądała całkiem dobrze: siedziała wyprostowana, ale nieskrępowana, miała ładny profil, a włosy pięknie schodziły z tyłu wąskim klinem na długą szyję...

O tak, w kinie jest miejsce na grę, lekkość... namiętność... tryskający szampan... on i ona... mężczyzna i kobieta... morze nocą... Nika, jesteś genialna, fantastyczna... żadnego ciężaru istnienia... żadnych dręczących poszukiwań, ciągłego pilnowania się, wiecznego niezadowolenia z siebie...

* Świetnie tu jest * powiedziała lekkim jak u Niki tonem.

* Dobre winko... Chcesz jeszcze?

Kiwnęła głową. Mądra Masza, wykształcona Masza, pierwsza ze swej paczki zaczęła czytać Bierdiajewa i Floreńskiego, kochała komentarze do Biblii, Dantego i Szekspira bardziej od samego tekstu, studiując zaocznie pedagogikę, świetnie opanowała angielski i włoski, napisała dwa tomiki wierszy * wprawdzie jeszcze nie wydała; potrafiła dyskutować z przyjezdnym amerykańskim profesorem o Ezrze Paundzie, a z włoskim dziennikarzem katolickim o soborze nicejskim, ale tym razem milczała. Nie miała ochoty na rozmowę.

* Nalać? * Butonow zerknął na zegarek. * Spróbujemy zadzwonić?

* Dokąd? * zdziwiła się.

* Do domu... * roześmiał się Butonow. * Co z tobą?

Wróciła do rzeczywistości i od razu poczuła zwykły niepokój. Ale w drodze na

pocztę filmowe dekoracje przedstawiające kurort wjechały z powrotem na swoje miejsce.

Butonow dodzwonił się od razu, zadał kilka krótkich pytań, dowiedział się od żony, że wyjazd do Szwecji został odłożony, i odwiesił słuchawkę.

Masza dzwoniła po nim, ale teraz chciała tylko jednego * żeby Alik nie było. No i rzeczywiście nie zastała go w domu. Do Sandry nie zadzwoniła. U niej wcześniej kładli się spać, poza tym Nika wraca jutro do Moskwy, a ona już napisała list do Sandry.

* Nie dodzwoniłaś się? * zapytał z roztargnieniem Butonow.

* Męża nie ma, baluje gdzieś.

Było to zwyczajnym kłamstwem: wcale tak nie myślała. Alik był pewnie na dyżurze.

Kłamliwy był sam jej ton * powiedziała to zbyt lekko...

Ale według zasad filmowych wszystko było jak należy * gra toczyła się dalej.

* To co, wracamy? * zapytał Butonow i zawahał się. * Może taksówką?

* Nie ma tu żadnych taksówek, zawsze wracamy nocą pieszo, jakieś dwie godziny marszu...

Skrećili z oświetlonej ulicy w boczną, przeszli z pięćdziesiąt metrów. Tu nie było już ani latarni, ani oleandrów, wokół ciemno jak na wsi. Droga wiła się pod górę, a za chwilę zbiegała w dół. Pod stopami mieli egipskie ciemności, ale wystarczyło podnieść głowę, żeby zobaczyć, że niebo nad morzem było jaśniejsze, a zachodzące na horyzoncie słońce rzucało jeszcze słabe odblaski. Gwiazdy chowały się za mgiełką.

* Tędy skrócimy sobie drogę. * Masza zanurkowała wydeptaną glinianą ścieżką w dół w stronę drabinki albo mostka.

* Widzisz coś w takich ciemnościach? * Butonow dotknął jej ramienia.

* Jestem jak kotka, dobrze się orientuję w ciemności.

Nie widział, czy się uśmiecha, ale pomyślał, że żartuje.

* W naszej rodzinie to się zdarza. Bardzo wygodna rzecz: widzieć to, czego nikt nie widzi...

Był to taki wymowny kobiecy sygnał, próba zmniejszenia dystansu między nimi,

ogromnego na razie jak otchłań morską, który można było jednak pokonać w każdej chwili.

To nie znaczy, że Masza działała według jakiegoś z góry przygotowanego planu.

Raczej dojrzała do tego, żeby wziąć udział w gotowym planie. Jak kulka w dziecięcej grze trafiła do bramki i potoczyła się po torze, z którego nie ma innego wyjścia prócz pustej, oplecionej siatką luzu. Ale domyśliła się tego dopiero później, w czasie długich bezsennych zimowych nocy.

A póki co prowadziła Butonowa za rękę przez mostek i po drabince, a potem ścieżką do góry i rzeczywiście skróciwszy drogę o jakieś półtora kilometra wyprowadziła go na udeptaną drogę z piramidami topoli po obu stronach. Była to już dość szeroka droga, która prowadziła na skrót do szosy. Na szosie puściła jego rękę. Butonow szedł szybkim, pewnym krokiem, Masza ledwie za nim nadążała. Był jakby nieobecny, rozmyślał o sprawach zostawionych w Moskwie, o odwołanym wyjeździe, zastanawiając się, co to mogło znaczyć.

Masza patrzyła mu w plecy i czuła jak bardzo jest mu obojętna. Miała ogromną chęć rzucić się na niego z pięściami, rozerwać niebieską koszulę, zacząć krzyczeć...

Weszli do Osady, a Masza wciąż nie mogła pogodzić się z myślą, że za chwilę się rozstaną.

* Zaczekaj! * powiedziała, kiedy mijali Pepek. * Tędy.

Posłusznie skreślił. Teraz Masza szła przodem.

* To tu * powiedziała i usiadła na ziemi.

Zatrzymał się. Wydawało mu się, że słyszy uderzenia jej serca, a ona miała wrażenie, że jej serce bije jak dzwon na całą okolicę.

* Usiądź * poprosiła i on kucnął obok niej. Objęła go za szyję:

* Pocałuj mnie.

Butonow uśmiechnął się do niej jak do domowego zwierzątka.

* Bardzo chcesz? Kiwnęła głową.

Nie czuł żadnego podniecenia, ale znał się na rzeczy. Przytulił ją do siebie i pocałował, dziwiąc się, że ma takie gorące usta.

Zawsze trzymał się zasad, więc i tym razem nie zapomniał, że najpierw trzeba

rozebrać partnerkę, a dopiero później rozebrać się samemu. Przesunął ręką po jej spodniach i spotkał się z jej palcami nerwowo rozpinającymi zacinający się zamek. Wyślizgnęła się ze sztywnych szmatek i zaczęła szarpać guziki na jego koszuli. Roześmiał się.

* Ciebie co, w domu nie karmią?

Jej zabawny zapał trochę podniecił Butonowa, ale czując, że nie jest jeszcze gotów, ociągał się. Gorący dotyk jej rąk * „Nika, Nika, zrobiłam to!” * rozpaczliwe stękanie: * „Butonow! Butonow!” * i poczuł, że już może.

W środku wydała mu się bardziej pociągająca niż na zewnątrz, była niespodziewanie gorąca.

* Masz tam piec? * roześmiał się.

Ale jej nie było do śmiechu, twarz miała mokrą od łez i zdołała tylko wymamrotać:

* Butonow, jesteś taki! Taki...

Butonow czuł, że dziewczyna go znacznie wyprzedza, domyślając się, że należy do tej samej kategorii kobiet, co Rożka * namiętna, gorąca i nawet zewnętrznie trochę do niej podobna, tylko bez tych afrykańskich włosów. Chwycił dłońmi jej małą głowę, do bólu przyciskając uszy, przytulił do siebie tak mocno, że poczuł uderzenia jej serca, jakby był w środku jej klatki piersiowej. Ale szybko puścił, wystraszywszy się, że mógł sprawić jej ból:

* Przepraszam, maleńka, przepraszam...

Kiedy wyprostował się i podniósł głowę, wydało mu się, że znajdują się w promieniu reflektora: powietrze jaśniało niebieskawym światłem i widać było każde źdźbło trawy. Żadnego reflektora oczywiście nie było * na niebie toczył się okrągły księżyc, ogromny, płaski, srebrzystoniebieski.

* Wybacz, ale przedstawienie skończone. * Poklepał ją po udzie.

Podniosła się i wtedy zobaczył, że jest pięknie zbudowana, tylko nogi miała trochę krzywe, z przerwą na górze, jak u Rożki. Ale podobała mu się ta wąziutka przerwa * lepiej to, niż grube uda ocierające się o siebie tak mocno, że zostają czerwone ślady, jak u Olgi.

Był już ubrany, a ona wciąż stała w świetle księżycy i on źle zrozumiał jej ociąganie

się, czuł się zmęczony, wróciły myśli o odłożonym wyjeździe...

Osada była teraz jak na dłoni i Butonow dostrzegł ścieżkę, która prowadziła wprost do domu Witki, na tyły podwórka Adoczki. Przycisnął do siebie Maszę, przesunął palcem wzdłuż jej delikatnego kręgosłupa:

* Odprowadzić, czy sama dobiegniesz?

* Sama. * Ale nie odeszła i zatrzymała go. * Nie powiedziałaś, że mnie kochasz...

Butonow się roześmiał, był w świetnym humorze:

* A jak myślisz, co przed chwilą robiliśmy? Masza pobiegła do domu * wszystko było jak

nowe: ręce, nogi, wargi...

Zdarzył się jakiś cud... to jakieś szaleństwo... Czyżby przeżyła właśnie to, za czym Nika uganiała się przez całe życie... Biedny Alik...

Zajrzała po powrocie do dzieci: pośrodku pokoju stał spakowany plecak. Liza i Alik spali na łóżkach polowych, Katia * na tapczanie. Niki nie było. „Pewnie położyła się w pokoju Samoni” * pomyślała Masza. Miała ogromną ochotę ją obudzić i wszystko opowiedzieć, ale postanowiła nie budzić Niki w środku nocy. Nawet nie zajrzała do pokoju Samoni i na paluszkach przeszła od razu do Granatowego...

Przygody Butonowa jednak na tym się nie skończyły. Zdziwił się, znajdując po powrocie otwarte drzwi, dobrze pamiętał, że wychodząc, zamykał je na haczyk.

Wszedł do środka, skrzypiąc drzwiami, zrzucił trampki na podłogę i przeszedł do drugiego pokoju, gdzie zwykle spał.

Na wysokiej pościeli, urządzonej w bardzo skomplikowany sposób, po ukraińsku, z narzutą z koronkową falbanką i piramidą poduszek, wznoszoną każdego ranka przez Adę, spała Nika. Jej bujne rude włosy były rozrzucone na białej kołdrze.

Tak naprawdę już nie spała, bo obudziło ją skrzypienie drzwi. Otworzyła oczy i trochę udawany szeroki uśmiech rozjaśnił jej twarz:

* Niespodzianka! Dostarczono prosto do domu!

...Drugie podejście było u Butonowa zwykle lepsze od pierwszego. Nika nie miała do niego żadnych pretensji, nie chcąc psuć ostatniej nocy głupimi wyrzutami, nie powiedziała więc nic, co by zdradzało, że jest na niego obrażona.

Trzymając się wciąż tych samych zasad postępowania z kobietami, pierwszą z których nie zdążył dziś zastosować, bo Masza okazała się szybsza od niego, skorzystał z drugiej, ważniejszej: nigdy nie tłumaczyć się przed kobietą.

O świcie w pełni zadowolona Nika wyszła od równie zadowolonego Butonowa zostawiwszy w jego notesie swój numer telefonu. Natknęła się w kuchni na Medeę z filiżanką pachnącej porannej kawy, z wyrazu jej twarzy ciężko było zgadnąć, czy widziała przez kuchenne okno powracającą Nike. Nie było zresztą potrzeby czegokolwiek przed nią ukrywać: młodzież była święcie przekonana, że i tak wszystko wie. Nika pocałowała ją w policzek i wyszła.

Tak naprawdę Medea nie była aż tak bardzo przenikliwa, jak sądzono, ale dziś akurat znalazła

się w centrum wydarzeń: o trzeciej nad ranem, po cierpliwym i bezowocnym czekaniu na sen, wyszła do kuchni, żeby napić się swego „narkotyku usypiającego”, jak nazywała zaparzoną z miodem łyżkę maku. Właśnie pokazał się księżyc i oświetlił wzgórze, na którym zabawiała się młoda para, błyszcząc anonimowymi białymi ciałami. Wypiła małymi ostrożnymi łykami cudowny napar i położyła się do łóżka, kiedy usłyszała lekkie pobrzękiwanie sprężyn, ktoś ostrożnie otwierał drzwi do sąsiedniego pokoju. „Masza wróciła” * pomyślała, zasypiając.

Widząc teraz powracającą Nike, zaczęła się zastanawiać: w całej okolicy był tak naprawdę tylko jeden młody mężczyzna * sportowiec Walera z napakowanym ciałem i włosami zebranych w ogonek jak u popa. Medea odnotowała ten fakt z pewnym zaskoczeniem i schowała go tam, gdzie przechowywała wszystkie inne odkrycia dotyczące życia jej młodych krewnych z ich gorącymi romansami i niepewnymi małżeństwami.

Wróciła Nika ze stosem wysuszonej bielizny:

* Dla Litwinów przygotowałam. Zdążę jeszcze wyprasować przed wyjazdem...

A w południe sąsiad zawiózł Nike, Katię i Artioma do Symferopola.

Pół godziny wcześniej Nika weszła ze stosem czystej bielizny do pokoju

Granatowego, który Masza zwolniła dla Litwinów, i tu, zastawszy Maszę wreszcie samą, usłyszała od niej zdumiewające wyznanie.

* Nika, to coś okropnego! * zmęczona twarz Maszy promieniała radością. * Jestem taka szczęśliwa! Wszystko okazało się takie proste... i cudowne! Gdyby nie ty, nigdy bym na to nie poszła...

Nika osunęła się na stos bielizny:

* Nie poszłabyś na co?

* Zdobyłam go, jak radziłaś * roześmiała się głupio Masza. * Miałaś rację. Jak zawsze miałaś rację. Wystarczyło zrobić tylko pierwszy krok.

* Kiedy? * wycisnęła z siebie Nika.

I Masza zaczęła szczegółowo opowiadać, jak spotkali się na poczcie... Ale Nika jej przerwała, nie miała czasu na długie rozmowy, zapytała tylko dziwnie:

* Gdzie?

* Na Pępku! Na samym Pępku. Jak we włoskim filmie. Teraz w tym miejscu można postawić pomnik ku czci mojej dozgonnej małżeńskiej wierności * uśmiechnęła się Masza, tym razem gorzko.

Nika nie przypuszczała, że jej złośliwa rada zostanie przyjęta tak dosłownie. A to Butonow!

* No cóż, będziesz miała teraz o czym pisać w tych swoich wierszach, masz temat na lirykę miłosną... * przepowiedziała Nika i nie pomyliła się.

„Źle się stało... Może oddać jej tego sportowego doktora? * zastanawiała się Nika. * I tak wyjeżdżam. Niech się stanie, co ma się stać...”

Rozdział jedenasty

Skórzany kuferek z drewnianymi giętymi obręczami, obity w środku kretonem w biało* różowe paski, pełny pudełeczek, połączonych w skomplikowany sposób w rzędy półeczek i przegródek, należał niegdyś do Lenoczki Stiepanian.

Z tym kufierkiem wróciła w roku tysiąc dziewięćset dziewiątym z Genewy, podróżowała z Petersburga do Tyflisu, miała go przy sobie na Krymie. W dziewiętnastym roku wróciła z nim do Teodozji i wyjeżdżając stamtąd do Taszkentu sprezentowała go Medei.

Trzy pokolenia dziewczynek zamierało na jego widok z zachwytu. Wszystkie były święcie przekonane, że jest pełen kosztowności. Rzeczywiście było tam kilka niedrogich wyrobów: wielka perłowa kamea, której oprawa została wymieniona w dwudziestym czwartym roku najedzenie, trzy srebrne pierścionki i kaukaski pas, na bardzo szczupłego mężczyznę, nabijany blaszkami. Poza tymi marnymi kosztownościami w kufierku można było znaleźć wszystko, o czym mógłby marzyć Robinson Crusoe. Były w nim przechowywane w idealnym porządku, dokładnie poukładane świece, zapalki, nici w różnych kolorach, igły i guziki różnych rozmiarów, szpulki do nieistniejących już maszyn do szycia, haczyki do spodni, futer, łowienia ryb i haftowania, carskie ruble, krymskie i niemieckie marki z czasów okupacji, tasiemki, koronki i wstawki, trzynaście różnokolorowych loków po pierwszym strzyżeniu rocznych dzieci Sinopli, zawinięte w pergamin, mnóstwo zdjęć, fajka starego Charłamijsa i wiele innych rzeczy...

W dwóch dolnych pudełkach leżały listy, posegregowane według lat, wszystkie w niezniszczonych, starannie otwartych z boku nożem do papieru kopertach. Były tu również różne zaświadczenia, wśród których takie kuriozalne, jak na przykład potwierdzenie konfiskaty roweru obywatela Sinopli na potrzeby Armii Ochotniczej. Było to prawdziwe archiwum rodzinne i jak każde archiwum miało swoje tajemnice. Tajemnice te trafiły jednak w pewne ręce i były, na ile to zależało od Medei, skrzętnie strzeżone, w każdym razie pierwsza z nich.

Chodzi o list do Matyldy Cyruli z lutego tysiąc osiemset dziewięćdziesiątego drugiego roku wysłany z Batuma. Był napisany po rosyjsku z licznymi błędami i podpisany gruzińskim imieniem Medea. Obecna Medea wiedziała o istnieniu swej batumskiej imienniczki, bratowej Matyldy, żony jej starszego brata Sidora. Zgodnie z rodzinną legendą owa gruzińska Medea zmarła z żalu na pogrzebie swego męża, który zginął w wypadku. To po niej otrzymała Medea swoje imię, rzadko spotykane wśród Greków... List, z poprawioną ortografią, był następującej treści:

Matyldo, moja droga przyjaciółko, jeszcze w tamtym tygodniu mówiono, że oni utonęli, twój Teresij i bracia Karmaki. A wczoraj w Kobuletach wyrzuciło ich ciała na brzeg. Rozpoznali ich świadkowie Wartianian i Kursua*kaszki. Pogrzebano ich,

niech spoczywają w spokoju, nic więcej nie mam do powiedzenia. Kiedy uciekłaś, on całkiem oszalał, pobił wujka Platona, co rusz z Nikosem się bił, miałaś szczęście. Strasznie bołą mnie nogi. Tej zimy prawie nie mogłam chodzić. Sidor mi pomaga, Bóg mu to wynagrodzi. Wychodź za mąż jak najszybciej.

Niech Bóg ma ciebie w swojej opiece.

Kochająca Medea

Medea znalazła ten list kilka lat po śmierci rodziców i ukryła go przed swym rodzeństwem. Kiedy Sandroczka rzuciła się w wir przygód, Medea, chcąc ją przestrzec, opowiedziała jej tę historię. Próbowwała jakby odpędzić od niej zły los, ustrzec ją przed pechem i ciężkimi konsekwencjami, które stały się, jak to wynikało z listu, udziałem ich matki. Medea była szczerze przekonana, że lekkomyślność zawsze doprowadza do zguby, i do głowy by jej nie przyszło, że lekkomyślność może doprowadzić również do szczęścia, albo w ogóle do niczego nie doprowadzić. Ale Sandra od dzieciństwa zachowywała się, jak chciała, kierując się zachcianką, chwilowym kaprysem albo wybuchem namiętności, co dla Medei było nie do przyjęcia.

Druga rodzinna tajemnica wiązała się właśnie z tą cechą charakteru Sandroczki i była ukryta, do czasu, przed Medeą na dolnej półce jednodrzwiowej szafy na ubrania, w oficerskiej torbie Samuela Jakowlewicza.

W małym pokoiku, gdzie Samuel spędził ostatni, pełen cierpienia, rok swego życia, Medea urządziła kącik dla siebie. Odwróciła fotel męża w stronę okna, postawiła obok kufer, na nim kilka książek, które bez przerwy czytała. Zmieniała białe zasłony na jeszcze bielsze, wycierała jasny krymski kurz na półce z książkami i szafie z rzeczami Samuela. Jego rzeczy nie ruszała.

Czytała tamtego roku Psalterz, co wieczór po jednym psalmie, kończyła i znów zaczynała. Psalterz był staro*cerkiewno*słowiański, jeszcze z czasów gimnazjum. Drugi, grecki, należał do Chartamija i był dla niej za trudny, bo napisany nie w języku pontyjskich Greków, tylko we współczesnym. Miała też w domu rosyjsko*żydowski, z równoległym tekstem w obu tych językach, wydany w Wilnie pod koniec zeszłego wieku, który leżał teraz na kufrze razem z innymi książkami z

literaturą zachodnioeuropejską.

Próbowała czytać Psalterz po rosyjsku, i chociaż lepiej rozumiała sens niektórych fragmentów, tajemnicze piękno mglistego słowiańskiego gdzieś się wtedy gubiło...

Medea dobrze pamiętała smagłą twarz chłopaka z grubą, wyraźnie rozdwojoną górną wargą, zastrzony koniuszek jego nosa i duże płaskie klapy brązowej marynarki.

Podszedł zdecydowanym krokiem do Samuela, który czekał na ławce na autobus z Teodozji do Symferopola, trzymając pod pachą trzy książki, i spytał wprost:

* Jest pan Żydem?

Samuel, dręczony bólem, który go ostatnio nie opuszczał, kiwnął w milczeniu głową, nawet nie mając ochoty jak zwykle zażartować.

* Niech pan to weźmie, zmarł nasz dziadek, a nikt z nas nie zna tego języka. *

Chłopak zaczął wciskać Samuelowi postrzępione książki, wyglądał na bardzo zmieszanego. * Może pan to kiedyś przeczyta. Mój dziadek nazywał się Chaim...

Samuel milcząc, otworzył tę na wierzchu.

* Sidur... Nie przykładałem się do nauki w chederze, młodzieńcze * powiedział w zamyśleniu, a chłopak widząc, że Samuel się waha, rzucił na pożegnanie:

* Niech pan to weźmie, proszę. Przecież ich nie wyrzucę. Na co nam one? Nie jesteśmy wierzącymi...

I uciekł zostawiwszy na ławce obok Samuela trzy książki. Samuel rzucił na Medeę zgaszone spojrzenie:

* Popatrz, Medeo... * Urwał, domyślając się, że ona widzi to samo, co on, a może nawet więcej, i zrećźnie dokończył: * Jaki ciężar teraz musimy taszczyć do Symferopola i z powrotem...

Opuściła ją wtedy ostatnia nadzieja * nie wierzyła w przypadek, tylko w opatrzność boską, od razu więc zrozumiała ten znak: przygotuj się! I żadna biopsja, na którą jechali teraz do rejonowego szpitala, nie była już do niczego potrzebna.

Wymienili się spojrzeniami i nawet Samuel, który zwykle mówił wszystko, co mu przyszło do głowy, tym razem milczał.

Biopsji w Symferopolu mu nie zrobili, zoperowali następnego dnia, wycinając większą część jelita grubego i zostawiając z boku wyjście, otwartą ranę, a trzy

tygodnie później Medea zabrała go do domu, żeby mógł umrzeć w spokoju. Po operacji czuł się jednak coraz lepiej. Wbrew wszystkiemu okrzepnął, chociaż był strasznie wychudzony. Medea karmiła go tylko kaszą i poila ziołami, które sama zbierała. Kilka dni po powrocie ze szpitala ten najgorszy z uczniów chederu Olszańskiego zabrał się do czytania starych ksiąg i, stojąc już nad grobem, zaczął powoli wracać do swego narodu, błogosławiąc Chaima, którego nigdy nie znał, a prawosławna Medea tylko się z tego cieszyła. Nigdy się nie interesowała teologią i może dzięki tej swojej niewiedzy czuła, że łono Abrahama musi być gdzieś niedaleko miejsca, które zamieszkują dusze chrześcijańskie.

Ostatni rok jego życia był cudowny. Jesień była cicha, łagodna i wyjątkowo szczodra. Stare tatarskie winnice, porzucone i zaniedbane, obrodziły wtedy po raz ostatni. Później przestały już owocować i ciężka wieloletnia praca poszła na marne. Gałęzie uginały się pod ciężarem gruszek, brzoskwiń i pomidorów. Po chleb trzeba było stać w kolejkach, cukru nie było. Gospodynie domowe gotowały i kisily pomidory, suszyły na dachach owoce, a najbardziej doświadczone, takie jak Medea, robiły tatarską marmoladę bez cukru. Ukraińskie świnię tyły, pożerając słodkie płody ziemi, i nad całą Osadą unosił się miodowy zapach przejrzałych owoców.

Medea kierowała wówczas malutkim miejscowym szpitalem * była jedynym felczerem w Osadzie, lekarz pojawił się tu dopiero w pięćdziesiątym piątym roku. Każdego ranka wchodziła do pokoju męża z miską ciepłej wody, wyjmowała z otwartej rany nieporęczne, topornie wykonane urządzenie i obmywała ranę naparem rumianku z szałwią.

Krzywił się nie z bólu, ale ze wstydu, mamrocząc z zażenowaniem:

* I gdzie tu sprawiedliwość? Ja dostałem worek ze złotem, a ty * worek z gównem...

Karmiła go wodnistą kaszą, poila z półlitrowego kubka naparem z ziół i czekała z miseczką przy

jego boku, póki kasza, pokonawszy krótką drogę, nie wyleje się z otwartej rany.

Dobrze wiedziała, że zioła wypłukiwały z jego chorego organizmu truciznę, ale jedzenie w ogóle już się nie przyswajało. Śmierć, na którą oboje czekali, miała

nadejść nie w wyniku zatrucia, tylko wycieńczenia.

Czuł na początku potworny wstręt i odwracał się na widok tej odpychającej fizjologii, później jednak zauważył, że Medeę bardziej martwi zaczerwieniona rana albo zbyt wolne wydalenie resztek kaszy, niż nieprzyjemny zapach wydobywający się z jego jelit.

Bóle były silne, ale nieregularne. Zdarzało się, że dawały mu spokój na kilka dni, a potem znów pojawiała jakaś wewnętrzna przeszkoda. Medea przemywała wtedy gotowanym olejem słonecznikowym otwartą ranę i wszystko wracało do normy.

Najważniejsze, że żył, a ona gotowa była nieść swój ciężar w nieskończoność...

Wstawiała wczesnym rankiem i spędzała jakieś trzy godziny przy mężu, w pół do dziewiątej wychodziła do pracy, wracając w porze obiadowej. Czasami, kiedy pracowała razem z Tamarą Stiepanowną, starą pielęgniarzką, ta puszczała ją po południu i Medea tego dnia do pracy już nie wracała.

Samuel wychodził wtedy na podwórko, sadzała go w fotelu, a sama siadała obok na niskiej ławeczce, obierając małym nożykiem z prawie startym ostrzem gruszkę albo sparzone pomidory.

Samuel zrobił się pod koniec małomówny, siedzieli więc obok siebie i cieszyli się bliskością, spokojem i miłością, która nie miała teraz żadnej skazy. Medea, pamiętająca o jego niezwyklej łagodności i o zdarzeniu, którego się wstydził, a które ona

uważała za przejaw jego wyjątkowej dobroci, cieszyła się, widząc z jaką pokorą znosił teraz ból, nieustraszenie podążając w stronę śmierci, pełny wdzięczności do Bożego świata, a w szczególności do niej.

Ustawiał zwykle fotel tak, żeby było widać wygładzone wzgórza gór stołowych w szaroróżowej mgiele.

* Tutejsze góry są podobne do Galilejskich * powtarzał za Aleksandrem

Aszotowiczem, którego nigdy nie widział, tak samo jak gór Galilejskich. Znał tylko ze słów Medei.

Pół wieku temu, w czasie świętowania pełnoletności, wyrecytował fragmenty świętej księgi gorzej od innych, a teraz czytał ją bardzo uważnie. Zapomniane słowa unosiły

się na powierzchni jego pamięci jak bąbelki powietrza, a kiedy nie mógł zrozumieć ukrytego znaczenia słów, chowającego się pod kwadratowymi literami, sięgał do równoległego tekstu w języku rosyjskim.

Szybko rozumiał jednak, że książki nie da się przetłumaczyć dosłownie. Dopiero pod koniec życia zaczął rozumieć rzeczy, których istnienia wcześniej nawet się nie domyślał: że nie da się wyrazić myśli za pomocą słów dokładnie, a tylko w przybliżeniu, że istnieje jakaś szczelina, wyrwa między myślą i słowem, którą można wypełnić jedynie natężoną pracą umysłową, próbując dotrzeć do sedna sprawy. Żeby przebić się do myśli przewodniej, która wydawała się Samuelowi czysta jak kryształ, trzeba było ominąć tekst * język tylko zanieczyszczał ten kryształ nieprecyzyjnymi określeniami zniekształconymi przez stale zmieniającą się pisownię, brzmienie i znaczenie słów.

Zauważył wyraźne wypaczenie sensu w obydwu językach, jakimi władał, rosyjskim i jidysz, w każdym myśl była wyrażana trochę inaczej.

„Narodowe w formie * uśmiechał się Samuel * boskie w treści...” Jak zwykle żartował.

Był bardzo osłabiony. Wszystko co robił, robił o wiele wolniej i Medea widziała, jak zmieniły się jego ruchy, jak poważnie, a nawet uroczyście, podnosił teraz filiżankę do ust, głaskał wyschniętymi palcami wąsy i krótką posiwiałą brodę. Ale jakby w rekompensacie za wyczerpanie fizyczne * a może dzięki ziołom Medei * nie miał żadnych problemów z koncentracją i nawet jeśli myślał powoli, to jego myśli były precyzyjne i jasne. Zdawał sobie sprawę z tego, że zostało mu niewiele czasu, ale przestał się śpieszyć i gorączkować. Sypiał mało, dnie i noce ciągnęły się teraz w nieskończoność, ale nie przeszkadzało mu to: przestawiał się na zupełnie inny czas. Dziwił się patrząc wstecz, jak szybko przeminęło życie i jak długo trwała teraz każda chwila spędzona w wiklinowym fotelu, kiedy siedział plecami do zachodu i obserwował jak ściemnia się na wschodzie niebieskoliliowe niebo i zmienia się kolor wzgórz, z różowych na niebieskoszary.

Patrząc na góry, zrobił jeszcze jedno odkrycie: przez całe życie nie tylko ciągle się

śpieszył, ale i okropnie się bał, nie chcąc się do tego przyznać nawet przed samym sobą, bał się zwłaszcza zabijania. Myśląc o tamtym potwornym wydarzeniu w Wasyliszczewie * rozstrzelaniu, którym miał kierować, a którego nawet nie zobaczył, haniebnie straciwszy przytomność * dziękował teraz Bogu za tę nieprzystającą mężczyźnie słabość, za kobiecą wrażliwość, która uratowała go przed potworną zbrodnią.

„Tchórz, tchórz” * gorzko się obwiniał, ale nawet tu nie przepuścił okazji, żeby nie zażartować z siebie: * „Ona pokochała go za tchórzostwo, on zaś ją * bo mu pobażała... Baby zawsze pomagały mi zapomnieć o tchórzostwie”. * Samuel był bezlitosny w stosunku do siebie.

Psychoanalityk znalazłby w tym pewnie jakiś kompleks o mitologicznej nazwie, a w każdym razie próbowałby tłumaczyć nadmierną seksualną pobudliwość dentysty podświadomym wypieraniem strachu przed okrutnym życiem za pomocą prostych nacierająco*cofających się ruchów w uległym miększym ciałach pulchnych pań...

Ożeniwszy się z Medeą poczuł się przy niej bezpieczny, jej odwaga chroniła go przed okrutnym światem... Jego figle i żarty, ciągłe próby rozśmieszania wszystkich dookoła wiązały się pewnie z intuicyjnym przekonaniem, że śmiech zabija strach. Śmiertelna choroba, jak się okazało, potrafi równie skutecznie uwolnić od strachu. Kolejnym potworem, gotowym ugryźć Żyda w piętę, był kosmopolityzm. Zanim jeszcze ten termin zdążył się przyjąć, przyczepiono mu łątkę „burżuazyjnej reakcyjnej ideologii”, i odkąd ukazała się pierwsza publikacja Zdanowa, Samuel z niepokojem śledził w gazetach, jak ten temat raz nadmuchiowano jak balon, raz dawano mu opaść. Wylądowawszy * po haniebnej ucieczce z szeregów wojowników o lepszą przyszłość do stada doświadczalnych królików * na skromnej, ale całkiem znośnej z materialnego punktu widzenia, posiadzie rejonowego dentysty Samuel przewidział

kolejne przesiedlenie ludów. Krymscy Tatarzy, Niemcy, a po części również pontyjscy Grecy i Karaimowie, zostali już w tym czasie deportowani. Sprytnie sobie wymyślił wtedy, że wyprzedzi wydarzenia i przeczeka całe to zamieszanie, werbując się do pracy na Północ na jakieś pięć lat, i wróci, kiedy wszystko się unormuje...

Jeszcze przed chorobą często spacerował ze swym przyjacielem Pawłem Nikołajewiczem Szymesem, fizjoterapeutą z sanatorium w Sudaku, po wypielegnowanym parku należącym niegdyś do Stiepanianów i szeptem dyskutował z nim na temat bieżących wydarzeń historycznych...

Pewnego niedzielnego ranka pod koniec października pięćdziesiątego pierwszego roku Szymes zjawił się u niego z półlitrową butelką rozcieńzonego spirytusu * co było dość dziwnym posunięciem ze strony niepijącego doktora * i poprosił Medę, żeby zostawiła ich z Samuelem samych * co tego zdziwiło jeszcze mocniej.

Postukując nie bardzo udaną sztuczną szczęką, wykonaną, trzeba podkreślić, nie przez Samuela, i bębniąc palcami po blacie stołu, Szymes poinformował swego przyjaciela, że ma poważne problemy. Jak się okazało, został napiętnowany na zebraniu partyjnym w sanatorium. Z typowo prowincjonalną krótkowzrocznością posądzono go o kosmopolityzm * chodziło o leczniczy natrysk Szarko, który doktor przez wiele lat propagował razem z innymi fizjoterapeutycznymi zabiegami rozpracowanymi pod koniec dziewiętnastego stulecia prawie wyłącznie przez lekarzy niemieckich.

* Ten idiota, kierownik sanatorium, myślał, że Szarko jest Ukraińcem. Ktoś go oświecił... Wiesz

co, Samuelu, wymyśliłem: może przedstawię mu zaświadczenie? Mam je w domu * wyszeptał Szymes.

* Jakie zaświadczenie? Że Szarko jest Ukraińcem? * zdziwił się Samuel.

* Że jestem ochrzczony. Wszyscy myślą, że jestem Żydem, o to im chodzi, a mój ojciec był chrzczony i ochrzcił całą rodzinę w tysiąc dziewięćset czwartym roku, jeszcze przed pogromami... Co mam robić? Co robić? * Pochylił łysą głowę.

Pozostał jednak, jak widać, prawdziwym Żydem, bo żaden prawosławny w takiej chwili nie zapomniałby o przyniesionej butelce. Samuel podrapał się w brodę i jak zwykle zażartował:

* Zaświadczenie zatrzymaj dla pogrzebu, żeby ich popy mogli nad tobą swój chrześcijański kadisz odprawić. Nie jest to najlepsze wyjście. Dla Rosjan zawsze będziesz Żydem, a dla Żydów * gorszy od goja... Jeśli chodzi o Szarko, wytłumacz

tym osłom, że doktor Szarko ukradł swój wynalazek... Powiedzmy Botkinowi albo Spasokukockiemu... A jeszcze lepiej * akademikowi Pawłowowi. Co tak patrzysz? Napisz w gabinecie zabiegowym: „Natrysk akademika Pawłowa” * i będzie spokój. I Pawłów się nie obrazi, zmarł jeszcze przed wojną. * Samonia złośliwie się uśmiechnął: * A jak jesteś taki prawosławny, możesz mu w cerkwi świeczkę zapalić, moja Medea pokaże ci, jak to się robi...

Nieszczęsny Szymes się obraził i wyszedł. Po namyśle napisał jednak na kartce wielkimi czerwonymi literami: „Natrysk akademika Pawłowa”

* i powiesił. Ale było już za późno, chociaż kartka wisiała na drzwiach jeszcze ponad dwa lata... Po wyjściu Szymesa Samuel poczuł zamiast strachu żal z powodu panującej wokół bezgranicznej głupoty... A może były to początki choroby, która już wtedy zaczęła skrycie drażnić jego, wyglądające jeszcze na zdrowe, ciało?

...Jak na tutejszy klimat ciepło utrzymywało się niezwykle długo, do końca listopada. Ale już na początku grudnia zaczął padać zimny deszcz przechodzący w śnieg, szalały sztormy. I chociaż morze było dość daleko, znacznie niżej ich domu, jego niespokojne odgłosy docierały również do Osady, zwłaszcza w nocy. Wiatr przynosił tony wilgoci i ziemię przykrywała jakby gruba kołdra nasączona wodą i nikomu nawet do głowy by nie przyszło, że zaledwie pięć metrów powyżej tego zimnego kłębowiska wciąż świeci niezmordowane, oślepiające słońce.

Samuel przestał wychodzić na dwór. Medea wniosła do letniej kuchni jego wiklinowy fotel i zamknęła ją na klucz. Gotowała teraz w domu, na kuchence, paliła również w niewielkim piecu, który zbudował teodozyjski zdun, zanim się tu wprowadzili * Tatarzy nie stawiali pieców w domu, a podłogi mieli gliniane. Deski położono dopiero rok po przeprowadzce.

Samuel poprosił, żeby powiesiła w jego pokoju grube zasłony. Nie lubił zmierzchu, zasłaniał wtedy okna granatowymi zasłonami i zapalał lampkę. Kiedy wyłączali prąd * a zdarzało się to dość często * zapalał starą górniczą lampkę, która dawała jaskrawe białe światło.

Okna były teraz cały czas zamknięte, Medea paliła aromatyczny olej we własnoręcznie zrobionych świecznikach i w domu unosił się słodki wschodni zapach

ziół. Gazet Samuel nie czytał, nawet wyłapywani od czasu do czasu w różnych dziedzinach nauki i kultury kosmopolici przestali go jakoś interesować.

Dobrnął już do Księgi Lewita. Ta nieciekawa w porównaniu z dwiema pierwszymi księgami część Pięcioksięgu, adresowana głównie do osób duchownych, zawierała prawie połowę z sześciuset trzynastu zakazów, na których opierało się żydowskie życie.

Samuel długo wczytywał się w tę dziwną księgę i nie potrafił zrozumieć, dlaczego „ze wszystkich gadów, ptaków i chodzących na czterech nogach” można jeść tylko te „u których podudzia są dłuższe od nóg, żeby mogli skakać po ziemi”. Ale nawet z tych do jedzenia nadawały się ponoć tylko szarańcza i nikomu nie znane chargol i charab, a reszta była uznawana za nieczyste.

Żadnych logicznych komentarzy do tego w księdze nie było. To prawo było absolutnie oderwane od rzeczywistości, martwe, dużo miejsca zajmowały w nim różne rytuały związane z odprawianiem nabożeństwa w świątyni, co nie miało żadnego sensu ze względu na to, że świątyni od dawna nie było i nie było żadnej możliwości, żeby ją odbudować.

Zauważył później, że to całkowicie oderwane od rzeczywistości prawo, nakreślone już w Księdze Wyjścia i rozpracowane w całości w Talmudzie, rozpatruje wszystkie możliwe i niemożliwe sytuacje, w jakich może się znaleźć człowiek, i daje dokładne wskazówki co do zachowania w konkretnych okolicznościach. Wszystkie te, chaotycznie obłożone zakazami, postępowania miały na celu wyłącznie zachowanie świętości życia narodu Izraela i całkowite odrzucenie prawa ziemi kananejskiej.

Była to droga, z której zrezygnował już w młodości. Mało tego, odrzucił również prawo ziemi kananejskiej, które obiecało może nie świętość, ale stosunkowy porządek oparty na sprawiedliwości. A on przecież zdążył w młodości trochę popracować na rzecz zburzenia pierwszego i drugiego...

Poznając teraz starożytne prawo żydowskie, dochodził do wniosku, że mieszkańcy jego kraju i on sam żyli w głębokim bezprawiu. To uprawomocnione bezprawie, gorsze od kananejskiego, było tak szeroko rozpowszechnione, że niewinność, odwaga, rozsądek i głupota ulegały mu w jednakowym stopniu... Wiedział teraz, że

jedynym człowiekiem, który żył według własnego prawa, była jego żona Medea. Ten cichy upór, z jakim wychowywała dzieci, pracowała, modliła się i pościła, nie był, jak się okazało, cechą jej dziwnego charakteru, lecz dobrowolnie spełnianym obowiązkiem, przestrzeganiem dawno odrzuconego przez wszystkich prawa. Znał zresztą więcej takich ludzi * należał do nich jego nieżyjący wuj Efraim, którego przypadkowo zabił i porzucił na ulicy pijany żołnierz; możliwe że należał do nich również opóźniony umysłowo sprzątac Rajs, młody Tatarzyn, pamiętający tylko o dwóch rzeczach: że musi zawsze się uśmiechać i do przesady starannie sprzątać ścieżki parku w sanatorium...

Samuel nigdy niczego przed Medeą nie ukrywał i dzielił się z nią każdą myślą, która przyszła mu do głowy, ale tym razem milczał, nie dlatego, że bał się niezrozumienia, obawiał się raczej, że nie potrafi dokładnie wyrazić swych myśli. Medea wywnioskowała z jego rzadkich wyznań, jak bardzo się zmienił wewnątrz i cieszyła się z tego, ale była zbyt zmartwiona jego stanem fizycznym, żeby zagłębiać się w tę przemianę. Zaczęły go nękać bóle pleców, robiła więc mu zastrzyki, żeby mógł zasnąć.

Grudzień mieli już za sobą, skończyły się sztormy, ale było wciąż pochmurno i zimno. Od połowy stycznia zaczęli już czekać na wiosnę. Medea, która zawsze regularnie odpowiadała na listy krewnych, odpisywała teraz krótko na kartkach pocztowych * list otrzymałam, dziękuję, u nas wszystko po staremu, Medea, Samuel...

Nie miała czasu na pisanie listów. Przez całą zimę wysłała tylko dwa prawdziwe listy * do Lenoczki i Sandry.

Luty ciągnął się w nieskończoność i miał, jak na złość, dwadzieścia dziewięć dni. Ale po dziesiątym marca słońce pokazało się już na dobre i wszystko dookoła zaczęło się bujnie zielenić. Wracając z pracy, Medea wchodziła na ogrzane słońcem wzgórze, zrywała kilka fiołków i asfodeli i kładła je na spodku Samuela.

Asfodel * roślina z rodziny liliowatych o białych kwiatach, znana w starożytności jako kwiat cmentarny (przyp. tłum.)

Samuel już prawie nie wstawał, a nawet nie siadał, ponieważ bóle wtedy jakby się

nasilały. Jadał raz dziennie, bo jedzenie go zbyt męczyło. Jego twarz cały czas się zmieniała i stawała się coraz bardziej natchniona i piękna.

Ostatnia niedziela marca zapowiadała się ciepła i bezwietrzna. Samuel chciał pobyc na świeżym powietrzu. Medea wymyła i wysuszyła na słońcu fotel i przykryła kocem. Ubierając Samuela, miała wrażenie, że jego palto waży więcej niż on sam. Dwadzieścia kroków od łóżka do fotela pokonał powoli, z ogromnym wysiłkiem. Na pobliskim zboczu przeżył się tamaryszek, gałązki były gotowe w każdej chwili wybuchnąć liliowymi kwiatami, które chowały się na razie w pąkach. Spoglądał w stronę gór stołowych, a one patrzyły przyjaźnie na niego, jakby byli sobie równi.

* Boże kochany, jak dobrze... jak pięknie * powtarzał wciąż i łzy płynęły mu z wewnętrznych i zewnętrznych kącików oczu jednocześnie, znikając w długim klinie brody.

Medea siedziała obok niego na stołku i nie zauważyła, kiedy przestał oddychać, bo łzy ciekły z jego oczu jeszcze przez parę minut...

Pięć dni później odbył się pogrzeb. Wyschnięte ciało cierpliwie czekało na przyjazd krewnych, nie wykazując żadnych oznak rozkładu. Przyjechała Aleksandra z Siergiejem, Fiodor z Gieorgijem i Nataszą, brat Dimitrij z Litwy z synem Gwidasem, cała rodzina ze strony męża z Tbilisi. Mężczyźni zanieśli nieboszczyka na miejscowy cmentarz, a później wszyscy usiedli przy skromnej stypie.

Medea nie chciała piec ciasta i przygotowywać świątecznego poczęstunku. Na stole stała kutia, chleb, ser, talerz z zieleniną przywiezioną z Azji Środkowej i jajka gotowane na twardo. Na pytanie Nataszy, dlaczego poczęstunek jest taki skromny, odpowiedziała:

* Był przecież Żydem, Nataszo. A Żydzi nie urządzają stypy. Wracają z cmentarza, siadają przy

stole, modlą się i poszczą... Myślę, że właśnie tak to powinno wyglądać. Nie lubię naszych styp, zawsze za dużo jedzenia i picia. Niech lepiej tak będzie...

Po śmierci męża Medea włożyła wdowie ubranie * i zadziwiła wszystkich urodą i niezwykłym wyrazem łagodności, którego przedtem u niej nie dostrzegano. I z tym swoim nowym wyrazem na twarzy wkroczyła w długi okres wdowieństwa.

Przez cały tamten rok Medea czytała Psałterz i cierpliwie czekała na wieści od męża zza grobu, jak czeka się na listonosza z odpowiedzią na wysłany list. Żadnego znaku jednak nie otrzymała. Kilka razy zdawało jej się, że długo oczekiwany sen właśnie się zaczyna, że mąż zaraz jej się ukaże, ale ten nastrój szybko prysł * albo nagle pojawiał się jakiś upiorny nieznajomy, albo podmuch wiatru, który wdierał się do jej pokoju, trzaskając oknami i sprowadzał ją do rzeczywistości.

Po raz pierwszy przyśnił się jej na początku marca, niedługo przed rocznicą śmierci. Sen był dziwny i nie przyniósł jej oczekiwanej ulgi. Minęło kilka dni, zanim zrozumiała, o co w nim chodziło.

Samuel był w białym kitlu * to dobrze * z rękami wybrudzonymi gipsem albo kredą i miał bardzo bladą twarz. Siedział przy stole i stukał młoteczką o jakiś nieprzyjemnie ostry metalowy przedmiot, ale nie była to proteza zębowa. Potem obrócił się do niej i wstał. Trzymał w rękach portret Stalina, ale odwrócony. Wziął młoteczek, postukał po brzegu szkła i ostrożnie wyjął zdjęcie. Póki zajmował się szkłem, Stalin gdzieś zniknął, a na jego miejscu pojawiło się zdjęcie młodej Sandroczki.

Tego samego dnia poinformowano o chorobie Stalina, a kilka dni później * o jego śmierci. Medea była świadkiem przejawów autentycznego żalu i szczerych łez, tak samo jak rzucanych szeptem przekleństw * nie wszyscy dzielali ogólnie wyrażany żal. Jej samej to wydarzenie ani trochę nie poruszyło. Najbardziej martwiła ją druga połowa snu: co tam robiła Sandroczka i co to mogło znaczyć... Niepokoiło ją to tak bardzo, że chciała nawet jechać na pocztę, żeby dzwonić do Moskwy.

Minęły dwa tygodnie. Była rocznica śmierci Samuela. Padał deszcz i Medea porządnie zmokła w drodze z cmentarza do domu. Następnego dnia postanowiła zrobić wreszcie porządek z rzeczami męża, coś oddać, a przede wszystkim znaleźć narzędzia i niewielki niemiecki silniczek, który obiecała synowi przyjaciółki z Teodozji...

Ułożyła stos koszul, dobry garnitur zostawiła dla Fiodora * może się przyda. Były jeszcze dwa swetry * wciąż pachniały mężem, postanowiła ich nie oddawać, zostawić sobie... Na dnie szafy znalazła torbę polową z różnymi zaświadczeniami: świadectwo

zakończenia szkoły protezowania przy Narkomzdravie, zaświadczenie o zakończeniu rabfaku, kilka dyplomów i oficjalnych życzeń. Rabfak * roboczy fakultet, tworzone po rewolucji szkoły dla proletariatu (przyp. tłum.)

„Przełożę do kuferka” * pomyślała Medea i otworzyła prawie niewidoczną boczną kieszeń torby. Leżała w niej cienka koperta podpisana charakterem pisma Sandroczki. Zaadresowana do Mendeza S. Ja. na pocztę w Sudaku, na poste restante. Dziwne. Otworzyła odruchowo kopertę, uderzyła ją już pierwsza linijka.

Drogi Samosia * było napisane ręką Sandroczki. Nikt go tak nie nazywał.

Starsi nazywali go Samonią, młodzi * Samuelem Jakowlewiczem.

Okazałeś się sprytniejszy, niż myślałam * czytała Medea. * Tak to wszystko właśnie wygląda, ale nic z tego nie wynika, i lepiej będzie, jak o wszystkim zapomnisz.

Jesteśmy z siostrą różne, ona święta, a ja * ostatnia świnią. Ale prędzej umrę, niż powiem jej, kim jest ojciec tego dziecka. Dlatego błagam: zniszcz ten list natychmiast. Dziewczynka należy do mnie i tylko do mnie i nie myśl sobie, że jest twoja, jest po prostu jedną z siostrzenic Medei. Jest śliczna. Ruda, cały czas się uśmiecha. Wygląda na bardzo wesołą i mam nadzieję, że nie będzie podobna do ciebie * że ta tajemnica zostanie między nami. Za pieniądze dziękuję. Przydały mi się, ale nie wiem, czy chcę, żebyś mi pomagał. Najważniejsze, żeby siostra się nie domyśliła. I tak mam wyrzuty sumienia, a co się z nią stanie, kiedy ona się dowie ? A z nią? Trzymaj się, Samosiu. Sandra

Medea czytała list, stojąc, bardzo uważnie, dwa razy. Tak, tamtego lata często chodzili nad morze we dwójkę, Aleksandra i Samuel. I pierścionek swój paniński zgubiła właśnie wtedy.

Osunęła się na fotel. Ogarnęło ją nieznane dotąd, potworne uczucie pustki i osamotnienia. Przesiedziała w tym fotelu bez ruchu do późnego wieczora. Potem się podniosła i zaczęła pakować. Nawet nie kładła się do łóżka.

Rano stała na przystanku autobusowym ze starannie zawiązanym na głowie czarnym szalem, dużym plecakiem i własnoręcznie zrobioną torbą. Na dnie torby, w starej tkanej kosmetyczce, leżało podanie o urlop, które postanowiła wysłać później, dokumenty, pieniądze, no i ten nieszczęsny list. Pierwszym autobusem odjechała do

Teodozji.

Rozdział dwunasty

Stojąc z plecakiem na przystanku autobusowym, Medea czuła się prawie jak Odyseusz, chociaż ten nie wiedząc, ile czasu zajmie mu powrót do domu, zdawał sobie jednak sprawę z odległości, jaką musiał pokonać.

Medea zaś, mająca do czynienia z odległością wyłącznie w czasie swych szybkich spacerów po okolicy, nie wyobrażała sobie nawet, jak długa droga ją czeka. Odyseusz poza tym był poszukiwaczem przygód i żeglarzem i wcale nie spieszył się z powrotem do domu, udając tylko, że jego głównym celem jest dom w Itace nazywany królewskim pałacem i objęcia zniecierpliwionej, podstarzałej żony.

Medea jak dotąd nie ruszała się z miejsca, nie licząc wyjazdu do Moskwy z Sandroczką i jej pierworodnym, Siergiejem. To osiadłe życie, mimo szybkich i burzliwych zmian wokół * rewolucji, zmiany rządów, czerwonych, białych, Niemców, Rumunów, wysiedlonych i osiedlonych * uczyniło ją podobną do mocnego drzewa, które głęboko zapuściło korzenie w tej kamienistej ziemi pod wiecznie palącym słońcem, przesuwanym się każdego dnia i każdego roku z niezmienną determinacją, na ciągłym wietrze, przynoszącym w zależności od pory roku zapach wysychających na brzegu wodorostów, suszących się na słońcu owoców czy gorzkich piołunów.

Ale z drugiej strony była typową mieszkanką nadmorskiej miejscowości: od dzieciństwa patrzyła, jak mężczyźni z jej rodziny uchodzili w morze. Na morzu zginął jej ojciec, morską drogą na zawsze odpłynęli Aleksander Aszotowicz Stiepanian z Anait i Arsenem, rozpadający się statek zabrał z Batuma ciotkę z jej dwoma braćmi, i nawet siostra Aniela, która wyszła za mąż za Gruzina z górzystego Tbilisi, opuściła dom z nowej przystani w ukochanej Teodozji.

I chociaż dalekie miasto, do którego wybierała się przez dziesięciolecia i nagle się zebrała w ciągu jednej nocy, nie leżało na morskim szlaku, postanowiła pokonać morzem przynajmniej część drogi, od Kerczu do Taganrogu...

Pierwsze dwa etapy, z Osady do Teodozji i z Teodozji do Kerczu, były tak łatwe do pokonania, jak spacer po własnym podwórku. Przyjechawszy do Kerczu znalazła się na końcu znanego jej świata, starożytne Panticapaeum było jego ostatnim punktem na wschodzie.

W porcie dowiedziała się, że statki pasażerskie zaczną kursować dopiero w maju, poza sezonem letnim statki z Kerczu do Taganrogu przewożą wyłącznie towary. Zmartwiła się i zrozumiała, że popełniła pierwszy błąd: trzeba było od razu jechać przez Dżankoj, a ona dała się skusić, korzystając z określonych morskich połączeń. Nie chcąc po tym wszystkim nawet patrzeć na zgniłą szarożółtą meotyjską wodę, (Od starej nazwy morza Azowskiego * Lacus Maeotis (przyp. tłum.) poszła do swej starej przyjaciółki Taszy Ławińskiej, która od młodych lat zajmowała się „grzebaniem w grobach”, jak żartował jej mąż, stary doktor Ławiński, miejscowy inteligent i bibliofil, znany tu tak samo dobrze, jak grobowiec Diany.

Ławińscy mieszkali na tyłach muzeum i ich mieszkanie wyglądało jak jego filia * wszędzie było pełno kawałków kruchego kerczeńskiego kamienia, antycznego kurzu i pożółkłego papieru.

Tasza nie od razu poznała Medeę, której nie widziała od paru lat, od czasu choroby Samuela, kiedy nieliczni przyjaciele, jedni z delikatności, inni z egoizmu, prawie przestali ich odwiedzać.

Poznawszy wreszcie koleżankę Tasza rzuciła się jej na szyję, nie dając Medei nawet zdjąć plecaka.

* Poczekaj, Taszeńka, daj mi się rozebrać * odsunęła się Medea. * Daj mi się umyć. Samuel twierdził, że Kercz * to światowy biegun kurzu...

Była wilgotna wiosna i o kurzu nie mogło być mowy, ale Medea tak bardzo ufała słowom zmarłego męża, że rzeczywiście czuła się, jakby cała była pokryta kurzem. Tasza przesunęła szybkim ruchem leżące na stole w nieładzie stosy postrzępionych książek, oddzielne kartki z drobnymi rysunkami i nieczytelnym tekstem i rozłożyła na gazecie skromny i nieapetycznie wyglądający poczęstunek, wcale się tym nie przejmując.

Siergiej Iliarionowicz, imponujący stary mąż młodej niegdyś piękności, który

wielkodusznie nie zauważał jej przedwczesnego brzydkiego starzenia się *
sterczących na podbródku twardych pojedynczych włosków i wystających zębów *
przez całe życie przyjmował wyjątkową niechęć Taszy do prowadzenia domu jako
czarującą osobliwość jej charakteru. Nie stracił jednak swego dawnego zamiłowania
do ucztowania i proponował Medei suszoną rybę i rybne konserwy zamiast świeżej
ryby, co wyglądało dość dziwacznie w tym rybackim mieście.

Ale wino było pyszne, otrzymane w prezencie. Chociaż od dawna był na emeryturze,
prowadził jeszcze czasami praktykę i znajomi pacjenci oprócz zapłaty za usługi
przynosili coś dobrego do jedzenia, jak w dawnych głodnych czasach, o których tak
szybko wszyscy zapomnieli.

Dowiedziawszy się od Medei o jej trudnościach z dalszym podróżowaniem
natychmiast zadzwonił do naczelnika portu i ten obiecał znaleźć jej miejsce na
pierwszym porannym statku, nie gwarantując jednak żadnych wygód.

Siedzieli przy stole do późnego wieczoru, dopili dobre wino, napili się słabiutkiej
herbaty i Tasia, nawet nie zapytawszy, po co Medea jedzie do Taganrogu, zaczęła
opowiadać o jakiejś kratce z okresu mezolitu znalezionej przez nią w okolicach
morza Azowskiego. Medea długo nie mogła zrozumieć, czym ona się tak podnieca,
póki Tasia nie rozłożyła przed nią na resztkach ryby sfatygowanych kawałków
papieru z ręcznie zrobionymi rysunkami przedstawiającymi coś na wzór kratki do gry
w kółko i krzyżyk i nie oznajmiła, że kratka ta jest jednym z najbardziej stałych
symbolów kultu z okresu paleolitu znalezionych w Egipcie, na Krecie i w Ameryce
sprzed czasów Kolumba, a teraz również tu, w Kraju Nadazowskim...

Siergiej Iliarionowicz zapadł w fotelu w starczą drzemkę, od czasu do czasu się
budząc, a ponieważ był dobrze wychowany, kiwał wtedy zgodnie głową, coś z
aprobatą mamrotał i znów zasypiał.

Medea, której naukowe badania Taszy w ogóle nie interesowały, cierpliwie czekała
na koniec lekcji i dziwiła się, że ta ani razu nie wspomniała
o swej córce i wnuczce, które mieszkały w Leningradzie.

Medea zgodnie kiwała głową przy każdym kolejnym wniosku Taszy i myślała o tym,
jak zawzięty może być człowiek, jak trwała bywa czasami pasja, nie ulegająca

żadnym zmianom, tak samo jak te krteczki, kółeczka i punkciki, które, raz odcisnięte, pozostają w różnych potajemnych zakamarkach na całym świecie przez tysiąclecia * w piwnicach muzeów, na wysypiskach, wydrapane na wyschniętej ziemi czy na rozsypujących się płotach...

Rano przyjechał wysoki tęgi mężczyzna w marynarskim mundurze bez naramienników i zabrał Medeę z pogrążonego we śnie domu Ławińskich. Godzinę później siedziała już na mocno wyeksploatowanym statku towarowym w zatoce Kerczeńskiej, który wyglądał tak znajomo, jakby należał do starej armady jej dziadka Charłamija.

Stateczek, sapiąc i z trudem się poruszając, jak na staruszka przystało, dotarł do Taganrogu dopiero pod wieczór. Mżawka zamieniła się w drobny deszcz i Medea, po dwunastogodzinnym siedzeniu na drewnianej ławce na pokładzie w pozycji wyprostowanej i z zaciśniętymi kolanami, zeszła po trapie, czując się raczej jak część drewnianej ławki, od której przed chwilą się oderwała, niż żywym człowiekiem.

Rozejrzała się na przystani: prócz samotnej latarni i chłopaka, który jechał z nią razem z Kerczu

i póki było jasno czytał grubą książkę, nikogo i niczego nie zauważyła. Chłopak był w takim wieku,

kiedy zwrot „młody człowieku” w stosunku do jego osoby mógł go jeszcze peszyć.

* Proszę mi powiedzieć, młody człowieku, jak lepiej dojechać do Rostowa nad Donem, pociągiem czy autobusem.

* Autobusem * odpowiedział krótko.

Obok chłopaka stał kosz z dwiema rączkami obwiązanymi tkaniną z przyjemnym i jakby znajomym wzorkiem. Medea zatrzymała na nim wzrok: wypłowiałe, ledwo widoczne kwiaty rumianku zebrane w okrągłe wiązanki... Chłopiec przechwycił jej spojrzenie i pchnąwszy kosz nogą, powiedział coś niedorzecznego:

* Jeśli wejdzie do bagażnika, to i dla pani miejsca starczy.

* Co pan powiedział? * nie zrozumiała Medea.

* Brat po mnie z Rostowa przyjedzie. Samochodem. Myślę, że mogłaby pani z nami się zabrać...

* Naprawdę? Świetnie...

Uczucie straszliwej pustki nie opuszczające jej odkąd przeczytała ten potworny, pośpiesznie napisany, niedbały list, nie przeszkodziło jej poczuć chwilową ulgę: „Dzięki ci Boże, żeś nie zostawił mnie samej i tym razem, zsyłając swych aniołów podróży, jak Tobiaszowi...”

Chłopak, który nawet nie podejrzewał, że spełnia obowiązki anioła podróży, odsunął tępym czubkiem buta kosz na bok i wyjaśnił Medei:

* Ma duży wóz, „pobiedę”, ale może coś w nim wiezie...

Mówił bardzo poprawnie i po jego sposobie mówienia domyśliła się, że pochodzi z dobrej rodziny. Widocznie nie na próżno czytał te swoje grube książki.

Jakieś piętnaście minut później pojawił się krzepki młody człowiek, pocałował chłopaka i poklepał go po ramieniu:

* Zuch z ciebie, Losza! Czemu ciotki nie przywiozłeś?

* Obiecała latem przyjechać. Nogi ją bolą.

* Biedactwo... Jak ona tam sobie sama radzi? Widać było, że to go naprawdę interesuje, więc czekał na odpowiedź:

* Wygląda, że wszystko w porządku. Jeden pokój wynajmuje. Lokator * porządny człowiek, z Leningradu, pracuje na stacji meteorologicznej. Przywiózł jej drewna na opał. Tu są prezenty od ciotki. * Kiwnął w stronę kosza. * Nie chciałem brać, ale i tak dała...

Mężczyzna machnął ręką:

* Nie ma sensu z nią o to się kłócić... Podniósł kosz. Chłopak go zatrzymał:

* Tola, ta pani też do Rostowa jedzie. Masz miejsce?

Tola odwrócił się do Medei, jakby dopiero teraz ją zauważył, chociaż przez cały czas stała obok.

* Jest. Podwiozę panią. Dokąd w Rostowie?

* Na dworzec kolejowy.

* Wezmę pani plecak * przerzucił plecak przez ramię.

Medea wciąż dziękowała w myślach: „Dzięki ci Panie Boże za twe dobrodziejstwa,

za wszystko co na mnie zsyłasz, pozwól mi przyjmować wszystko z pokorą..."

Była to jej zwykła rozmowa z Bogiem, mieszanka wykutych kiedyś na pamięć modlitw i własnego tekstu, szczerego i pełnego wdzięczności...

Nie zdążywszy więc rozprostować nóg po długim siedzeniu na pokładzie, wsiadła do samochodu, gdzie zresztą było ciepło i wygodnie. Jej wilgotne ubranie może nie wyschło, ale zrobiło się cieplejsze od jej ciała. Drzemiąc, słyszała urywki rozmowy braci: coś o ślubie siostry, uczelni pedagogicznej, gdzie chłopak studiował na pierwszym roku, o Symferopolu, ciotce, którą odwiedzał w Starym Krymie.

„Trzeba kiedyś wpaść do Niny" * przemknęło jej przez głowę wspomnienie o dawnej sąsiadce z Teodozji, która przeprowadziła się do Starego Krymu po pożarze domu na ich starej ulicy. Myślała przez sen o Ninie, jej starej matce, której po tamtym pożarze pomieszało się ze strachu w głowie, i jej młodszej siostrze z poparzeniem przedramienia, którą leczyła wtedy prostymi, ale sprawdzonymi ludowymi sposobami...

Do dworca kolejowego dotarli, kiedy całkiem się ściemniło, prawie w środku nocy. Kierowca wziął plecak Medei i zaprowadził ją do kasy. Przy jednym z okienek stała długa milcząca kolejka, dwa inne wyglądały tak, jakby nigdy nie były otwierane.

Medea zatrzymała się obok jednego z tych zamkniętych okienek i podziękowała kierowcy. Zdjął z ramienia plecak, postawił go na podłodze i powiedział niepewnie:

* Może zawiozę panią do siebie, a rano spróbuje pani stąd jakoś się wydostać. Proszę popatrzeć, co tu się dzieje...

Medea nie zdążyła mu podziękować, gdy okienko za jej plecami otworzyło się.

Zaskoczona poprosiła o bilet do Taszkentu.

* Są tylko miejscówki * uprzedziła kasjerka * i z dwoma przesiadkami, w Saratowie i w Salsku...

* Dobrze * zgodziła się Medea.

Tłum jak oszalały rzucił się do niespodziewanie otwartego okienka, zaczęła się straszna awantura: jedni chcieli zachować kolejkę, drudzy, którzy stali na samym końcu i teraz znaleźli się bliżej, nie zgadzali się na to.

Medea z trudem przecisnęła się z biletem w rękę przez wzburzony tłum gotowych do

bójki ludzi i wzięła od Anatolija plecak.

* Ależ pani miała szczęście! * rozłożył tylko ręce.

Wyszli na peron, nie widząc, że okienko, w którym Medea kupowała przed chwilą bilet, od razu się zamknęło i zniecierpliwiony tłum się rozdzielił i szturmował teraz oba zamknięte okienka, ludzie walili pięściami w dyktę.

Medea czekała na pociąg, który spóźniał się pięć godzin, zaledwie dwanaście minut, i dopiero w okolicach Rostowa domyśliła się, dlaczego tkanina z rumiankiem wydawała jej się taka znajoma: przecież to była jej własna zasłona, sprezentowana Ninie trzydzieści lat temu po pożarze razem z innymi rzeczami pierwszej potrzeby... Z czego wynikało, że cioteczka ze Starego Krymu, o której była mowa, była jej dawną sąsiadką Niną, a młodzi ludzie * dziećmi dziewczynki, której poparzenia leczyła Medea tamtej nocy... Uśmiechnęła się i od razu się uspokoiła: nic się nie zmieniło, to był świat, który rozumiała, pozostawał wciąż taki sam, mimo większego zaludnienia i wyraźnego przyśpieszenia * tak samo zdarzały się drobne cuda, ludzie się spotykali i rozstawali, a wszystko razem układało się w piękny wzór...

Wyciągnęła z plecaka dwa sucharki i duży niemiecki termos. Herbata z Kerczu była gorąca i słodka...

Przesiedziała przy oknie przedziału prawie cztery dni, wyciągając się czasami na dolnej półce i zapadając w urywany, wibrujący sen, na dnie którego wciąż się zbierał gęsty osad rozpaczy.

Pociąg poruszał się powoli, co chwilę zatrzymując się na małych stacjach i robiąc, nie wiadomo po co, długie przystanki na rozjazdach. Rozkład jazdy był nieaktualny już od momentu podstawienia spóźnionego pociągu. Na wszystkich stacjach i przystankach czekał na niego tłum zdenerwowanych ludzi. W powolnym i brudnym pociągu niewielu było takich, jak Medea, którzy wybrali się w tak długą podróż.

Większość, z koszami, worami i tobołami, wsiadała na krótko, tłoczyła się w przejściach i wysiadała, pozostawiając po sobie ciężki odór i łuski z pestek słonecznika.

Medea, która widziała całą krymską tragedię i pamiętała głód, chłód i baraki dla chorych na tyfus, nigdy sama nie przeżyła przesiedlenia, co było w Kraju Rad na

porządku dziennym, i tylko z opowiadań wiedziała o bydłych wagonach i kolejkach na stacjach po gorącą wodę.

Po raz pierwszy ruszyła się z miejsca dopiero po pięćdziesiątce * z własnej woli * i z przerażeniem patrzyła teraz na tłumy ludzi, przemieszczających się po tej bezpańskiej ziemi, zaśmieconej zardzewiałym żelastwem i bitym kamieniem. Kolejowe skarpy były porośnięte delikatną wiosenną trawą, ale ślady po skończonej osiem lat temu wojnie były jeszcze widoczne * wyrwy wypełniała bura woda, ruiny i kości, których było pełno od Rostowa do Salska i od Salska po Stalingrad, wrosły w glebę.

Medei zdawało się, że ziemia lepiej przechowuje pamięć o wojnie, niż całe te rzesze ludzi, którzy przeżywali niedawną śmierć Stalina hałaśliwie i zgodnie. Minęło dopiero kilka tygodni od jego śmierci i wszyscy dookoła mówili tylko o tym.

Usłyszała tu dużo niesamowitych rzeczy: stary kolejarz, który wracał po pogrzebie matki, opowiadał szeptem, że w czasie pogrzebu Stalina zginęło w Moskwie mnóstwo ludzi i że Żydzi na pewno maczali w tym palce. Drugi, zasepiony, z drewnianą nogą, z pstrokatą od baretek piersią, opowiadał o podziemnym mieście pełnym tajnej amerykańskiej broni, które ponoć zostało przypadkowo odkopane w samym centrum Moskwy. Dwie nauczycielki, jadące na jakieś miejscowe zebranie, natężając z przyzwyczajenia głos, martwiły się, kto teraz poprowadzi kraj ku wymarzonej świetlanej przyszłości... Podpity chłop, który nie zdejmował czapki*uszanki od Iłowińskiej aż do samego Saratowa, nasłuchawszy się ich głośnego trajkotania, wychodząc, ściągnął nagle z głowy czapkę, pod którą była łaciata łysina, splunął na podłogę i powiedział stanowczo:

* Durne baby! Gorzej niż tera już nie będzie...

Medea uśmiechnęła się, patrząc w okno. Do zmian historycznych miała taki sam stosunek jak do zmiany pogody * była gotowa wszystko przetrzymać: w zimie marznąć, a latem się pocić... Do każdej pory roku przygotowywała się jednak zawczasu: gromadziła opał na zimę i cukier do przetworów na lato, jeśli akurat był w sprzedaży. Od władzy nigdy nie oczekiwała nic dobrego, wystrzegła się jej i trzymała jak najdalej od ludzi ją sprawujących.

Jeśli zaś chodzi o wielkiego wodza, od dawna był coś winien jej rodzinie. Na długo

przed rewolucją zamącił w głowie męża cioteczki, Iraklija z Batuma, który wplątał się przez to w niebezpieczną aferę związaną z napadem na bank, z której, po zebraniu dużej kwoty pieniędzy, wyciągnęła go rodzina...

W dzień śmierci Stalina w Osadzie wywieszono flagi żałobne i zwołano wiec.

Przybył z Sudaku partyjny naczelnik średniego szczebla, z nowych. Po jego przemówieniu włączyli żałobną muzykę, dwie miejscowe, Sonia ze sklepu i Walentyna Iwanowna, nauczycielka, popłakały się, a później wszyscy postanowili wysłać telegram z kondolencjami prosto na Kreml... Medea, której żałobny strój był tu jak najbardziej na miejscu, postąpiła tylko tyle ile trzeba i wróciła do swej winnicy i pracowała w niej do późnego wieczora...

Ten cały zgiełk wokół śmierci wodza mało ją obchodził. Patrzyła teraz na swych towarzyszy podróży, zwykłych ludzi, tworzących naród, którzy głośno rozpaczali i płakali, bojąc się o swą sierocą przyszłość, byli i tacy co po cichu się cieszyli ze śmierci tyrana, ale i pierwsi i drudzy musieli teraz wszystko przemyśleć, nauczyć się żyć w zmienionym przez jedną noc świecie.

Dziwne, ale również Medea przeżywała coś podobnego, chociaż z zupełnie innego powodu. List, głęboko schowany na dnie torby, zmuszał ją do zmiany stosunku do siebie, siostry i zmarłego męża, a przede wszystkim do pogodzenia się z faktem, w istnienie którego wciąż nie mogła uwierzyć.

Związek męża, uwielbiającego ją przez całe małżeństwo i wychwalającego pod niebiosami jej

nieistniejące zalety, z siostrą Aleksandrą, którą знаła jak zły szeląg, wydawał jej się niemożliwym nie tylko z przyczyn obyczajowych. Czuła, że został złamany jakiś wyższy zakaz, chociaż Sandroczka, sądząc po lekkim tonie jej beztroskiego listu, chyba nawet nie zdawała sobie sprawy, że potajemnie popełniła zbrodnię we własnej rodzinie. Bała się tylko jednego * że wszystko się wyda...

Sytuacja, w jakiej Medea się znalazła, nie wymagała od niej podejmowania jakichkolwiek decyzji czy działań * i to ją dręczyło najbardziej. Wszystkie poprzednie nieszczęścia w jej życiu * śmierć rodziców, choroba męża * wymagały od niej dużego fizycznego i psychicznego wysiłku; to, z czym miała do czynienia teraz,

było tylko odgłosem dawnego zdarzenia. Samonia już nie żył, ale została po nim córka Nika, a on nie mógł się już przed Medeą wytłumaczyć.

Mąż ją znieważył, siostra zdradziła, nawet los ją skrzywdził, nie dając dzieci, a to jedyne, jej przeznaczone włożył do beztroskiego i lekkiego ciała siostry...

Przygnębiał ją również całkowity brak ruchu, zwykle nie potrafiła usiedzieć w miejscu, a teraz zmuszona była spędzać beczynnie cały dzień przy oknie, obserwując jak zmienia się pejzaż i krzątają się podróżni w przedziale.

Jej podróż trwała ponad trzy doby, a ponieważ trasa przebiegała okrężną drogą, z wyraźnym skretem na północ, w głąb kontynentu, Medea jakby wyprzedziła wiosnę: wyjeżdżając z zieleniejącego się Krymu, zobaczyła w okolicach Uralu zbity śnieg w jarach, gołą, skutą mrozem ziemię, a w kazachskich stepach znów dogoniła bujną wiosnę, gorącą i pstrokatą od tulipanów.

Wysiadła w Taszkencie wczesnym rankiem z wyraźnie odchudzonym plecakiem i spytała

o drogę, wiedząc, że rodzina mieszka gdzieś niedaleko dworca...

Ulica nosiła nazwę Dwunastu Topoli, ale nawet jeżeli były tu jakieś topole, musiały skromnie się schować wśród bujnie kwitnących moreli, których rzędy ciągnęły się wzdłuż strumyków przy drodze. Świtało, była to jej ulubiona pora, narodziny dnia. Po ciężkiej podróży brudnym pociągiem uderzyła ją nieskazitelna czystość poranka, w którym mieszały się znajome i obce zapachy: dym po jakimś innym opale i ostra woń gotowanego mięsa. Wszystko zagłuszał jednak gęsty aromat bzu, którego ciężkie fioletowe kiście zwisały jak winorośl z glinianych i drewnianych płotów. I ptaki śpiewały jakby w innym języku, nie tyle dźwięczały, ile trajkotały.

Tymczasem szła nieskończenie długą ulicą, ciesząc się ze spaceru i prostując plecy obciążone plecakiem, pod który podłożyła po żołniersku palto, zwracała uwagę nie tylko na numery domów, ale na każdy detal, odkrywając co chwilę coś nowego dla siebie: na płocie, na przykład, spokojnie siedziała szaroróżowa gołębica, znała tego ptaka od dzieciństwa, ale na Krymie był płochliwy, dziki i nie wlatywał do miasta. Lekki poranny wiaterek, dolatujący jak zwykle ze wschodu, rozwiał ciężki zapach pociągu, którym było przesiąknięte jej ubranie... Usłyszała

nagle wysokie dziecięce głosy niesione jego porywami:

* Woda! Woda! Suwgia!

Kilkoro dzieciaków wyskoczyło z furtek i bram, nad ogrodzeniami pokazały się dziecięce głowy. Gruba starucha w walonkach i ukraińskiej znoszonej na piersiach koszuli weszła do strumyka...

Zatrzymała się. Wiedziała, co zaraz nastąpi i czekała na tę chwilę. Dno niegłębokiego strumyka było przykryte gładkim bladobrazowym kożuszkim, jak na gotującym się mleku, i niesione przez wiatr różowe płatki kwiecia moreli powoli opadały na niego. Słysząc już było bulgotanie wody, przed mknącą burą falą unosił się różowy obłok kwiatów.

Wołanie ucichło i było słyszeć tylko szemranie wody. Dzieci i starcy otwierali zapory na odprowadzeniach strumyków, wpuszczając wodę na swoje podwórka.

Rozpoczął się czas porannego podlewania ogrodów...

Obok domu Lenoczki Medea natknęła się na jasnowłosego chłopca, wyglądającego na jakieś dziesięć lat. Otworzył przed chwilą zaporę na podwórko i mył teraz piegowatą twarz burą, podejrzaną wyglądającą wodą.

* Dzień dobry, Szuriku * przywitała się Medea. Podskoczył i z krzykiem zniknął w krzakach:

* Mamusiu! Masz gościa!

Medea weszła na podwórko i rozejrzała się dookoła: trzy domy, jeden z tarasem i wysokim gankiem, i dwa pobielone, skromniejsze, tworzyły dziedziniec, pośrodku którego był ajwan.

Ajwan * taras, weranda (przyp. tłum.)

Od strony letniej kuchni z daszkiem zbliżała się powoli w jej kierunku kochana Lenoczka, siwa, gruba, w białym fartuchu z wysokim napierśnikiem. Długo się Medei przyglądała, wreszcie rozłożyła ręce i podbiegła do niej z głupim i radosnym krzykiem:

* Moje słoneczko!

Natychmiast pootwierały się wszystkie drzwi i okna. Głośno zaszczekał stary owczarek w budzie, czując, że zaniedbał swoje obowiązki. Na podwórku zrobiło się

od razu tłoczno. Wybiegła cała rodzina: córka Lenoczki Natasza z siedmioletnim Pawlikiem, Georgij, młodszy syn Lenoczki, który bardzo wydorósł ostatniej zimy, chuda malutka staruszka z kulą.

„Stara niańka Gala” * domyśliła się Medea.

Na ganku, w białej nocnej koszuli i z przechyloną na bok głową, stała trzynastoletnia Szusza, starsza córka Nataszy, wschodnia piękność z wyniosłym wyrazem twarzy i długimi błyszczącymi włosami Azjatki.

Jasnowłosa Szurik chował się za drzewem brzoskwini i co chwilę wyglądał zza niego.

* Jaka szkoda, że Fiodora nie ma, wyjechał wczoraj w delegację! * martwiła się Lenoczka, wciąż trzymając Medeę w objęciach. * Czemu nie uprzedziłaś? Zora by cię odebrał!

Stały otoczone rodziną i każdy cierpliwie czekał na swoją kolej, żeby przywitać się z ciotką. Tylko Gala burknęła coś pod nosem i pokuśtykała w stronę zapomnianego przez wszystkich pieca, ze stojącej na nim patelni unosił się czarny dym...

* Ojej, muszę ci zrobić herbaty! Nie, co ja głupia gadam, kawy, tak, kawy! Moja ty kochana, przyjechałaś wreszcie! * paplała Lenoczka, powtarzając każde słowo dwa razy i wymachując rękami w jej tylko właściwy sposób.

Na widok ruchu jej malutkiej dłoni, o którym zdążyła zapomnieć, Medea poczuła się szczęśliwa jak nigdy.

Odkąd pożegnała w dwudziestym roku na teodozyjskim dworcu brata Fiodora, który wyjeżdżał do nowej pracy razem ze świeżo poślubioną, wyswataną przez siostrę, żoną, przyjaciółki widziały się dwa razy: w trzydziestym pierwszym, wkrótce po przeprowadzce Medei i Samuela do Osady, i w czterdziestym, kiedy cała rodzina Sinopli przyjechała z Taszkentu na Krym w odwiedziny.

Tamtego ostatniego lata przed wojną u Medei zebrała się prawie cała rodzina: Sandrocza z Sieriożą i Lidoczką, brat Konstantyn, który zginął rok później w pierwszych dniach wojny, Tasza Ławińska... Panował straszny ścisk. Dom był pełen dziecięcych głosów, czerwcowego słońca i zapachu krymskiego wina.

Fiodor otrzymał wtedy nagrodę państwową, oczekiwał awansu, może nawet na

ministra.

Medea nie mogła wziąć urlopu, biegała codziennie do pracy, a po powrocie nie odchodziła od garów. Siostra i bratowa może i chciały jej pomóc, ale ona nie lubiła, jak ktoś przeszkadzał jej w kuchni, przestawiając naczynia i burząc zaprowadzony przez nią porządek. Dopiero z czasem, kiedy się zestarzała, musiała pogodzić się z obecnością w kuchni młodych krewnych, po których nic nie mogła znaleźć.

Przez całe to zamieszanie przyjaciółki nie miały nawet czasu porozmawiać. Medea zapamiętała tylko ostatnią noc przed wyjazdem, kiedy zmywały razem naczynia po pożegnalnej kolacji i Lenoczka, wycierając stos talerzy, gorzko się żaliła, że Fiodor jest lekkomyślny i pcha się prosto w paszczę lwa. Przewidywała same kłopoty, bojąc się jego wielkiej kariery i zamiany posady skromnego mierniczego na wysokie stanowisko w urzędzie zawiadującym systemem nawadniającym Uzbekistanu.

* Czy on nie rozumie, że mój ojciec był członkiem krymskiego rządu i tego nie ma w żadnej ankiecie. Przecież im wyżej będzie się wspinał, tym bardziej będą nim się interesować... * martwiła się Lenoczka.

Teraz w Taszkencie Medea była jedynym i długo oczekiwanym gościem.

Wyprawivszy rankiem dzieci do szkoły, szły z Lenoczka na bazar Czorsziński niedaleko domu i kupowały tam baraninę, nowalijki, czasami kury na rosół. Dwie kury na obiad nie wystarczały, trzy * było już za dużo.

W rodzinie jedli dużo, do czego Medea nie była przyzwyczajona. Koniec marca był okresem dość ubogim, jeżeli chodzi o świeże owoce i warzywa, żadnego letniego szaleństwa, z czego słynął wschodni bazar, jeszcze nie było. Ale i tak kupowały pełne torby i wracały z powrotem tramwajem.

Obiad był późno, gdzieś koło ósmej, kiedy Fiodor wracał z pracy. Do tego czasu dzieci coś podjadały, biegając z kawałkiem chleba albo lepieszki.

Za to sam obiad trwał ze dwie godziny i prócz zwykłych tutejszych dań * samsy czy łagmana, na stole zawsze stał jakiś ormiański rarytas * nawet pachławę Lenoczka wciąż piekła.

Lepieszka (uzb.) * placki z ciasta drożdżowego, pieczone w specjalnych otwartych glinianych piecach (przyp. tłum.)

Samsa (uzb.) * pieczone pierożki z ciasta francuskiego

nadziewane mięsem lub dynią (przyp. tłum.)

Łagman (uzb.) * bardzo długi i cienki makaron (przyp. tłum.)

Późnym wieczorem, kiedy w domu zapadała cisza, długo siedziały we dwie przy posprzątanym stole nad jakimś skomplikowanym pasjansem, który udawał się Lenoczce nie częściej niż dwa razy do roku, wspominały stare dobre czasy, gimnazjum, śmiały się, wzdychały, płakały po tych, których kiedyś kochały i którzy na zawsze znikli w mroku czasu.

Medea siedziała z ciężkim sercem, ale nie było jakoś okazji, żeby opowiedzieć o liście. Coś ją powstrzymywało przed zwierzeniami, wstydziła się mówić o jeszcze świeżej tragedii...

Z palącej się na okrągło kuchenki i ogniska na podwórku buchał żar, Lenoczka, dla której farbkowanie i krochmalenie było sprawą honoru, bez przerwy gotowała bieliznę. W jej codziennej krzątaninie Medea z aprobatą dostrzegała styl życia i przyzwyczajenia wyniesione z domu Stiepanianów, mieszanek szczodrości i pewnego skąpstwa, jeśli chodzi o odżywianie. Lenoczka przeliczała bakłażany i orzechy włoskie, ale nigdy pieniądze.

Los, który odebrał Lenoczce w młodości rodzinę, a w czasie wojny * dziewiętnastoletniego starszego syna, oszczędził jej biedy. Jakby było jej przeznaczone chodzić przez całe życie w złocie i jeść na srebrach. To dziwne, ale już pierwszego roku jej życia w Taszkencie odnalazła ją, nie bez pomocy Medei, stara Aszchen, pokojówka jej zmarłej ciotki z Tyflisu, bogatej bezdzietnej wdowy. Aszchen przyszła z Tyflisu pieszo, przynosząc w brudnej podróźnej torbie rodzinne kosztowności po ciotce.

Lenoczka, która straciła wtedy wszystko, co zostało jej jeszcze z dawnego życia, od razu włożyła

na palce dwa pierścionki, jeden z perłą, drugi z niebieskim brylantem, założyła czarne agatowe kolczyki * spodki z drobną perłą pośrodku, a resztę schowała na dnie koszyka, w którym zbierała wyprawkę dla swego pierwszego dziecka, mającego wkrótce się urodzić. Stara Aszchen mieszkała u niej sześć lat, póki nie zmarła...

Swój dom w Taszkencie, który Fiodor otrzymał od razu po przeprowadzce, Lenoczka urządziła w stylu domu jej rodziców, biorąc jednak pod uwagę swoje skromne możliwości finansowe.

Najlepszy pokój nazwała gabinetem i oddała mężowi, wstawiła do sypialni dwa łóżka, wyrzucone do szopy przez Uzbeków, którzy zamieszkali tu w siedemnastym roku po samobójstwie poprzedniego lokatora * pomocnika gubernatora cierpiącego na starczą depresję.

W tejże szopie znalazła resztki mebli, których miejscowi nie zdążyli wykorzystać na opał. Przykryła dwa taborety kolorowymi chustami i ustawiła zamiast szafek nocnych przy łóżku, kupiła na bazarze miedziane naczynia i ich mieszkanie zaczęło przypominać stary tyfliski dom, daczę w Sudaku i mieszkanie w Genewie * we wszystkim wyczuwało się gust Armik Tigranowny.

Drugi dom na tym samym podwórku kupili później dla Nataszy, a teraz prowadzili rozmowy z ostatnimi sąsiadami o kupnie trzeciego, stojącego po prawej stronie od centralnego. Lenoczka marzyła, żeby zamieszkał w nim Georgij.

Medea wiedziała o tym wszystkim z listów, w których Lenoczka pisała o każdym znaczącym wydarzeniu w jej rodzinie. Ale najbardziej liczyła się w tych listach forma, w jakiej do siebie się

zwracały: po dziewczęcemu ufny ton, styl, charakter pisma, no i oczywiście język francuski, którym posługiwały się z taką łatwością.

Każdy list zawierał ukryte zapewnienie wierności, chociaż trzy czwarte w nim było poświęcone snom, przeczuciom, opisom przypadkowo napotkanej osoby czy przydrożnego drzewa.

Informując o ślubie córki, Lenoczka bardzo szczegółowo opisała gwałtowny deszcz, który zdarzył się tylko w tej części miasta, gdzie był urząd stanu cywilnego, i akurat wtedy, kiedy nowożeńcy z niego wychodzili, i białą sukienkę Nataszy, która na tym deszczu się skurczyła, odkrywając jej grube kolana, ale nawet nie wspomniała o tym, że mężem Nataszy został Koreańczyk Wiktor Kim, inżynier łączności, który już wtedy był znany w mieście ze swych niezwykłych zdolności językowych. Prócz powszechnie przyjętego rosyjskiego, używanego w domu koreańskiego, szkolnego

niemieckiego i nieobowiązkowego uzbeckiego, w wieku dwudziestu pięciu lat opanował, nie wiadomo jak i kiedy, angielski i wziął się za chiński, doszedł jednak do wniosku, że oswojenie tego języka zajmie mu przynajmniej pięć lat.

Dopiero pół roku po ślubie córki, opowiadając w liście o swej podróży do podmiejskiego Kujluka i opisując mikroskopijne pola z równiutkimi rzędami zatopionego w wodzie ryżu, Lenoczka przelotnie wspomniała o rodzicach męża Nataszy, pomarszczonej koreańskiej parze starszaków, tak podobnych do siebie, że ciężko było stwierdzić, kto z nich jest mężem, a kto żoną...

W każdym razie, Medea wcale się nie zdziwiła na widok okrągłej mordki ze skośnymi oczami, ani

trochę nie przypominającej pięknej Szuszy, kiedy otrzymała po pół roku zdjęcie niemowlaka.

Czasami Lenoczka ustawiała dla Medei brezentowe łóżko polowe pod zadaszeniem gęsto porośniętym młodymi winoroślami, dawała francuską książkę ze swego zbioru, który udało jej się zgromadzić dzięki jednemu w mieście antykwariatowi, i Medea z roztargnieniem kartkowała Niebezpieczne związki czy Pustelnię parmeńską i po raz pierwszy w życiu cieszyła się z próżnowania i odpoczynku, jakby nagle odłączyli jej napięcie w mięśniach i wszystkie włókna rozluźniły się w błogiej rozkoszy.

Trochę czytała, trochę drzemała, trochę obserwowała dzieci. Szusza zachowywała się wyniośle i z dystansem, chodziła cały czas zamyślona, nieobecna. Jej brat Pawlik bez przerwy grał na skrzypcach, a kiedy wychodził na podwórko, był przesadnie grzeczny. Medea szukała u nich jakichś cech rodowych, ale nie znalazła: krew azjatycka wyraźnie wyparła tu greko*ormiańską.

Jasnogłowy adoptowany syn Szurik wyglądał natomiast dziwnie swojsko, jak prawdziwy Sinopli: chociaż w jego puszystych, lekkich włosach nie było ani jednego rudego włoska, rude piegi gęsto obsypały jego wąską bladą twarz, a co najważniejsze * Medea nie od razu to zauważyła, a zauważywszy, bardzo się temu zdziwiła * miał zbyt krótki mały palec, który ledwo sięgał jednej trzeciej serdecznego. Nikomu o tym nie powiedziała.

* Świetny chłopak * zauważyła tylko, patrząc na Szurika, który strugał suchą gałąź

bzu, żeby wymienić spalony uchwyt dzbanka na kawę.

* Jest dla mnie jak rodzony * odezwała się Lenoczka. * Chociaż żaden nie zastąpi mi Aleksandra. A Szurik * masz rację, to dobry chłopak. Jego matką była Niemka zesłana z Powołża. Zmarła na gruźlicę zaraz po wojnie. Trafił na początku do domu dziecka, dużo tam wycierpiał. Fiedia odwiedził go pewnego razu. Jego matka pracowała w Kokandzie, na jakimś z jego obiektów. Odwiedził raz, drugi, no i zabrał go stamtąd do nas. Pasuje tu. Bardzo pasuje...

Medea słuchała, milczała i patrzyła. Zauważyła piątego dnia, że Lenoczka idzie po obiedzie z talerzem zupy do narożnego pokoiku, gdzie mieszkała Gala.

Przechwyciwszy spojrzenie Medeji, wytłumaczyła:

* Musia tam mieszka, młodsza siostra Gali.

* Musia? * zdziwiła się Medea, która nigdy o niej nie słyszała.

* Tak, Musia. Sparaliżowana, biedaczka. Córka jej nie chciała, więc Gala wzięła ją do siebie * opowiadała Lenoczka, a Medea przypominała sobie o sparaliżowanej mamce Armik Tigranowny, którą Stiepanianowie przez dziesięć lat wozili ze sobą na Krym i do Szwajcarii w zrobionym na zamówienie niemieckim fotelu z miedzianych rurk, a Armik Tigranowna własnoręcznie karmiła tę zahukaną, wyschniętą staruszkę, bo tamta nie przyjmowała jedzenia od nikogo innego prócz niej...

Wszystko się powtarza...

„Bóg zawsze będzie dla nich szczodry * pomyślała Medea przelotnie, chociaż rodzina wcale nie była majątna. * Nikt lepiej od Lenoczki nie potrafi tym rozporządzić”.

Lenoczka, nakarmiwszy Musie, której Medea

i tak nie zobaczyła, rzuciła się z pretensjami na Galę za to, że ta wyrzucała pół słoika marynowanych liści winogronowych, przyrządzonych w zeszłym roku na dołmy...

Dołma * gołąbki, do ich przyrządzania zamiast liści kapusty są używane również młode liście winogronowe (przyp. tłum.)

Medea się uśmiechnęła * cała Lenoczka * tegoroczne świeżutki powiewały właśnie nad jej głową...

Z Nukusa zadzwonił wreszcie Fiodor, który objeżdżał z inspekcją wybrzeża Amudarii

i morza Aralskiego, chciał powiedzieć, że wkrótce wraca.

Amudaria * jedna z największych rzek Azji Środkowej (przyp. tłum.)

„To dobrze, zobaczę się z nim * i do domu. Tak, muszę wrócić do domu przed Paschą" * zdecydowała Medea.

Ale Fiodor wrócił dopiero w wigilię Niedzieli Palmowej * w sobotę Łazarza. W południe rozległ się warkot samochodu i Szurik rzucił się by otworzyć bramę, ale Fiodor kroczył już po podwórku. Jego twarz schowana pod białym prowincjonalnym kapeluszem błyszczała świeżą purpurową opalenizną. Szurik podskoczył i zawisł na jego szyi. Fiodor pocałował go w jasny czubek głowy i postawił na ziemi. Szedł przez ogród, trzymając rękę na jego głowie.

* Tatuś wrócił! * zawołała przez okno dźwięcznym głosem Lenoczka, jakby męża nie było przynajmniej dwa lata, a nie dwa tygodnie.

Medea nie zdążyła podnieść się z polowego łóżka, jak brat ją objął, podniósł i przycisnął do siebie jak dziecko:

* Siostrzyczko, dobrze, że przyjechałaś!

Medea czuła zapach jego włosów, ciała, poznała już prawie zapomniany zapach ojcowskiego ubrania roboczego, może mało przyjemny dla kogoś obcego, ale dla niej tak wiele znaczący.

Wszystko kręciło teraz wokół Fiodora, jak wokół niej, kiedy się tu pojawiła.

Kierowca, który go przywiózł, otworzył bramę i wyładowywał jakieś pakunki i worki. Lenoczka, ucieszona widokiem tak licznych prezentów, od razu wzięła się za ogromnego jesiotra posypanego solą. Szurik stał obok i ostrożnie dotykał palcem strasznego rybiego pyska. Chociaż Lenoczka czekała na przyjazd męża, ten jesiotr ją trochę zaskoczył i, kazawszy Nataszy z Galą nakrywać do stołu, ostro zabrała się za potwora. Wyposażona w duży kuchenny nóż nisko schyliła się nad jego rozprutym brzuchem, jakby miała zamiar tam zanurkować * była krótkowzroczna.

Kierowca, też Fiodor, przystojniak koło czterdziestki, z brzydkimi czarnymi śladami po prochu na policzkach, wyciągnął z terenowego gazika skrzynię z jakimiś butelkami bez nalepek.

Fiodor mało jadł przy stole, dużo pił i, trzymając cały czas rękę na ramieniu Medei,

opowiadał władczym głosem naczelnika o swej podróży.

Wkrótce dołączyli do nich jego pomocnicy, para podstarzałych przyjaciół i młoda piękna Greczynka Maria, która przyjechała tu po wojnie, i Medea po raz pierwszy w życiu zobaczyła prawdziwą Koryntiankę.

Szurik i Pawlik grzecznie siedzieli na miejscach dla dzieci, a Lenoczka krzątała się między letnią kuchnią i ogniskiem na podwórku. W butelkach bez nalepek był jakiś mocny, ostry alkohol, przypominający tani koniak, ale smakował Medei. Fiodor pił z dużego srebrnego kieliszka i jego spalona na słońcu twarz robiła się coraz bardziej purpurowa i nalana.

Potem przyszło dwóch kolegów Gieorgija z klasy, których też zaproszono do stołu. Lenoczka, jako dobra gospodyni, natychmiast zabierała wystygłe dania i przynosiła następne.

Medea, która przez całą podróż odżywiała się wyłącznie szarymi sucharkami, cieszyła się teraz na widok tak obfitej uczty, ale jadła, jak Fiodor, mało. Był okres Wielkiego Postu, od dzieciństwa go przestrzegała, robiąc to chętnie i z przyjemnością i czując, jak umacnia się duchowo. Dla Lenoczki zaś to zawsze był tylko ciężki obowiązek i po przeprowadzce do Azji Środkowej w ogóle przestała chodzić do cerkwi, nie mówiąc już o poszczeniu.

Medea dobrze wiedziała o tym wszystkim, jak również o atakach depresji dręczących czasami Lenoczkę bez żadnego powodu, co Medea tłumaczyła jej odejściem od wiary.

Było to jednym z tematów ich korespondencji. Obie były na tyle wykształcone, że dobrze rozumiały, iż cerkiew nie potrafi zaspokoić wszystkich duchowych potrzeb człowieka, ale Medea odbierała swoją przynależność do cerkwi jako jedyną możliwą dla siebie drogę.

„Ponieważ jestem samowolna i niezbyt mądra, potrzebuję cerkiewnej dyscypliny, jak chronicznie chory leku * pisała do Lenoczki na długo przed wojną, kiedy została zamknięta malutka grecka cerkiew, której proboszczem był młodszy brat Charłamija Dionizy, i Medea zaczęła chodzić do rosyjskiej. * Na szczęście wiary nauczyła mnie mama, kobieta prosta i wyjątkowo dobra. Nie miała żadnych rozterek, więc

ja również nigdy nie musiałam zadrećzać się bezsensownymi rozważaniami filozoficznymi, nad którymi nie każdy przecież musi się głowić. Mnie starczy tradycyjne rozwiązanie kwestii życia i śmierci, dobra i zła. Nie kradnij, nie zabijaj * i nie ma takich okoliczności, kiedy zło może stać się nagle dobrem. I nieważne, że coraz więcej ludzi błądzi."

Lenoczka nie zetknęła się w swym życiu z pokusą zabójstwa czy kradzieży. Jej zmartwienia wiązały się wyłącznie z prowadzeniem domu i utrzymaniem rodziny, co może załamać niejedną mniej odporną kobietę. Ale dla niej był to słodki ciężar, akurat na miarę jej sił.

Rodzina się rozrastała, Lenoczka z zaciekawieniem patrzyła na koleżanki ze szkoły Zory, zastanawiając się, która bardziej się nadaje na jego żonę.

Adoptowany Szurik i trzymana w ukryciu Musia powiększyły jej rodzinę, a ona już nie mogła się doczekać kolejnych dzieci. To oni byli jej religią i Medea dobrze to rozumiała.

Koło północy goście się rozeszli, posprzątano ze stołu, a Fiodor wciąż, trzymał rękę na ramieniu Medei.

* No i jak, siostrze * zapytał po grecku. * Podoba ci się mój dom?

* Bardzo, Fiodorze * pochyliła głowę.

Lenoczka zmywała naczynia. Gałę dawno wysłano do łóżka. Medea chciała pomóc przyjaciółce, ale Fiodor ją zatrzymał:

* Siedź, sama da radę. Spodobał ci się mój młodszy? Poznałaś naszą krew?

Zapytał po grecku i ta sama wspólna krew, rozcieńczona w chłopcu czyjąś obcą, uderzyła Medei do głowy i ta schyliła się jeszcze niżej:

* Poznałam. Ten palec...

* Wszyscy wiedzą, tylko ta głupia święta nic nie zauważa, zupełnie jak ty kiedyś * powiedział nagle gorzko i z rozdrażnieniem.

Medea podniosła się, żeby przerwać rozmowę, i powiedziała po rosyjsku:

* Późno już. Dobranoc. Tobie, Lenoczka, też. Długo leżała, nie mogąc zasnąć na mocno wykrochmalonej pościeli i miękkich poduszkach i skojarzywszy wreszcie wszystkie dawne słowa, przelotne spojrzenia i przemilczenia zrozumiała, że wszyscy

prócz niej znali tajemnicę ostatniego dziecka Sandroczki, nawet Lenoczka, która, mimo swej gadatliwości, oszczędziła Medeę, nic jej nie mówiąc. Ale czy Lenoczka była równie naiwna, czy wiedziała o tym, że przyjmuje do domu przyrodniego brata swych dzieci?

„Mądra Lenoczka, wielka Lenoczka * myślała Medea * nie chce o niczym wiedzieć...”

To niespodziewane odkrycie, które mogło zbliżyć do siebie przyjaciółki jeszcze bardziej, jakby o tym porozmawiały, nie dawało Medei zasnąć.

Świtało, zaszcebiotały ptaki i Medea zaczęła po cichutku zbierać się na mszę. Od dzieciństwa uwielbiała Niedzielę Palmową.

Przyszła do cerkwi na Szpitalnej za wcześnie, godzinę przed nabożeństwem, nawet drzwi były jeszcze zamknięte. A bazar już huczał, przeszła się wzdłuż rzędów, rozglądając się z roztargnieniem wokół siebie.

Sprzedawcami byli prawie sami mężczyźni * Uzbecy w grubych chałatach.

Kupowały natomiast same kobiety, głównie Rosjanki. Taszkent w ogóle wydał się Medei typowo rosyjskim miastem, Uzbeków widziała tylko na dworcu w dniu przyjazdu i na bazarze. Żyjąc w rosyjskiej części nie trafiła nawet do starego miasta, typowo azjatyckiego, podobnego do starego tatarskiego Krymu, na przykład Bachczysaraju.

„Wszystko przemieszali * pomyślała. * Teraz to ogromna rosyjska prowincja”.

Okrążyła bazar i wróciła do cerkwi. Była już otwarta. Koło cerkiewnej skrzynki krzątała się staruszka w białej chustce podobna do grubego królika, na skrzynce stała szklanka z kilkoma szarymi jak wróble baziami.

* Tu też rośnie * ucieszyła się Medea.

Wzięła dwa niewielkie kawałki papieru i napisawszy na jednym „O spokój duszy”, zaczęła zapisywać kartkę jak zwykle imionami zmarłych krewnych * o. Dionizy, o. Bartolomeusz, Charłamij, Antonida, Gieorgij, Magdalena... Na drugim * „O zdrowie...” * imiona żyjących członków rodziny.

Kreśląc dużymi pięknymi literami bliskie jej sercu imiona, zawsze czuła to samo: jakby płynęła wzdłuż rzeki i widziała przed sobą lejący klucz * swoich braci i

siostry, ich dzieci i wnuków, a z tyłu taki sam wachlarz, ale o wiele dłuższy, znikający gdzieś daleko w drobnych falach wód * jej zmarli rodzice, dziadkowie * jednym słowem, wszyscy przodkowie; imiona niektórych dobrze pamiętała, inne zagubiły się w zamierzchłych czasach. Nie miała najmniejszego problemu z utrzymywaniem ich wszystkich w pamięci * żywych i zmarłych * i każde imię pisała bardzo uważnie, próbując przypomnieć sobie każdą twarz, postać i osobowość... Przy tym niespiesznym zajęciu znalazła ją Lenoczka. Podeszła i dotknęła jej ramienia. Pocałowały się. Lenoczka popatrzyła dookoła: modlący się wyglądali żałośnie, prawie same obrzydliwe staruchy.

Przez słodki zapach kadzidła wyraźnie przebijał smród brudnego, zniszczonego ubrania, starych chorych ciał. Stojąca obok starucha śmierdziała kotami...

„Czy w maleńkiej tyfliskiej cerkwi w Solulaki, do której wchodziło się schodami od strony ulicy, też teraz taka nędza i upadek? * myślała Lenoczka. * Jak pięknie i uroczyście to wyglądało, kiedy byłam małą: babcia w liliowym aksamitnym czepku z jedwabnymi wstążkami pod miękkim podbródkiem, wystrojona, w jasnej sukni mama i siostra Anait. Stały w pierwszym rzędzie, naprzeciwko ikony Rimsime i Gajane na pobielonej ścianie, i pachniało woskiem, kadzidłem i kwiatami...”

Rozległo się wołanie: „Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus...” i zaczęła się msza.

Lenoczka obserwowała Medeę, która stała z zamkniętymi oczami i ze spuszczoną głową * potrafiła stać nieruchomo przez dłuższy czas, nie męcząc się i nie przestępując z nogi na nogę.

„Stoi jak skała pośrodku morza” * pomyślała czule Lenoczka i nagle się rozpląkała nad losem Medei, jej gorzką samotnością, przeklętą bezdzietnością, zbrodnią zdrady i kłamstwa popełnioną przez tych, których najbardziej kochała... Ale Medea o niczym takim nie myślała. Trzy starszki śpiewały drżącym głosem „przykazania”. I Lenoczka znów się rozpląkała, ale już nie nad Medeę, a nad sobą. Było to ostre uczucie rozpacz po utracie ojczystego domu, rodziców, którzy zginęli i których mimo upływu czasu wciąż miała przed oczami, straconego na wojnie syna. Była to jednocześnie jedna z tych

wyjątkowych chwil, kiedy człowiek całkowicie zapomina o sobie, o własnych marnych zmartwieniach trapiących go na co dzień i jego serce wypełnia się miłością do bliźniego. I od tego nadmiaru wzruszeń poczuła taki ucisk w klatce piersiowej, że wyszeptała w myślach: „Panie Boże, zabierz mnie, jak Seforę, oto jestem!”

Sefora * żona Mojżesza (przyp. tłum.)

Ale nic jej się nie stało i nie padła na ziemię martwa. Wzniosła chwila minęła i okazało się, że jest już połowa mszy. Pop niewyraźnie szeleścił słowami, które od dzieciństwa znała na pamięć.

Zaczęła się nudzić, poczuła, że ma ciężkie nogi i pustkę w sercu. Chciała wyjść, ale było jej wstyd przed Medeą.

Wyszedł pop z czarą, nikt jednak nie przystąpił do komunii, więc szybko schował się za ołtarzem.

Ledwo doczekawszy się Medei, która całowała krzyż, Lenoczka wyszła z cerkwi. Złożyły sobie świąteczne życzenia i uroczyście i chłodno wymieniły się pocałunkami.

Medea ani słowem nie wspomniała o swym gorzkim żalu i przyjaciółki do samej śmierci pisały do siebie czule listy, pełne opowiadań o snach, wspomnień, przelotnych myśli, wiadomości o narodzinach kolejnych dzieci i nowych przepisów na przetwory...

Trzy dni później Medea wyjechała. Fiodor próbował namówić ją, żeby jeszcze została, ale ujrawszy w jej oczach cichy upór, kupił jej bilet na samolot i zawiózł w Wielką Środę na lotnisko.

Medea po raz pierwszy w życiu leciała samolotem, ale nie zrobiło to na niej większego wrażenia. Chciała tylko jak najszybciej wrócić do domu. Lenoczka na widok jej zniecierpliwienia nawet trochę się obraziła. List, który wciąż leżał na dnie plecaka, przestał Medeę niepokoić. Samolot miał międzylądowanie w Moskwie i Medea spędziła osiem godzin na lotnisku Wnukowo, czekając na rejs do Symferopola. Do Sandroczi nawet nie zadzwoniła. Nigdy.

Rozdział trzynasty

Piątego maja w domu Medei nastąpiła częściowa wymiana: rano wyjechała Nika z Katią i Artiomem, a po południu przyjechali Litwini, syn brata Dimitrija, zmarłego trzy lata temu na zaawansowaną chorobę serca, Gwidas z żoną Aldoną i chorym synkiem Witalisem.

Sparaliżowane dziecko, nękane ciągłymi drgawkami, poruszało się z wielkim trudem i ledwo mówiło.

Gwidas z Aldoną byli przygnębieni chorobą syna i wciąż dręczyło ich gorzkie pytanie „za co?”, na które nie było odpowiedzi.

Przyjeżdżali tu co roku wczesną wiosną, zatrzymując się na jakieś dwa tygodnie przed rozpoczęciem sezonu letniego u Medei. Później Gwidas zabierał rodzinę do Sudaku, wynajmował tam dla nich wygodne mieszkanie niedaleko morza, u przyjaciółki ciotki Poli w dawnej niemieckiej kolonii, a sam wracał na Litwę.

Przyjeżdżał po żonę i syna w połowie czerwca, żeby w czasie największych upałów zabrać ich nad chłodniejszy Bałtyk.

Witalis uwielbiał morze i czuł się szczęśliwy tylko w wodzie. Lubił poza tym Lizę i Alikę, jedyne dzieci, z którymi się przyjaźnił. Nie wiadomo, czy pamiętał o nich w zimie, ale niezmiennie się cieszył, widząc kuzynów po rocznej rozłące.

Dorośli przygotowywali dzieci na przyjazd Witalisa i te były pełne dobrych chęci. Liza wybierała ze swego zwierzyńca najlepsze pluszowe zwierzę na prezent. Alik budował z piasku pałac przeznaczony do zburzenia * na tym polegała zabawa. Alik budował, a Witalis burzył, i obaj byli szczęśliwi.

Masza przeprowadziła się do pokoju Samoni, zwalniając dla Litwinów większy Granatowy.

Od rana znajdowała się w stanie gorączkowego natchnienia: słowa układały się w wiersze tak szybko, że ledwo nadążała je zapisywać. W końcu wyszło jej coś takiego:

Przyjmij z pokorą, co jest ponad miarę,
jak dar, jak deszcz, jak śnieg, jak tajemnicę
wiary, jak wszystko, z czym nie dajesz sobie rady...

I na tym koniec.

Jednocześnie i niezależnie od tego pocieszała Lizę, która trzymała się, trzymała, ale w końcu się jednak rozplakała po wyjeździe matki. Później nakarmiła dzieci, ułożyła je spać i nie pozmywawszy naczyń, też się położyła w zaciemnionym pokoju Samoni. Zwinąwszy się w łóżku jak kotka, zaczęła przywoływać w myślach wczorajszy wieczór * złotą bluzkę barmanki i ruch, jaki wykonywał Butonow, wykręcając numer telefonu.

Przypomniała sobie również, jak zareagowało jej ciało na jego pierwszy przypadkowy dotyk w czasie wycieczki, po którym zaczęła ją piec ręka i dostała dreszczy.

„To znak losu, kolejny znak losu * myślała. * Pierwszy * kiedy rodzice wyjechali tamtego ranka

szosą Możajską, miałam wtedy siedem lat; drugi * kiedy Alik podszedł do mnie na warsztatach * miałam szesnaście, i teraz * dwadzieścia pięć. Zmiana w życiu.

Przełom. Dawno na to czekałam, przeczuwałam to. Kochany Alik, jedyny, który potrafiłby mnie zrozumieć. Biedny Alik, on jak nikt inny rozumie, wyczuwa takie znaki losu... Ale nic na to nie poradzę. To przeznaczenie. Nie mogę mu pomóc..."

Jej też nikt nie mógł pomóc: dobrze wyczuwała wysyłane przez los znaki * to prawda, ale doświadczenia w cudzołożeniu nie miała żadnego.

„...Miłość raz gościem jest, raz panią domu, raz koniokrادم, a raz koniem, raz niesie ulgę w chwili znoju i spala w nocy bujnym ogniem..."

I zasnęła.

Wieczorem wszyscy jak zwykle zebrali się przy stole. Na miejscu Niki z gitarą siedział teraz Gwidas*Wielkolud z rudymi wąsami i jego żona Aldona, której męska twarz była okolona kobiecymi lokami prosto od fryzjera.

Obok Gieorgija siedziała Nora, rozmowa nie kleiła się. Brakowało Niki, której obecność sprawiała, że rozmowa toczyła się lekko i żywiołowo. Medea była zadowolona: Gwidas jak zwykle przywiózł jej z Litwy prezenty, wręczając dodatkowo sporą sumę pieniędzy na remont domu.

Omawiał w tej chwili z Gieorgijem podłączenie wody. Wodociąg był tylko w Dolnej Osadzie, do Górnej go nie podciągnęli, chociaż od dawna obiecywali. Domów tu

było niewiele, wszyscy korzystali z przywożonej wody, którą przechowywali albo w starych studniach, albo w zbiornikach. Georgij nie był przekonany, czy uda mu się przepompować wodę ze stacji na górę.

Aldona często wychodziła z kuchni, żeby posłuchać pod drzwiami pokoju Granatowego, czy nie obudził się Witalis. Zwykle budził się z krzykiem kilka razy w nocy, ale teraz był widocznie zbyt zmęczony i spał mocno.

Masza nie uczestniczyła w rozmowie. Minęła dziesiąta i wciąż miała nadzieję, że wpadnie Butonow. Zobaczywszy, że Nora wstaje, ucieszyła się:

* Odprowadzę cię.

Georgij urwał w pół słowa i rzucił pośpiesznie:

* Ja odprowadzę, Maszo.

* I tak chciałam się przejść * podniosła się Masza. Do domu Krawczuków szli gęsiego w całkowitej ciszy. Przy tylnej furtce się zatrzymali. W domku Nory było ciemno i cicho, Tania spała i Nora teraz żałowała, że wyszła tak wcześnie. Georgij chciał coś powiedzieć, ale nie wiedział co, poza tym Masza przeszkadzała.

Masza patrzyła na dom Krawczuków z dobudowanymi szopami, przybudówkami i tarasami, ale paliło się tylko u gospodarzy.

* Wpadnę do Ady...

Zapukała do drzwi gospodarzy i weszła. Ada wygodnie rozłożyła się przed telewizorem, jej obfity różowy biust wylewał się z głębokiego dekoltu.

* Maszo, to ty? Wejdz. W ogóle cię nie widać. Nika wpadała, a ty widać nosa zadzierasza... Ależ chudzinka! * skrzywiła się.

* Jak zawsze, czterdzieści osiem kilo...

* ...kości * parsknęła Ada.

Masza dogadała się w sprawie wynajęcia pokoju od pierwszego czerwca dla swojej moskiewskiej koleżanki i zapytała, czy Michaił Stiepanowicz nie mógłby jej odebrać z lotniska w Symferopolu.

* A skąd ja mogę wiedzieć? Ma swój rozkład. Sama spytaj. Jest w szopie, coś tam majstrują z lokatorem... Pora spać, a oni się grzebią...

Jak wszyscy miejscowi kładła się spać z kurami.

Masza podeszła do szopy. Drzwi były uchylone, w jasnym kręgu światła rzucanym przez lampę zawieszoną na długim sznurze na ścianie stali pochyleni Michaił Stiepanowicz i Butonow.

* Czego chcesz? * zapytał Michaił, nie podnosząc głowy.

* Chciałam zapytać o samochód...

* A, to ty... * zdziwił się. * Myślałem, że Ada... Butonow patrzył w jej stronę, ale nie wiedziała,

czy ją poznał, bo było zbyt ciemno. Wyszła na światło i uśmiechnęła się.

Usta miał zaciśnięte, dwa kosmyki włosów wylazły mu z kucyka, poprawił je wierzchnią stroną wysmarowanej czarnym olejem ręki. Jego oczy niczego nie wyrażały.

Wystraszyła się: czy to był on? Może wczorajsze uniesienie przy księżycu było tylko snem?

Zapomniała, po co tu przyszła. Zresztą dobrze pamiętała po co * żeby go zobaczyć, dotknąć i upewnić się, że to, czego tak naprawdę nie da się udowodnić ani odrzucić * było faktem dokonanym.

* O jaki samochód ci chodzi? * spytał Michaił Stiepanowicz i Masza ocknęła się.

* Żeby, koleżankę odebrać z Symferopola.

* Kiedy?

* Pierwszego czerwca. Będzie u was mieszkać.

* Pierwszego? * zdziwił się Michaił Stiepanowicz. * Do pierwszego jeszcze dożyć trzeba. Później przyjdź.

Masza jednak się ociągała, mając nadzieję, że Butonow się do niej odezwie albo przynajmniej odwróci głowę w jej stronę. Ale on nie odrywał wzroku od żelastwa, nie podnosząc głowy, poruszał obciążonymi podkoszulkiem barkami i myślał zadowolony: nie wytrzymała jednak!

* Dobrze * wyszeptała Masza, wychodząc i oparła się o ścianę szopy.

* Silnik w porządku, Stiepanyczu * dobiegł do niej głos Butonowa.

* Przecież mówiłem * odezwał się ten * że elektryka szwankuje.

„Czy on mnie nie poznał? A może nie chciał?” * zadreśla się Masza, nie godząc się

ani na pierwsze, ani na drugie. Nic innego nie przychodziło jej do głowy. Było ciemno, wczorajszy szalony księżyc oświetlał teraz inne wzgórza i pagórki i inni kochankowie zabawiali się w jego teatralnym świetle, jak w zatrzymanym kadrze. Wracła do domu, ledwo powstrzymując łzy, nie na skróty, tylko przez Pępek, żeby przekonać się, że miejsce, gdzie byli wczoraj razem, rzeczywiście istnieje... Jak ma to wszystko rozumieć? Czy to możliwe, żeby to samo przeżycie było dla jednego przełomem, otchłanią, otwarciem się niebios, a dla drugiego niczym szczególnym... Usiadła na Pępku skrzyżowawszy po turecku nogi. Oparła się lewą rękę o ziemię, trafiając prawą na swoją wykrochmaloną chusteczkę w kratkę, która leżała tu od wczoraj i była najlepszym dowodem na to, że to nie był sen. I tu się rozpląkała, a wypłakawszy się zaczęła rymować * od lat porządkowała w ten sposób swoje myśli i uczucia:

„Wszystko odwołam, co możliwe * ja, ty, beztroska i zmartwienia, pracy miłosnej upojenie i beznadzieja codzienności...”

Wyszło nie całkiem to, co chciała, jakieś koślawe... „Wszystko odwołam, co możliwe, pamiętam, nie pamiętam, śnię...”

Wciąż miała zamęt w głowie, ale zrobiło jej się trochę lżej na sercu. Schowała chusteczkę do kieszeni i wróciła do domu. Wszyscy dawno spali. Zajrzała do pokoju dziecinnego, był cały w przesuwających się powoli paskach światła i cieni, rzucanych od zasłon. Dzieci spały. Alik zapytał przez sen bardzo wyraźnie:

* Masza? * Reszty nie potrafiła zrozumieć. Położyła się obok, w pokoju Samoni, nie myjąc

nóg i nie zapalając światła. Nie mogła zasnąć, wiersze też się nie układały. Żałując, że Nika wyjechała i nie ma komu się zwierzyć, zapaliła nocną lampkę i wzięła ze stosu książek najbardziej postrzępioną * był to budujący Dickens.

Za chwilę usłyszała pukanie w szybę. Odsunęła firankę * Butonow zasłaniał sobą całe okno.

* Otworzysz drzwi czy okno?

* Nie przejdiesz przez okno * odpowiedziała Masza.

* Głowa przejdzie, a z resztą jakoś sobie poradzę * burknął Butonow

niezadowolonym głosem.

Masza trzasnęła zasuwką:

* Poczekaj, odsunę stół.

Butonow precyzyjnie przesunął się do środka. Był zaszępioty i w ogóle się nie odzywał, a ona słabo pisnęła, kiedy przycisnął ją obiema rękami do siebie.

W dotyku była podobna do Rożki. Niebiosy otworzyły się przed nią po raz kolejny, ale bramy do nich były zupełnie w innym miejscu, nie tam gdzie ich tak uporczywie szukała kartkując Pascala, Bierdiajewa czy pachnący cynamonem skrypt ze wschodnią mądrością.

Bez trudu trafiła tym razem tam, gdzie czas nie istnieje, a wokół rozciąga się nieziemski, wysokogórski, jaskrawo oświetlony przestrzeń, gdzie nie działają żadne prawa fizyki, gdzie można szybować, pływać, zatracić się do reszty, zapominając o jedynej danej nam rzeczywistości i o własnym ciele rozpływającym się w rozkoszy. Powoli ześlizgiwała się z ostatniego górskiego szczytu, ściskając wargami skórę na jego przedramieniu, kiedy usłyszała proste pytanie, które od razu sprowadziło ją na ziemię:

* Masz papierosa?

* Tak * odpowiedziała, stawiając delikatną stopę na drewnianej podłodze.

Poszukała po omacku nogą * paczka papierosów musiała leżeć gdzieś na podłodze.

Wymacała ją stopą, sięgnęła po papierosa, zapaliła i podała Butonowowi.

* Tak w ogóle to ja nie palę * oznajmił, jakby się z czegoś zwierzał.

* Nie myślałam, że przyjdiesz. Nawet nie popatrzyłeś na mnie w szopie * odpowiedziała, zapalając następnego.

* Zdenerwowałem się, nie znoszę kiedy mnie baby nachodzą * wyjaśnił, nie owijając w bawełnę.

* Jestem śpiący. Wychodzę.

Wstał, ubrał się, a ona odsunęła zasłonę. Świtało.

* Otworzysz drzwi, czy mam przez okno wyjść?

* zapytał.

* Przez okno * roześmiała się Masza. * Bliżej będzie.

...Witalis bawił się jak małe dziecko: rzucał o podłogę wszystko, co wpadło mu do ręki, dlatego Aldona używała tylko emaliowanych naczyń, a nie szklanych. Z przyjemnością niszczył zabawki i książki i śmiał się przy tym cieniutkim głosem. Czasami miewał ataki agresji, wymachiwał zaciśniętymi piąstkami i krzyczał ze złości.

Urodzenie tego dziecka poróżniło całą rodzinę. Gwidas był poważnie skłócony ze swą matką Auszrą, która sprzeciwiała się jego wczesnemu małżeństwu z o wiele starszą od niego Aldoną, w dodatku z dzieckiem z pierwszego małżeństwa. Gwidas długo odkładał więc decyzję, słuchając na początku rad matki. Ale jak tylko Aldona wyszła ze szpitala położniczego z nieuleczalnie chorym dzieckiem, ożenił się z nią natychmiast.

Donatasowi, starszemu synowi Aldony ciągle wytykano, że jest zdrowy. Znosił to cierpliwie przez dwa lata, skrycie zazdroszcząc na początku choremu bratu, a później zaczął go otwarcie nienawidzić i inaczej nie nazywał niż „przeklętym krabem”.

Wyprowadził się w końcu do ojca, ale w jego nowej rodzinie też się nie zadomowił, więc przeprowadził się do babci * matki ojca mieszkającej w Kownie.

Biedna Aldona musiała i z tym się pogodzić. Pakowała w każdą niedzielę torby z żywnością i zabawkami i jechała pierwszym porannym pociągiem do Kowna, wracała ostatnim. Była teściowa, która sama dużo wycierpiała * w litewskim chutorze, na zesłaniu i jako wdowa * przyjmowała prezenty w milczeniu. Przystojny, szeroki w ramionach Donatas, powstrzymując radosny albo chciwy blask w oczach, chwycił z rąk matki drogie zabawki

i chwalił się schludnymi zeszytami pełnymi nudnych czwórek i trójek, a ona pomagała mu w matematyce i litewskim, potem odprowadzał ją do furtki * babcia nie pozwalała iść dalej.

Aldona z ciężkim sercem wyjeżdżała z Wilna, zostawiając małego z Gwidasem, i z ciężkim wracała z Kowna, ale najbardziej cierpiała z tego powodu, że czuła się wykorzystywana: wszyscy żądali od niej troski, uwagi i ogromnego wysiłku, ale nikomu nie była potrzebna jej miłość ani ona sama. Dla młodszego pozostawała karmiącym i grzejącym łonem, starszy znosił jej obecność chyba tylko dla prezentów.

Gwidas, który ożenił się z Aldoną po wielkiej nieszczęśliwej miłości, która przytrafiła mu się na Krymie, traktował ją z niezmiennym spokojem, a nawet obojętnością.

* Jesteś prawdziwym Litwinem * zarzucała mu w rzadkich chwilach napięcia między nimi.

* Ależ Aldono, to jedyne wyjście! Inaczej zginiemy. Tylko tak możemy przeżyć * przekonywał ją, a ona, rdzenna Litwinka z domieszką krwi teutońskiej, czuła jak wzbiera w niej krew: „Czemu nie jestem Gruzinką, Ormianką albo choćby Żydówką!”

Ale żadne łyzy, załamywanie rąk czy modlitwa nie przyniosłyby jej ulgi * zostawało tylko cierpienie, kamienne cierpienie chłopca uprawiającego rolę. Była zresztą związana z ziemią * skończyła szkołę rolniczą i przed urodzeniem Witalisa kierowała szklarnią. Przez pierwszy rok brakowało jej zielonego królestwa, chociaż starała się jak mogła, by być dobrą matką dla inwalidy nie rokującego żadnej poprawy. Nie spuszczała dziecka z oczu, a jej zezowaty skarb potrafił tylko wydawać z siebie słaby zgrzyt, nie mający nic wspólnego z dziecięcymi dźwiękami, kiedy kładła go do łóżeczka.

Po roku wczesną wiosną porobiła doniczki z kartonu, wysiała w nich nasiona i założyła pod oknami ogród. Zatapiała palce w ziemi i cała zła moc * całe jej cierpienie i zgromadzone napięcie * uchodziły w pulchną piaszczystą grządkę najeżoną strzelistym szczypiorkiem i rzodkiewką. Wyjątkowo dobrze rosły na jej grządkach zwłaszcza gorzkie warzywa...

Przeprowadzili się już wtedy do niewykończonego domu na przedmieściach Wilna. Jeszcze przed rozpoczęciem budowy Gwidas ogroził działkę wysokim płotem: nie mógł znieść ciekawskich spojrzeń sąsiadów skierowanych na małego kalekę.

Włożył w budowę całe serce i dom mu się udał, a życie w nim stało się jakby lżejsze * Witalis stanął tu na nogi. Nie to żeby nauczył się chodzić jak wszyscy, ale pełzał i potrafił podnosić się z pozycji siedzącej.

Zmiany na lepsze były bardziej widoczne po pobycie nad morzem, dlatego po skończeniu budowy Gwidas z Aldoną co roku jeździli na Krym, chociaż ciężko było

zostawiać dom bez opieki dla tak niepoważnej sprawy jak wypoczynek.

Przez ręce Medei przeszło mnóstwo dzieciaków, włącznie z Dimitrijem, nieżyjącym już dziadkiem małego Quasimodo. Jej ręce pamiętały, jak zmieniała się waga dziecięcego ciała, od czterokilogramowego noworodka, kiedy stos kołder i pieluch przeważał nad jego zawartością, do nie potrafiącego jeszcze chodzić, spasionego bobasa, który po całym dniu noszenia go na rękach wydawał się ciężki jak wielopudowy wór z ziemniakami. Mały grubas jednak wyrastał, uczył się chodzić i biegać i kiedy nabrawszy po trzech latach kilka nieznaczących kilogramów rzucał się w biegu na szyję, wydawał się lekki jak piórko.

A kiedy w wieku dziesięciu lat lądował w łóżku z silnym przeziębieniem, cały w czerwonych plamach od wysokiej temperatury, znów stawał się okropnie ciężki przy podnoszeniu...

Opiekując się cudzymi dziećmi, zauważyła również inną prawidłowość: do czwartego roku wszystkie były jednakowo zabawne, rozgarnięte i bystre, a między czwartym i siódmym działo się coś nieuchwytnie ważnego, i ostatniego lata przed szkołą, kiedy rodzice przywozili przyszłego ucznia na Krym, jakby chcąc pochwalić się nim przed Medeą, okazywało się nagle, że jedne z nich są już zdecydowanie i na zawsze mądre, a inne * nie.

Z dzieci Sandroczki za mądre uważała Sieriożę i Nike, Masza pozostawała na razie pod znakiem zapytania, a u Lenoczki mądry, i to w dodatku czarujący, był Aleksander, który zginął na wojnie. Ani Gieorgija, ani Nataszy nie można było, według Medei, zaliczyć do mądrych. Ale cenila też dobroć i równy charakter. Pamiętała jednak powiedzonko, które lubiła przytaczać Nika: „Rozum pokryje wszystkie niedostatki...”

Tamtego lata Medea poświęcała szczególną uwagę Witalisowi. Był najmłodszym z Sinopli * syn adoptowanego Szurika Afanasij miał pojawić się dopiero za dwa tygodnie i do Sinopli na razie się nie zaliczał.

Wieczorami często brała Witalisa na ręce, odwracała go plecami do siebie, przytulała i głaskała

jego maleńką główkę i słabą szyjkę. Lubił, kiedy go głaskali * widocznie dotyk

rekompensował mu częściowo brak słownego kontaktu.

„Zaopiekuję się nim w czasie weekendu, a oni niech odpoczną sobie w Jalcie * zdecydowała Medea. * Niech Aldona pospaceruje po ogrodzie botanicznym, a przenocować mogą u Kastella”.

Miała starego przyjaciela Kastella, który od dwudziestu lat nie mógł skończyć jakiejś budowy w ogrodzie Nikickim. Chciała, żeby Aldona zapomniała na chwilę o swym wiecznym matczym niewolnictwie, usiadła razem z nią późnym wieczorem, napiła się jarzębiaku czy wódki z jabłek trzymanej na taką okazję i westchnęła: „Jestem śmiertelnie zmęczona...” I wyzaliła się, a może nawet popłakała, a Medea, wypijając w milczeniu zawartość kieliszka, dałaby jej do zrozumienia, że po to są zsyłane na nas cierpienia i nieszczęścia, żeby pytanie „za co?” zamieniło się w pytanie „po co?”. Wówczas kończą się bezowocne próby znalezienia winowajcy, usprawiedliwiania się, wyciągania dowodów własnej niewinności i wali się wymyślone przez okrutnych i bezlitosnych ludzi prawo, według którego kara jest zawsze współmierna z popełnionym grzechem * Bóg przecież nie karze niewinnych niemowląt.

I może wtedy Medea opowiedziałaby jej o pewnych zdarzeniach, które nie są zsyłane na nas za jakieś grzechy, tylko po prostu i zwyczajnie nam się przydarzają, bo takie jest życie. Wspomniałaby o najlepszym z dzieci Lenoczki Aleksandrze, który zginął na wojnie, Pawliku, który utonął, malutkiej dziewczynce, która odeszła razem z matką od razu po urodzeniu. I przekonałaby Aldonę, że u niej też kiedyś wszystko się ułożyło, od tak po prostu, z biegiem lat i z przyzwyczajenia, twardego jak odcisk... Ale Medea nigdy nie robiła pierwszego kroku, zawsze czekała na zaproszenie do rozmowy, na jakiś znak, że ten ktoś jest gotów jej posłuchać.

...Kilka dni później, po popołudniowej drzemce, która podzieliła dzień dzieci na dwie nierówne części, grupka spacerowiczów złożona z trzech matek * Maszy, Nory i Aldony * i czwórki dzieci, zbaczając co chwila z trasy, dotarła wreszcie do szpitala, w którym pracowała Medea. Witalisa wożono zwykle spacerowym wózkiem plecami do drogi i twarzą do matki. Tym razem wózek pchali Liza z Alikiem. Medea, zobaczywszy ich przez okno, wyszła na ganek.

Liza, kucnąwszy przed Witalisem, odchyliła mu paluszki i mówiła: „Sroka kaszę

warzyła... * I ciągnąc delikatnie za mały palec, piszczała: * A temu nie dała!"

Maluch głośno krzychał i nie wiadomo było, śmieje się, czy płacze.

* Cieszy się * powiedziała Aldona ze swym zwykłym przepraszającym uśmiechem.

Medea popatrzyła w stronę dzieci, poprawiła szal na głowie, jeszcze raz zerknęła na

Lizę i powiedziała do Aldony:

* Dobrze, że przywozicie Witalisa. Lizoczka, taka kapryśna i rozpieszczona, a jak dobrze z nim się bawi. Niech jak najwięcej się nim zajmuje, wszystkim to tylko na

dobre wyjdzie. * Medea westchnęła i dodała ni to żaląc się, ni to nawiązując do

jakiegoś dawnego smutku: * Co za nieszczęście: wszyscy chcą kochać tylko pięknych

i silnych... Idźcie już, dziewczyny, idźcie, wkrótce będę...

Gromadka ruszyła w stronę domu. Masza zerwała grube zielone źdźbło trawy i

zaczęła żuć słodką lodygę. Co Medea miała na myśli, mówiąc

o pięknych i silnych? Czy nie jest to aluzja do jej nocnego gościa... Nie, to do niej nie podobne, nie ma zwyczaju robić aluzji. Albo mówi, albo milczy...

Butonow przychodził do Maszy każdej nocy, pukał w okno, przeciskał przez nie najpierw swoje atletyczne ramiona, wypełniając sobą pokój, ciało

i duszę Maszy, i wychodził o świcie, zostawiając ją z ostrym uczuciem odnowienia...

Zasypiała mocnym, krótkim snem, w którym był wciąż obecny, budziła się po jakichś dwóch godzinach i wstawała ze złudnym uczuciem bezgranicznej siły, a jednocześnie

bezgranicznej słabości. Budziła dzieci, gotowała, prała, wszystko wychodziło jej

lekko, jakby samo, tylko szklanki biły się częściej niż zwykle i posrebrzane łyżki spadały co chwila bezgłośnie na glinianą podłogę.

Niedokończone wiersze unosiły się w powietrzu jak bąbelki, ustawiały się rzędem i odpływały, machnąwszy na pożegnanie krzywym ogonem...

Butonow zaś używał słów najprostszego typu: „Podejdz tu... przesuń się... zaczekaj... daj papierosa..."

Nawet nigdy nie powiedział, że wróci jutro. Pewnego wieczoru zajrzał do kuchni. Pił herbatę, rozmawiał z Georgijem, który codziennie odkładał wyjazd, aż w końcu się zdecydował. Masza siedziała w ciemnym kącie i na próżno próbowała złapać

spojrzenie Butonowa: żaden mięsień nie drgnął na jego twarzy czy wyrzeźbionym ciele,

które tak kochała * czuła tylko chłód i obojętność. Załamała się: czy to ten człowiek przychodzi do niej w nocy? Pomyślała o nocnym sobowtórze... Pożegnawszy się z Georgijem i nawet nie popatrzawszy w jej stronę, wyszedł, ale wrócił po kryjomu w nocy i wszystko było jak zawsze, wyznał tylko niespodziewanie, kiedy odpoczywali na brzegu zaspokojonej namiętności:

* Moja pierwsza prawdziwa kochanka była podobna do ciebie... Jeździła konno... Masza poprosiła, żeby o niej opowiedział.

* Co tu dużo opowiadać? * Uśmiechnął się. * Dobra z niej była amazonka. Szczupła, z krzywymi nogami. Póki jej nie spotkałem, myślałem, co za nudne zajęcie * robić dzieci! Ale gdzieś znikła. Myślę, że mąż ją zabił.

* Piękna była? * zapytała Masza, wstrzymując oddech.

* Pewnie, że piękna. * Położył dłoń na jej twarzy, pomacał kości policzkowe, ostry podbródek. * U mnie, Maszka, wszystkie kobiety piękne. Prócz żony.

Po jego wyjściu długo jeszcze wyobrażała sobie po kolei amazonkę, żonę, siebie * w roli amazonki...

Minęły trzy długie, jak trzy życia, noce i trzy złudne dni, a czwartego dnia Butonow wpadł o niezwyklej porze, kiedy Aldona zmywała w kuchni naczynia po obiedzie, a Masza wieszła koło studni dziecięcą bieliznę. Zszedł do niej na dół i usiadł w milczeniu na płaskim kamieniu.

* Co się stało? * Wystraszyła się Masza, wrzucając do miski wyciśniętą pidżamę.

* Wyjeżdżam, Maszo. Przyszedłem się pożegnać * powiedział spokojnie.

Przestraszyła się:

* Na zawsze? Roześmiał się:

* Nigdy więcej do mnie nie przyjdiesz?

* No, może to ty do mnie kiedyś wpadniesz? Do Rastorgujewa, co? * Powoli się podniósł, otrzepał białe spodnie, pocałował ją w zaciśnięte usta. * Ty co, zmartwiłaś się?

Milczała. Zerknął na zegarek i powiedział:

* No dobrze, idziemy. Mam piętnaście minut. Po raz pierwszy weszli do pokoju Samuela

w ciągu dnia, szczęśliwie ominąwszy Aldonę, która starannie wycierała talerze i wyszedł rzeczywiście dokładnie po piętnastu minutach.

„Tak odchodzą bogowie... Jakby nigdy go nie było... * myślała Masza, przytulając się do dywanika, na którym ślizgała się przed chwilą po całym pokoju. * Żeby tak Alik już przyjechał...”

Teraz, kiedy wszystko skończyło się tak samo niespodziewanie, jak się zaczęło, i pozostał jej tylko plik grubych szarych karteczek, zapisanych rozmazującym się długopisem, nie mogła się doczekać Alika. Chciała mu przeczytać swoje nowe wiersze i opowiedzieć o wszystkim, co ją spotkało.

Alik dojeżdżał właśnie do Sudaku, kiedy Butonow jechał z przeciwnej strony starym „moskwiczem” Michaiła Stiepanowicza do Symferopola, żeby wrócić wieczorem do Moskwy tym samym samolotem, którym przyleciał Alik.

Wracająca z pracy Medea pierwsza zobaczyła Alika, który szedł od strony Dolnej Osady. Miał ciemne okulary na bladej twarzy mieszczucha i czapkę z granatowym daszkiem. Chwilę później zauważyła go również Masza, spacerująca z dziećmi w gęstej trawie Pępka.

„Alka! Alka! Tatuś przyjechał!” * pomknęli wszyscy z krzykiem w dół do drogi. Zatrzymał się, zrzucił z ramion niewielki, ale wypchany plecak, i rozłożył szeroko ręce, żeby objąć wszystkich naraz. Pierwsza podbiegła Masza, rzucając się mu na szyję ze szczerą radością. Liza i Alik skakali obok, wrzeszcząc z zachwytem.

Gdy Medea do nich dotarła, plecak był już częściowo opróżniony. Masza czytała jeden z przywiezionych dla niej listów, Liza przyciskała do siebie paczuszkę z ciagutkami i płową lalkę, prezent Niki, mały Alik otwierał pudełko z nową grą, a Alik starszy próbował upchać z powrotem do plecaka powyciągane rzeczy.

Wycalował Medeę i wcisnął jej tekturowe pudełko, z niezmienną od lat zawartością:

* Proszę przyjąć od naszego Czerwonego Krzyża dla waszego.

Były tam jakieś deficytowe leki, dwa opakowania plastrów i zwykłe gumowe rękawiczki, których zeszłego roku nie można było dostać.

* Dziękuję, Aliku. Cieszę się, że pan przyjechał.

* Medeo Georgijewno, ależ książkę pani przywiozłem * przerwał jej *

niespodzianka! Świetnie pani wygląda! * Położył rękę na głowę syna: * Alka, urosłeś o całą głowę... * Złożył palce pokazując szczyptę: * komara...

Masza przestępowała niecierpliwie z nogi na nogę:

* Alik, idziemy już, szybciej!

Medea poszła przodem. „Zadziwiająca sprawa. Masza rzeczywiście cieszy się z przyjazdu męża, nie wygląda na zmieszaną, winną. Czyżby wierność małżeńska nie już dla nich nie znaczyła? Jakby nie odwiedzał jej każdej nocy ten sportowiec... Ależ stare babsko ze mnie... * uśmiechnęła się * co to mnie wszystko obchodzi? Po prostu lubię Alika. Jest podobny do Samuela * nie z twarzy * ma takie samo bystre spojrzenie ciemnych oczu, jest tak samo żywy, dobroduszenie dowcipny... Chyba mam słabość do Żydów, jak niektórzy mają skłonność do przeziębień i zapań. Zwłaszcza do tego typu pasikoników, drobniutkich, ruchliwych... Ciekawa jestem, jak Masza zamierza teraz wybrnąć z tego romansu?”

Medea nie wiedziała, że Butonow już wyjechał, i myślała z niesmakiem, że znów będzie świadkiem cudzych nocnych sprawek, randek, kłamstw...

„Jak dobrze, że mnie to nigdy nie interesowało. I trzydzieści lat już, dzięki Bogu, minęło od tamtego lata... W przykazaniach zapomnieli jednak o jednej rzeczy: niech będą błogosławieni głupcy...”

Medea się obejrzała: Alik taszczył na plecach Lizoczkę, w rękach * plecak i uśmiechał się błyszcząc białymi zębami. Nie wyglądał na głupca.

Rozdział czternasty

Męża Maszy, Alika, nazywano Alikiem Dużym, żeby odróżnić od Alika syna. Dużym tak naprawdę nie był. Był tego samego wzrostu, co Masza, i jeśli wziąć pod uwagę fakt, że uchodziła w rodzinie za najdrobniejszą, wzrost Alika nie był jego największym atutem. Ubrania kupował w „Dietskom Mirze” i w ciągu całego swego trzydziestoletniego życia nigdy nie miał porządnej pary obuwia, ponieważ w jego

rozmiarze można było znaleźć tylko buty z tępych czubkami dla uczniów.

Przy całym swym niewielkim wzroście był dobrze zbudowany i przystojny. Należał do tego rodzaju bystrych żydowskich chłopców, którzy przyswajają wiedzę nie wiadomo skąd i zadziwiają rodziców płynnym czytaniem akurat wtedy, kiedy ci dopiero zamierzają pokazać im alfabet.

W wieku siedmiu lat nie mógł oderwać się od ciężkich jak cegły tomów Światowej historii, w wieku dziesięciu * fascynował się astronomią, a później matematyką.

Marzył o wielkiej nauce, chodził do kółka uniwersyteckiego przy fakultecie matematycznym i jego mózg pracował na takich wysokich obrotach, że kierownik kółka tylko wzdychał, wiedząc jak ciężko będzie przebić się młodemu talentowi przez procentową normę ustaloną dla państwowej uczelni.

Nagła śmierć kochanego ojca na skutek absurdałnej serii medycznych błędów nakierowała Alik na zupełnie inną drogę. Ojciec przeszedł całą wojnę, był trzykrotnie ranny, a zmarł w wyniku źle przeprowadzonej operacji usunięcia wyrostka robaczkowego. W czasie kiedy ojciec umierał na zapalenie otrzewnej, Alik dowiedział się przy okazji

o istnieniu takich rzeczy jak cierpienie i współczucie * nie wchodzących w krąg zainteresowań małych geniuszy.

Po szybkim pogrzebie ojca, przy akompaniamencie wojskowej orkiestry i lamencie oszalałej z żalu matki, byli towarzysze broni i koledzy z pracy z trudem wydostali się w strugach paskudnego grudniowego deszczu z błota cementarza Wostriakowskiego, wypili w ich dużym pokoju na Miąśnickiej skrzynkę wódki i rozeszli się do domów.

Właśnie tamtego wieczoru Alik radykalnie zmienił swoje plany, rezygnując z ambitnych pomysłów

i zaplanowanej biografii, wzorowanej na jego dwóch ulubionych bohaterach, Evariste Galois i René Dekarcie. Wybrał medycynę.

Evariste Galois (1811*1832) * francuski matematyk, twórca nowoczesnej teorii równań algebraicznych;

René Dekart (1596*1650) * francuski matematyk i filozof, opracował podstawy geometrii analitycznej (przyp. tłum.)

Od tego momentu jego niespokojny umysł zaczął wchłaniać wiadomości z przedmiotów, z których miał zdawać egzaminy wstępne na uczelnię: fizykę, która dla zahartowanego matematyką Alika wydała się nauką eklektyczną i nieprecyzyjną, i biologię, która zaskoczyła go słabą bazą teoretyczną, skomplikowanymi procesami i brakiem wypracowanego języka.

Na szczęście kupił w antykwariacie obok domu wydane w latach trzydziestych ćwiczenia z genetyki autorstwa Thomasa Morgana i doszedł do wniosku, że genetyka, wyklinana i krytykowana w tamtych czasach razem z jej zwolennikami, jest właśnie taką dziedziną biologii, w której da się sformułować pytanie i otrzymać na nie konkretną odpowiedź.

Thomas Morgan Hunt (1866*1945) * amerykański biolog i genetyk, laureat Nagrody Nobla (1933 r.) za chromosomową teorię dziedziczenia cech (przyp. tłum.)

Ponieważ szkołę zakończył ze srebrnym, a nie ze złotym medalem, zdawanie na studia wyglądało jak walka z pięciogłowym smokiem. Złoty medal otrzymywali absolwenci szkół średnich mający same piątki, zwalniało to ich od egzaminów wstępnych na wyższe uczelnie (przyp. tłum.)

Jedyna piątka, jaką udało mu się zdobyć, była piątką za wypracowanie * Aleksander Puszkina wyciągnął do niego pomocną dłoń. Temat „Wczesna poezja Puszkina” odebrał jak dar niebios.

Resztę egzaminów zdawał komisyjnie, po odwołaniu się, bo był święcie przekonany, że nie może mieć oceny niższej niż piątka, wykładowcy natomiast bardzo dobrze wiedzieli, komu ich stawiać nie mogą.

Na początku odwołał się od czwórki z matematyki. Członkami komisji byli najemnicy z uniwersytetu, ponieważ Akademia Medyczna nie miała katedry matematyki. Niegłupi doktoranci szybko zrozumieli, że chłopak jest zdolny. Wykazał się poza tym dużą siłą woli, odpowiadając nieprzerwanie przez cztery godziny. Kiedy zadano mu wreszcie pytanie, na które nie potrafił odpowiedzieć, roześmiał się, zwracając się do pięcioosobowej komisji:

* Pytanie zostało zadane niewłaściwie, ale chciałbym jednak zwrócić uwagę państwa na to, że żadne z zadanych mi dziś pytań nie wchodzi do programu szkolnego. *

Rozumiał, że nie ma drogi odwrotu i grał otwartymi kartami: * Sądzę, że następnym pytaniem będzie teoria Ferma.

Egzaminatorzy wymienili między sobą spojrzenia i jeden z nich zapytał:

* Może pan ją sformułować?

Alik zapisał proste równanie i westchnął:

* Przy 71 większym niż dwa nie ma całkowitych wyników dodatnich, ale nie biorę się udowodnić tego w skrócie...

Przewodniczący komisji, czując głęboki wstręt do bachora, siebie i całej tej sytuacji, postawił w karcie egzaminacyjnej piątkę.

Tak samo było z chemią i biologią, chociaż wyglądało mniej efektownie. Z angielskiego dostał czwórkę, ale był to ostatni egzamin, kiedy już wiedział, że przeszedł, więc nie odwoływał się. Był zmęczony.

Historię jego egzaminów wstępnych znali na uczelni wszyscy, przypominała bajkę o Kopciuszku. Lata szkolne były zatrute z powodu jego całkowitej mizerności fizycznej: był najmniejszy w klasie i najmłodszy. Jego zdolności intelektualne nawet jeśli zostały zauważone, nie uwolniły go od upokorzeń na zajęciach wychowania fizycznego. Dzieciństwo zresztą było pełne upokorzeń: odprowadzająca go do szkoły pomoc domowa zawiązywała mu pod podbródkiem dziewczęcą czapkę futrzaną; w drodze powrotnej ze szkoły ogarniał go strach, chociaż sam nalegał, żeby nie odbierali go po zajęciach; duża przerwa * duże nieprzyjemności, niemożność skorzystania ze szkolnej toalety. Kiedy nie mógł już wytrzymać, szedł do lekarza, żalił się na ból głowy, otrzymywał zwolnienie i wręczywszy papierek z literami „zwol.” kochanej nauczycielce, mknął do domu, żeby się wysiusiać...

Bardzo przeżywał swoje wyobcowanie, domyślając się, że wiąże się raczej z jego zdolnościami niż wadami. Jego ojciec, redaktor w *Wojenizdacie*, przez całe życie czuł się gorszy z powodu swego żydowskiego pochodzenia i jedyne w czym mógł pomóc synowi, to zachęcić go do czytania.

Wojenizdat * Wydawnictwo Wojskowe (przyp. tłum.)

Izaak Aronowicz był świetnie wykształconym filologiem, ale życie zapędziło go do

takiego kąta, że siedział w nim cicho jak mysz i z pocałowaniem ręki redagował wspomnienia z ostatniej wojny autorstwa marszałków*analfabetów.

Połączenie męskich i żeńskich szkół, może to i zabrzmie dziwnie, ale ulżyło ciężkiemu losowi Alika. Jego pierwszymi przyjaciółmi były dziewczyny i zawsze później powtarzał, że kobiety * to bez wątpienia najlepsza część ludzkości.

Na Akademii Medycznej owa najlepsza część ludzkości była w znacznej przewadze. Już w pierwszych miesiącach nauki wokół Alika utworzyła się atmosfera pełnego szacunku zachwyty. Połowa koleżanek ze studiów, które tłumnie odwiedzały go w dużym pokoju na Miąsniackiej, była spoza miasta, z dwuletnim stażem medycznym i po różnych przejściach. Pod koniec roku matka Alika dostała dwupokojowe mieszkanie

w Nowych Czeremuszkach. To w tym nowym mieszkaniu, jeszcze nie urządzone i zagraconym stosami nierozpakowanych książek, dwie jego koleżanki, Weroczka Woronowa z Sormowa i Ola Anikina z Kriukowa, sprytne, sympatyczne felczerki z dyplomami z wyróżnieniem, pozbawiły go romantycznych iluzji i uciążliwego dziewictwa.

Gdzieś od trzeciego roku, kiedy rozpoczęły się praktyki i dyżury w szpitalach, szybkie i łatwe kontakty w magazynach bielizny, pokoju lekarskim czy gabinecie były traktowane tak samo naturalnie, jak nocne picie herbaty, traktowano je z typową wśród lekarzy lekkością. Alik nie przejmował się szybkimi stosunkami na służbowej bieliźnie, o wiele bardziej interesowała go wtedy nauka * przyrodznawstwo i filozofia.

Droga z Nowych Czeremuszek na Pirogowską stała się dla niego prawdziwą Getyngą.

ul. Pirogowska * znajduje się tam Akademia Medyczna (przyp. tłum.)

Punkt wyjścia stanowiły prace towarzysza Lenina, które były obowiązkowe na zajęciach z historii KPZR. Później zajrzał do Marksa, Hegla i Kanta i cofając się coraz bardziej w czasie doszedł do źródeł * pokochał Platona.

Czytał szybko, w jakiś niezwykły sposób, wężykiem, łącząc kilka wierszy w jeden większy. Wiele lat później wyjaśniał żonie, że chodzi o szybkie przyswajanie struktur

i nawet kreślił jakiś schemat.

Dając upust niezwyklej inteligencji zbudował obraz człowieka*wszechświata i po zajęciach na Akademii Medycznej jeździł na uniwersytet na kurs z biochemii u Biełozierskiego i biofizyki

u Tarusowa. Interesował go problem biologicznego starzenia się organizmu. Nie był szaleńcem i nie marzył o nieśmiertelności, ale wyliczył na podstawie jakichś biologicznych parametrów, że naturalną granicą ludzkiego życia jest sto pięćdziesiąt lat. Na czwartym roku studiów opublikował swój pierwszy artykuł razem z pewnym autorytetem naukowym i jeszcze jednym młodym geniuszem.

Rok później doszedł do wniosku, że poziom komórkowy jest zbyt prymitywny, ale do pracy na poziomie molekularnym brakuje mu wiedzy. Uzupełniał braki, czytając zachodnie pisma periodyczne.

Wiele lat później, zajmując bardzo wysoką pozycję wśród amerykańskich naukowców, twierdził, że najbardziej intensywnym okresem w jego życiu były właśnie lata studenckie i że później cały czas korzystał z idei, którymi się zaraził na ostatnim roku studiów.

Wtedy właśnie poznał Maszę. Jego dawna koleżanka z klasy, Luda Linder, miłośniczka nieoficjalnej poezji, zabierała go czasami do mieszkań i klubów literackich, gdzie kwitł samizdat i którymi nie gardził nawet sam Brodski, będąc przejazdem w stolicy * czytał tam wiersze, za które dostał później Nobla.

Samizdat * (w okresie ZSRR) literatura wydawana i rozpowszechniana nielegalnie, „w drugim obiegu”.

Luda zaciągnęła go pewnego wieczoru na spotkanie, gdzie czytali swoje wiersze całkiem młodzi poeci, był wśród nich nawet jeden obiecujący, który niestety za wcześnie zaczął się kłuć i szybko przedawkował.

Masza, jako najmłodsza, czytała pierwsza. Ludzi było niewiele, jak to się wtedy mówiło: sami swoi i jeden kabeł * oficjalnie pełniący obowiązki kierownika działu gospodarczego.

Czasy były jak najbardziej przejściowe, rok sześćdziesiąty siódmy: chleb był prawie za darmo, słowo natomiast, mówione i drukowane, nabrało niezwyklej wagi.

Samizdat zaczynał już potajemnie swoje obrazoburcze działanie, Siniawski i Daniel zostali już skazani, „fizycy” oddzielili się od „liryków”, a strefy zakazanej nie było już chyba tylko w ogrodzie zoologicznym.

Fizycy” i „liryki” * pragmatycy i romantycy (przyp. tłum.)

Alik nie brał w tym wszystkim udziału: wolał teorię od praktyki i filozofię od polityki.

Masza, niebieskooka, z delikatnymi rękami, które poruszały się, razem z jej ostrzyżoną ciemną główką, trochę niezgrabnie i jakby niezależnie od niej, czytała patetycznym głosem wiersze.

Alik nie odrywał od niej oczu przez całe przeznaczone jej trzydzieści minut, a kiedy skończyła czytać i wyszła na korytarz, szepnął na ucho Ludzie:

* Zaraz wracam...

Ale już nie wrócił. Zatrzymał Maszę na drodze do toalety:

* Poznaje mnie pani?

Masza spojrzała na niego uważnie, ale nie poznała.

* Nic dziwnego, bo jeszcze się nie znamy. Nazywam się Alik Szwarz. Chciałem prosić panią o rękę.

Patrzyła na niego ze zdziwieniem.

* O rękę i serce * wyjaśnił całkiem poważnie.

Masza się roześmiała * był to początek tego, o czym tak wiele słyszała od Niki. Początek romansu. Była na to przygotowana.

* Maria Miller*Szwarc * to brzmi dość śmiesznie. Ale zobaczymy * odpowiedziała beztroskim tonem, zadowolona, że potrafi tak lekko i bezpośrednio prowadzić rozmowę.

Tryumfowała * wreszcie będzie taka jak Nika

i już dziś wieczorem powie jej przez telefon: „Nikuś, podrywał mnie dziś jeden facet, bardzo miły, sympatyczna morda, trochę zarośnięta, ale od razu widać * inteligentny...”

* Tylko proszę wziąć pod uwagę fakt * uprzedził * że nie mam czasu na zalecanie się. Ale dziś jestem wolny. Wychodzimy.

Masza chciała jeszcze wrócić i posłuchać okularnika, który miętosił ze zdenerwowaniem kartki z wierszami, czekając na swoją kolej, ale szybko zrezygnowała.

* Dobrze, niech pan na mnie zaczeka. * I weszła do toalety, a on czekał na nią pod drzwiami.

Ubierała się w pośpiechu, miała uczucie, że nie może trwonić czasu * Alik widocznie zdążył zarazić ją swym wewnętrznym pośpiechem, nawet tego nie podejrzewając.

Podał jej wąskie eleganckie palto uszyte przez Sandroczkę.

Na ulicy było pusto i ciemno, zima była z tych najbardziej nieprzyjemnych, bezśnieżna i sroga. Masza, zgodnie z modą sprzed okresu, kiedy zaczęły królować kozaczki, była w lekkich pantofelkach i bez czapki. Alik chwycił ją za zimne cieniutkie paluszki:

* Czasu mamy mało, a powiedzieć muszę dużo. Żeby raz na zawsze skończyć z nieistotnymi drobiazgami: w taką pogodę przydałyby się walonki i ciepła chusta babci, mówię to jako lekarz. Jeśli chodzi o twoje wiersze * niezauważalnie przeszedł na „ty” * są częściowo do wyrzucenia, ale jest kilka dobrych.

* A jakie są do wyrzucenia? * ożywiła się Masza.

* Lepiej będzie, jak powiem, które są dobre. * I dokładnie wyrecytował wiersz, który przed chwilą usłyszał:

Żyjemy tu jak zesłańcy piekła piękni mieszkańcy
Na ziemi zapomnianej, jesieni
co ponad nami Oddycha światłem i chłodem...

Tu cisza trwa nad grobem

Jak obłok, jak zwiastowanie

Głosów co o świtanie

Jak rzeki wypłyną z brzegów

Szeleszczą już liście klonu jak ogień płomiennego

Zapłoną tyra ogniem mogiły

I będzie jak zawsze było

* Uważam, że to bardzo dobry wiersz.

* Pamięci moich rodziców. Zginęli w wypadku samochodowym dziesięć lat temu *

powiedziała Masza, dziwiąc się, jak lekko przeszło jej przez gardło to, o czym z nikim nie rozmawiała.

* Żyli długo i szczęśliwie i zmarli jednego dnia? * popatrzył się na nią poważnie Alik.

* Nic innego mi teraz nie zostaje, jak tylko w to wierzyć.

Są małżeństwa umacniające się w łóżku, inne rozkwitają w kuchni, przy dźwiękach noża i ubijaczki do białek, odnajdują się małżonkowie*budowlańcy, remontujący przez całe życie swoje mieszkania, nabywający po okazyjnych cenach tanie materiały budowlane na dache, gwoździe, pokost i watę szklaną; inne znowu trzymają się dzięki namiętym awanturom.

Małżeństwo Maszy i Alika najpełniej wyrażało się w rozmowach. Byli ze sobą dziewiąty rok, ale spotykając się każdego wieczora po pracy, zapominali o stygnącej zupie i spalonych kotletach mielonych, opowiadając sobie o codziennych zdarzeniach.

Każde z nich przeżywało życie dwa razy: raz * bezpośrednio, drugi * w wersji opowiedzianej. Streszczenie trochę zniekształcało zdarzenie, uwypuklało rzeczy mało znaczące i było oceniane subiektywnie, ale oboje o tym dobrze wiedzieli i proponowali tylko to, co mogłoby zainteresować drugą osobę.

* Przez cały dzień chciałem ci to opowiedzieć * mieszając gorącą zupę w talerzu, mówił Alik * bałem się zapomnieć...

I opowiadał o jakiejś błahej porannej sprzeczce w metrze, drzewie na podwórku, albo o rozmowie z kolegą z pracy. A Masza przynosiła do kuchni stare tomiszczce z wachlarzem zakładek albo broszurę samizdatu, odkrywała w zaznaczonym miejscu:

* Mam tu coś specjalnie dla ciebie...

W ostatnim czasie jakby zamienili się rolami: przedtem to on więcej czytał i był na bieżąco, jeśli chodzi o nowości kulturalne, teraz badania naukowe nie zostawiały czasu na intelektualną rozrywkę, tym bardziej że nie mógł się rozstać ze swoją poprzednią pracą w pogotowiu, która interesowała go z zawodowego punktu widzenia, a poza tym pozwalała znaleźć czas na pracę w laboratorium. Studia doktoranckie skończył zaocznie i to mu odpowiadało.

Masza siedząc w domu z synem, wyjątkowym dzieckiem, potrafiącym znaleźć sobie zajęcie, pisała artykułki do czasopism, namiętnie pochłaniała mnóstwo książek i pisała wiersze albo teksty, jakby wyrwane z różnych autorów, które trudno było zaliczyć do jakiegokolwiek gatunku. Własnego stylu nie miała i ciągnęło ją w różne strony * raz do Rozanowa, raz * do Charmsa.

Jej wiersze, też jakby pisane przez różnych autorów, ukazały się ze dwa razy w czasopismach, ale przeszły bez echa. W druku wyglądały obco, jakby źle dobrane, nie mówiąc już o dwóch błędach drukarskich. Ale Alik był z nich bardzo dumny, wykupił pół nakładu i dawał wszystkim w prezencie, a Masza doszła do wniosku, że nie warto rozmieniać się na drobne, lepiej od razu wydać książkę.

Byli sobie bardzo bliscy i zgodni, co rzadko się spotykało, a wyrażało się w podobieństwie gustów, sposobie mówienia i poczuciu humoru. Z latami nawet mimikę mieli podobną i wyglądało na to, że zostaną w starości papużkami*nierozłączkami. Czasami jakby czytali sobie w myślach i wtedy jednym głosem cytowali ulubionego Brodskiego: „Żyli razem tak długo, że drugi stycznia znów wypadł im na wtorek...”

Dla tego rzadkiego pokrewieństwa dusz Masza znalazła w jakimś podręczniku do nauki niemieckiego niezwykle słowo * Geschwister. W żadnym ze znanych jej języków nie było słowa, które określałoby jednocześnie brata i siostrę, ale złączone w niemieckim w jedno, nabierało jakiegoś dodatkowego tajemniczego znaczenia.

Nie przyrzekali sobie wierności. Wręcz przeciwnie, ustalili przed ślubem, że ich małżeństwo będzie związkiem wolnych ludzi, że nigdy nie poniżą się do zazdrości i kłamstwa i każde z nich zachowa prawo do niezależności. W pierwszym roku małżeństwa, czując lekki niepokój z tego powodu, że Alik był jej jedynym mężczyzną, Masza przeprowadziła kilka seksualnych eksperymentów * z dawnym kolegą ze studiów, z pewnym urzędnikiem z młodzieżowego literackiego czasopisma, gdzie raz wydali jej tekst, i jakimś już całkiem przypadkowym facetem * żeby przekonać się, że nic ją nie ominęło.

Nie rozmawiała na ten temat z mężem, przeczytała mu tylko napisany w tamtym okresie wiersz:

Pogardy godna jest wierność. Te związki
Już żyją z martwą duszą obowiązku
Jakże szeroki, zmienny jest zdrady krajobraz
Tylko miłość nie pragnie zmiany
Jest oddana, dobra
Nie chce przysięgą żadną być związana
Nie wierzy żadnym plotkom, nigdy nie zagłada
W kłamstwie i fałszywych sądach niedorzeczne kraje
Bez reszty siebie daje
Nic za to nie żąda

Alik się domyślił, ale nic nie powiedział i bardzo na tym zyskał. Masza całkowicie się uspokoiła. On z kolei skorzystał z kilku okazji. Nie szukał ich, ale i nie omijał. Ale z biegiem lat jeszcze bardziej się zbliżyli, odnajdując w życiu rodzinnym coraz więcej zalet.

Obserwując swych kolegów ze studiów i przyjaciół, którzy zdążyli się ożenić, rozwieść i ochoczo korzystali z kawalerskiej wolności, Alik stwierdzał z satysfakcją, jak prawdziwy świętoszek: „U nas wszystko jest inaczej, jak powinno być, przyzwoicie i dlatego jesteśmy szczęśliwi...”

Jego kariera naukowa rozwijała się wspaniale. Na tyle wspaniale, że rzadko który z kolegów po fachu potrafił ocenić wyniki jego badań. Swoją wyjątkowość, tak uciążliwą w dzieciństwie i pogłębianą wstydem za niewygodne pochodzenie, które spadło na niego jak grom z jasnego nieba, zaczął traktować z czasem inaczej, ale dobre wychowanie i przyrodzona życzliwość nie pozwalały mu okazywać wyższości nad powolnie myślącymi kolegami.

Kiedy w prestiżowym amerykańskim czasopiśmie naukowym ukazał się jego pierwszy artykuł, przejrzał skład redakcji na okładce i powiedział Maszy:

* Tu jest czterech laureatów Nagrody Nobla...

Masza, patrząc na jego smagłą, raczej hinduską niż judejską twarz, zrozumiała, że mąż mierzy w nauce wysoko. Czytając w jego myślach, poprosiła Nike, która miała muflę z czasów swej fascynacji ceramiką, żeby napisała na porcelanowej filiżance

wiersz.

mufla * szczelnie zamknięta komora z materiału ogniotrwałego, stosowana do obróbki cieplnej metali, ceramiki itd. (przyp. tłum.)

Alik dostał od żony na urodziny wielką białą filiżankę, na której grubymi niebieskimi literami napisany był tekst: Więc będzie tak:

ty kupisz frak, a ja * sukienkę wieczorową, król zaś wysłucha referatu i wyda ucztę grzecznościową.

Goście zachwycali się filiżanką, ale nikt prócz Alika nie rozumiał aluzji.

Oboje byli zachwyceni tym, że obecność innych nie przeszkadzała im w porozumiewaniu się bez słów: wystarczyło wymienić spojrzenia * i wszystko było jasne...

Nie widzieli się dwa tygodnie i Alik jechał teraz do żony z oszałamiającą wiadomością. Chodzi o to, że do Akademii Nauk przyjechał znany amerykański naukowiec, zajmujący się biologią molekularną * miał wystąpić z referatem na konferencji i poprowadzić wykład. Odwiedził Teatr Bolszoj, Tretiakowkę i inne galerie zgodnie z programem i poprosił swoją tłumaczkę o zorganizowanie spotkania z panem Szwarem.

Tłumaczka zwróciła się gdzie trzeba, informując o zachciance cudzoziemca i otrzymała instrukcję * ma powiedzieć, że pan Szwarz jest w tej chwili na urlopie. Pan Szwarz oczywiście na żadnym urlopie nie był, wręcz przeciwnie, zjawił się na konferencji, żeby zadać Amerykaninowi pewne pytanie naukowe. Między nimi odbyła się pięciominutowa rozmowa. Sprytny Amerykanin * nie darmo miał dziadka z Odessy * szybko się zorientował o co chodzi, wziął od Alika numer domowego telefonu i przyjechał do niego późnym wieczorem, zapłaciwszy równie sprytnemu taksówkarzowi tyle, ile Alik zarabiał przez miesiąc...

Maszy nie było. Debora Lwowna, matka Alika, wypoczywała w sanatorium. Góry brudnych naczyń i stosy otwartych książek przekonały Amerykanina, że ma do czynienia z geniuszem, i natychmiast zaproponował mu pracę u siebie w Bostonie, w MIT.

MIT * Massachusetts Institute of Technology (przyp. tłum.)

Pozostawał jednak pewien techniczny, ale bardzo ważny problem * emigracja. Z tą właśnie wiadomością jechał Alik do żony. Oboje strasznie się niecierpliwili * każdy miał swoją niespodziankę...

Temat emigracji w środowisku inteligenckim tamtych lat był jednym z najostrożniejszych: być czy nie być, jechać czy nie jechać, tak, a jeśli nie..., a może jednak... Rozpadały się rodziny, rwały się przyjacielskie więzi. Mieszały się motywy polityczne, ekonomiczne, ideologiczne, moralne... Sam proces wyjazdu był bardzo skomplikowany i męczący, trwał długie lata, wymagał zdecydowania, odwagi i desperacji. Oficjalnie drzwi w żelaznej kurtynie otwierały się tylko dla Żydów, chociaż inni też z tego korzystali. Morze Czerwone znów się rozstało, żeby przepuścić naród wybrany, jeśli nie do Ziemi Obiecanej, to chociażby jak najdalej od kolejnego Egiptu.

* W Księdze Wyjścia zostało powiedziane * wołał Lova Gotlib, bliski przyjaciel Alika, „główny Żyd Związku Radzieckiego”, jak go nazywał Alik * że Mojżesz wyprowadził z Egiptu sześćset tysięcy pieszych mężczyzn. Ale nie wiadomo, ilu ich w Egipcie zostało. Ci co zostali, po prostu przestali istnieć. A ci, co nie wyjechali z Niemiec w trzydziestym trzecim, gdzie oni teraz są?

Ale Alika nie interesowało jego życie w sensie narodowym, marzył jedynie o tym, żeby zajmować się nauką. Słyszał oczywiście wszystkie te rozmowy, nawet brał w nich udział, wyrażając własną czysto teoretyczną i sceptyczną opinię, ale interesowało go wyłącznie starzenie się komórki.

A amerykańska propozycja oznaczała wzrost efektywności jego pracy.

* O jakieś trzysta procent * oceniał, opowiadając o wszystkim Maszy. * Najlepszy na świecie sprzęt, żadnych problemów z odczytnikami, laborantami i żadnych ograniczeń materialnych. Alik będzie studiował na Harvardzie, no nie? Jestem na to przygotowany. Ty decydujesz, Maszo. No i mama oczywiście, ale przekonam ją...

* Kiedy? * spytała tylko zupełnie zaskoczona takim obrotem sprawy.

* Jeśli wszystko pójdzie dobrze, za jakieś pół roku. Jeśli od razu złożymy papiery. Ale może ciągnąć się długo. Tego najbardziej się obawiam, bo muszę od razu zwolnić się z pracy, żeby nie narażać szefa. * Wszystko już obmyślił.

„Dwa tygodnie temu byłabym zachwycona taką propozycją * pomyślała Masza. * A teraz nawet myśleć o tym nie mogę”.

Alik miał w głębi duszy nadzieję, że Masza ucieszy się z otwierającej się przed nimi perspektywy i był nieprzyjemnie zaskoczony, że przyjęła to tak chłodno. Nie wiedział jeszcze, że ich domowy świat, taki poukładany i rozsądny, pękł od kryształowo czystej góry po godny pożałowania dół. Masza zresztą też nie zdawała sobie z tego sprawy.

Przeczytała mu później swoje nowe wiersze. Pochwalił, podkreślając, że brzmią po nowemu. Wysłuchał jej gorącej spowiedzi o olśnieniu, którego doznała po nowych i mocnych wrażeniach, o niezwykłej formie doskonałości, którą odkryła w obcym człowieku, o nowym doświadczeniu życiowym * jakby ktoś zdjął zewnętrzną powłokę z całego świata: z pejzażu, twarzy, zwykłych uczuć...

* Nie mam pojęcia, co z tym wszystkim robić * zaliła się Masza mężowi. * Może z ogólnie przyjętego punktu widzenia to okropne, że mówię o tym właśnie tobie, ale jesteś najbliższym mi człowiekiem i tylko wtedy to ma sens, jeśli z tobą o tym rozmawiam. Jesteśmy z tobą jednością, na ile jest to możliwe. Ale jak dalej żyć * nie wiem. Mówisz * wyjechać. Może masz rację...

Trzęsa się, jej twarz płonęła, źrenice były rozszerzone.

„Ależ nie w porę to wszystko” * pomyślał Alik i przyniósł z kuchni butelkę koniaku. Nalał do kieliszków i powiedział wielkodusznie:

* No cóż, takie doświadczenie też jest ci potrzebne. Jesteś przecież poetką, a czy nie na tym właśnie opiera się cała poezja? Teraz już wiesz, że w małżeństwie nie chodzi tylko o dotrzymanie wierności w łóżku. Wiedziałem o tym już wcześniej. Jesteśmy z tobą badaczami, Maszuniu. Tylko w różnych dziedzinach. Odkrywasz dla siebie coś nowego i dobrze cię rozumiem. Nie będę przeszkadzał. * Nalał jeszcze po kieliszku. Koniak działał jak dobrze przepisany lek i wkrótce Masza oparła się o jego ramię, mamrocąc:

* Alika, jesteś najlepszy na świecie... najlepszy ze wszystkich... jesteś moją twierdzą... Pojedziemy, gdzie zechcesz...

Wpadli sobie w ramiona, znajdując w sobie pocieszenie. Przekonali się o swej

wyjątkowości i wyższości nad małżeństwami, które znali. U tamtych mogą zdarzać się różne drobne świństwa, pospieszne zdrady w zamkniętej łazience, codzienne kłamstwo i podłość, i tylko między nimi, Maszą i Alikiem, panuje całkowita szczerłość i prawda.

Trzy dni później Alik wyjechał, zostawiając Maszę z dziećmi, praniem i wierszami. Miała zostać na Krymie jeszcze przez półtora miesiąca, Alik przywiózł jej właśnie potrzebne na to pieniądze.

Dwa dni po jego wyjeździe Masza napisała długi list do Butonowa. Później drugi i trzeci. W przerwach między listami pisała również krótkie, pełne rozpaczy wiersze, które bardzo się jej podobały.

Butonow tymczasem regularnie wyjmował te listy ze skrzynki pocztowej * dał Maszy swój adres w Rastorgujewie, gdzie mieszkał latem, kiedy żona z córką wyjeżdżały na dachę do koleżanki z pracy. Butonow nigdy nie musiał się kryć przed żoną, Ola nie była z ciekawskich i do głowy by jej nie przyszło, żeby otwierać cudze listy.

Listy Maszy bardzo Butonowa zdziwiły. Były pisane drobnymi literami z nachyleniem w odwrotną stronę, miały rysunki na marginesach, historie z jej dzieciństwa, niezwiązane z treścią; powoływała się na nazwiska jakichś pisarzy, o których nigdy nie słyszał i robiła wiele niejasnych aluzji. Jakby tego było mało, do kopert były włożone oddzielne kartki z chropowatego szarego papieru z wierszami. Jak się domyślił, były to jej wiersze własne. Jeden z nich pokazał Iwanowowi, który znał się na wszystkim. Ten przeczytał na głos z uczuciem:

* Miłość jest pracą ducha, nie bez udziału ciała. Ty bierzesz rękę moją w swoją dłoń

* to działa! Dla ciepła wewnętrznego, żaru cielesnego * jedna skala.

* Skąd to masz? * zdziwił się Iwanów.

* Dziewczyna napisała * wzruszył ramionami Butonow. * Dobrze?

* Dobrze. Prawdopodobnie ściągnęła. Tylko nie wiem, skąd * doszedł do wniosku Iwanów.

* Wykluczone * zaprzeczył zdecydowanie Butonow. * Nie przepisywałaby od kogoś. Na pewno sama napisała.

Ta sympatyczna dziewczyna traktowała go zbyt poważnie, a on już zdążył zapomnieć o banalnym krymskim romansie. Nigdy przedtem nie dostawał listów, sam też nie pisał i nie miał zamiaru odpisywać * a listy wciąż napływały.

Masza regularnie chodziła na pocztę do Sudaku, martwiąc się, że nie ma odpowiedzi. Wreszcie nie wytrzymała i zadzwoniła do Niki, prosząc ją, żeby pojechała do Rastorgujewa i dowiedziała się, co się dzieje z Butonowem. Czemu nie odpisuje? Nika zbyła ją z rozdrażnieniem: nie ma czasu.

* Oszalałaś? * obraziła się Masza. * Po raz pierwszy w życiu cię proszę! Ty masz romanse co kwartał, a ja pierwszy raz!

* A niech cię diabli! Jutro pojedę * zgodziła się Nika.

* Nika, błagam! Dziś! Dziś wieczorem! * zaczęła prosić Masza.

Następnego ranka Masza znów przysłała z dziećmi do Sudaku. Spacerowali po mieście, wpadli do kawiarni, zjedli lody. Do Niki się nie dodzwoniła * nikt nie odbierał.

Wieczorem tego samego dnia rozchorował się Alik, wysoka temperatura, kaszel * chroniczne zapalenie oskrzeli, przez które Masza spędzała z nim po dwa miesiące na Krymie.

Przesiedziała tydzień przy chorym dziecku i dopiero ósmego dnia wybrała się znów do Sudaku. Listów nie było. To znaczy był jeden * od Alika. Do Niki dodzwoniła się od razu. Ta zdała jej relację dosyć chłodnym tonem:

* Byłam w Rastorgujewie, Butonow był, otrzymał twoje listy, ale nie odpowiedział.

* A odpowie? * głupio spytała Masza.

* Skąd mogę wiedzieć? * zezłościła się Nika.

Tak naprawdę odwiedziła Butonowa w Rastorgujewie kilka razy. Za pierwszym był szczerze zdziwiony. Spotkanie było lekkie i przyjemne. Na początku chciała tylko spełnić prośbę Maszy, ale tak jakoś wyszło, że została w jego dużym, częściowo wyremontowanym domu na noc.

Zaczął remont dwa lata temu po śmierci matki, ale szło mu opornie i wyremontowana część domu wyglądała dość dziwnie w kontraście ze zniszczoną, zagraconą drewnianymi kufkami, prostymi chłopskimi meblami po pradziadku i tkanymi ręcznie

szmatami. W tej zniszczonej połowie Nika urządziła naprędce ich gniazdko.

Wychodząc rano, rzuciła:

* Czemu nie odpowiadasz na jej listy? Dziewczyna się martwi.

Butonow nie bał się, że zostanie przyłapany na kłamstwie, ale nie lubił, kiedy zwracano mu uwagę:

* Jestem lekarzem, nie pisarzem.

* Wysil się * poradziła Nika.

Sytuacja wydała się jej zabawna: Maszka, mądrała jakich mało, a zakochała się w takim prymitywie. Jej samej Butonow podwinął się w samą porę: była w trakcie rozwodu, mąż zachowywał się okropnie, czegoś od niej żądał, prawie podziału mieszkania, jej zamiejscowy kochanek skończył w Moskwie wyższe kursy reżyserskie i wyjechał, a wciąż wracający do niej Kostia, jak tylko dowiedział się o rozwodzie, natychmiast próbował zaciągnąć ją do ołtarza.

* Sama pisz * burknął Butonow.

Nika się roześmiała * zabawna propozycja! Ależ z Maszką się obie uśmieją, kiedy ta trochę ochłonie!

Rozdział piętnasty

Jesienią, w dniach poprzedzających obchody rewolucji październikowej, Medea odeszła na emeryturę. Mając teraz dużo wolnego czasu postanowiła zająć się na początku lataniem kołder na wacie, które niszczyły się w ciągu lata z zastraszającą szybkością.

Przygotowała zawczasu nową satynę, pudełko porządnych nici i brała się już pewnego wieczoru do reperowania rozłożonej na stole zniszczonej kołdry, gdy nagle kwiaty z wypłowiałego tła odpłynęły w siną dal, a ich miejsce zajęły wypukłe i ruszające się.

* Mam gorączkę * domyśliła się i zamknęła oczy, żeby zatrzymać ten napływ kwiatów. Na szczęście dzień wcześniej przyjechała Ninoczka z Tbilisi.

Wyglądało na to, że rozchorowała się, jak dawno temu przed zamążpójściem, kiedy

Samuel opiekował się nią z taką czułością, oddaniem i miłosnym uniesieniem, że miał później wszelkie podstawy do twierdzenia: „Inni mają miesiąc miodowy, a my z Medeą mieliśmy chorobę miodową”.

W przerwach między atakami straszliwych dreszczy i utratą przytomności Medea odczuwała niesamowity spokój: wydawało jej się, że Samuel jest w sąsiednim pokoju i zaraz do niej wejdzie, trzymając obiema rękami szklankę i lekko wytrzeszczając oczy, bo nie spodziewał się, że szklanka będzie taka gorąca.

Ale zamiast Samuela z ciemności wyłaniała się Ninoczka, owiana wonią dziurawca i rozpuszczającego się w wodzie miodu, ze szklanką w chudych rękach. Miała matowo czarne oczy Samuela i Medeę wreszcie olśniło: przecież Ninoczka jest ich córką, Samuela i jej, ich dziewczynką, zawsze o tym wiedziała, tylko zapomniała, a teraz na szczęście przypomniała sobie... Ninoczka podnosiła jej głowę z poduszki, poila aromatycznym napojem, coś do niej mówiła, ale sens jej słów nie docierał do Medei, jakby mówiła w obcym języku. „To przecież gruziński” * domyśliła się w końcu. Intonacja głosu Ninoczki, wyraz jej twarzy, gesty, a nawet smak napoju, były tak wymowne, że bez trudu rozumiała wszystko, co ta od niej chciała. Ninoczka z kolei zadziwiająco szybko zgadywała każdą zachciankę ciotki i nawet zasłony zasuwiała i odsuwała, nim Medea zdążyła o tym pomyśleć.

Tbiliska rodzina Medei pochodziła od dwóch jej sióstr, starszej Anieli i młodszej Anastazji, którą Aniela zaopiekowała się po śmierci rodziców. Anastazja miała syna Roberta, kawalera, trochę dziwnego. Medea go nawet nie знаła.

Własnych dzieci Aniela nie miała. Nina i Timur byli adoptowani, więc cała ta tbiliska rodzina była tak naprawdę przyszywana. Dzieci łączyło pokrewieństwo z mężem Anieli, Lado. Brat Lado, Grigol, i jego żona Zuzanna tworzyli dziwną i nieszczęśliwą parę: on * gorący wojownik o niezależność rzemieślników, ona * zapalona działaczka partyjna.

Lado Aleksandrowicz, muzyk, profesor Tbiliskiej Akademii Muzycznej, uczący gry na wiolonczeli, trzymał się od brata z daleka i nie utrzymywał z nim kontaktu od połowy lat dwudziestych.

Po raz pierwszy zobaczył dzieci brata wczesnym majowym rankiem trzydziestego

siódmego roku * przywiozła je daleka krewna po nocnym aresztowaniu rodziców. Słynne prawo parzystości, będące tylko jednostkowym wypadkiem ogólnego prawa powtarzalności zdarzeń i istniejące być może po to, żeby hartować charakter lub spełniać przeznaczenie, zadziało w przypadku Anieli z precyzją zegarka szwajcarskiego. Minęło właśnie dziesięć lat, jak Anastazja wyszła za mąż i odeszła z domu i oto los ponownie sprowadza do nich sieroty, tym razem dwie.

Aniela była już po czterdziestce, Lado był starszy od niej o dziesięć lat. Zdażyli już przekwitnąć i uschnąć i przygotowywali się raczej do spokojnej starości, a nie do pełnienia obowiązków młodych rodziców. Plany na starość nie spełniły się. Jeszcze nie zdążyli wychować wymagających ciągłej opieki dzieci, gdy zaczęła się wojna. Lado nie przeżył ciężkich czasów, zmarł na zapalenie płuc w czterdziestym czwartym.

Aniela, utrzymując się z resztek, które jej zostały z dostatniego przedwojennego życia, postawiła dzieci na nogi. Zmarła w pięćdziesiątym siódmym, wkrótce po powrocie z zesłania Zuzanny, która straciła tam resztki rozumu. Nina, wówczas już młoda kobieta, miała zamiast ukochanej Anieli rodzoną matkę, jednooką harpię, przepelnioną nienawiścią do wszystkich i z zaślepieniem maniaczki wielbiącą wielkiego wodza. Nina opiekowała się nią od dwudziestu lat.

Przyjechała do Medei na krótko, a została osiem dni i ledwo ciotka poczuła się lepiej pospieszyła z powrotem do matki.

Choroba Medei nie przeszła jednak bez śladu, przerzuciła się na stawy i Medea leczyła się swymi domowymi sposobami. Zawsze zwinna i szybka z trudem się teraz poruszała po domu w grubych wełnianych nakolannikach, pod które przyklepiała liście kapusty, pszczeli wosk czy gotowane na parze cebule, ale większość czasu spędzała przy łątaniu kółder.

Rozmyślała przy tym o Ninoczce, ojej obłąkanej matce, o Nice, która spędziła ze swym teatrem cały wrzesień w Tbilisi, urządzając tam nie gorsze występy, jak dyskretnie donosiła Ninoczka...

„Próżność” * pohamowała się Medea i zrobiła tak, jak uczył ją w młodości stary Dionizy: kiedy nachodzą cię próżne myśli, nie walcz z nimi, tylko zwróć je do Pana...

„Biedna Zuzanna, wybacz jej Panie, okropne i głupie czyny, których się dopuściła, złagodź jej serce, pozwól jej dostrzec, jak zdręcza Ninoczkę... I Ninoczce pomóż, jest łagodna i cierpliwa, daj jej siły, Panie... Uchowaj Nike przed wszelkim złem, niebezpiecznymi ścieżkami dziewczyna chadza, a przecież serce ma dobre, jest taka pełna życia, naucz ją rozumu, Panie...”

I znów przypomniało jej się z opowiadań Ninoczki, jakiego zamieszania narobiła Nika w rodzinie słynnego tbiliskiego aktora, romansując z nim na oczach całego miasta. Kokietowała, zabawiała się, a nieszczęsna żona aktora, ubrana cała na czarno i palona zazdrością, biegła nocami po przyjaciółach męża, dobijała się do wszystkich

drzwi, mając nadzieję, że przyłapie zdradzającego męża na gorącym uczynku * no i przyłapała. Były tłuczone naczynia, skoki przez okno, wrzaski, wybuchy namiętności i inne, całkiem już nieprzyzwoite rzeczy.

Najdziwniejszym było to, że jeszcze w październiku Medea otrzymała od Niki króciutki liścik, w którym ta opisywała tbiliską podróż, duży sukces teatru i nawet się chwaliła, że ojej kostiumach do przedstawienia pisała prasa.

„Dawno tak dobrze się nie bawiłam * kończyła list. * A w Moskwie okropna pogoda, przeciągający się rozwód z mężem i wiele bym dała, żeby zamieszkać w jakimś innym, bardziej słonecznym, miejscu”.

Jeśli chodzi o pogodę, miała całkowitą rację: lato skończyło się już w sierpniu i od razu zaczęła się późna jesień. Drzewa nie zdążyły porządnie pożółknąć i po silnych zimnych deszczach liście opadały jeszcze całkiem zielone. Po radosnym tbiliskim wrześnie nadszedł nieznośny moskiewski październik. W listopadzie pogoda była nie lepsza, ale humor Nice się poprawił: zważyło się dużo pracy.

Przygotowywała kostiumy do kolejnego przedstawienia w swoim teatrze i godzinami przesiadywała w pracowni, gdzie musiała pilnować krawcowe, poza tym dorabiała na lewo w teatrze Romen.

Intrygowało ją cygańskie życie, ale pracować w tym teatrze nie było wcale łatwo: słynna cygańska wolność, tak ładnie prezentująca się na miejskich placach, w podmiejskiej kolei i na teatralnej scenie, wyglądała na co dzień koszmarne:

wyznaczone przez reżysera spotkanie z aktorami odbyło się dopiero za piątym razem, każda aktorka urządzała awantury, żądając niemożliwego. W dniu, kiedy jedna ze starzejących się, wrzaskliwych gwiazd rzuciła Nice prosto w twarz strój w kolorze bordo * bo żądała białych koronek * a Nika z taką samą szybkością odrzuciła go jej z powrotem, dołączając do sukienki wiązanek wyszukanych wyzwisk tak ciężkich, jak wszywane niegdyś ciężarki na dole zbyt lekkich sukienek baletnic, zdarzyła się rzecz, na którą Nika dawno czekała i której próbowała wszelkimi sposobami uniknąć.

Wieczorem, po jedenastej, przyjechała Masza. Ledwo zdążyła otworzyć jej drzwi, już wiedziała, o co chodzi. Masza rzuciła się do niej ze słowami:

* Nika, czy to prawda? Powiedz, że nie!

Nika głaskała jej śliskie od deszczu włosy i milczała.

* Przecież wiem, że nieprawda... * powtarzała Masza, miętosząc w rękach jedwabną chusteczkę w ukośną liliową, szarą i czarną kratkę. * Ale skąd się tam wzięła?

* Cicho, cicho, dzieci usłyszą. * Machnęła Nika ręką w stronę pokoju dzieci.

Nika od lipca czekała na tę nieuniknioną burzę, więc poczuła teraz nawet ulgę. Ta głupia sprawa ciągnęła się przez całe lato. Opuszczając w maju Osadę, miała szczerzy zamiar zrobić Maszy potajemny prezent * ustąpić jej Butonowa, ale się nie udało.

Przez cały czas, gdy Masza spacerowała z dziećmi na Krymie, Nika jeździła do Butonowa, dochodząc do wniosku, że jakoś to będzie. Ich stosunki były niezwykle proste, bez zobowiązań. Butonow był zachwycony cudowną prostotą, z jaką potrafiła rozmawiać o różnych sprawach, nie była

poza tym ani trochę zazdrosna w odróżnieniu od innych kobiet. Kiedy próbował jej to pewnego razu powiedzieć, mając jak zawsze problem z wysłowieniem się, przerwała mu:

* Butończyku, główka nie jest twoim najmocniejszym atutem. Wiem, co chcesz powiedzieć. Masz całkowitą rację. Chodzi o to, że do wszystkiego podchodzę jak mężczyzna. Tak samo, jak ty, boję się wplątać w długi romans, obowiązki, małżeństwo * a niech to wszystko szlag trafi! I pamiętaj, to ja rzucam facetów. Tak to w przybliżeniu wyglądało.

* Dobrze, napiszesz podanie dwa tygodnie przed odejściem * zażartował Butonow.

* Walera, jak będziesz tak żartował, zakocham się w tobie bez pamięci, a to jest niebezpieczne. * I Nika głośno się roześmiała, odrzucając głowę do tyłu i trzęsąc włosami i biustem.

Wciąż się śmiała * w tramwaju, przy stole, w basenie, gdzie poszli pewnego dnia razem, i poważny zwykle Butonow zarażał się jej śmiechem, chichotem aż do łez, do bólu w brzuchu i chrypki. Śmiali się do upadłego również w łóżku.

* Jesteś rzadkim przypadkiem * zachwyciła się Nika * zwykle od śmiechu erekcja znika.

* Nie wiem, nie wiem, może nie do końca mnie rozśmieszyłaś...

...Masza wróciła na początku lipca, podrzuciła dzieci Sandrze i od razu pomknęła do Rastorgujewa. Miała podwójnie szczęście: Butonow był, a Niki * akurat nie. Wróciła dzień wcześniej do siebie.

Przyjazd Maszy zbiegł się ze szczytem przerwane dwa lata temu remontu. Dzień wcześniej Butonow posprzątał babciną połowę domu, w której nikt nie mieszkał od dwudziestu lat, wynajmując dwóch chłopów do pomocy. Nika namówiła go, żeby nie kładł na ściany tynków, jak początkowo chciał, a przeciwnie, zdarł wszystko, zostawiając gołe bale, wyczyścił je, ponownie uszczelnił i odnowił poza tym stare meble po pradziadku.

* Uwierz mi, Butonow, teraz spalisz, a za dwadzieścia lat te meble będą miały muzealną wartość.

Butonow się zdziwił, ale posłuchał i teraz zdzierał razem z chłopami kilka warstw tapet.

* Butonow! * usłyszał z ulicy kobiecy głos. * Walera!

Wyszedł w starym doktorskim czepku, wokół niego unosiły się tumany kurzu. Przy furtce stała Masza. Nie od razu ją poznał. Była pięknie opalona na brąz i wyglądała bardzo pociągająco z tym swoim szerokim uśmiechem, który ledwo się mieścił na jej wąskiej twarzy.

Wsunąwszy rękę w szczelinę między deseczkami furtki, zdjęła haczyk i zanim zdążył cokolwiek pomyśleć, już mknęła nierówną ścieżką i po chwili rzuciła mu się na pierś, wtulając w nią twarz jak szczeniak:

* Koszmar! Po prostu koszmar! Już myślałam, że cię nigdy więcej nie zobaczę!

Jej włosy pachniały morzem. Usłyszał, jak kiedyś na Krymie, głośny łomot jej serca:

* Cholera! Słyszać jak w stetoskopie!

Płynął od niej żar i światło, jak od nagrzanej spirali mocnej żarówki. Przypomniawsobie, jak zaciekłe i desperacko walczyła z nim w malutkim pokoiku Medei i od razu zapomniał o jej długich listach z wierszami i mętnymi rozważaniami o rzeczach, których nie rozumiał i które nie były mu do niczego potrzebne...

Przycisnęła usta do zakurzonego lekarskiego kitla i wypuściła gorące powietrze.

Podniosła twarz * już się nie uśmiechała, była tak blada, że widać było dwa wyraźne odwrócone półksiężyce z ciemnych piegów od kości policzkowych do nosa.

* Oto jestem...

Jeśli na babcinej połowie panował straszny bałagan, to na poddaszu, dokąd weszli, była prawdziwa rupieciarnia. Ani matka, ani babka nigdy niczego nie wyrzucały.

Przedziurawione miski, baki, śmiecie gromadzone przez długie lata. Dom budował pod koniec XIX wieku pradziadek Butonowa. Rastorgujewo było wówczas ośrodkiem handlowym i kurz na poddaszu musiał pochodzić jeszcze z poprzedniego stulecia * nie było gdzie się położyć.

Butonow posadził Maszę na chwiejnej etażerze * wyglądała tam jak gliniana kotka, tylko chuda i bez szczeliny do wrzucania monet na czubku głowy.

Wszystko odbyło się tak szybko i gwałtownie, że nie mogli złapać tchu. Butonow przeniósł ją na zniszczony fotel i znów poczuł żar i niezwykłą ciasnotę wewnątrz jej dziecięcego ciała. Po jej nieobecnej twarzy spływały łzy, a on je zlizywał * miały smak morskiej wody. Słodki Jezu...

Masza zaraz po tym pojechała do domu i Butonow wrócił do zdzierania tapet z chłopami, którzy chyba nawet nie zauważyli jego nieobecności. Czuł się pusty, jak komin, a właściwie, jak zgniły orzech, bo jego pustka nie przeszywała go na wylot, a była raczej wydrążona i okrągła... Wydawało mu się, że dał więcej, niż chciał...

„Ależ z nich siostrzyczki... * Nie zagłębiał się w zawilóści pokrewieństwa. *

Całkowite przeciwieństwo. Jedna się śmieje, druga płacze. Świetnie się dopełniają”.

...Przez trzy dni Masza nie mogła zastać Niki w domu, chociaż dzwoniła bez

przerwy. Wiedziała od Sandry, że Nika wróciła już do Moskwy. Wreszcie się dodzwoniła:

* Nika! Gdzie się podziewasz?

Nawet do głowy by jej nie przyszło, że ta jej unika, bo nie jest przygotowana do rozmowy.

* A jak myślisz? * fuknęła Nika.

* Nowy romans! * parsknęła Masza, połykając przynętę.

* Piątka z plusem! * pochwaliła ją Nika.

* Kto do kogo jedzie? Lepiej ja do ciebie! Już jadę! * niecierpliwiła się Masza.

* Dawaj lepiej na Uspeńską * zaproponowała Nika. * Matka chyba już wariuje z dziećmi po trzech dniach.

O dzieciach, podrzuconych Sandrocze, całkiem zapomniano. Ale Sandra z Iwanem Isajewiczem tylko się cieszyli z obecności wnuków, które wcale nie były dla nich ciężarem. Iwan Isajewicz namawiał tylko, żeby jechać na daczę * bo męczyć dzieciaki latem w mieście...

* Nie, lepiej ja do ciebie, bo tam nie porozmawiamy! * błagała Masza i Nika się poddała: co robić, wiedziała już, że będzie musiała wysłuchać jej wyznań.

Od tego czasu Nika musiała znosić rolę powiernicy. Znalazła się w dwuznacznej sytuacji, a przyznać się, że bierze w tym udział, było już jakby za późno. Masza, trawiona miłosną gorączką, spieszyła opowiedzieć jej o każdym spotkaniu i było to dla niej bardzo ważne.

Przez wiele lat dzieliła się najdrobniejszymi przeżyciami z mężem, ale w tym wypadku Alik absolutnie się nie nadawał, więc zwierzała się ze wszystkiego Nice, która musiała wysłuchiwać również jej wierszy.

„Jesień w Rastorgujewie" * żartowała Masza.

Aluzja do „jesieni w Boldinie" * niezwykle płodnym okresie w twórczości Aleksandra Puszkina (przyp. tłum.)

Już wcześniej cierpiąca na bezsenność spała teraz dziurawym zajęczym snem, pełnym dźwięków, wierszy, niepokojących obrazów.

Widziała jakieś bajeczne zwierzęta z mnóstwem łap i oczu * pół ptaki, pół koty * coś

to wszystko musiało znaczyć, ale co?

Jedno z nich, wyglądające jakoś znajomo, Ignęło do niej i wabiło się też jakoś znajomo * był to rząd cyfr i liter. Po obudzeniu przypomniała sobie * Ż4836... Roześmiała się. Był to numer wydrukowany grubą czarną farbą na płóciennym pasku, który przyszywała do bielizny oddawanej do pralni.

Wszystkie te brednie miały jednak jakiś sens. Pewnego razu przyśnił jej się całkiem skończony wiersz, który zapisała w pólśnie. Przeczytała go rankiem i zdumiała * „Nie, to nie moje, niemożliwe, żebym to ja napisała...”

Więc na „ty” przechodzimy i nagle lecimy Przez gwiazdozbiór zaimków jeszcze niepowstałych

Chcę by się moje usta układały Do twoich słów. I żebym była z tobą cała
W ciemnej krainie, dotyku głębinie W błyskawicy co spala mego ciała imię I w
nawałnicy i w potopu fali Która granice między nami zwali

* Popatrz no tylko, jakby ktoś mi to dyktował * pokazywała Nice nocne zapiski.

Ale Niki te wiersze w ogóle nie cieszyły, była raczej przestraszona. Bawiło ją jednak, że dzięki Maszy wiedziała o każdym słowie i ruchu Butonowa, dokładnie o wszystkim, co robił poprzedniego dnia.

* Są jeszcze smażone ziemniaki? * pytała go niewinnie, bo Masza opowiadała jej, jak poprzedniego dnia obierała ziemniaki i zraniła się w palec.

Butonow nie rozmawiał z Niką o Maszy, ona też nie wspominała o rywalce i Butonow miał wrażenie, że obie są we wszystkim świetnie zorientowane i nawet podzieliły między sobą dni tygodnia: Masza przyjeżdżała w weekendy, Nika * w dni powszednie.

Żadnej zmowy między nimi oczywiście nie było, po prostu w weekendy Nika jeździła na daczę, żeby zobaczyć się z dziećmi: najpierw z Lizą i Alikiem, które gościły u Sandry, a później z Katią, odpoczywającą u drugiej babci.

Duży Alik brał dyżury w pogotowiu wyłącznie w weekendy, żeby mieć czas na badania w laboratorium, a Masza, woląc nie kłamać, a honorowo przemilczeć, wychodziła z domu tylko wtedy, kiedy go nie było. Ostatnio bywał zresztą w domu coraz rzadziej.

Był dla niej wyrozumiały i dobry i nie zadawał żadnych niepotrzebnych pytań, rozmawiali głównie o wyjeździe. Czekali na zaproszenie z Izraela. Masza podtrzymywała ten temat, chociaż w żaden wyjazd nie wierzyła.

We wrześniu, kiedy Nika wyjechała do Tbilisi, Masza po prostu nie mogła bez niej wytrzymać, próbowała nawet dzwonić do niej, ale na próżno. Nie mogła jej znaleźć również przez Ninoczkę.

Butonow skończył we wrześniu remont i mieszkał teraz z żoną w Chamownikach, ale polubił dom w Rastorgujewie i nocował tam kilka razy w tygodniu.

Czasami zabierał po drodze Maszę i jechali tam razem. Kiedyś wybrali się nawet w Rastorgujewie na grzyby, ale nic nie znaleźli, przemokli do suchej nitki, a później suszyli rzeczy przy piecu i spalili jedną skarpetkę Maszy. Było to jednym z ich wspólnych małych przeżyć * tak samo jak zraniony palec Maszy czy siniak na jej ciele, pozostawiony po miłosnych zmaganiach.

Może nie było to miejsce przyjazne dla niej, a może wzbudzała w Butonowie brutalność, ale podobnych niewielkich skaleczeń było więcej i Masza była nawet trochę dumna z tych pamiątek po wspólnie przeżytych uniesieniach.

Po powrocie Niki z Tbilisi Masza długo i ze szczegółami opowiadała jej o swym burzliwym romansie, wspomniawszy na koniec przelotnie o zaproszeniu z Izraela, które wreszcie nadeszło.

Nika zgłupiała, ależ ta Maszka jest pokręcona * przecież właśnie to zaproszenie było najważniejszą wiadomością!

Wyjazd oznaczał rozłąkę z rodziną, być może na zawsze, a ta pokazywała siniaki i czytała wiersze. Nika też miała o czym opowiadać. Była zaangażowana teraz w nowy romans i pomyślała, że to odpowiednia chwila, żeby zerwać z Butonowem.

Przez cały tydzień czekała, jak jakaś Penelopa, na swojego Wachtanga, który miał przyjechać do „Mosfilmu” na próby, ale jego przyjazd był ciągle odkładany i Nika, żeby nie stracić wprawy, wpadała do Butonowa. A ponieważ Masza zdawała dokładne relacje z każdej swojej podróży do niego, wybrać odpowiednią chwilę było nie trudno.

Na widok Niki Butonow szczerze się ucieszył. Chciał jej pokazać wyremontowaną

część domu * bądź co bądź doradzała mu w urzędzeniu. Jej pomysł z oczyszczeniem bali bardzo mu się spodobał, ale przeraziła się, widząc, że pokrył drewno lakierem. Długo i zabawnie mu za to wymyślała, każąc zmywać lakier rozpuszczalnikiem. Poprzesuwała meble, pokazała, gdzie i co trzeba poprawić, a czego nie ruszać. Nie darmo miała ojczyma meblarza, a ponieważ była bystra, wszystko łapała błyskawicznie. Obiecała, że przywiezie mu kolorowe szkło do kredensu w miejsce stłuczonego i uszyje zasłony w teatralnej pracowni...

Nie zauważyła jak w tym całym zamieszaniu ześliznęła się z jej ramion chustka i przyczaiła się jak żmija między prześcieradłem i materacem i Nika nie mogła jej rano znaleźć. Zrobiła ją własnoręcznie w czasach, kiedy uczyła się malowania na tkaninach w szkole plastycznej...

Kiedy Masza już z progu rzuciła się na nią z tą nieszczęsną chustką, żądając wyjaśnień, Nika ostro jej przerwała:

* A co na to Butonow?

* Że jesteście razem od dawna, jeszcze z Krymu... To niemożliwe... Powiedziałam mu, że to niemożliwe...

* A on? * nie odstępowała Nika.

* A on, że muszę ten fakt zaakceptować. * Masza cały czas miętosiła chustkę, która była tego namacalnym dowodem.

Nika wyrwała chustkę z jej rąk i rzuciła na komódkę:

* No to zaakceptuj!

* Nie mogę, nie mogę! * rozplakała się Masza.

* Maszka... * spuściła nagle Nika z tonu. * Tak wyszło. I co teraz mam zrobić, powiesić się? Po co te tragedie? A niech to szlag trafi! „Niebezpieczne związki” jakieś czy co...

* Nikuś, słoneczko moje, ale co ze mną? Mam na to nie zwracać uwagi, czy jak? Sama nie wiem, dlaczego to tak boli. Kiedy zobaczyłam tę chustkę, myślałam, że umrę. * I znów się wzdrygnęła: * Nie, nie, to niemożliwe!

* Ale czemu niemożliwe? Czemu?

* Nie mogę tego wytłumaczyć. Niby nikt nic nikomu nie obiecywał, wybór jest

czymś zupełnie przypadkowym i na moim miejscu zawsze może być ktoś inny. Ale jeśli chodzi o ten konkretny przypadek, jestem przekonana, że jest wyjątkowy, nic się nie liczy, tylko to. Tak, jest wyjątkowy...

* Aniele mój * przerwała jej Nika. * Może tobie tylko tak się wydaje? Każdy przypadek jest wyjątkowy, uwierz mi. Butonow jest świetnym kochankiem i można to zmierzyć w centymetrach, minutach, godzinach, hormonach we krwi. To wszystko * tylko parametry! Ma świetne warunki fizyczne * i to wszystko! To twój Alik jest wspaniałym człowiekiem, inteligentnym, utalentowanym, Butonow do pięć mu nie dorasta, ale Alik cię po prostu ...

* Zamknij się! * krzyknęła Masza. * Natychmiast się zamknij! Weź sobie swojego Butonowa ze wszystkimi jego centymetrami!

I wybiegła chwyciwszy, nie wiadomo po co, zwróconą przed chwilą chustkę.

Nika nawet nie próbowała jej zatrzymać * niech się uspokoi. Jeśli człowiek ma jakieś głupie złudzenia, powinien się od nich uwolnić. W zasadzie Butonow miał rację mówiąc, żeby to zaakceptowała. A tu proszę... Nika z rozdrażnieniem przypominała sobie jeden z wierszy Maszy * „Przyjmij i to, co ponad siły, jak łaskę w łasce...” No to przyjmij. Przyjmij jako fakt i już...

Drogi Butonow! Wiem, że pisanie listów nie jest twoim ulubionym zajęciem i że ze wszystkich kontaktów międzyludzkich wolisz dotyk. I nawet zawód sobie taki wybrałeś * praca palcami, dotykiem, delikatnym ruchem. I jeśli patrzeć na sprawę pod tym kątem, w sensie dosłownym i przenośnym, wszystko jest w porządku. Przy dotyku nie potrzebne są twarz ani oczy * wystarczą receptory. Nika próbowała mi to wytłumaczyć: że niby decydują centymetry, chwile, poziom hormonów we krwi. Jest to jednak kwestią wyboru. I jak się okazało w praktyce, mam na ten temat inne zdanie, dla mnie liczy się wyraz twarzy, emocje, intonacja, głębokie przeżycie. Jeśli tego nie ma, to stajemy się przedmiotami, z których korzystamy. I to mnie właściwie męczy najbardziej: czy możliwy jest tylko kontakt cielesny? Czy nas z sobą nic nie łączy, prócz objąć do utraty tchu? Czy kiedy nasze ciała są połączone tak mocno, że zaciera się granica między nimi, nie ma innej bliskości poza cielesną?

Nika, twoja kochanka, a dla mnie więcej niż siostra, przekonuje mnie, że liczą się tylko centymetry, chwile, hormony... Powiedz * nie! Powiedz, że tak nie jest! Czy między nami nie istniało coś więcej, czego nie da się opisać za pomocą parametrów? No to w takim razie nie ma ani mnie, ani ciebie, w ogóle nikogo i niczego nie ma, a my wszyscy jesteśmy zwykłymi mechanicznymi zabawkami, a nie dziećmi Pana Boga. Oto wierszyk dla ciebie, Butonow, i proszę cię: powiedz „nie”.

Igraj centaurze radosny

Chimero dwu sprzeczności

Pół duszy człowieczej co płonie

Pół szalonego konia

Twój los jest próbą łączenia

Brzegów światła i cienia

A między nimi płyną

Wody tajemną głębiną

W tej rzece

Przeminę

Nijaka

Ni dla Ciebie

Ni świata

Masza Miller

Butonow tylko chrząknął, przeczytawszy ten list. Trochę już znał Maszę, oczekiwał więc większych emocji z powodu zdrady. Nie spodziewał się natomiast, że zazdrość może wyrażać się w tak skomplikowany, zawity sposób. Wygląda na to, że dziewczyna cierpi, i to bardzo...

Odezwał się do niej po dziesięciu dniach, odczekawszy aż opadną emocje i zaproponował przejażdżkę do Rastorgujewa. Wahala się, rzucając po chwilach milczenia raz „tak”, raz „nie” * chociaż Butonow nawet przez telefon czuł, że tylko marzy o spotkaniu * i wreszcie się zgodziła.

Rastorgujewo wyglądało zupełnie inaczej, spadł prawdziwy śnieg i było go tak dużo, że ścieżkę od furtki do ganku całkiem zaniósł i żeby wjechać na podwórko wozem,

Butonow musiał najpierw zgarnąć śnieg drewnianą łopatą, robiąc wielką zaspę. W domu było chyba zimniej niż na zewnątrz. Butonow z progu rzucił się na Maszę i oboje szybko się rozgrzali. Stękała przez łyzy i cały czas powtarzała:

* Powiedz „nie”!

* Jakie „nie”, kiedy „tak”, „tak”, „tak”... * śmiał się Butonow.

Kiedy było po wszystkim, rozpalili kominek, otworzyli jakąś starą konserwę * skumbrie w tomacie * jadł tylko Butonow. Masza nie tknęła jedzenia. Nic innego w domu nie było.

Postanowili nie wracać dziś do Moskwy, poszli pieszo do stacji zadzwonić. Masza uprzedziła Deborę Lwownę, że zostaje na noc u przyjaciół na dacy. Teściowa wybuchła:

* No tak! Mąż i dziecko cię nie obchodzą! Wiesz, kim jesteś...

Masza odwiesiła słuchawkę.

* Wszystko w porządku, załatwione...

Wracali zasypaną śniegiem drogą. Butonow pokazał jej dom, w którym mieszkał Witka Krawczuk.

* Chcesz zajść? * zaproponował.

* Po co! * roześmiała się Masza.

W domu znów zrobiło się chłodno * w ogóle nie trzymał ciepła.

„Kolej na komin, trzeba się tym zająć w przyszłym roku” * pomyślał Butonow.

Usiedli w kuchni, tam było trochę cieplej. Poznosił materace z całego domu. Nie zdążyli się rozgrzać, Butonow pobiegł do wychodka na podwórku * rozboleł go brzuch. Kiedy wrócił, Masza zaczęła mówić, dotykając paluszkami jego twarzy, o cielesnym uniesieniu, o możliwości wyrażania swojej osobowości przez dotyk...

Rybne konserwy ganiały Butonowa na podwórko przez całą noc, aż go skręcało z bólu, a Masza tymczasem bez przerwy coś namiętnie nawijała, nie mogąc zasnąć.

Trzeba przyznać, że Butonow wykazał się niezwykłą delikatnością, nie każąc jej po prostu się zamknąć, i kiedy ból trochę puszczał, udawało mu się nawet na krótko zasnąć. Powiedział do niej rano w drodze do miasta:

* Jestem ci wdzięczny, że przynajmniej wierszy mi w nocy nie czytałaś, jak ta

biegunka mnie męczyła...

Masza popatrzyła się na niego zdumiona:

* Jak to, przecież czytałam... Cały Poemat bez bohatera ci przeczytałam, od początku do końca...

Z mężem nie miała żadnych problemów, ale ostatnio coraz mniej ze sobą rozmawiali. Chociaż mieli już zaproszenie, nie złożyli jeszcze dokumentów na wyjazd. Alik musiałby wtedy zwolnić się z pracy, a chciał skończyć serię jakichś badań.

Przesiadywał więc do późna w laboratorium, zrezygnował z dyżurów w pogotowiu. Czasami zanosił do antykwariatu pełny plecak książek * z biblioteką ojca i tak trzeba było się rozstać. Widział, że Masza się miota i denerwuje, i szczerze jej współczuł, jakby była ciężko chora.

W grudniu Butonow wyjechał do Szwecji * jak zapewniał, na jakieś dwa tygodnie, chociaż dobrze wiedział, kiedy wraca. Kochał niezależność. Nika prawie nie zauważyła jego nieobecności. Była zajęta przygotowaniem kostiumów do przedstawienia dla dzieci na ferie zimowe, no i przyjechał wreszcie Wachtang, spędzała więc cały wolny czas z nim i jego przyjaciółmi, moskiewskimi Gruzinami. Biegała po restauracjach, do Domu Filmu czy WTO.

Masza czuła się przygnębiona, próbowała złapać chociażby Nike, żeby porozmawiać z nią o Butonowie. Ale ta była nieuchwytna. Z innymi przyjaciółkami nie chciała i nie mogła o nim rozmawiać.

Bezsenność, która jak dotąd tylko ostrzyła pazurki, w grudniu ją wreszcie dopadła. Alik przynosił jej coś na sen, ale po tabletkach czuła się jeszcze gorzej: ten sam natrętny sen zaczynał się za każdym razem inaczej, ale zawsze sprowadzał się do jednego: szukała Butonowa, biegła za nim, a on znikał, wsiąkał jak woda w piasek, przemieniał się, jak w bajce, w coś innego, ulatniał, rozwiewał się jak dym...

Dwa razy jeździła do Rastorgujewa tylko po to, żeby odbyć całą tę podróż od dworca Pawieleckiego, dojechać kolejką do znajomego przystanku, dojść pieszo do domu, zatrzymać się na chwilę koło furtki, zobaczyć zasypany śniegiem dom, ciemne okna i wrócić do miasta. Wszystko zajmowało jej jakieś trzy i pół godziny i najbardziej lubiła drogę do Rastorgujewa.

Minęły dwa tygodnie, a Butonowa wciąż nie było. Zadzwoiła do jego mieszkania w Chamownikach. Niski, zmęczony kobiecy głos odpowiedział, że wróci o dziesiątej. Nie wrócił jednak ani o dziesiątej, ani o jedenastej, a następnego ranka ten sam głos odpowiedział:

* Proszę zadzwonić w piątek.

* Czy on wrócił? * spytała nieśmiało Masza.

* Przecież mówię pani, niech pani zadzwoni w piątek * odpowiedziała z rozdrażnieniem kobieta.

Był poniedziałek.

„Przyjechał i nie dzwoni” * zadręczała się Masza. Zadzwoiła do Niki z pytaniem, czy ta przypadkiem nie wie, co się dzieje z Butonowem. Nie wiedziała.

Znów wybrała się do Rastorgujewa, tym razem pod wieczór. Śnieg przed bramą domu był zgarnięty, brama zamknięta. Samochód stał na podwórku. Połowa domu była słabo oświetlona. Masza szarpnęła przymarzną furtkę. Ścieżka prowadząca do domu była zasypana. Szła grzęznąć w śniegu prawie po kolana. Długo dzwoniła do drzwi * nikt nie otworzył.

Chciała się obudzić * wszystko wyglądało zupełnie jak w którymś z jej snów. Obraz był tak samo wyraźny i czuła taką samą ostrą rozpacz * wiedziała, że Butonow jest w środku, świadczył o tym chociażby jego beżowy samochód przykryty śnieżną kołdrą * ale pozostawał nieuchwytny.

Po czterdziestu minutach czekania zrezygnowała.

„Z nim jest Nika” * pomyślała.

Przez całą powrotną drogę myślała nie o Butonowie, tylko o Nice. Znała ją od wczesnego dzieciństwa. Bardzo się lubiły. Maszy podobały się grube wargi Niki całe w poprzecznych zmarszczkach * zapasy na uśmiech, fałdy ukrytego śmiechu w kącikach ust, chrzęszczące rude włosy, a Nika lubiła chłopięcą sylwetkę Maszy, jej małe stopy, gwałtowność ruchów, delikatność.

Jeśli chodzi o Maszę, która zawsze była w stosunku do siebie bardzo krytyczna, wybrałaby na miejscu Butonowa Nike. A Nika o takich rzeczach w ogóle nie myślała, była zawsze z siebie zadowolona...

Butonow połączył je teraz w jakiś niepojęty sposób... Jak Jakub, który ożenił się z dwoma siostrami... Można by je nazwać teraz współżonami, tak samo jak są współbracia. Jakub wchodził do namiotu, brał siostry, brał służące, wszyscy byli jedną wielką rodziną... Czym jest zazdrość, jak nie formą chciwości... Nie można mieć drugiego człowieka na własność... No dobrze * wszyscy byliby braćmi i siostrami, mężami i żonami... Uśmiechnęła się: jeden wielki burdel Czernyszewskiego, urzeczywistnienie któregoś ze snów Wierzy Pawłowny.

Wiera Pawłowna * bohaterka utopijnej powieści Nikolaja Czernyszewskiego Co robić? (1863 r.)

Niczego wyjątkowego, osobistego. Tylko nuda i banał. Mamy w końcu wolność wyboru czy nie? Skąd to uczucie wstydu i nieprzyzwoitości? Zanim dotarła do Moskwy, napisała wiersz dla Niki:

Jest miejsce między drzewem oraz cieniem
Pomiędzy łykiem wody a pragnieniem
Ciemności snów i korytarze liczne Dzieciństwa * rozświetlając latarką zdobyczną
Wszystko sobie wyznamy i nie uciekamy I sreber nie kradniemy i nie zabijamy I też
nie chcemy walonkami miesić Błocka czy zakazanych srogo śpiewać pieśni Jednak
czynimy jeszcze coś gorszego I boimy * we dwoje * boimy się tego

W domu była koło dwunastej * Alik czekał na nią w kuchni z butelką dobrego gruzińskiego wina. Skończył właśnie doświadczenia i mógł nawet jutro składać podanie o zwolnienie. Dopiero teraz dotarło do niej, że wkrótce wyjadą stąd na zawsze.

„Świetnie, bardzo dobrze, skończy się wreszcie ta upokarzająca sytuacja bez wyjścia” * pomyślała. Spędzili razem z Alikiem długi wieczór, który przeciągnął się do czwartej nad ranem. Rozmawiali, robili plany na przyszłość i Masza zasnęła mocnym snem, trzymając Alika za rękę.

Obudziła się późno. Debory Lwowny nie było w domu przez kilka dni, często ostatnio zostawała u swojej chorej siostry. Alik Duży i Alik Mały byli już po śniadaniu. Obraz był wprost sielankowy, nawet kotka leżała na kanapowej poduszce.

„Wszystko wspaniale! Chyba zaczynam dochodzić do siebie” * myślała Masza, z trudem kręcąc rączką młynka do kawy.

Potem wzięli sanki i poszli na górkę. Tarzali się w śniegu, przemokli i czuli się razem szczęśliwi.

* A w Bostonie jest śnieg? * spytała Masza.

* Nie tak dużo jak tu. Ale będziemy jeździli w stanie Utah na nartach zjazdowych, nie będzie tak źle * obiecał Alik.

A jak coś obiecał, zawsze spełniał. Wieczorem zadzwonił Butonow:

* Nie stęskniłaś się?

Widział oczywiście kręcącą się koło furtki Maszę, ale nie otworzył, bo była u niego akurat taka jedna sympatyczna grubaska, tłumaczka, z którą był razem za granicą. Przez dwa tygodnie zerkali na siebie porozumiewawczo, ale nie było okazji do nawiązania bliższej znajomości. Miękka i leniwa, bardzo podobna, jak później się okazało, do jego żony Olgi, przewracała się w jego objęciach jak senna kotka pod dźwięki dzwonek Maszy i Butonow wściekał się na tłumaczkę, Maszę i siebie. Potrzebował Maszki, gwałtownej, wyrazistej, z jej łzami i stękaniami, a nie tej grubaski.

Od rana próbował się do niej dodzwonić, ale początkowo nikt nie odbierał, telefon był widocznie odłączony, później dwa razy podchodził Alik i Butonow odkładał słuchawkę, udało mu się dopiero pod wieczór.

* Nie dzwoń tu, proszę * poprosiła Masza.

* Kiedy przyjdiesz? Mów od razu * nie dosłyszał Butonow.

* Nigdy. Nie dzwoń do mnie więcej, Walera. * I dodała przeciągle, ze łzami w głosie:

* Dłużej tego nie wytrzymam.

* Maszka, ale ja się okropnie stęskniłem! Oszalałaś? Obraziłaś się, czy co? To nieporozumienie, Maszo. Będę za dwadzieścia pięć minut pod twoim domem. * I odłożył słuchawkę.

Masza nie mogła sobie miejsca znaleźć. Przecież

twardo postanowiła, że nie będzie więcej z nim się spotykać, czując od razu może nie całkowitą, ale jednak ulgę, i dzisiejszy dzień był wspaniały, z górką, słońcem... „Nie pójdę” * postanowiła.

Ale po pół godzinie narzuciła na siebie kurtkę, wołając do Alika:

* Za dziesięć minut wracam! * I pomknęła na dół schodami, nie czekając na windę. Samochód Butonowa stał pod samą bramą. Otworzyła gwałtownie drzwi i usiadła obok:

* Muszę ci powiedzieć...

Objął ją, włożył rękę pod kurtkę:

* Porozmawiamy na pewno, maleńka. * I ruszył.

* Nie, nigdzie nie jadę. Wysłama, żeby ci powiedzieć, że nigdzie nie jadę.

* Ale my już jedziemy * roześmiał się Butonow. Tym razem Alik się obraził:

* To świństwo z twojej strony! Czy ty tego nie rozumiesz? * wyrzucał jej, kiedy wróciła późnym wieczorem. * Wychodzisz na dziesięć minut, a wracasz po pięciu godzinach! I co ja mam o tym myśleć? Wpadłaś pod samochód? Zabili cię?

* Przepraszam, masz rację, to świństwo z mojej strony. * Masza czuła się okropnie winna... i szczęśliwa...

A potem Butonow zniknął na miesiąc i Masza starała się jak mogła przyjąć to zniknięcie „jak fakt”, ale ten fakt był dla niej nie do zniesienia. Prawie nie jadła, piła tylko słodką herbatę i prowadziła nieskończony wewnętrzny monolog skierowany do Butonowa. Sypiała coraz gorzej.

Alik się niepokoił: wszystko wskazywało na załamanie nerwowe. Zaczął podawać jej leki uspokajające, zwiększył dawkę środków nasennych. Odmówiła brania leków psychotropowych:

* Nie jestem wariatką, tylko idiotką, a z tego nie da się wyleczyć.

Alik nie nalegał. Uważał, że jest to dodatkowy powód, by przyspieszyć wyjazd.

Dwa razy przyjeżdżała Nika. Masza mówiła wyłącznie o Butonowie. Nika przeklinała jego, winiła siebie i przysięgała, że widziała go po raz ostatni w grudniu, jeszcze przed jego wyjazdem do Szwecji. Mówiła też, że nie jest nic wart i że cała ta historia ma tylko tyle dobrego, że Masza napisała dzięki niej mnóstwo pięknych wierszy. Masza posłusznie czytała wiersze i zastanawiała się, czy Nika ją okłamuje i czy była jednak wtedy u Butonowa?

Alik biegał po urzędach. Zebrał stosy różnych dokumentów. Spieszył się nie tylko ze względu na Maszę * w Bostonie czekała na niego praca, bez której tu też zaczynał

wariować. Trasa wyjazdu była dość skomplikowana: najpierw żydowskimi kanałami do Wiednia, a stamtąd do Ameryki. Nie wykluczono, że między Wiedniem i Ameryką będzie jeszcze przystanek w Rzymie * zależy, jak szybko przejdą ich dokumenty przez zachodnie urzędy.

Sprawę wyjazdu niespodziewanie skomplikował sprzeciw Debory Lwowny:

„Nigdzie nie jadę, mam chorą siostrę, jedyne bliskiego mi człowieka i nie zostawię jej samej...” Dalej było zwykłe gadanie „jidysz marne”: „Całe życie poświęciłam tobie, jesteś niewdzięcznikiem... ten przeklęty Izrael, całe życie same nieprzyjemności przez niego... ta przeklęta Ameryka, żeby ją szlag!”

Alikowi ręce opadały po takich argumentach i brał matkę w ramiona:

* Mamusiu, kochana! Grasz w tenisa, prawda? A na łyżwach jeździsz? Czy jest coś, czego nie potrafisz robić? Może czegoś nie wiesz? Czegokolwiek? Uspokój się, błagam cię. Nikt nie ma zamiaru cię porzucać, jedziemy razem, a twojej Firze będziemy pieniądze z Ameryki przysyłać. Będę tam dobrze zarabiał...

Debora Lwowna milkła na chwilę, a potem rzuciła się ze zdwojoną siłą:

* Na co mi twoje pieniądze? Nie chcę żadnych pieniędzy! Dla nas z twoim tatą pieniądze się nie liczyły! Zepsujecie dziecko swymi pieniędzmi!

Alik chwycił się za głowę i wybiegał z pokoju.

Kiedy wszystkie potrzebne dokumenty były zebrane, Debora Lwowna kategorycznie odmówiła wyjazdu, chociaż dała oficjalną zgodę. Dokumenty zostały wreszcie złożone i wtedy znów pojawił się Butonow. Był ranek. Masza zawiozła Alikę Małego do Sandry i pojechała do Rastorgujewa, żeby się pożegnać.

Pożegnanie okazało się udanym. Powiedziała Butonowowi, że jest tu po raz ostatni, że wkrótce wyjeżdża na zawsze i chciałyby mieć same dobre wspomnienia. Butonow się zaniepokoił:

* Na zawsze? Tak w ogóle, to dobrze postanowiłaś, Maszo. Życie tu jest do chrzanu w porównaniu z tym na zachodzie, wiem. Ale żeby tak od razu na zawsze...

Masza obeszła cały dom, żeby zapamiętać każdy szczegół. Potem weszli razem na poddasze. Jak zawsze było tu dużo kurzu i rupieci. Butonow potknął się o zniszczone siedzenie wiedeńskiego krzesła i podniósł je:

* Popatrz.

Środek siedzenia był cały podziurawiony nożem, było też mnóstwo śladów po chybionych rzutach. Powiesił siedzenie na gwoździu:

* To było moim ulubionym zajęciem w dzieciństwie.

Wyjął nóż, odsunął się w drugi kąt poddasza i rzucił. Ostrze wbiło się w sam środek siedzenia, w stare trafienie...

Masza wyciągnęła nóż i podeszła do Butonowa. Myślał, że też chce rzucić, ale ona tylko zważyła nóż w dłoni i oddała:

* Teraz wiem już o tobie wszystko...

Po tym spotkaniu Masza zaczęła powoli zbierać się do wyjazdu. Wyciągnęła wszystkie papiery z szuflad biurka, porządkując co jest do wyrzucenia, a co można zatrzymać.

Celnicy nie przepuszczali rękopisów, ale Alik miał znajomego w ambasadzie i ten obiecał wysłać papiery Maszy pocztą dyplomatyczną. Siedziała na podłodze wśród stert papierów, przeglądała kartki, zastanawiając się nad każdą i zrobiło jej się smutno. Wygląda na to, że były tu same brudnopisy tego, co chciałyby dopiero napisać w przyszłości...

* Zbiorę wszystko razem i nazwę Bezsенność. Wiersze wychodziły na nią jak zwierzyzna z lasu,

całkiem gotowe, ale zawsze z jakąś wadą, kulawą tylną łapą, w ostatniej zwrotce.

Śnił mi się sen. Co było Wokół nagle zgubiło Siebie. I tylko widziany Jest jak w tapecie, na ścianach Jedna linia...

Nocami

Wszystko co było wspaniałe Za dnia * nagle jest małe I rośnie wielkość ciemności
Nad codzienności marnością

Pokochałam tę ciemność Nawet gdy jest bezsennym Wędrowanie w przejrzystość

Nieznany widnokrąg. Czystość Pustyni * gdzie w piaskach słonych Za snem

bezsennie gonię

Strasznie schudła, zrobiła się prawie przezroczysta, przezroczystym, nierealnym
stawał się dla niej również świat dzienny, który w odróżnieniu od świata nocnego

przestał ją pociągać.

Zjawił się anioł. Na początku go nie widziała, czuła jednak jego obecność, i czasami gwałtownie oglądała się za siebie, próbując uchwycić go kątem oka.

W jej śnie miał bardziej wyraźne rysy twarzy i fragment, w którym się pojawiał, zawsze był jak kolorowy epizod w czarnobiałym filmie.

Wyglądał za każdym razem trochę inaczej, potrafił przyjmować ludzką postać, raz się ukazał jako nauczyciel w białym ubraniu przypominającym strój szermierza i uczył ją latać. Stali na zboczu ruszającej się, lekko oddychającej góry, która również miała coś wspólnego z tą lekcją.

Nauczyciel wskazał jej na pewne miejsce na kręgosłupie, gdzieś w okolicach ramion i trochę głębiej, gdzie przyczaił się mały organ czy mięsień, i Masza poczuła, że poleci, jak tylko opanuje lekki i precyzyjny ruch, którym ów organ kierował. Skupiła się i jakby włączyła guzik * ciało zaczęło powoli unosić się nad górą, a góra trochę jej w tym pomagała. Leciała ociężale, powoli, ale już dobrze wiedziała, co trzeba robić, jak kierować szybkością i zmieniać kierunek lotu, żeby lecieć nieskończenie daleko i dokąd chcesz...

Podniosła głowę * w górze lekko i pewnie przelatywali przezroczyści ludzie, zrozumiała, że potrafi nauczyć się latać tak jak oni. Jednak ostrożnie wylądowała, nie doznawszy w pełni przyjemności latania.

Ten lot nie miał nic wspólnego z lotem ptaków: żadnego wymachiwania skrzydłami, trzepotu, żadnej aerodynamiki * wyłącznie wysiłek ducha...

Innym razem anioł uczył ją chwytów walki na słowa, jakiej nie ma w realnym świecie. Włożył do jej ręki słowo jak oręż, było gładkie i pasowało do jej dłoni jak ulał, pokazał jak lepiej trzymać i wtedy jego znaczenie rozblęsnęło ostrym promieniem. Natychmiast zjawili się dwóch przeciwników, jeden z prawej strony i wyżej od niej, drugi z lewej i trochę niżej. Obaj byli niebezpiecznymi i doświadczonymi wojownikami, opanowali walkę po mistrzowsku. Jeden błysnął w jej stronę * odparła uderzenie. Drugi szybko zaatakował z bliskiej odległości, ale jakimś cudem udało jej się obronić.

Te ataki oznaczały ostry dialog, którego nie dało się przetłumaczyć, ale dobrze

rozumiała jego sens. Obaj kpili z niej, wytykając jej mierność i dawali do zrozumienia, że nie sięga im do pięt.

Ale ona, dziwiąc się sobie, odpierała każde uderzenie i odkrywała z każdym nowym ruchem, że posługuje się bronią coraz rozważniej i celniej i walka rzeczywiście zaczynała przypominać szermierkę. Ten z prawej, bardziej złośliwy i kpiący, spasował. Poddał się i drugi... Wreszcie obaj zniknęli. Wyglądało na to, że zwyciężyła.

I wtedy rzuciła się ze łzami w objęcia swego nauczyciela, a on powiedział:

* Nie bój się. Widzisz, nikt nie może nam zaszkodzić...

I Masza rozpląkała się jeszcze bardziej, czując okropną słabość w całym ciele, jej własną słabość w odróżnieniu od rozważnej siły, która pomogła jej zwyciężyć, ale która nie pochodziła od niej, tylko była pożyczona od nauczyciela...

Po tym nowym doświadczeniu, jak również na widok sfer i przestrzeni, jakie otwierał przed nią anioł, czuła nieskończoną wolność i nieziemskie szczęście, ale mimo całej niezwykłości i nierealności tego co się z nią działo, domyślała się, że bezgraniczne szczęście przeżywane w chwilach bliskości z Butonowem, pochodzi z tego samego źródła, ma takie samo pochodzenie.

Chciała zapytać o to anioła, ale nie pozwolił jej: jak tylko się zjawiał, ulegała jego woli z łatwością i przyjemnością.

Ale kiedy znikał, czasami na kilka dni, czuła się okropnie, jakby chwile szczęścia z nim trzeba było koniecznie okupić mrokiem duszy, pustką i przygnębiającymi monologami, skierowanymi do prawie już nieistniejącego Butonowa. „Przychylne światło jest nie do zniesienia, lecz stokroć trudniej będzie znieść pustego dysku blask matowy wszystkich kolejnych dni...”

Zastanawiała się, czy nie opowiedzieć o tym Alikowi. Obawiała się jednak, że z typowym dla niego racjonalizmem zacznie oceniać sytuację nie z mistycznego punktu widzenia, tylko medycznego. Ale w jej przypadku między mistyką i medycyną rozciągało się rozległe pole poezji, należące wyłącznie do niej. Postanowiła to wykorzystać. Późnym wieczorem, kiedy cały dom już spał, przeczytała mu jeden z ostatnich swych wierszy:

Dowiedziałam się Aniele mój tego
że wiernie chcesz przy mnie stróżować
Chociaż ja do granitu twardego
Skołatana przytulam głowę
Bo z potopu freudowskich domysłów
Z gąszczy snów * gdzie wędrować mi przyszło
Wyrzuciła mnie brudna fala
No i żyję w mym domu z metalu
I betonu. Gdzieś tam w kącie leżą
Ni to skrzydła ni to zmięte pęcherze
Wiem Aniele, żeś nade mną zapłakał I zasłaniasz oczy skrzydłami
Nade mną nad tobą. Nad nami Nad zagubionym znakiem

* Świetny wiersz, Maszo, naprawdę. * Alik rzeczywiście był zachwycony, w odróżnieniu od przypadków, kiedy wyrażanie pochwały uważał za swój rodzinny obowiązek.

* To prawda. To znaczy ten wiersz... nie jest metaforą czy wymysłem. Tak jest naprawdę...

* Ależ oczywiście, Maszo, inaczej o żadnej twórczości nie może być mowy. Ta metafizyczna przestrzeń... * zaczął, ale przerwała mu.

* Mylisz się! Przychodzi do mnie, jak ty... Nauczył mnie latać i wielu innych rzeczy, nie da się tego opowiedzieć w słowach. Posłuchaj:

Spójrz na mewy lot niełatwy Skrzydła jej niedoskonałe Wygięła szyję * łapiąc
Oddech. Wysilek jej cały Bolesny jak poniżenie Musi lecieć bez wytchnienia Nad
grzbietami fal i zbierać Resztki, okruchy...

Jest teraz

Jak żebrak. Ale wie o tym że wszyscy poniżeni Co żebrzą na bożej ziemi Ulecą ze
skrzydeł łopotem W niebo. Już wyzwoleni Od nędzy i w niebie przeczystym
Zatańczą...

Ot taki skromny wierszyk, z którego niby wcale nie wynika, że latałam, że rzeczywiście byłam tam, gdzie taki lot jest czymś naturalnym... jak wszystko inne...

* Chcesz powiedzieć, że miałaś halucynacje * zaniepokoił się Alik.

* Ojejku, od razu halucynacje! Taka sama realność jak ty, jak stół... Ale trochę inna. Nie mogę tego wytłumaczyć. Jestem jak Kiciuś * pogłaskała kotkę. * Wszystko wiem, wszystko rozumiem, tylko powiedzieć nie potrafię. Z tym że ona nie cierpi, a ja * tak.

* Ależ, Maszo, chcę ci powiedzieć, że potrafisz. Świetnie potrafisz.

Mówił tonem delikatnym i spokojnym, ale był strasznie zaniepokojony.

„Schizofrenia, maniakalno*depresyjna psychoza? Jutro zadzwonię do Wołobujewa, niech wyjaśni”.

Wołobujew, lekarz psychiatra, był przyjacielem jego kolegi ze studiów, w tamtych czasach istniała jeszcze między lekarzami zawodowa solidarność, spadek po lepszych czasach i tradycjach.

A Masza czytała i czytała i nie mogła się zatrzymać:

Gdy moje myśli Ktoś przetłumaczy na słowa Sześcioskrzydłe * od nowa Wróci im siła. Znaczenie A wtedy powiem: Z tej ziemi Odchodzę. Grzeszna i dumna W tęczę grzechów odziana Do domu Ojca wezwana

...Wciąż nie potrafiła zerwać z Butonowem. Odwiedziła go w Rastorgujewie jeszcze trzykrotnie. Wydawało się, że wysoka nuta została już wzięta, że wyżej już się nie da * głos się zerwie, wszystko się posypie... Ale dopiero teraz, kiedy każde spotkanie mogło okazać się ostatnim, Butonow musiał przyznać, że Masza tak przyćmiła sobą swój pierwowzór, już prawie zapomnianą Rożkę, że nie potrafił przypomnieć sobie nawet twarzy amazonki, która zniknęła z jego życia bez śladu. Teraz nie Masza wydawała mu się podobną do Rożki, a odwrotnie, tamta krótka miłość była obietnicą dzisiejszej i nieunikniony wyjazd tylko wzmacniał namiętność.

Dał sobie spokój z kobietami, które plątały się w tym czasie w jego życiu. Jedna z nich, nawet czasami potrzebna w pracy sekretarka ze Sportkomitetu, dała mu do

zrozumienia, że się obraziła, bo ją lekceważy; druga * młoda balerina, korzystająca z jego masażu, którą potraktował wyjątkowo, ponieważ nigdy nie mieszał pracy z przyjemnością, odpadła sama, bo przeprowadziła się do Rygi. Z Niką rzeczywiście nie widywał się od grudnia, parę razy rozmawiali tylko przez telefon, wyrażając grzecznie chęć spotkania, ale na tym się kończyło.

U Butonowa dojrzwał kolejny kryzys w pracy. Był już znudzony medycyną sportową: wciąż te same urazy, z którymi miał do czynienia, i okropne intrygi związane z wyjazdami za granicę. Propozycja kierowania ośrodkiem rehabilitacyjnym przy Czwartym Urzędzie nadeszła w samą porę. Stanowisko było bardzo atrakcyjne. Żona Ola, która w wieku trzydziestu pięciu lat osiągnęła w karierze szczyt, jak to bywa w przypadku matematyków, namawiała Walerę na zmiany: nowe zajęcie, nowoczesne urządzenia, chyba nie ma zamiaru naciskać przez całe życie na te same punkty ciała...

Iwanów, wyschnięty i żółty, coraz bardziej podobny do buddyjskiego mnicha, przestrzegał: „Nie z twoim rozumem, nie z twoim charakterem...”

Był w jego słowach szacunek do jego osiągnięć, ale jednocześnie lekceważenie.

Butonow, który liczył się ze zdaniem Niki, zwłaszcza po tym, jak tak dobrze doradziła mu z remontem, postanowił porozmawiać z nią o tym. Spotkali się koło teatru i wpadli do podrzędnej knajpki na placu Tagańskim, znajdującej się na skrzyżowaniu ich tras.

Nika wyglądała świetnie, chociaż trochę ze wszystkim, jak zawsze, przesadzała: za długie futro, za krótka spódniczka, wielkie koła w uszach i puszysta grzywa.

Rozmowa była lekka i bezpośrednia, tak o niczym. Butonow opowiedział o swoim problemie i Nika nagle porzuciła lekki ton, zasepiła się i przerwała mu ostro:

* Wiesz co, Walero, mamy w naszej rodzinie pewną dobrą tradycję: trzymać się od władz jak najdalej. Miałam bliskiego krewnego, Żyda dentystę, lubił żartować: „Moje serce kocha władzę radziecką, ale ciało nie przyjmuje”. A ty będziesz musiał ją bez przerwy za ciało ścisnąć... * Nika wulgarnie, ale lekko i artystycznie, zaklęła.

Butonowowi jakby kamień spadł z serca: swymi wesołymi wyzwiskami Nika z łatwością rozwiązała jego problem. Z przyjemnością zrezygnował z Czwartego

Urzędu, o czym ją natychmiast poinformował.

Byli tak zadowoleni ze swego towarzystwa, że skończywszy szaszłyki wsiedli do beżowego „moskwicza” i Butonow bez zbędnych pytań zawrócił na Tagańskim i wziął kurs na Rastorgujewo.

...Maszę męczyła najpaskudniejsza bezsenność, jaka może się przydarzyć, kiedy wszystkie środki nasenne są już wzięte i śpią ręce, nogi, plecy, całe ciało, prócz niewielkiego ogniska w głowie, które nie przestaje wysyłać sygnału: „Nie mogę zasnąć... nie mogę zasnąć... nie mogę zasnąć...”

Wyśliznęła się z łóżka, gdzie spał zwinięty w kłębek Alik Duży, który wyglądał teraz jak dziecko. Poszła do kuchni, wypaliła papierosa, podstawiła rękę pod strumień zimnej wody, umyła się i położyła na sofie. Nie zdążyła zamknąć

jak znów ją dopadło: „Nie mogę zasnąć... nie mogę zasnąć... nie mogę zasnąć...”

I wtedy w drzwiach stanął jej anioł, miał na sobie ciemnoczerwone, mroczne ubranie, twarzy nie było widać, ale jego oczy błyszcząły, jak przez teatralną maskę, intensywnym błękitem. Zauważyła, że drzwi były przesunięte trochę w lewo od tych rzeczywistych. Wyciągnął ręce w jej stronę, położył dłonie na uszy i lekko przycisnął.

„Zaraz przekaże i dar jasnowidzenia” * domyśliła się Masza i zrozumiała, że trzeba zdjąć szlafrok. Została w długiej koszuli nocnej.

Stał teraz z tyłu i przyciskał jej uszy i oczy, a środkowymi palcami przesuwiał wzdłuż czoła do nasady nosa. Delikatne kolorowe fale, tęcze o wielu odcieniach, przyływały i odpływały. Czekał, kiedy mu przerwie.

* Starczy * powiedziała.

Palce zamarły. W paśmie bladożółtego, z nieprzyjemnym odcieniem zielonego światła, ujrzała dwie postacie, mężczyznę i kobietę. Byli bardzo młodzi i szczupli. Zbliżali się do niej, jakby patrzyła przez lornetkę, póki ich nie poznała * to byli jej rodzice. Trzymali się za ręce i byli zajęci wyłącznie sobą, mama miała na sobie znajomą sukienkę, niebieską w granatowe paski. Była młodsza od Maszy. Szkoda, że jej nie zauważyli. „Tak musi być” * zrozumiała Masza. Anioł znów zaczął głaskać ją po czole i nacisnął na jakiś punkt.

„Szkola Butonowa, akupresura" * pomyślała Masza. Pasek żółtego światła zatrzymał się i zobaczyła dom w Rastorgujewie, zamkniętą furtkę, siebie obok furtki. Samochód za bramą, słabe światełko w oknie. Przeszła przez furtkę nie otwierając jej, zbliżyła się do świecącego okienka, a raczej to ono zbliżyło się do niej, i lekko unosząc się w powietrzu zanurkowała do środka.

Nie zauważyli jej, chociaż stała całkiem blisko. Mogłaby dotknąć długiej odchylonej do tyłu szyi Niki. Nika uśmiechała się, a raczej się śmiała, ale dźwięk był jakby odłączony. Masza przesunęła palcem po błyszczącej piersi Butonowa, ale on tego nie poczuł. Jego warga zadrżała, rozciągnęła się i ukazały się przednie zęby, z których jeden był trochę krzywy...

* Zawracaj * cicho powiedziała Nika do Butonowa, zobaczywszy za szybą szosę Rizańską.

* Jesteś pewna? * zdziwił się, ale posłuchał i zawrócił.

Zatrzymali się na Usaczowce.

Usaczowka * ulica Usaczowa w Moskwie (przyp. tłum.)

Pocałowali się na pożegnanie i Butonow ani trochę się nie obraził * jak nie, to nie. W takich sprawach nie ma przymusu. Był wczesny wieczór, prószył śnieg. Katia z Lizą czekały na matkę. „Bóg z nim, z Rastorgujewem" * pomyślała Nika i lekko wbiegła na trzecie piętro...

Masza stała w zimnym przeciągu w przedpokoju między kuchnią i pokojem i nagle ją uderzyło * jak błyskawica się rozbłysła * że stała już kiedyś tak samo w nocnej koszuli w takim mrozącym przeciągu... Zaraz otworzą się za nią drzwi i zobaczy to coś potwornego za drzwiami... Przesunęła palcami w poprzek czoła do nasady nosa, potarła czoło: zaczekaj, zatrzymaj się...

Ale koszmar za drzwiami narastał, zmusiła się i obejrzała się za siebie * złudne drzwi poruszyły się...

Wbiegła do pokoju, popchnęła drzwi na balkon * otworzyły się bezgłośnie na oścież. Z ulicy powiało chłodem, ale był to chłód przyjemny i świeży, a tamten, lodowaty, duszny, został z tyłu.

Wyszła na balkon * śnieg był miękki i brzmiał na tysiąc różnych głosów, jakby każdy

płatki śniegu miał swój dźwięk * tę chwilę też pamiętała. To już kiedyś było. Obejrzała się za siebie * za drzwiami pokoju czaiło się coś potwornego i było coraz bliżej.

* Ach, wiem, wiem... * Masza stanęła na kartonowym pudle po telewizorze, potem na długiej skrzyni na kwiaty i zrobiła wewnętrzny ruch, który miał ją unieść w górę... Jej mąż Alik spał zwinięty w kłębek, w pokoju obok spał w takiej samej pozycji jej syn. Był początek przesilenia wiosennego, radosne niebiańskie święto.

Rozdział szesnasty

Medea otrzymała telegram dzień później. Przyniosła go rano listonoszka Klaudia. Telegramy przychodziły z trzech powodów: urodzin Medei, przyjazdu krewnych i śmierci któregoś z nich.

Medea weszła z telegramem do swego pokoju i usiadła w fotelu, który był teraz ustawiony naprzeciw ikon * nie miała już sił modlić się na stojąco.

Siedziała tam dość długo, poruszając wargami, potem podniosła się, wymyła filiżankę i zaczęła się pakować. Po jesiennej chorobie coś ją uwierało w lewym kolanie, ale przyzwyczała się już do tego i poruszała się trochę wolniej niż zwykle. Zamknęła dom i zaniósła klucz do Krawczuków.

Przystanek autobusowy miała obok. Tą trasą jeździli wszyscy jej goście * od Osady do Sudaku, od Sudaku do stacji autobusowej w Symferopolu, a stamtąd * na lotnisko. Zdażyła na ostatni rejs i późnym wieczorem tego samego dnia dzwoniła do drzwi mieszkania Sandroczi w zaułku Uspieńskim, gdzie nigdy jeszcze nie była.

Otworzyła jej siostra. Nie widziały się od pięćdziesiątego drugiego roku * dwadzieścia pięć lat. Objęły się, zalewając łzami. Lidia i Wiera właśnie wyszły.

Spuchnięta od łez Nika wybiegła do przedpokoju i uwiesiła się Medei na szyi.

Iwan Isajewicz poszedł nastawić wodę na herbatę * domyślił się, że przyjechała starsza siostra żony z Krymu. Coś mu się przypomniało o jakiejś ich dawnej niezgodzie. Medea zdjęła po chłopsku zawiązaną puchową chustę, pod nią miała kolejną, czarną i Iwan Isajewicz zachwycił się, patrząc na jej twarz * zupełnie jak z

ikony. Dostrzegł duże podobieństwo między siostrami.

Medea usiadła przy stole, rozejrzała się w obcym miejscu * dom jej się spodobał.

Śmierć Maszy sprawiła Aleksandrze Gieorgijewnie nie tylko wielki ból, ale i wielką radość ze spotkania z siostrą * dziwiła się tylko, jak mogła czuć to jednocześnie.

Medea z kolei nie mogła zrozumieć, siedząc po lewej stronie siostry, jak to się stało, że nie widziała najukochańszej dla siebie osoby przez ćwierć wieku * i przeraziło ją to. Żadne powody ani tłumaczenie nie przychodziły jej do głowy.

* To była choroba, Medeo, ciężka choroba, i nikt niczego się nie domyślił. Przyjaciel Alik, lekarz psychiatra, badał ją, jak się okazało, tydzień wcześniej. Powiedział, że trzeba natychmiast umieścić ją w szpitalu: maniakalno*depresyjna psychoza w ostrym stadium. Wypisał leki... A oni czekali na zezwolenie na wyjazd... Lada chwila miało być. Widziałam, że coś jest nie tak, ale nie trzymałam za rękę, jak w dzieciństwie... Nigdy sobie tego nie wybaczę... * nie mogła się uspokoić Aleksandra.

* Ależ, mam, przestań wreszcie! To na pewno nie twoja wina. To moja, moja...

Medeo, jak ja mam teraz z tym żyć? Nie chce się wierzyć... * płakała Nika, ale jej wargi, przyzwyczajone do śmiechu, jakby wciąż się uśmiechały...

Pogrzeb odbył się nie na trzeci dzień, jak jest przyjęte, a dopiero na piąty. Czekano na wyniki sekcji zwłok. Do sądowno*medycznej kostnicy gdzieś w okolicach Frunzeńskiej Alik przyjechał z dwoma przyjaciółmi i Gieorgijem.

Nika już tam na nich czekała. Owinęła ostrzyżoną głowę Maszy i szyję, na której widniał gruby szew po sekcji, kawałkiem białego jedwabiu i zawiązała płaski węzeł na skroni, jak to robiła Medea. Twarz Maszy nie zmieniła się, była tak samo piękna, tylko blada jak воск.

Duchowny z cerkwi na Preobrażence, gdzie Masza ostatnio jeździła, bardzo rozpaczał, ale nie zgodził się na odprawianie mszy żałobnej na pogrzebie samobójczynie.

Medea poprosiła, by zaprowadzili ją do greckiej cerkwi. Najbardziej grecką ze wszystkich moskiewskich cerkwi była Antiochijska. W soborze Fiodora Stratilata spytała o proboszcza, ale kobieta pomagająca przy mszy zaczęła ją dokładnie o wszystko wypytywać i gdy tłumaczyła jej przez zaciśnięte usta i z wbitym w ziemię

wzrokiem, że jest pontyjską Greczynką i przez wiele lat nie była w greckiej cerkwi, podszedł do nich staruszek, ojciec zakonny, i zwrócił się do niej po grecku:

* Greczynkę z daleka poznam... Jak się nazywasz?

* Medea Sinopli.

* Sinopli... Czy twój brat nie jest przypadkiem mnichem? * spytał szybko.

* Jeden z braci poszedł do klasztoru w dwudziestym roku, w Bułgarii, nie wiem co z nim się stało.

* Agafon?

* Afanasij...

* Bóg jest wielki! * zawołał ojciec zakonny. * Jest teraz starcem na Afonie.

* Dzięki cię, Boże * ukłoniła się Medea. Porozumiewali się z trudem. Starzec, jak się okazało, nie był Grekiem, tylko Syryjczykiem. Ich grecki bardzo się różnił.

Rozmawiali ponad godzinę, siedząc na ławce obok skrzynki na świece. Kazał przywieźć dziewczynę, obiecując, że sam odprawi mszę...

Kiedy samochód z trumną podjechał do cerkwi, stał tam już tłum. Zebrała się cała rodzina Sinopli. * gałąź taszkentska, tbiliska, wileńska, syberyjska... Do różnego rodzaju cerkiewnego złota * sukienek, ikon, świeczników i szat * dołączył kolor miedzi we wszystkich odcieniach na głowach Sinopli.

Pomiędzy Medeą i Aleksandrą stał Iwan Isajewicz, szeroki, z mączastą różową twarzą i asymetryczną zmarszczką w poprzek czoła. Podstarzałe siostry stały nad trumną z białymi i lilowymi hiacyntami i myślały o tym samym: „To ja, a nie biedna Masza, powinnam tu leżeć wśród tych pięknych kwiatów ułożonych przez Nikę...”

Napatrzyły się w ciągu swego długiego życia na śmierć, zbratały się z nią: witając ją w swych domach zasłaniały lustra, z pokorą i skupieniem czuwały przez dwa dni przy zmarłym, mamrotały w blasku świec psalmy... Wiedziały o spokojnym końcu, bezbolesnym i godnym, ale spotkały się też z nagłym, zbójeckim wtargnięciem śmierci, kiedy ginęli młodzi, odchodząc przed swymi rodzicami...

Nie mogły jednak pogodzić się z samobójstwem. Jak można pogodzić się z faktem, że pełna życia dziewczynka wyfruwa nagle z własnej woli

w nisko dudniący wir powolnych płatków śniegu, znikając z tego świata na zawsze...

Do trumny podszedł ojciec zakonny, chórzyści zaśpiewali najpiękniejszą ze wszystkich pieśni o ziemskiej rozłące... rozstaniu...

Msza była w języku greckim, ale nawet Medea rozumiała tylko oddzielne słowa.

Wszyscy jednak mieli wrażenie, że ten gorzki i niezrozumiały śpiew krył w sobie więcej niż może powiedzieć najmądrzejszy z ludzi.

Jeśli ktoś i płakał, to cicho. Aldona wycierała łzy męską chusteczką w kratkę.

Gwidas*Wielkolud nerwowo przesunął pod okiem ręką w skórzanej rękawicy.

Debora Lwowna, teściowa, próbowała głośno lamentować, ale Alik skinął głową do lekarzy i ci natychmiast wyprowadzili ją z cerkwi.

Masza została pochowana na cmentarzu Niemieckim, gdzie leżeli jej rodzice, stamtąd wszyscy pojechali do Aleksandry Georgijewny, która nalegała, żeby urządzić stypę u niej. Ludzi było dużo, przy stole zmieścili się tylko starzy i przyjezdni krewni.

Młodzież kręciła się z kieliszkami i butelkami w rękach po mieszkaniu.

Alik Mały wybrał chwilę i zapytał szeptem ojca:

* Tato, jak myślisz, ona zmarła na zawsze?

* Wkrótce wszystko się zmieni i będzie dobrze * powiedział pouczająco ojciec.

Alik Mały popatrzył na niego długim i chłodnym spojrzeniem:

* Nie wierzę w Boga...

Tego samego dnia przyszło zezwolenie na wyjazd. Władze dawały im dwadzieścia dni na spakowanie się, nawet za dużo. Przyjaciele mylili później pożegnanie ze stypą, chociaż żegnali się u Alika w Czeremuszkach.

Debora Lwowna zostawała w Moskwie z siostrą, Alik wyjeżdżał z synem i jedną bułgarską walizką średnich rozmiarów w kratkę.

Celnicy zabrali mu kartkę papieru * ostatni wiersz Maszy napisany niedługo przed samobójstwem. Znał go oczywiście na pamięć:

Ach, poznanie, badanie jest jak przyciąganie

Rozkoszne poznawanie

Praw, głębin, „Szkoly Gołębiej

Latania Wielkiego". Czytaniem

Karty Win w knajpach podrzędnych
Lecz struna naszego poznania
Tak * Najczulszego Dotknięcia
Sama się w wino odmienia
Wysokie gołębi latanie
Bo ona gasi pragnienie
Duszy. Jest myśli myśleniem
Dlatego żyjąc w tłumie Tak człowieczo beztroskim Kłaniamy się temu co umie
Rozpłynąć się w wieczności

Epilog

Ostatni raz byliśmy z mężem w Osadzie latem dziewięćdziesiątego piątego roku. Medea od dawna już nie żyła. W jej domu zamieszkała tatarska rodzina i nie odważyliśmy się tam wejść. Poszliśmy do Gieorgija. Postawił swój dom wyżej od domu Medei i wywiercił studnię artezyjską. Jego żona, Nora, wciąż wygląda jak dziecko, ale z bliska widać było drobniutkie zmarszczki pod oczami * tak starzejają się tylko delikatne blondynki.

Mają z Gieorgijem dwie córki.

Dom był pełen krewnych. Z trudem mogłam poznać w tej młodzieży dzieci z lat siedemdziesiątych. Pięcioletnia dziewczynka z rudymi lokami, bardzo podobna do Lizoczki, kłóciła się z powodu jakiegoś śmiesznego nieporozumienia, jak to bywa między małymi dziewczynkami.

Gieorgij ucieszył się na widok mojego męża, którego dawno nie widział. Mój mąż też pochodzi z rodziny Sinopli, ale nie ze strony Charłamija, tylko jego młodszej siostry Polikseny. Długo zastanawialiśmy się, w jakim stopniu są spokrewnieni, okazało się, że są dalekimi kuzynami.

Gieorgij zaprowadził nas na cmentarz. Krzyż Medei stoi obok obelisku Samoni, ale jest skromniejszy, niższy. Gieorgij opowiedział nam po drodze, jak zawiedzeni byli

krewni Medei, kiedy dowiedzieli się po jej śmierci, że zostawiła dom w spadku nikomu nieznanemu Rawilowi Jusupowowi.

Tego Jusupowa nawet nie szukali i do domu Medei wprowadził się Gieorgij z Norą, Tanieczką i młodszymi córkami. Znalazł sobie pracę na stacji biologicznej.

Parę lat później, pewnego wiosennego wieczoru, zjawił, jak niegdyś u Medei, Rawil i wtedy Gieorgij pokazał mu testament z kufierka. Musiało minąć jednak kolejnych parę lat, zanim Rawil otrzymał ten dom. Błaha sprawa zmiany właściciela ciągnęła się w sądzie przez dwa lata i skończyła się pomyślnie wyłącznie dzięki uporowi Gieorgija, który doszedł aż do władz republikańskich, żeby uznano testament Medei. Od tamtej pory wszyscy miejscowi uważali go za wariata.

Miał teraz sześćdziesiąt lat, ale nadal był krzepki i silny. Przy budowie domu pomagał mu Rawil z bratem. Kiedy dom stanął, miejscowi zmienili zdanie, twierdząc, że Gieorgij jest bardzo sprytny: zamiast rozpadającego się domu Medei ma teraz nowy, dwa razy większy.

Spędziliśmy w tym domu wieczór. Letnia kuchnia jest bardzo podobna do kuchni Medei, stoją tu takie same miedziane dzbanki, takie same naczynia. Nora nauczyła się zbierać miejscowe zioła i na ścianach suszą się ich wonne pęczki, jak kiedyś u Medei.

Wiele przez ten czas się zmieniło, członków rodziny można teraz znaleźć na całym świecie. Nika od dawna mieszka we Włoszech, wyszła za mąż za bogatego grubasa, dowcipnego i czarującego, wygląda jak matrona i bardzo lubi, kiedy do jej dostatniego domu w Rawennie przyjeżdżają krewni z Rosji.

Lizoczka też mieszka we Włoszech, ale Katii tam się nie spodobało. Jak to nieraz bywa z dziećmi z mieszanych małżeństw, zrobiła się z niej straszna rusofilka. Wróciła do Moskwy, mieszka na Usaczowce. Ruda dziewczynka, która awanturowała się na podwórku, to jej córka.

Alik Duży został amerykańskim profesorem i lada chwila może uszczęśliwić ludzkość lekiem przeciwko starzeniu się, a Alik Mały po skończeniu Harvardu dołączył do ortodoksyjnych Żydów, nauczył się jidysz, założył kipe, zapuścił pejsy i teraz znów studiuje w Bene Beraku w żydowskiej akademii pod Tel Awiwem.

Kipa * żydowska jarmułka (przyp. tłum.)

Alik kilka lat po przeprowadzce do Ameryki wydał tam tomik wierszy Maszy.

Georgij przyniósł nam tę książeczkę z amatorskim zdjęciem na pierwszej stronie zrobionym w czasie jej ostatniego pobytu na Krymie. Patrzy do obiektywu przez ramię z radosnym zdziwieniem. Nie próbuję oceniać tych wierszy * są częścią mojego życia, ponieważ tamto ostatnie lato też spędzałam z dziećmi w domu Medei w Osadzie.

Butonow polubił dom w Rastorgujewie, gdzie zamieszkał, po długich namowach, z żoną i córką, urodził im się później syn, którego bezgranicznie kocha. Medycynę sportową rzucił dawno temu, zmienił kierunek i pracuje teraz z chorymi mającymi problemy z kręgosłupem, których regularnie dostarczał mu najpierw Afganistan, a dziś Czeczenia.

Całe starsze pokolenie już odeszło, wszyscy prócz Aleksandry Georgijewny, Sandroczki. Jest długowieczna, ma prawie dziewięćdziesiąt lat. Po śmierci Maszy przyjeżdżała na Krym co roku, a ostatni rok życia Medei spędziła tu razem z Iwanem Isajewiczem, była przy siostrze do końca.

Nie przyjeżdża tu już jednak od dwóch lat: podróż stała się dla niej zbyt ciężka.

Iwan Isajewicz uważa obie siostry za święte, ale Sandroczka uśmiecha się, jak zwykle, swym uwodzicielskim uśmiechem i poprawia męża:

* Święta u nas była jedna...

Cieszę się, że jestem dzięki mężowi spokrewniona z tą rodziną i że moje dzieci mają w sobie trochę greckiej krwi, krwi Medei. Jej „późne wnuki” wciąż zbierają się każdego lata w Osadzie * Rosjanie, Litwini, Gruzini, Koreańczycy. Mąż marzy, żeby przywieźć tu w przyszłym roku, jeśli będzie nas stać, naszą małą wnuczkę, córeczkę starszego syna i czarnej Amerykanki z Haiti.

To cudowne uczucie * należeć do rodziny Medei, takiej ogromnej, że nie znasz nawet jej wszystkich członków, którzy gubią się w mroku byłego, zmyślonego i tego co jeszcze przed nami.

1996 rok